

SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA



Piotr Schmandt

FABRYKA POKORY

Oficynka

SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA

Piotr Schmandt

FABRYKA POKORY



Copyright © Oficynka & Piotr Schmandt, Gdańsk 2015

Wszystkie prawa dozwolone.

Książka w całości jak i jej każda, dowolna część może być
przedrukowywana
i w dowolny inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki ;-))
Poważnie!

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2015

Opracowanie: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Grafika na okładce: © Muzeum Piśmiennictwa
i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie

ISBN 978-83-66613-40-9



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

woblink

woblink.com

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1. DER PROLOG

2. MIESZKANIE NA DRUGIM PIĘTRZE

3. KOMNATA ILUMINACJI

4. DOM PRZY ULICY KALWARYJSKIEJ

5. SÓL TEJ ZIEMI

6. LIŚCIE W KOLORACH JESIENI

7. KONCERT

8. KULUARY

9. HIOB

10. TU ZAWSZE BĘDZIE PORZĄDEK

11. DZIEŃ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

12. DUSZE, KTÓRE ZSTĘPUJĄ NA ZIEMIĘ

13. BABECZKI Z CHILI

14. WSPÓLNE ŚLEDZTWO

15. MASCHALLAH

16. MATERIA I DUCH

17. DROGERIA ZIEMENSA. PRZESŁUCHANIE

18. ARESZT ŚLED CZY

19. PRZED ŚWITEM

20. WIEDZA WYBRANYCH

21. NADZIEJE

22. PODEJRZANI

23. TRZY KOBIETY

24. FOTOGRAFIE

25. BERLIN

26. GDZIE ONE SĄ?

OD AUTORA

PODZIĘKOWANIA

*Więcej niż potrafiłem,
mniej, niż na to zasługujesz.*

Oli



DER PROLOG

Berlin w końcowej dekadzie października sprawiał jeszcze całkiem sympatyczne wrażenie.

W mnogich krainach rozległego cesarstwa Wilhelma II, nad zadbanymi miastami i gospodarnymi wsiami coraz rzadziej świeciło nisko krążące słońce, a deszcze, częstsze i zimniejsze niż jeszcze we wrześniu, nieubłagane świadczyły o zmienności pór roku.

Tutaj jednak temperatury od dobrego tygodnia dochodziły do dwudziestu stopni, nawet gdy niekiedy pochmurne niebo nie wróżyło niczego dobrego.

Ulice pełne były przechodniów. Obywatele stolicy załatwiali zwykłe sprawunki albo po prostu spacerowali sobie, chcąc przed nadejściem jesiennych słońc nacieszyć się ostatnimi chwilami łagodniejszych części roku.

Konie z kwadrygi nad Bramą Brandenburską z niezmaconym spokojem przypatrywały się tłumom podążającym w rozmaite strony.

Wokół ronda Grosser Stern, pod złoconą Kolumną Zwycięstwa, ulubionym miejscem spotkań berlińczyków, roilo się od oczekujących na

bliskich i znajomych.

Unter den Linden były, jak zawsze, świadkiem targowiska próżności. Panie w fantazyjnych kapeluszach i drogich sukniach, panowie wymachujący laskami ze złoconą gałką, powozy zaprzężone nierzadko w cztery rumaki, koniecznie barwy jabłkowej, a obok tramwaje bijące w oczy jaskrawą czerwienią, pełne pasażerów rozmaitych profesji i stanów. Ludzkie mrowisko okolone było obustronnym ciągiem kamienic kapiących od eklektycznych fanaberii. Architekci byli jednymi z tych, którym w Berlinie działa się najlepiej. Pozwalano im na spełnianie najbardziej rozszalałych secesyjnych fantazji, a oni wykorzystywali tę rozrzutność coraz potężniejszego i coraz bogatszego państwa z podziwu godną skrupulatnością. Za ich wizje płaciło państwo, płacili bankierzy, przemysłowcy, a także wszyscy ci, którzy nie wiedzieli, co robić z pieniędzmi.

Pod gmachem Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma, znajdującym się właśnie na Unter den Linden, dwóch burszów w charakterystycznych czapkach korporacji studenckiej, spierało się o coś, mocno gestykułując. Minął ich mężczyzna średniej budowy ciała, idący wcale lekkim krokiem. Naraz przystanął. Wyjął z kieszeni kamizelki zegarek, otworzył go, spojrzął na tarczę i nieznacznie kiwnął głową z zadowoleniem.

Półtorej godziny wcześniej stanął przed solidnymi dębowymi drzwiami gabinetu nadkomisarza Arnolda von Marburga przy Alexanderplatz, gdzie mieścił się okazały i wzbudzający należyty respekt gmach stołecznej siedziby policji.

Drugie piętro było królestwem nadkomisarza. Królestwem, którego nazwa mówiła wiele: Wydział Zabójstw. Wydział IV.

Delikatnie zapukał. Drzwi miały tę przedziwną cechę, że nawet delikatne ich dotknięcie było słyszane wewnątrz, w obszernym gabinecie.

Ignaz Braun usłyszał tubalne „Wejść!”. Pruski policjant zawsze wykonuje polecenia przełożonego, tym bardziej gdy zgodne są z jego oczekiwaniami, niezwłocznie więc nacisnął klamkę.

Gabinet przypominał wnętrze angielskiego klubu. Tak się zawsze kojarzyło Ignazowi. Był kiedyś w Anglii, gdy w Brighton odbywało się coroczne sympozjum, wtedy poświęcone pomnikowemu dziełu Paula Brouardela, noszącemu frapujący tytuł *Powieszenie, zadzierzgnięcie, zadławienie, utonięcie*, w którym autor zebrał skarb doświadczeń całych dziesięcioleci paryskiej szkoły medycyny sądowej. Staruszek, nietypowo jak na Francuza, lubił Anglię i samo Brighton, tam więc, podczas jednego z owych prestiżowych spotkań, postanowił zapoznać cywilizowany świat ze swoim dziełem. Złośliwi, a takich nigdy nie brakuje, szeptali wprawdzie, że właśnie pokłócił się z szefem paryskiej policji i chciał mu zagrać na nosie zamorskim epizodem, poza tym miał być szczególnym wielbicielem znanych z urody angielskich dam, których niepowtarzalną krasą pragnął nasycić, być może po raz ostatni, słabnące oczy. Ignaz miło wspominał tamten wyjazd. Został wtedy zaproszony do elitarnego klubu brytyjskich policjantów golfistów i właśnie od tamtej pory niezmiennie porównywał gabinet przełożonego z wyspiarskimi klubami, jakże często opisywanymi w literaturze pięknej.

— Dzień dobry, panie nadkomisarzu.

— Braun! — tubalny głos von Marburga sprawił, że zadrżały solidne ramiona kutego żyrandola artystycznej kowalskiej roboty, a ciężkie pluszowe zasłony zakołysały się po obu stronach okna. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Ignaz. — Proszę usiąść! Dobrze, że pan przyszedł. Musimy porozmawiać! Otóż wezwałem pana...

— Ośmielam się przerwać panu nadkomisarzowi — inspektor w rzeczy samej przerwał przełożonemu — ale to ja pozwoliłem sobie poprosić o spotkanie...

Sumiaste, a równocześnie podkrecone na końcach wąsy nadkomisarza poruszyły się w ledwie dostrzegalny sposób. Kamienna twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Jednak oczy z niedowierzaniem taksowały postać podwładnego.

— Naprawdę? — von Marburg zapytał cicho, w sposób zgoła niepodobny do tego, jakim na ogół posługiwał się w stosunku do osób niższych rangą. — Może rzeczywiście. Niech pan zauważy, inspektorze, tyle spraw ostatnio!

— Oczywiście, panie nadkomisarzu. W nawiązaniu...

Von Marburg tym razem wbił w przybyłego wzrok pełen napięcia i wewnętrznej siły.

— Znów jakiś morderca?! Czy o czymś takim chciał mnie pan poinformować?

— Ależ nie, panie nadkomisarzu! Przecież nie dalej jak tydzień temu zakończyliśmy sprawę tajemniczego zagłowca z Kamerunu, gdzie zginęli kapitan Waldstein i bosman Wudtke, a od trzech dni inspektor Golf pracuje nad sprawą kuriozalnych zabójstw w Ahlbeck na wyspie Uznam. Maschendorf i Eriksen pojechali do południowej Jutlandii, bądź co bądź Eriksen jest w połowie Duńczykiem, zna teren i język, no i rozumie ich poczucie humoru, natomiast zabójcę otyłego sklepikarza z Alt Rudow ściga Vischecki. Poza tym żadnych nowych doniesień. Od dwóch dni dosłownie niczego.

Wyższy urzędnik cesarskiej policji pokiwał głową.

— Dobrze! Obywatele są posłuszni! Ale mi nie trzeba przypominać o wszystkich tych sprawach. Von Marburg nie zapomniał, o nie! Choć —

uśmiechnął się lekko — zapomniał, że to pan poprosił o rozmowę. A więc z czym pan przychodzi? I proszę usiąść!

Skórzany, lecz niezbyt miękki fotel przyjął na siebie nagle zwielokrotniony ciężar ciała inspektora. Braun wziął głęboki oddech. Czuł na sobie uważny wzrok przełożonego.

Siedzieli tak naprzeciwko siebie w milczeniu, które trwało zaledwie kilka sekund. Przez ten czas Ignaz machinalnie obrzucił okiem pionową płaszczyznę gabinetu von Marburga wznoszącą się pod sufit za plecami olbrzymiego mężczyzny z łysą błyszczącą czaszką.

Tak. To, co znajdowało się za przepastnym fotelem, właśnie wznosiło się pod sufit. Solidny regał wypełniony oprawionymi w skórę i złoto opasłymi tomami, zawierającymi dokumentację zakończonych sukcesem spraw. Fetysz, trofeum nadkomisarza. Jego przepustka do kariery ministerialnej, o której w Wydziale IV mówiło się coraz głośniejsze, choć na ogół pod nieobecność przełożonego. Podobno w sprawę awansu von Marburga zaangażowany był sam książę Gustaw von Kreutzstern und zu Allenberg.

Takie same ściany wypełnione księgami były wtedy, w klubie w Brighton. I takie same palmy w zdobnych donicach. I obrazy przedstawiające okręty. Tyle że w Brighton ze ściany nie patrzył na Ignaza Wilhelm II, cesarz Niemiec i Król Prus. Tymczasem tu, naprzeciw okna, jego imponujących rozmiarów portret świadczył o tym, kto jest prawdziwym panem tego gabinetu, jak również i o niekłamanej miłości, jaką nadkomisarz darzył swojego władcę.

Aby tylko odłożyć w czasie, choć o sekundę, to, co ma do powiedzenia von Marburgowi...

— A więc, mój panie, z czym pan przychodzisz? — spokojny, rzeczowy, pozbawiony zniecierpliwienia głos przełożonego świadczył, że

wszystko, co działo się w duszy Brauna, trwało krócej niż przypuszczał. — Bo skoro nie ma żadnego morderstwa wartego naszej uwagi...?

Ignaz wziął głęboki oddech.

— Właśnie w nawiązaniu do owego radosnego faktu.

— Tak? No, niechże pan wreszcie powie!

— Otóż, panie nadkomisarzu, pragnę poinformować, że mam do wykorzystania w tym roku jeszcze całe dwa tygodnie urlopu. Latem, kiedy rokrocznie najchętniej wyjeżdżam w góry Harzu...

— ...nie wyjechał pan, zmuszony zająć się Nimfą Lorelei z St. Goarshausen. Pamiętam! Sam dawałem autoryzację tym pismakom z „Berliner Beobachter”, kiedy mieli napisać pięciokolumnowy artykuł o pana sukcesie. Ładna mi zresztą nimfa, otyła i szczerbata! Ale, ale... Czy pojawiły się jakieś nowe okoliczności? Przecież Nimfę zasłużenie powiesili może z tydzień temu!

Braun uśmiechnął się półgębkiem z wyraźnym zakłopotaniem.

— Nie, panie nadkomisarzu, pan mnie nie do końca zrozumiał. Wspomniałem o urlopie.

— ?

— Nie mogłem go wykorzystać.

Na czole szefa wydziału pojawiły się dwie wyraźne bruzdy. Zdobiły, rzecz jasna, czoło von Marburga zawsze, teraz jednak nabrały szczególnej wyrazistości. Ich właściciel splótł dłonie, aż stawy w palcach zatrzęszczały. Zaraz jednak oba przedramiona stuknęły o rant biurka. Kałamarz zadygotał. Zadrżały postawione obok niego dwa pióra w oprawie z kości słoniowej. Tylko cienka, niepozorna kartka, zapisana do połowy, nie przejęła się nadciągającą burzą.

— Moja intuicja, wyćwiczona w ciężkich bojach z wszelkiego rodzaju przestępcami, podpowiada mi, że chciałby pan, inspektorze, wziąć ten

urlop.

— Otóż to — winowajca spuścił oczy.

— Tak. A czy jest jakiś ważny powód? Dajmy na to, żona spodziewa się rozwiązania? Któreś z rodziców, nie daj Boże, zmarło? Albo musi pan dopilnować jakichś spraw spadkowych? Tak, to byłyby powody, nad którymi być może warto się pochylić.

Von Marburg miewał niekiedy potrzebę popisania się cynizmem z domieszką umiarkowanego okrucieństwa. Dwa dni wcześniej, podczas nieformalnego spotkania, rozmawiał przez kilka minut z Ignazem i nie dowiedział się wcale, że pani Bernadeta miałaby spodziewać się dziecka. Braun nie wspominał również o żadnej okoliczności sprawiającej, że mógłby w najbliższym czasie liczyć na jakiś objaw błogosławieństwa bożego w postaci spadku. A o fakcie, że oboje rodzice inspektora nie żyją, przełożony wiedział doskonale.

W dłoni nadkomisarza pojawiło się cygaro, wyjęte z płaskiego drewnianego pudełka. Jeszcze tylko szczęknięcie gilotynki stojącej na biurku, trzask zapalniczki i policjantów przedzielił gęsty błękitny obłok dymu.

— Ach, przepraszam, inspektorze, może poczęstuje się pan — głos von Marburga był doskonale obojętny.

— Dziękuję, panie nadkomisarzu — odparł Ignaz cicho. — Powody, które pan wymienił, nie zaistniały. Chciałem z żoną pojechać do Wejherowa.

— Do Wejherowa? — przełożony zdawał się bezmiernie zaskoczony. — A po cóż do jakiegoś Wejherowa? Zaraz, zaraz. Ależ to w Prusach Zachodnich, nieprawdaż? Tak, małe miasteczko w Prusach Zachodnich. Czy nie tam prowadził pan kiedyś sprawę tego poćwiartowanego gimnazjalisty? No i zdaje się, że pańska żona stamtąd pochodzi?

— Owszem — głos Ignaza ledwie przebił się przez coraz gęstsze obłoki dymu.

— I ciągnie pana tam?

— Tak. Właśnie z przyczyn rodzinnych. Urlop często spędza się z rodziną.

Nadkomisarz popatrzył na inspektora jak na dziecko. Przecież doskonale wie, po co jest urlop. Tylko dlaczego dobry policjant w ogóle myśli o czymś tak odmiennym od codziennych obowiązków?

— Może pan jaśniej, drogi Braun?

— Właśnie zamierzałem panu nadkomisarzowi wszystko wyjaśnić. Moja żona, jak pan zauważył, pochodzi z Wejherowa. To znaczy po części z Wejherowa, po części z Lęborka. Ma tam ojca, matkę i grób cioci.

— O, czyżby potrzebna była ekshumacja cioci? — von Marburg pozwolił sobie na dowcip, którego z pewnością nie usłyszałyby z jego ust, dajmy na to, księżę Gustaw von Kreutzstern und zu Allenberg.

W gabinecie nastąpiła taka cisza, że rozbawiony nadkomisarz dałby sobie rękę uciąć, że usłyszał przełknięcie śliny przez inspektora. Zaraz też pomyślał, że dobrze, iż nie jest przestępcą ściganym przez Brauna.

— Mojej żonie i również mnie bardzo zależy, aby odwiedzić rodzinę i miasto podczas dnia Wszystkich Świętych. I w zaduszki.

— I w zaduszki — w zamyśleniu powtórzyło uosobienie dyscypliny i sumienia pracowników Wydziału Zabójstw. — No cóż, jest pan katolikiem. Niekiedy bywa to przydatne, ale sam pan rozumie, osobliwość owej prośby w kontekście sprawowania przez pana poważnego stanowiska w cesarskiej policji...

Braun zakaszłał. Duszący dym i determinacja. I odrobina złości. Nawet nie odrobina. W tamtej chwili najchętniej poprosiłby o dymisję. Mało to w Berlinie prywatnych detektywów? W dodatku ich zarobki wcale nie są

takie niskie. Zaczerpnął zanieczyszczonego powietrza i już zamierzał powiedzieć coś, co zgoła zrewolucjonizowałyby relacje przyjęte za oczywiste między pruskimi przełożonymi a pruskimi podwładnymi, ale nie zdążył przemówić.

W tym bowiem momencie telefon stojący na biurku von Marburga wydał z siebie przenikliwy sygnał przedzielany krótkimi pauzami.

Ciężka dłoń nadkomisarza sięgnęła po ozdobną słuchawkę.

— Von Marburg! — ryknięcie miało z miejsca uporządkować przyszłe relacje między rozmówcami. — Tak, moja droga, oczywiście jestem, słucham cię. Nie, nie. Nie przeszkadzasz. Rzecz jasna, nie przeszkadzasz.

Ktoś, kto znałby przełożonego Wydziału IV jedynie z odpraw, narad czy rozmów twarzą w twarz z podległymi mu policjantami, zadumałby się głęboko nad metamorfozami ludzi w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdują.

Von Marburg wsunął się w swój przepastny skórzany fotel. Okrągłe okulary bez pomocy właściciela zsunęły się na czubek wielkiego czerwonego nosa, a wielki czerwony nos stał się jeszcze bardziej czerwony. Dłoń już nie tak kurczowo obejmowała szylkretową słuchawkę. Oczy zaczęły błędzić gdzieś wysoko ponad postacią Brauna.

— Tak, myślę, że będę mógł. Oczywiście, wydział sobie poradzi, moja droga. Owszem, a dokąd?

Błogosławiona chwila, podczas której można odetchnąć i wyciszyć emocje. Ignaz już wiedział, że nie wybaczyłby sobie, gdyby powiedział przełożonemu coś, czego potem żałowałby do końca życia.

— Do Moguncji? Do ciotki Eriki? Ależ byliśmy tam dwa lata temu! Wiem, że wuj umarł. Nie płacz już, miał te swoje dziewięćdziesiąt osiem lat. Piękny wiek, sam chciałbym dożyć. Dobrze, ale dlaczego? Przecież wiem, że ciotka jest katoliczką! Na Wszystkich Świętych?!

Było za późno. Von Marburg szybko spojrział na Brauna. Ten zaś utkwiał w przełożonym wzrok tak znaczący, a jednocześnie tak niewinny, że nadkomisarz zaraz spuścił oczy.

Jak można być tak niedyskretnym?... Tak polec od własnego nieopanowania... Na usprawiedliwienie nadkomisarz pomyślał, że prośba, a właściwie rozkaz żony spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Nie było tu jego winy. W obliczu wyjazdu do ciotki Eriki, straszliwej mumii o charakterze godnym wodza Hunów Attyli, nawet on, przyszły wiceminister, lub może nawet minister, był bezradny.

— Panie nadkomisarzu — Braun nieco teatralnie zawiesił głos.

— Mam nadzieję, że nie usłyszał pan tych ostatnich dwóch słów? — rzekł von Marburg. Postarał się, żeby pytanie zabrzmiało w miarę autoironicznie. A zarazem, Ignaz to pojął, było prośbą o dyskrecję.

— Jestem zdyscyplinowanym funkcjonariuszem cesarskiej policji. Staram się nie słuchać prywatnych rozmów przełożonych.

Nadkomisarz uśmiechnął się kwaśno pod sumiastym wąsem. Przy całej świadomości własnej siły, płynącej z piastowanego stanowiska, był człowiekiem honoru. Kiedyś, w zamierzchłych czasach, gdy wybijał się jako słuchacz szkoły policyjnej nieprzeciętnymi zdolnościami, przyrzekł sobie, że będzie wiele wymagał od przyszłych podwładnych, jeśli będzie takich miał. Więcej niż wiele. Ale tyle samo, i ciut ponadto, od samego siebie. I jeśli nie zdoła czegoś wykonać, nie będzie miał pretensji do podwładnych, że również nie dali rady.

A on właśnie przegrał w nierównej walce z własną żoną. Prawdę powiedziawszy, bez podjęcia walki. I pojedzie na Wszystkich Świętych do Moguncji.

Ignaz zamknął i schował zegarek. Dwaj burszowie dyskutowali coraz bardziej zawzięcie. Ani chybi, skończy się pojedyńkiem. Co najmniej jeden z nich będzie się potem szczyił długą szramą na policzku. Panny z dobrych domów bardzo lubią takie blizny. Cóż to za student, który nie ma co najmniej raz przeciętego policzka? Wypić umie każdy, poawanturować się, owszem, też, ale ślady po pojedyńkach, o, to całkiem co innego.

Ruszył w kierunku Schlossplatz. Po prawej zamajaczył imponujący, oświetlony popołudniowym słońcem i nimbem hohenzollernowskiej potęgi Kronprinzenpalais. Ignaz wszedł na Schlossbrücke.

Lubił Szprewę. Nie odmówił sobie chwili przyjemności. Zatrzymał się na moście i spojrzał w dół. Kanał rzeki, okalający od południowego zachodu Wyspę Muzeów, nie był wprawdzie tak ładny jak latem, kiedy błękitne niebo odbijało się w płynącym łagodnie nurcie czystością; ale i teraz, kiedy pomarszczone, drobne języki wody zdawały się gorączkowo zdążać za głównym prądem rzeki, Szprewa miała swój urok.

Mijały go fale ludzi spieszących w obie strony. Obok niego przystanąły dwie wysokie młode damy. Usłyszał strzępy zdań wypowiedzianych z południowym, najpewniej badeńskim akcentem. Nie obchodziło go jednak, o czym rozmawiają kobiety. Dwie, trzy minuty bezmyślnego wpatrywania się w nurt Szprewy wystarczyły. Mógł iść dalej, w poprzek muzealnej wyspy.

Jeszcze tylko kolejny most i znalazł się na przystanku tramwajowym. Spojrzał na rozkład. Jego trasa obsługiwana była przez linię numer 15. Piętnastka przyjedzie za cztery minuty. O 16.13. Wiedział, że czerwony lśniący tramwaj pojawi się punktualnie. Jak wszystkie tego typu pojazdy poruszające się po cesarstwie.

Konduktor w mundurze z lśniącymi złotymi guzikami sprzedał Braunowi bilet. Twarz jegomościa, gładko wygoloną, różową i nalaną, na

moment rozjaśnił służbowy, lecz miły uśmiech.

Spandauer Strasse przecinała park, w którym usadowiła się urokliwa bryła Marienkirche. Potem jeszcze tylko po lewej ratusz, po prawej kościół św. Mikołaja. Tramwaj skręcił ostro w lewo. Zaraz zatrzyma się na przystanku, który Braun zawsze witał z radością. Stąd do domu już niedaleko. Klosterstrasse.



MIESZKANIE NA DRUGIM PIĘTRZE

Ignaz zapukał trzy razy. Potem jeszcze dwa. Zawsze tak robił. Umówił się z Bernadetą, zaraz po tym, jak wprowadzili się do przytulnego mieszkania na drugim piętrze, że będzie to ich szyfr. Nie wyobrażał sobie, żeby pominąć charakterystyczne pukanie, nawet wtedy, gdy był zmęczony, gdy posprzeczali się poprzedniego dnia, lub gdy wyszedł tylko na chwilę po jakieś drobne sprawunki.

Poza tym, tak lubił powtarzalność!

Drzwi uchyliły się po kilku sekundach. Stała w nich Bernadeta. Przywitała go, jak zawsze, uśmiechem, ale dostrzegł zaraz, że jest czymś zaaferowana. Pocałował ją i spojrzał pytająco.

— Amalia — szepnęła odrobinę przepraszającym tonem i zaraz roześmiała się na widok jego zawiedzionej miny.

— Akurat dzisiaj? — odszepnął.

— Co ja na to poradzę? Ale przyszła z bardzo ciekawymi wiadomościami.

— Jak zawsze — syknął Ignaz i przekroczył próg, kiedy Bernadeta odsunęła się, by go wpuścić. Od razu zniknęła w kuchni, zostawiając męża w przedpokoju.

Braun odemknął drzwi szafy i położył na półce grubą teczkę. Służbowa, bardzo ważna teczka miała tam swoje ustalone trzyletnią tradycją miejsce. Właśnie tam, wcale nie w „księgarni”, jak nazywali pokój od podłogi do sufitu zavalony książkami, rozmaitymi papierami, dokumentami, pamiątkowymi rycinami, albumami zawierającymi ich wspólne oraz rodzajowe fotografie, jak również pocztówki zwożone przez ojca Bernadety. Jedyne niezabudowaną regałami ścianę zdobiły tam akwarele i inne atrybuty domu, w którym lubi się literaturę, historię i wszelkie pamiątki ze świata.

Teczka natomiast zawierała zazwyczaj dokumentację kryminalną i jako taka nie miała wstępu do „księgarni”. Co prawda, Ignaz musiał niekiedy pracować do późnego wieczora nad jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą, zawsze jednak wyjmował wtedy z te czki to, co było mu niezbędne, resztę zostawiając w przedpokoju. Fotografie nieboszczyków, zeznania świadków i oskarżonych, wszelkie brudy świata, jeśli już musiały powędrować na biurko, gościły tam na krótko, jakby przypadkiem. W IV Wydziale pozwalano na wynoszenie akt na zewnątrz, był to jednak wydział, z uwagi na specyfikę zadań, rządzący się swoimi prawami, nieznanymi w innych komórkach policji.

Skądinąd, kiedyś teczka Brauna znalazła się, podczas zamieszania, na stole prosektoryjnym, co na swój sposób naznaczało formę i miejsce jej obecności w domu przy Klosterstrasse.

Ignaz podszedł do lustra. Zdjął płaszcz i starannie, niespiesznie powiesił go na wieszaku, obok paltocika Amalii. Westchnął i wszedł do kuchni.

Przy stole siedziała niezwykle chuda kobieta w wieku trzydziestu lat. Na widok Brauna uśmiechnęła się przyjaźnie. Postarał się odwdzińczyć tym samym, ale nie bardzo wiedział, czy zamiar się udał.

Bernadeta krzątała się już przy piecu, a garnek bulgocący warem, jak również rondel wydający z siebie rozkoszny odgłos skwierczenia, świadczyły niezbicie o znanym powszechnie zamiłowaniu Bernadety do dobrej kuchni, której walory doceniali goście, mąż i ona sama.

Cała postać młodej gospodyni świadczyła, że kuchnia jest jej pasją. Kiedy tak stała tam zaróżowiona w obłokach pary, przewiązana fartuchem, Ignaz nie mógł się jej napatrzeć. Kobiecość emanowała z ruchów i bujnych kształtów. Widok kobiety w kuchni w ogóle jawił się dla niego czymś pięknym, niemal poetyckim.

Jednak Bernadeta w równym stopniu, co pilnowaniem garnków, zajęta była rozmową ze znajomą. A ściślej, słuchała wynurzeń Amalii, co chwila przytakując lub wydając z siebie mruknięcia oznaczające niedowierzanie, aprobatę lub zdziwienie.

— I wyobraź sobie! Wyobraźcie sobie — poprawiła się Amalia, spojrzawszy przelotnie na Ignaza — mój Willi wchodzi do tego gabinetu. Alfred Topp patrzy na niego uważnie, wreszcie pyta o wiek, zawód, choć wie, gdzie Willi ma sklep, i o kilka innych rzeczy, a na koniec mówi, że Willi może przyjść nazajutrz na plan.

— Jaki plan? — zainteresował się Braun.

— Nie przerywaj — odparła Bernadeta. — Amalia wszystko opowie ze szczegółami.

— Na pewno — uśmiechnął się Ignaz.

Willi miał skład mydlarski na Kreuzbergu, przy Kottbusser Damm. W sąsiedztwie całkiem niedawno, miesiąc lub dwa wcześniej, ulokował się Teatr kinematograficzny Toppa. Jego właściciel, energiczny młody

człowiek mający głowę pełną pomysłów, zaczął organizować pokazy filmowe. Z początku wszyscy — sklepikarze, lokatorzy pobliskich kamienic, zwykli przechodnie — pukali się w głowę na widok takiego dziwactwa. Kiedy jednak dostrzeżono, że na pokazy do dość przestronnej sali zaczyna przychodzić coraz więcej amatorów nowej sztuki, zaczęto spoglądać na Toppa nieco inaczej.

Właściciel teatru kinematograficznego, zafascynowany osiągnięciami Francuzów i Amerykanów, prezentował publiczności ich filmy. Widzowie byli pod wrażeniem jeszcze świeżych produkcji. *Podróż na księżyc* Georges'a Mélièsa zachwycała efektami specjalnymi, a podczas *Napadu na ekspres* Edwina Portera ludzie krzyczeli i zasłaniali twarze rękoma, gdy bandyta mierzył prosto w ekran z rewolweru.

— Jak mówiłam, pan Topp zamierza osobiście zrobić film. Naprawdę! No więc jak ogłosił na Kreuzbergu, że poszukuje stato... state...

— Statystów — wtrącił Ignaz.

— O właśnie, no więc Willi, bo on najpierw działa, a potem myśli, tym razem dobrze zrobił, że poszedł do teatru. Resztę już pan Ignaz słyszał. Wiecie, mój Willi jest przystojny, no i grał kiedyś w teatrze amatorskim, jeszcze w szkole.

— A wiadomo, jaki to będzie film? — Bernadeta była bardzo zainteresowana tematem i pochyliła się w stronę Amalii, jakby chciała usłyszeć coś, co było skrywaną dotąd przed światem tajemnicą o wielkim znaczeniu.

— Nie za bardzo wiadomo, jeśli chodzi o szczegóły. Ale pan Topp wspominał coś o... — Amalia zawahała się na moment — ...o wampirach.

— O wampirach — Ignaz pokiwał głową. — A co z naszym obiadem?

Bernadeta z niechęcią oderwała wzrok od przyjaciółki. Odwróciła się w stronę pieca, przepraszając spojrzawszy przedtem na Amalię.

— Darujesz nam, że nie zjemy z tobą? Usiądziemy sobie z Amalią w stołowym i jeszcze porozmawiamy. Myśmy już podjadały, zanim wróciłeś. Rozumiesz, trzeba było pokosztować, żeby wszystko było tak, jak należy. I właściwie nie jesteśmy już głodne.

— Będzie mi smutno — z całkowitą powagą odparł Braun — ale zdaję sobie sprawę, że macie swoje tematy. Film o wampirach, doprawdy pasjonujący temat. Z tym że ja, wybaczcie, niewiele wiem o tych nowoczesnych modach, o kinematografach, a z wampirami, by tak rzec, mam do czynienia w pracy.

— Oczywiście, niech pan Ignaz je sobie spokojnie, ostatecznie nie każdy musi interesować się sztuką — podchwyciła Amalia.

Po chwili na solidnym kuchennym stole pojawiła się waza, obok niej półmiski. Bernadeta podniosła pokrywę i do stojącego przed Ignazem talerza naląła dymiącego i zachęcająco pachnącego rosółu. Potem zakrzątnęła się przy miedzianym garnuszku z kawą. Naląła zawartość do dwóch filiżanek, zaniósła je na tacy do pokoju stołowego. Wróciła, zabrała łyżeczki oraz tackę z kruchymi ciasteczkami własnego wypieku, przepuściła Amalię i obie zniknęły za drzwiami.

— Nawet nie była ciekawa, czy dostałem ten urlop — szepnął Ignaz, pochylając się nad talerzem z rosółem, w którym pływały, obok kluseczek i sztuki mięsa, kuszące oka tłuszczu.

Nieco inaczej wyobrażał sobie swój powrót. Zadowolony był jednak, że ominęła go rozmowa na temat filmu o wampirach. Był już głodny, poza tym temat nieumarłych niezbyt go interesował. Niekiedy też bawiło go odgrywanie roli laika. Gdyby zresztą zdradził się przed Amalią, że już w 1895 roku, jako świeżo upieczony policjant, udał się z ciekawości na pokaz kinematograficzny braci Skladanowskich do Varieté Wintergarten, gdzie owi zapaleńcy zaprezentowali przejętej publiczności, za pomocą

bioskopu, osiem historyjek filmowych, w tym tę najzabawniejszą, przedstawiającą pojedynek boksera z najprawdziwszym kangurem, żona niezadługo wschodzącej gwiazdy filmowej może chciałaby w nim odnaleźć znawcę i jeszcze przysłałaby na Klosterstrasse męża. A Williego, z uwagi na jego szowinistyczne poglądy dotyczące niemieckości i narodów zamieszkujących cesarstwo, wolał nie widywać.

Podniósł łyżkę do ust i zaraz wybaczył Bernadecie, że zdradziła go na rzecz nowinek filmowych. Uśmiechnął się do siebie i bez reszty oddał innej ze sztuk, w jego pojęciu daleko szlachetniejszej — jedzeniu rosółu ugotowanego przez własną żonę.

Gdyby Bernadeta stanęła w kuchennych drzwiach, jej oczom ukazałby się rozczulający widok, sycący pragnienia młodej gospodyni o nie najgorszym, jak na początek, statusie materialnym i szczęśliwym życiu rodzinnym, objawiający się zadowoleniem męża siedzącego nad obiadem w ładnej kuchni. A czego więcej mogłaby pragnąć kobieta pochodząca z porządnej, mieszczańskiej rodziny?

Nad kuchnią wisiały, jeden obok drugiego, miedziane patelnie, duma pani domu. Mimo że często używane, sprawiały wrażenie nietkniętych zębem czasu i czynnościami zgodnymi z ich przeznaczeniem. Tymczasem właśnie były używane codziennie, ale zawsze z wyjątkową starannością czyszczone i pucowane na wysoki połysk. Nie był to jedyny komplet kuchenny. Na stoliku pod szerokim oknem stał rząd moździerzy, starannie ułożonych od największego do najmniejszego. Wszystkie pałeczki do ucierania obrócone były w jedną stronę. Pod nimi, na dolnej półce, usadowiła się imponujących rozmiarów makutra. W niej mniejsza, i tak dalej.

Na jednej ze ścian, nad wiszącą półeczką z emaliowanym kubkiem ozdobionym wizerunkiem czerwonego słonia, z haczyków wbitych

w ścianę zwisały pęki rozmaitych ziół. Wprawdzie jedna ze znajomych Bernadety twierdziła, że sprawia to fatalne wrażenie i pachnie wiejskością, ale pani domu nic sobie nie robiła z takiej opinii. W porządnej kuchni musiały wisieć zioła.

Kobieta, która przychodziła sprzątać mieszkanie i robić pranie, nie gotowała u Braunów. Kuchnia miała tu tylko jedną panią.

Bernadeta, która na moment wpadła po lemoniadę, spojrzała na męża — właśnie skończył jeść drugi talerz rosółu i zaglądał do rondla, gdzie usadowiły się kawałki apetycznej, duszonej wieprzowiny podlanej zawiesistym sosem. Mięso powędrowało na talerz, a obok wyrosła całkiem okazała góra kapusty przyprawionej kminkiem. Ziemniaki nie zmieściły się już na talerzu i Ignaz musiał wyłożyć je na osobny półmisek. Ich jasnożółte bryłki ozdobił sos.

Po chwili z pokoju stołowego znów dochodziły strzępy słów, ale inspektor był już znieczulony na wszelkie pozakulinarne impulsy, nawet na kobiece rozmowy. Skupił się na jedzeniu.

Gdy uczta była skończona, westchnął błogo. Odstawił statki do miski przeznaczonej na brudne naczynia i udał się do „księgarni”.

Zdjął marynarkę, starannie powiesił ją na wieszaku i zapadł się w wygodny skórzany fotel. Zamknął oczy i przez chwilę pozwolił sobie na luksus niemyślenia. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Bezczytność nie była jednak jego mocną stroną. Wstał i sięgnął dłonią na półkę, gdzie znajdował się zbiór pocztówek, również tych sukcesywnie nadsyłanych przez teścia, pana Brunona Sychowskiego, wielkiego ich pasjonata.

Albumy zawierały starannie posegregowane widokówki z różnych stron cesarstwa, a także zagraniczne, na przykład z Austro-Węgier, Holandii czy Rumunii. Jego zainteresował jednak niewielki, bordowy album, w którym

mieściły się tylko widoki Wejherowa. Jeszcze tylko trzy dni i znajdą się w mieście, gdzie poznał Bernadetę. I gdzie rozwiązał jedną z najbardziej nietypowych zagadek w swoim życiu. „Pruską zagadkę”, jak ją nazywał.

Pierwsza z widokówek przedstawiała sześć widoczków miasta. Kościół parafialny z przytulonym obok szpitalikiem z muru szachulcowego, kościół klasztorny, w środkowej części wnętrza obu świątyń, u dołu dwie kalwaryjskie kaplice — Grobu Pańskiego i Pałacu Piłata. Smutna była ta pocztówka, z czarnym tłem. Smutna jak sprawa, przez którą trafił do miasta.

Na drugiej z widokówek, znacznie sympatyczniejszej, budynek należący do braci kurkowych. Drewniane ławki, jakieś postaci — dwóch mężczyzn i elegancka dama, nieco z boku dziewczyna z dziecięcym wózkiem.

Kolejna... Ratusz, dalej kościół farny, na pierwszym planie bruk. „Inaczej wykonałbym tę fotografię” — pomyślał Braun.

Najweselsza z pocztówek, noworoczna. Rynek z kościołem, właściwie ten sam kadr, co na poprzednim zdjęciu, ale wszystko przykryte śniegiem. W rogu, na oddzielnym rysunku, czterech mężczyzn dmie w trąby. Mają wielkie czerwone nosy. Może z zimna, a może... W dole eleganckie towarzystwo w cylindrach i fantazyjnych kapeluszach. Witają się, za chwilę pójdą na bal sylwestrowy. Odprowadza ich wzrokiem pobłażliwie uśmiechnięty stróż w towarzystwie miłego kundelka trzymającego w pysku latarenkę. *Glückliches Neujahr!*

Ignaz obejrzał jeszcze nietypową pocztówkę, którą zdominowało wielkie cygaro. Nad nim panorama miasta, obok fabryka cygar i papierosów Pawła Pokory.

Szczęśliwy, spokojny, małomiasteczkowy świat. Gdyby nie morderstwa. Z policyjnego punktu widzenia właściwie o każdym miejscu można było

powiedzieć to samo.

Zapraǳnął poczuć w ustach gryzący, gorzki smak gęstego dymu cygara. Sięǳnął do skrzyneczki.

Za chwilę. Jeszcze moment zupełnej beczynności. Zamknąć oczy po dniu służby, po tych wszystkich paragrafach, dokumentacjach, segregatorach. I po dwóch trudnych przesłuchaniach.

Z pokoju stołowego nieustannie dobiegał szmer rozmowy, uspokajający i z pewnej odległości monotony.

Popatrzyć znowu na wszystkie widoki, które zobaczył na pocztówkach... Wiedział, że tylko godziny dzielą go od smakowania urlopowego, nostalgicznego przełomu października i listopada. Uśmiechnął się do siebie. Cygaro, tak, jeszcze moment.

Bordowy album zsunął się na kolana. Głowa miękko opadła na piersi.

— Już ósma... — Bernadeta pochyliła się nad mężem. — Jeśli teraz się wyśpisz do cna, nie będziesz mógł zasnąć w nocy.

— Ósma? — Ignaz w pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje. Zaspanymi oczyma powędrował za dłońmi żony, która podniosła z jego kolan wejherowski album.

Uśmiechnęła się i spojrzała na ścianę, w miejsce, gdzie w brązowej ramie znajdował się obrazek przedstawiający Kaplicę Grobu Matki Bożej. Darzyła to miejsce szczególnym przywiązaniem, tam najczęściej bawiła się z najlepszą przyjaciółką, Anną, gdy w dzieciństwie przyjeżdżała do ciotki.

— Czy masz mi do zakomunikowania coś przyjemnego?

— Co masz na myśli, kochanie? — Ignaz już się rozbudził. Doskonale wiedział, czego dotyczyło pytanie.

— Von Marburg. Miałeś dziś iść do niego. Wiesz, jak bardzo mi zależało. Oglądałeś wejherowskie widokówki. Nie wiem, czy dlatego, że

tam pojedziemy, czy też...

Nie miał sumienia dłużej dręczyć Bernadety niepewnością.

— Całe dwa tygodnie! Dwa tygodnie bez morderstw i przesłuchań. Rozumiesz?!

— Czego tu nie rozumieć? — Na Ignaza spadło ponad osiemdziesiąt kilogramów uosobionego szczęścia i zaczęło go całować gdzie popadnie: po wysokim, z roku na rok coraz wyższym czole, nosie, ustach. Nie przeszkadzała mu owa radość. Sam czuł ją i zaczął okazywać w podobny sposób.

— Amalia? — spytał po chwili, gdy Bernadeta oderwała od niego usta, by zaczerpnąć powietrza.

— Poszła — zaśmiała się. — Swoją drogą, z tym filmem ciekawa historia.

— Może — Ignaz przechylił głowę w taki sposób, że nie można było odgadnąć, co naprawdę myśli.

— Ona tak się cieszy, musiała podzielić się z kimś radością.

— Oczywiście, kochanie.

— Ale moja radość jest większa. Nie idziesz już do wydziału przed wyjazdem?

Ignaz uśmiechnął się przepaszająco.

— Jeszcze jutro, ale tylko na godzinkę lub dwie. Muszę zdać dokumenty zastępcy, odmeldować się u von Marburga, załatwić kilka formalności. Wiesz, to jednak Wydział Zabójstw. Wyjdę rankiem, około jedenastej powinienem wrócić.

Na twarzy Bernadety zagościła powaga. Nie była zbyt wielka, ponieważ oczy kobiety nadal się śmiały.

— Wiesz, że czeka nas pakowanie?

— Zdążymy. Planowaliśmy wyjechać, o ile wiem, w piątek, jeśli dostałbym urlop. Otrzymałem go. Mamy niemal cały jutrzejszy dzień. Obiecuję, że od dwunastej będę do twojej dyspozycji.

Niemal cały jutrzejszy dzień! Jak to łatwo powiedzieć! Jak beztrąsko zabrzmiały jego słowa. Doprawdy, mężczyźni niekiedy są tacy nieodpowiedzialni!

— Dobrze. No to możesz sobie zapalić swoje cygaro, spadło ci pod nogi, kiedy spałeś. Potem zabieramy się do pracy.

— Jakiej pracy? Sama powiedziałaś, że już ósma.

Bernadeta podała Ignazowi przycięte uprzednio przez niego cygaro, zapalaki i porcelanową popielniczkę, jego ulubioną.

— Znaj moje dobre serce. Pal. Ja w tym czasie przemyślę, co zabrać. Pamiętaj, że muszę wybrać rzeczy nie tylko dla siebie, ale też i twoje. Może za czasów kawalerskich umiałeś o siebie zadbać, odkąd jednak się ożeniłeś, stałeś się okropnie wygodny.

— Może masz rację — zaśmiał się Braun — ale sama wiesz najlepiej, że w doborze rzeczy na podróż jesteś niezastąpiona.

— Pewnie. Tak najprościej — biust kobiety zafalował w udanym oburzeniu. — Za piętnaście minut wracam.

Kiedy Bernadeta zniknęła w przedpokoju, aby udać się do garderoby lub sypialni (nie wiedział, dokąd pójdzie najpierw), Ignaz wstał, podszedł do okna i otworzył je. Wrócił do stolika i zapalił cygaro. Wiedział, że nie należy się zaciągać, ale pierwsze obłoczki dymu wdychane w płuca, obłoczki jeszcze świeże i nie tak gęste jak następne, zawsze mu smakowały.

Z garderoby dobiegły go hałasy, które dowodziły, że żona naprawdę miała zamiar pakować się jeszcze tego samego dnia. A właściwie — wieczoru. Uśmiechnął się do siebie. Tyle lat przebywał, po pracy, w pustej, cichej jak grób garsonierze przy Dürenergasse, że zawsze, od dnia ślubu,

cieszył się myślą, że obok coś się dzieje, że ona przy czymś się krząta, że jest obok.

Wyjrzał przez okno. Delikatny blask światła rozchodzący się od trzech latarni, będących w zasięgu jego wzroku, zdał mu się jakiś malarski, plastyczny. Bez konkretnego nastroju, ani nostalgii, ani tajemnicy. Po prostu świecące latarnie, których blask pada na kamienice, trotuar i bruk. Żadnego przechodnia, tylko pan Lausitzer z naprzeciwka, mieszkający również na drugim piętrze, stał w oknie i palił papierosa. Ignaz kiwnął do niego przyjacielsko, staruszek odwzajemnił się tym samym.

Cygaro nadspodziewanie szybko się spalało, oddając całą swoją magię wpływającemu czasowi. Ignaz pomyślał, że godziny, jakie pozostały do wyjazdu, miną nie wiedzieć kiedy.

Pokój stołowy nadawał się najbardziej. Po prostu był największy. Mimo że pod oknem stał okrągły dębowy stół i cztery krzesła, pod ścianą pikowana skórzana kanapa, a naprzeciwko niej potężny kredens, miejsca było tam najwięcej.

Ignaz zerknął na zegar. Dwudziesta druga trzydzieści jeden. A Bernadeta nadal w szale pakowania.

Cztery skórzane torby, nowość na rynku, kupione niedawno w KaDeWe. Jeszcze puste, ale było tylko kwestią czasu, kiedy wypełnią się wszystkim, co niezbędne. Na jednej z nich ostatni prezent od Ignaza dla Bernadety na rocznicę ślubu, atlasowa torebka w delikatne róże, z salonu Louisa Vuittona. Cieszył się często powtarzanymi słowami żony, że żadna z jej przyjaciółek takiej nie ma.

Nieopodal toreb stała wieża zbudowana z jednakowych kremowych pudeł na kapelusze ozdobionych pastelowymi wzorkami, ustawionych od największego do najmniejszego. Cztery pudła, a więc żona zabierze ze sobą

dokładnie połowę swoich kapeluszy. Ignaz przyrzekł sobie, że weźmie tylko jeden. Ten, w którym wyjdzie z domu. Chyba że będzie zmuszony do rewizji przyrzeczenia, wskutek subtelnej perswazji.

— Zawsze podziwiam twoją energię podczas pakowania bagaży — westchnął przytłoczony ciężarem kartonów z butami. Buty były pasją Bernadety.

— A ty nie lubisz wyjeżdżać? Przecież wszystko, co się z tym wiąże, jest takie przyjemne — odparła kobieta, dokładając kolejny karton na ręce męża.

— Rozumiem. Tyle że moje wyjazdy zbyt często łączą się z morderstwami.

— Prawda. Och, jeszcze parasolki! Na śmierć bym zapomniała!

— A w twoich okolicach jesienią pada i pada.

— Nie o to chodzi. Kobieta bez parasolki, jak to tak?

Braunowi przypomniało się, że dwa lata wcześniej, podczas pobytu w Wejherowie, złożył na parasolkach dwóch sympatycznych rudych bliźniaczek autografy. Nie pamiętał, czy po powrocie wspomniał Bernadecie o osobliwym zdarzeniu. Chciał zrobić to teraz, jednak żona nie dała mu dojść do głosu.

— Mitynki, tak, nie mogę zapomnieć o mitynkach. Niskie temperatury... Mitynki nie są zbyt eleganckie, ale zawsze mogą się przydać. Mufka, owszem, rękawiczki, ale kości między dłońmi a ramionami często atakuje wilgoć, a rzadko kiedy coś je chroni. Tak mówią lekarze. W późniejszym wieku reumatyzm gotowy!

— ...

— I pantofle, te wyszywane, orientalne. W czymś trzeba chodzić po domu.

— ...

— Koniecznie należy zabrać karteczki z guzikami. Pamiętasz, kupiłam ostatnio dwa komplety. Nie, nie pamiętasz. Na jednej były guziki do bielizny, na drugiej takie piękne, z masy perłowej, do twoich koszul i moich bluzek. Muszę poszukać.

Wytrwały, choć nie zawsze do końca obeznany z czeluściami domowych szaf i szuflad pomocnik nieśmiało zauważył, że żona pragnie wyglądać niczym siostry Langhorne z rysunków pana Gibsona. Tymczasem nie jadą na wywczas do Karlsbadu.

— Mój drogi, kobieta wszędzie jest na wywczasach w Karlsbadzie.

Dwanaście minut po północy Bernadeta, zaczerwieniona i rozpromieniona, stwierdziła, że większość rzeczy jest już spakowana lub przynajmniej przygotowana do ułożenia w torbach. Na te słowa Ignaz czekał jak na chłodnego kölscha w upalny dzień.

Po upływie kwadransa leżał już w świeżo wykrochmalonej, cudownie sztywnej i pachnącej magłem bielutkiej pościeli. Czekał, aż żona oderwie się od toaletki stojącej nieopodal łóżka. Właśnie rozpuściła włosy i zdjęła druczane okulary w złotych oprawkach.



KOMNATA ILUMINACJI

Przez zasłonięte grubymi, pluszowymi zasłonami okna nie przedostawało się światło. Ani księżyc, ani daleki odblask latarni nie miały przystępu do Komnaty Iluminacji. Doskonałej ciemności towarzyszyła cisza.

Delikatny szmer uchylanych drzwi. Niejasno zamajaczyły płaszczyzny ścian poprzedzielane regularnymi załamaniem. Drzwi ponownie zamknęły się, jednak mrok rozproszony został przez postać ze świecą, z wolna kierującą się na środek komnaty.

Lekko przygarbiony człowiek odziany był w czerń. Płomyk tlił się tak delikatnie, że zdawało się, jakby głowa poruszała się sama, bez pomocy nóg i tułowia, niemal niewidocznych pod ubiorem zlewającym się z ciemnościami panującymi we wnętrzu.

Gdyby ktoś, co było niemożliwym, zakradł się do sali, nie dostrzegłby w twarzy człowieka ze świecą żadnego szczególnego wyrazu. Niecodzienna była jednak sama sceneria. Mężczyzna wyglądał w blasku jak zjawa, kontury jego twarzy rysowały się niewyraźnie. Oblicze to było poza wiekiem.

Przymrużone oczy skierował w jeden punkt, do którego się zbliżył. Przytknął świecę do rozmytych zarysów kandelabra. Raz i drugi, potem jeszcze i jeszcze. Za każdym kontaktem płomyka ze świecznikiem w sali stawało się coraz jaśniej.

Mosięzna menora zapłonęła siedmioma źródłami światła. Mężczyzna złożył nieznaczny, ale pełen szacunku ukłon przed jasnością.

Rozejrzał się po sali.

Ściany prostokątnego pomieszczenia wyłożone były ciemną drewnianą boazerią, podzieloną na kwadraty z delikatnymi wgłębieniami, szerokie na pół metra. Sufit ozdabiał kryształowy żyrandol.

Czynność iluminacji została powtórzona czterokrotnie po cztery razy. Cztery kandelabry zapłonęły w czterech rogach sali.

Oświetlenie zamiast spowodować, że Komnata Iluminacji stanie się pogodniejsza, uwydatniło jej przytłaczającą aurę. We wnętrzu nie znajdowało się nic, co mogłoby stanowić wyposażenie zwyczajnego salonu.

Nie był to wszak zwyczajny salon.

Pod jedną ze ścian stało bogato rzeźbione mahoniowe krzesło. Z lewej i prawej przycupnęły znacznie mniej efektowne i niższe siedziska z mniejszymi oparciami.

Na środku sali stał wielki okrągły stół, przykryty czarnym pluszem i otoczony krzesłami.

Płonąca menora umieszczona była na podłużnej skrzyni z trzema szufladkami. Nad nią, przytwierdzone do ściany, błyszczało złote słońce niewielkich rozmiarów. Jego cztery promienie, zygzakowate i nieproporcjonalnie długie, kierowały się na cztery strony świata. Nieco poniżej, w niszy wpuszczonej w boazerię, widniał rzeźbiony napis. Mężczyzna, ponownie skierowawszy się w stronę menory, spojrział w górę, na tekst wypisany czcionką stylizowaną na alfabet hebrajski.

*Verusque sol illabere
Micans nitore perpeti:
Jubarque Sancti Spiritus
Infunde nostris sensibus.*

Uśmiechnął się do siebie i wypowiedział prawie bezgłośnie:

— O, zniż się, słońce prawdziwe, co błyszczysz blaskiem wiecznym! Światłości Ducha Świętego chciej naszym sercom udzielić.

Stał jeszcze przez moment pod napisem, kontemplując każdą literę i całość z liter i wersów złożoną. Wreszcie odwrócił się w stronę zamkniętych drzwi. Nacisnął klamkę.

Minęło kilkanaście minut. Drzwi ponownie się otworzyły. Tym razem pchnięcie było pewne i zdecydowane. Komnata już czekała.

Człowiek, który niedawno zapalał kandelabry, stał w drzwiach. Dyskretnym, powtarzanym gestem dłoni zapraszał do środka kolejne osoby. Odbierał od nich kawałki czarnej grubej materii.

Wszyscy sprawiali wrażenie skupionych. Nie było ożywionych rozmów, żartów, dyskusji. Wiedzieli, w jakim celu pojawili się w Komnacie Iluminacji.

Nastrój był uroczysty. W zagęszczonym napięciem powietrzu czuło się elektryczność, jakby tysiące eonów nieustannie krążyły na wszystkie strony, wybuchając ochotą pośredniczenia między Stwórcą a stworzeniem.

Nikt jeszcze nie zajął miejsca. Osoby w średnim wieku, niekiedy starsze, kilka młodszych. Kobiety w ciemnych sukniach, żadna nie spowita w jasność. Szyję najstarszej z pań zdobiła kolia z rzędów pereł, inne przystroiły się kameami. Mężczyźni ubrani wieczorowo, ascetycznie.

W świetle płomyków błyszcząły łańcuszki zegarków. Wszyscy zaczęli kierować się w stronę stołu. Dwie z obecnych kobiet szły pod rękę.

Zgromadzeni stanęli dookoła stołu, lecz nie siadali.

Drzwi zamknęły się za sprawą spokojnego, regularnego ruchu dłoni mężczyzny. Nie był on jednak kamerdynerem.

— Witam państwa z całego serca — powiedział głośno i dostojnie, gdy już znalazł się przy zgromadzonych.

— Witaj, Bracie Ceremoniarzu, witaj — odezwało się kilka głosów.

Ceremoniarz pochylał głowę na lewo i prawo, wymieniając z każdym ukłony. Kiedy uznał, że złożył już wszystkim należne uszanowanie, szerokim gestem zaprosił zgromadzonych do zajęcia miejsca przy stole.

Odgłos odsuwanych krzeseł nie trwał długo. Jedenaście osób zasiadło przy okrągłym stole. Brat Ceremoniarz stanął przy swoim miejscu.

— Czy nasze zgromadzenie jest już gotowe, aby rozpocząć?

— Tak — powiedziała zdecydowanym głosem korpulentna kobieta z pieprzykiem pod nosem, a kilka innych osób potwierdziło skinieniem głowy.

— Doskonale. A zatem — ceremoniarz zwrócił się do mężczyzny o siwej czuprynie — proszę Starszego Zgromadzenia o zajęcie należnego mu miejsca.

Wywołany wstał niespiesznie i podszedł do najwyższego krzesła, lecz nie usiadł. Tym razem on zabrał głos.

— Niech mi wolno będzie — celebrował każde słowo, a głos miał niski i donośny — poprosić z kolei dwoje czcigodnych Starszych Terminujących o towarzyszenie mi podczas dzieła dociekania odwiecznej Prawdy.

— Niech zajmą miejsca! — radośnie ogłosił Brat Ceremoniarz i dopiero wtedy usiadł na swoim krześle.

Wymienieni podnieśli się równocześnie.

Od wyniosłej szczupłej kobiety emanowała wewnętrzna siła. W całej jej postaci nie było niczego charakterystycznego, a jednak duma i oszczędność ruchów, z jaką się poruszała, sprawiały, że zgromadzeni przypatrywali się jej z szacunkiem i w napięciu. Jasne włosy miała starannie upięte, suknię skromną, choć z dobrego gatunkowo materiału i dobrze uszytą. Delikatna czarna kamea na cieniutkim łańcuszku podkreślała szlachetną bladość i wysmukłość szyi.

Drugi ze Starszych Terminujących był mężczyzną w dość zaawansowanym wieku, szczupłym, nieco przygarbionym. Na nosie miał binokle o bardzo grubych szklach. Ziemista cera i zaczerwienione oczy wskazywały, że musiał całymi dniami, a prawdopodobnie również nocami, ślęczyć nad różnymi woluminami, dokumentami, wszelkiego rodzaju papierami. Sprawiał wrażenie zmęczonego mola książkowego i był takim w istocie.

Starszy Zgromadzenia wysunął w ich stronę ręce w braterskim geście. Usiedli po obu jego stronach. On sam uczynił to samo.

Cisza, jaka nastąpiła, wydawała się zgromadzonym, jak zawsze, długa. W rzeczywistości trwała kilkanaście sekund.

Wstał Brat Ceremoniarz.

— Nie dalej jak dwa tygodnie temu spotkaliśmy się tutaj, w Komnacie Iluminacji, aby rozmyślać nad rzeczami najważniejszymi i badać ich ziemskie emanacje. Owocne było nasze dociekanie. Ufam, że i dziś odwieczna Prawda uchyli nam tyle wiedzy, ile tylko zdołają pojąć nasze umysły. Czcigodny Starszy Zgromadzenia, rozpocznij!

Siwy mężczyzna pokiwał głową i uśmiechnął się. Wstał i ogarnął wzrokiem całą salę.

— Cieszę się, że znów jesteśmy razem. Brat Ceremoniarz trafnie zauważył, że owocne były nasze poszukiwania. Tak, ale każdy taki krok ma to do siebie, że pobudza tęsknotę za kolejnym. Jest to pragnienie, aby, jak to ujął wielki Emanuel Swedenborg, świat rzeczywisty, duchowy, odsłonił się nam zza kurtyny materii. Czy jesteście gotowi do próby?

Ilekcio Starszy Zgromadzenia wypowiedział tę formułę, przez moment wszyscy znajdowali się w pełnym napięcia zawieszeniu. Lubił tę trwającą parę sekund ciszę. Oni także.

— Tak... Tak...

— A zatem proszę Starszego Terminującego o zabranie głosu!

Wszyscy utkwili spojrzenia w wywołanym mężczyźnie. Starszy Zgromadzenia usiadł. W terminującym rozpoczęła się osobliwa przemiana. Wyprostował się i zdjął grube binokle. Wykonał gest, jakby chciał je przetrzeć o połą czarnego, znoszonego, niemodnego surduta. Nie zrobił jednak tego. Przemówił.

— Drodzy! Dwa tygodnie! Nie jest to dużo, jeśli wziąć pod uwagę czas, jaki upłynął od pierwotnej iluminacji. Ale dwa tygodnie, jakie minęły od naszego ostatniego spotkania, to dostatecznie dużo, aby badać i studiować. Badać i studiować! Bo przecież nie możemy ograniczać naszych poszukiwań wyłącznie do tej sali. Jakże bylibyśmy wtedy ubodzy. Nasze zgromadzenie, jak to dzisiejsze, jest wielkim świętem. I raduję się, że jestem jednym ze świętujących. Ale na co dzień naszym zadaniem jest żmudna praca nad samym sobą. Każdej chwili musimy zadawać sobie pytanie o sens istnienia i o rzeczywistość. Nauczyciel wielkiego i oświeconego Arystotelesa napisał w ósmym liście: „Platon życzy krewnym i przyjaciółom Diona, aby im się dobrze działo. Jakże zaś właśnie żywiąc myśli moglibyście sprawić, ażeby nam się istotnie dobrze działo, spróbuję Wam wyłożyć według możliwości”.

Po zmęczeniu nie było śladu. Mówca stał prosto, od czasu do czasu czynił dłonią znaczący gest. Oczy błyszczały mu pasją.

— Ileż ksiąg miałem szczęście dotykać przez te kilkanaście dni! Ile wrażeń i przemyśleń! I oto dziś gotów jestem przeprowadzić próbę. Wielki, mocny eon, o którym dowiedziałem się kilka dni temu, gotów będzie, jestem o tym przekonany, odpowiedzieć na naszą prośbę i przyjąć zaproszenie zgromadzenia. Czy chcecie, abym ogłosił jego imię?

— Tak! — donośnie i uroczyście potwierdził Starszy Zgromadzenia. Na twarzach obecnych malowała się aprobata.

— Dziękuję! — Starszy Terminujący uśmiechnął się, jakby przed chwilą znalazł na ulicy złotą pięciomarkówkę. — W starej i szacownej księdze, dziele pewnego franciszkanina sprzed z górą dwustu lat, znalazłem ślad. Wspomnienie o zakonniku, również franciszkaninie ściślejszej obserwancji. Reformaci niezbyt przychylnym okiem spoglądali na swego brata, który miał dar przepowiadania przyszłości i widywał rzeczy, które zakryte były zwykłym ludziom. Księga nie mówi otwarcie o tamtych wydarzeniach, ponieważ były niewygodne, franciszkanie lękali się również ingerencji złego ducha, ale uważna lektura nie pozostawia wątpliwości. Jak zawsze, między wierszami można wyczytać najwięcej.

— Jakie było jego imię? — odezwał się Starszy Zgromadzenia.

Mężczyzna skinął w stronę pytającego i wziął głęboki oddech.

— Ezechiel z Braszowa. Przybył z rodzicami, gorliwymi katolikami, jako chłopiec, do północnych krain aż z Siedmiogrodu, inaczej Transylwanii, kiedy wyznawcy wiary augsburskiej i reformowanej zaczęli definitywnie zwyciężać w tej starej węgierskiej krainie. W ówczesnej Polsce przyjął święcenia i wstąpił do reformatów. Potem trafił do naszego miasta. I tu zaczęły dziać się z jego udziałem rzeczy niesłychane. Wspomniałem już o nich nieznacznie. Ale najlepiej będzie, jeżeli

zaprosimy go w nasze skromne progi. Niech sam opowie o sprawach pięknych i zadziwiających.

Kobiety i mężczyźni spoglądali na siebie, cichutki szmer przeszedł po zgromadzeniu. Nie trzeba było szczególnej przenikliwości, aby zorientować się, że pragną spotkania z pośrednikiem pomiędzy dwoma światami, Ezechielem z Braszowa.

— Mam prawo zaaprobowania prośby — ozwał się Starszy Zgromadzenia — jak też odmówienia jej. Nie czynię tego ostatniego często, jak wicie. I nie uczyniłbym tak tym bardziej teraz. Jak i wy, gorąco chciałbym, aby mąż, który upomniał się o nas poprzez karty księgi czytanej przez naszego brata, przybył tu i przekazał oczekującym uczniom Prawdy dar cenny i wyjątkowy: swoje bogactwo ducha i wiedzę o Praprzyczynie. Tak więc proszę, bracie, abyś rozpoczął według reguł pradawnej i świętej sztuki!

Nastała cisza. Przerwał ją ten, który odnalazł w starej franciszkańskiej księdze postać Ezechiela z Braszowa.

— Dziękuję! Bracie Ceremoniarzu, proszę o przygotowanie szanownych zgromadzonych, jak też o przyniesienie środków pośrednictwa.

Wywołany skłonił się i zwrócił do obecnych.

— Zgromadzeni! Jesteście już w większości przy stole. Są tam jeszcze cztery puste krzesła, które zaraz zajmiemy. Wtedy to będzie można zaprosić naszego czcigodnego gościa.

Krzesła umiejscowione pod promienistym słońcem opustoszały. Troje piastujących wyższe godności usiadło przy stole. Wkrótce dołączył do nich ceremoniarz, wcześniej jednak wyjął z jednej z szuflad komody, na której stała menora, owalną płaską deseczkę i kryształowy kielich.

— Reguła nas obowiązująca jest prosta. Znacie ją wszyscy, niemniej zawsze, jak wiecie, zmuszony jestem opisać warunki udanego zaproszenia i rozmowy z gościem. Nie może być między nami osób zbyt młodych, zdenerwowanych ponad miarę lub przewlekłe chorych, a także takich, które zapadły na umyśle. Czy ktoś ze zgromadzonych może o sobie lub którymś z bliźnich tu obecnych powiedzieć, iż nie spełnia tych warunków?

Brak odpowiedzi.

— Znakomicie. Pamiętajmy, że energia wpływa z lewej strony, a wypływa z prawej, tak więc należy podawać sąsiadowi lewą rękę dłonią do góry, prawą zaś na dół.

Ceremoniarz już wcześniej położył na środku stołu owalną deseczkę i kielich. Wszyscy, choć znali oba przedmioty doskonale, wpatrywali się w nie.

Tablica pociągnięta była bezbarwnym lakierem. Na samej górze widniał napis „ouiija”, tak też nazywano ów cenny przedmiot pośrednictwa między dwoma światami. Po lewej namalowane było słońce, po prawej księżyc. Obok słońca widniał napis „ja”, obok księżyc „nein”. Na środku w półkolu sąsiadowały ze sobą w dwóch rzędach litery łacińskiego alfabetu. Górny rząd zaczynał się od „A”, kończył na „M”. Dolny natomiast kontynuował alfabet, od „N” aż do „Z”. Niżej, blisko dołu tablicy, umieszczono cyfry „1234567890”. Pod nimi jeszcze tylko słowa pożegnania. „Auf wiedersehen”.

— Podajmy sobie dłonie, bracia i siostry — z namaszczeniem wyrzekł terminujący. — A teraz wyteżmy siły umysłu i woli. Pragniemy, aby nawiedził nas brat Ezechiel. Wypowiedzmy razem jego imię, aby usłyszał słowa wiernych. Ezechielu z Braszowa! Ezechielu! Ezechielu!

— Ezechielu! Ezechielu! Ezechielu! — chórem wypowiedzieli zgromadzeni.

Szczególne było to wołanie. Ni szept, ni krzyk. Z każdym kolejnym wykrzyknikiem narastało pragnienie, wielkie, przedwieczne, stare jak dzieje ludzkości. Przez zebranych przeszedł dreszcz.

— Ezechielu! Przybądź na nasze zaproszenie! Ezechielu! Ezechielu! — powtarzał Starszy Terminujący.

Siedzących ogarniał trans. Pot wystąpił na czoła. Oczekiwanie sięgało zenitu.

I nagle temperatura gwałtownie się obniżyła. Dreszcze wywołane napięciem zmieniły się w drzenie, jakiego doznają wszyscy, którzy w mroźny dzień wyjdą z domu bez należytego okrycia.

— Może jest już blisko — szepnęła chwilę wcześniej jedna z sióstr. — Czujecie chłód?

Tak wiele relacji ze spotkań, podczas których przybywali pośrednicy, mówiło o nagłym obniżeniu temperatury...

Tylko przez moment spoglądali na siebie nawzajem, dla potwierdzenia własnego wrażenia. Jak na zawołanie utkwili wzrok w tablicy ouija.

Kielich ustawiony pośrodku tablicy, między dolnym rzędem liter a cyframi, poruszył się nieznacznie. Jeszcze raz. I jeszcze.

Na twarzy terminującego odmalowała się nieopisana ulga. Nie radość, a właśnie ulga. Jak zaczarowany wpatrywał się w kielich, ponownie znieruchomiały, ale z pewnością gotowy do pośrednictwa. Tak, wszyscy dostrzegli te ruchy, nie tylko on.

— Ezechielu! — powtórzył, a w jego głosie zabrzmiał dramatyczny, chropawy ton. — Czy przybyłeś?

Kielich delikatnymi, nieśmiałymi ruchami przybliżył się do litery „l”.

— Co to może oznaczać, drogi bracie Ezechielu?

Milczenie szklanego pośrednika.

— Co to oznacza, drogi bracie? — powtórzył Starszy Terminujący.
Znieruchomiły kielich ani myślał poruszyć się ponownie.

Kłopotliwe zawieszenie trwało dobrą minutę. Na czoło mężczyzny wystąpiły krople potu. Jego dłonie także się spociły, co odczuła siedząca po jego lewej stronie starsza dama z rzędami pereł na szyi, a także ta po prawej, korpulentna niewiasta z pieprzykiem.

— Ezechielu, błagam cię — jęknął zdesperowany człowiek, jakby od zakonnika sprzed wieków miały zależeć jego dalsze losy. Jakoż było tak w istocie.

— Cóż — szepnął Starszy Zgromadzenia. Chciał dodać coś jeszcze, ale słowa uwięzły mu w gardle. Kielich bowiem samoistnie wrócił na swoje miejsce. Na środek tablicy ouijsa.

Nad stołem dało się słyszeć szmer. Powoli narastał. Twarze zebranych wyrażały zawód, ale i niesmak. Uściski dłoni zaczynały się rozluźniać.

Starszy Zgromadzenia ze współczuciem spojrział na nieszczęsnego bohatera wieczoru.

— Chyba zakończymy próbę, prawda? Mój drogi, z pewnością przeczytałeś wiele ksiąg dotyczących naszej świętej sztuki. Zapewne więcej niż ktokolwiek z nas. Za każdym naszym spotkaniem przywoływałeś jakąś chwalebnią postać, którą właśnie odkryłeś. Dawaliśmy ci szansę. Ukrywaliśmy zniecierpliwienie. Ale, daruj, to już piąta z rzędu w ciągu ostatniego półrocza nieudana próba nawiązania przez ciebie kontaktu z zaświatami. Niby ktoś się pojawia, ale chyba tylko na szyderstwo z nas wszystkich. A to świadczy o twojej, to słowo trudno przechodzi mi przez usta, niekompetencji.

— Szósta — syknął ktoś skrupulatny i w tym momencie, jak na komendę, dłonie zebranych rozłączyły się. — To przecież szósta próba.

— Szósta — po chwili namysłu przytaknął głową siwy przywódca. — Znasz świętą regułę. Po piątej wygasają prawa członka do piastowania godności Starszego Terminującego. Na całe dwa lata. Okazuje się teraz, że przez przeoczenie miałeś o jedna próbę więcej. I tej również nie wykorzystasteś. Bracie Ceremoniarzu...

Ceremoniarz westchnął ciężko. Przebiegł wzrokiem po obecnych i ozwał się nieco teatralnym tonem:

— Czy zgromadzenie zgadza się, aby na następnym spotkaniu odbył się wybór nowego Starszego Terminującego?

— Tak. Tak!

Nikt nie ujął się za odkrywcą Ezechiela z Braszowa.

— Ogłaszam oficjalnie — ceremoniarz wstał — że Starszy Terminujący niniejszym traci czasowo swoją godność.



DOM PRZY ULICY KALWARYJSKIEJ

Drobna kobieta przy pomocy lakierowanego drewnianego kijka przesunęła firany na środek okna.

— Marto! — tubalny głos Brunona Sychowskiego dobiegał z niższej partii schodów. Jego żona pomyślała nie po raz pierwszy, że z takimi warunkami już dawno powinien zapisać się do jakiegoś amatorskiego chóru. Tam zawsze jest nadmiar sopranów, a porządne basy są z reguły towarem deficytowym.

— Marto! Szykuj się, zaraz powinniśmy wyjść. Zdajesz sobie sprawę, że pociągi cesarskiej kolei żelaznej nie spóźniają się nigdy! Nie chcesz chyba, żeby Bernadeta i Ignaz nie zastali nas na peronie?!

— Chwilę! Jeżeli jesteś już gotowy, przypilnuj Rozalkę! Dziś zimno, musi się ubrać jak należy! — odkrzyknęła mężowi matka ośmioletniej dziewczynki.

Dla ojca rodziny jasne było, że Rozalka już od dawna jest ubrana i czeka przed frontowymi drzwiami. Jakoż nie omylił się; pochlebiał sobie zresztą, że nie mylił się niemal nigdy.

Najpierw zauważył niebieski płaszczyk, potem kapelusik z trzema kwiatkami. Pani Marta nie była zbyt zadowolona z takiej ekstrawagancji i twierdziła, że ośmioletnia dziewczynka powinna być ubrana skromniej. Jednak ojciec, a było to przed miesiącem, widząc oczy córki błyszczące na widok owej namiastki dorosłości, pyszniącej się na wystawie pana Possewitza w Lęborku, nie miał sumienia odmawiać.

Pamiętał, że dla Bernadety był surowszym ojcem. Tak, ale nie zarabiał wtedy tyle, co dziś, chociaż całymi dniami przesiadywał na stacji. Lękał się również, że rozpieści dziecko, wówczas będące jedynaczką. Może teraz nadrabiał stracone okazje? W każdym razie Rozalka nie była typem rozkapryzonego dziecka. Jeżeli czegoś chciała, jej oczy błyszczały ostrym, pożądanym światłem, ale nie starała się wymuszać niczego. Chciała być dorosła i miała swoją ambicję.

Uśmiechnął się. Pogłaskał ją suchą, szorstką dłonią po policzku.

— Mama zaraz przyjdzie.

— Jeszcze pewnie poczekamy — odparła Rozalka i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Ojciec puścił do niej oko. Dziewczynka zaś zaczęła z troską oglądać zarysowany jedwabny bucik. Podciągnęła sukienkę tak wysoko, że widać było kilka centymetrów kremowych pantalonów.

— Nie rób tak — mężczyzna delikatnie skarcił dziecko. — Dużej panience nie wypada pokazywać bielizny.

— Tylko trochę pokazałam i tylko sobie!

— Tak, ale jeszcze wejdzie ci w nawyk. Zechciałabyś, dajmy na to, oglądać bucik w towarzystwie. I patrzą chłopcy w twoim wieku, a nie daj Boże i starsi, bo wtedy naprawdę byś się musiała wstydzić. I co widzą? Że panna Sychowska jest niewychowana i pokazuje pantalone. Jakie by było pośmiewisko!

I zaśmiał się swoim tubalnym głosem, aż dziewczynka udała, że zasłania uszy.

Spojrzał na schody prowadzące w kierunku piętra. Żony jeszcze nie było. W lustrze, którego rama u dołu połączona była ze stolikiem na szale, rękawiczki i inne detale, ujrzał łysą czaszkę i imponujące, podkreścone wąsiska.

Nie podziwiał jednak swojej postawy, prawdziwie godnej urzędnika cesarskiej kolei żelaznej. Przypomniawszy sobie, jak razem z siostrą kupili lustro, w którym teraz się przeglądał. Już jej tu nie ma. Opuściła stare kąty, a lustro zostało.

Westchnął. Nie mogło być odwrotnie?

Człowiek zamiast lustra.

O mało nie sprzedali domu. Kiedy siostra umarła, było to prawie przesądzone. Bernadeta mieszkała w Berlinie z mężem. Ciotka zapisała bratanicy jedną czwartą sumy, jaką rodzina uzyska za sprzedaż domu. Rozalka miała odziedziczyć taki sam depozyt, dostępny w chwili uzyskania pełnoletności. Marta i on otrzymali dwie czwarte. Należało więc sprzedać dom, aby woli zmarłej stało się zadość. Wszyscy mieli gdzie mieszkać.

Bernadeta była wtedy zła na ciotkę, co było z jej strony dość niestosowne, z uwagi na fakt przebywania pani Sychowskiej w innym świecie. Nie wyobrażała sobie bowiem, że nie będzie mogła, będąc w Wejherowie, zatrzymać się w domu na Kalwaryjskiej. Nie zależało jej na pieniądzach uzyskanych ze sprzedaży nieruchomości. Gdyby tak rodzice zamieszkali w starym rodzinnym domu!

Nie ona jednak miała decydować. Tymczasem kupcy pojawili się, a jakże. Byli wypłacalni, a jakże. I poważni. Porządni pruscy obywatele.

Pierwszy umarł przed sfinalizowaniem transakcji, drugi wylądował całkiem niedaleko, w wejherowskim zakładzie dla obłąkanych, na trzy dni

przed przeprowadzką, trzeci rozmyślił się tuż przed kończącą całą sprawę wizytą u notariusza Nowoczyna, mimo iż był równie poważny jak dwaj pozostali.

I wtedy pan Sychowski pomyślał o jakimś fatum. Kto je rzucił? Jego własna siostra?! Może nie fatum, może dopiero TAM przemyślała sprawę? Przecież oni wychowali się w tym domu. Później rozdzielili się, on założył własną rodzinę, nie myślał już o posesji przy Kalwaryjskiej jak o swoim domu. Sentymenty, wspomnienia, dobre były dla kobiet; on, Brunon Sychowski, rzecznik i ambasador, jak sam siebie w myślach nazywał, kolei żelaznej, nie będzie ulegał nastrojom przynależnym niewiastom.

A jednak... Tak, siostra może z za grobu dawać jakieś rozpaczliwe znaki. Pragnie, żeby ogrzewali swoją obecnością te mury i wszystko, co w nich zawarte, one zaś odwdzięczą się stukrotnie.

Mieli służbowe mieszkanie w Lęborku, należące do cesarskiej kolei. Piękne, przestronne, całe 160 metrów kwadratowych. A jednak tamten lokal nie należał do nich. Utrzymywało go państwo — pięknie, lecz co stałoby się z żoną i córką, gdyby pewnego dnia ojciec rodziny przeniósł się do siostry, w zaświaty? Marta otrzymałaby emeryturę, ale wynajmować jakieś obce mieszkanie?

Później otuchą napełniał go fakt, że nie tylko Bernadeta cieszyła się ze złamania woli zmarłej. I Marta, i Rozalka... Na wszelki wypadek zamówił msze gregoriańskie za siostrę i przez jakiś czas prosił ją podczas codziennego pacierza o wybaczenie. Czynił tak jednak jedynie na wszelki wypadek, miał bowiem nadzieję, że siostra, ta myśl powracała coraz częściej, w innym wymiarze zmieniała zdanie.

Do stacji w Lęborku miał jedynie pół godziny drogi. Pociągi jeździły często, a on ponad wszystko lubił stukot kół, zapach wagonu, syk

kolejarskich mundurów i kłęby pary wypuszczanej, jak z gejzera, przez komin lokomotywy.

Marta szybko zapomniała o życiu w Lęborku. Była osobą, która potrafiła od razu nawiązywać znajomości z nowymi dla siebie sąsiadkami czy paniami spotkanymi w sklepie. Nie minął miesiąc i w Wejherowie odnalazła się tak, jakby mieszkała tu od zawsze. Zaczęła nawet śpiewać w chórze „Lutnia”. Brunon zastanawiał się z początku, czy jego zwierzchnicy będą sarkać na uczestnictwo żony naczelnika lęborskiej stacji w życiu polskiego chóru, ale, o dziwo, nikt nie robił mu żadnych nieprzyjemności.

Dla ośmioletniego dziecka przeprowadzka do innego miasta była jeszcze mniej istotnym problemem. Rozalka rozpoczęła naukę w sześcioklasowej szkole miejskiej, umiejscowionej w dawnym klasztorze franciszkańskim, w której, co dla Sychowskich było ważne, uczyło aż ośmiu pedagogów wyznania katolickiego.

On sam czuł się tu dobrze. Nie miał co prawda zbyt wielu znajomych w Wejherowie, ale Bogiem a prawdą, praca zajmowała cesarskiemu urzędnikowi niemal cały dzień. Kiedy nadchodziła niedziela, pragnął ją spędzić wyłącznie z żoną i córką, choć z uwagi na posadę, nie zawsze się to udawało.

Uważał się więc za człowieka spełnionego i gdy wieczorami przy cygarze mógł rozłożyć na stole albumy z widokówkami, a jeszcze żona podała mu szklankę urbocka, żałował, że życie ludzkie jest takie krótkie.

Wreszcie na schodach pojawiła się Marta. Rozalka przytuliła się do niej. Brunon starannie zamknął drzwi wejściowe (gdzie te czasy, gdy ludzie, wychodząc do miasta, nie zabezpieczali domu przy pomocy klucza) i skierowali się w stronę ulicy Szemudzkiej, aby po piętnastu minutach znaleźć się na dworcu kolei żelaznej.

Salon kipiał wesołością i gwarem. Kobiety, zgodnie z odwiecznym prawem swojej płci, mówiły jedna przez drugą. Matka i córka miały sobie do opowiedzenia tyle, że nie starczyłoby miesiąca. Rozalka nie mówiła zbyt wiele, ale bacznie się przysłuchiwała, zwłaszcza starszej siostrze, która przecież przyjechała z tak daleka, z wielkiego świata, o którym ojciec nieraz opowiadał jej rzeczy tak dziwne i niesłychane, że słuchała z otwartą buzią i zachwytem w oczach, wyobrażając sobie, że i ona zawita kiedyś do ogromnego miasta, gdzie mieszka sam cesarz, gdzie dworce kolejowe są ileś tam razy większe niż te w Lęborku i Wejherowie, większe nawet od tego, który niedawno wybudowano w Gdańsku!

Pani domu wypytywała o wszystko: asortyment i ceny w sklepach, najnowsze tendencje świata mody, wreszcie o to, jak spędzają z Ignazem wolny czas. Z kolei Bernadeta ciekawa była, jak rodzinie żyje się w Wejherowie, czy zdrowie im dopisuje, i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie owe sprawy, ważne i drobne, przekazywały sobie drogą pocztową, ale przecież kartki wypełnione literkami nie zastąpią zwyczajnej rozmowy.

Nad mężczyznami unosiły się kłęby dymu. Zapalili dopiero po dwóch godzinach od przekroczenia progów domu, ponieważ na przywitanie gości z Berlina pani Marta przygotowała iście lukullusową ucztę, która bez reszty zajęła wszystkich na długi czas. Na stole królowała gęszina w rozmaitych postaciach — pieczone piersi i udka, roladki z owocami na zimno, wątróbki przysmażane z cebulką. Jak tu palić i rozmawiać po męsku, gdy na stole gęszina?

A jednak w końcu wszyscy poczuli, że nie zjedzą już nic więcej. Chociaż... Miały być jeszcze suflet i szarlotka. Może za godzinę? Nie, słodkości sobie nie odmówią.

— Widzisz, młody człowieku — pan Sychowski lubił zwracać się tak do zięcia — życie w małym mieście ma wiele zalet. Ja — wbił palec

wskazujący w swój masywny tors — w Wejherowie odnalazłem swój Lębork. Różnica żadna. Wygoda, tu wieczorem też nie słyhać tramwajów ani nieustannego ruchu pociągów, choć to ostatnie akurat by mi nie przeszkadzało!

Puścił oko do zięcia. Ten porozumiewawczo skinął głową. Łyk porto podziałał na Ignaza bardzo korzystnie. Dreszcz ciepła w nadgarstkach, zawsze go lubił.

— I w Berlinie zdarzają się chwile, że można odpocząć. Właśnie, wieczory. Wtedy lubię otworzyć sobie okno i zapalić. Hałasy dnia zdają się wtedy nierzeczywiste, gdzieś ulatują.

— Ale rano — wtrąciła Bernadeta — głośno na naszej Klosterstrasse. Mleczarze, wozy dostawcze i te tramwaje, miasto jak oszalałe. Kiedy przejdiesz na emeryturę, musimy zamieszkać w Wejherowie.

— I nie skończyłyby się naszym paniom tematy do rozmów? — odparł Braun. — Zresztą, ja nie wybieram się jeszcze na emeryturę. Zdrowie dopisuje!

— Bo moja córka dobrze cię karmi — zaśmiała się pani Marta. — Sam zawsze to podkreślasz. Ale twój zawód nie jest łatwy. Mój zięć łapie przestępców — kobieta powiedziała ostatnie słowa jakby do siebie — a to nie zostaje bez śladu. Nie dalej jak wczoraj dowiedziałam się, że twój dobry znajomy, komisarz Rensch, miał rozległy zawał serca.

Ignaz znieruchomiał. W pokoju nagle zrobiło się cicho. Marta Sychowska poczuła na sobie pełen napięcia wzrok Brauna. I nie tylko jego. Mąż, który na co dzień żył pracą, także nie wiedział o chorobie szefa wejherowskiej policji.

Tak, ona była dobrze zorientowana w tym, co działo się w mieście. Znała Katarzynę Rensch, niekiedy spotykała ją na zakupach. Pewnego dnia

podczas pogaduszek na targu okazało się, że żona komisarza poznała jej zięcia, że gościł w domu Renschów przed dwoma laty.

Kobieta, zawsze pełna energii, wypowiadająca się z dużą pewnością siebie na każdy możliwy temat, przed kilkoma dniami zrobiła na Marcie zupełnie inne wrażenie. Była przygarbiona i zatroskana. Choć na szczęście nie małomówna.

Marta nie musiała pytać. Pani Rensch sama opowiedziała, że mąż, podczas zatrzymania na gorącym uczynku Georga Trauchmana, podejrzanego już wcześniej o nocne kradzieże zboża z młyna Biangów, doznał zawału serca. Szczęściem, komisarzowi towarzyszył starszy posterunkowy, niejaki Bochentin, człowiek o zimnej krwi, który właśnie zdążył zakuć w kajdanki zbożowego przestępcę i szybko pobiegł po doktora Paschinskiego. Potem obaj wzięli pod rękę komisarza i praktycznie zanieśli go do szpitala ewangelickiego Cesarzowej Augusty. Paschinski i Rensch byli przecież ewangelikami. Bochentin wrócił do młyna, gdzie Trauchmana pilnował Jan Bianga, chłop jak dąb, i odstawił winowajcę do aresztu. Tam podobno potraktował go nad wyraz surowo, ponieważ musiał dać ujście zrozumiałemu napięciu spowodowanemu chorobą pryncypała. Później pobiegł do szpitala i do rana siedział w poczekalni, czekając na konkretniejsze diagnozy doktora.

Kiedy Marta spotkała żonę chorego, ta właśnie spieszyła do „Cesarzowej Augusty” z domowymi wiktuałami.

— I nie wie mama, czy komisarz jest jeszcze w szpitalu?

— Nie wiem — odparła teściowa Ignaza. — To było jakieś dwa, trzy dni temu.

— Musisz koniecznie odwiedzić pana Renscha. Na pewno się ucieszy — dodała Bernadeta, a mąż spojrział na nią z uśmiechem.

Pocziwy komisarz... Zawał?! No tak, kipiał energią, wszędzie było go pełno. Miał naturę choleryka, w dodatku praca, choć w jego przypadku można mówić o powołaniu, nie należała do spokojnych. W dodatku tytoń, koniaczki, tłuste jedzenie! Renschowi przydałaby się, kiedy wydobrzeje, wodna kuracja księdza Kneippa, jakiś wyjazd do wód, spokój na łonie natury. Ale czy ktokolwiek zdołałby namówić komisarza na taką ekstrawagancję? Żona, tak, niewątpliwie pani Katarzyna miała nad mężem nieograniczoną władzę. Ignaz stanowczo musi z nią porozmawiać. Swoją drogą, ten Bochentin! Arno? Tak, miał na imię Arno.

Tyle wspomnień! Ignaz nie potrafił wyobrazić sobie świata bez komisarza Renscha.

Stopniowo do ciepłego, dosłownie i w przenośni, domu na Kalwaryjskiej powrócił pogodny nastrój. Pani Marta i Bernadeta zakrzętały się w kuchni i na stół przywędrowały zapowiedziane suflet i szarlotka. Z kremowych filiżanek dymiła kawa prosto z niemieckiej Afryki Równikowej, obok czekał dzbanuszek z gorącą, tłustą śmietanką. I prawdziwy cukier trzcinowy. Czegóż chcieć więcej, gdy jeszcze obok bliscy?

Otóż można jeszcze zapragnąć kolejnego cygara. Tak, bardzo dobry pomysł. Brunon Sychowski podszedł do masywnego kredensu. Wyjął z niego płaskie pudełko, otworzył je i podsunął prawie pod sam nos zięciowi.

Kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo. Właściwie mogły zostawić mężczyzn samych, ale zwyczaj nakazywał, żeby to oni oddalili się do osobnego pokoju, skoro chcieli zapalić. Nie kwapili się jednak. Jeśli tak, to i one zostają.

Do porozumienia bezwiednie dołączyła Rozalka, która, jak wytrawna przekupka, wzięła się pod boki.

— Jak tatuś i wujek chcą robić dym, to niech robią. Ale mnie nie wystraszą.

— Ale nikt nie chce cię straszyć! Szkoda nam wychodzić. Chcemy być z wami! — huknął naczelnik lęborskiej stacji kolei żelaznej.

— A zapalić też chcemy — zamruczał Ignaz i wyciągnął rękę w kierunku otwartego pudełka. Cofnął ją jednak i bacznie obejrzał rząd brązowych cygar. Ponownie wyciągnął dłoń.

Na widok banderoli z zadziwieniem pokiwał głową. Papierek otulający cygaro zdobiła znana Ignazowi z pewnej książki historycznej z podobiznami polskich władców wąsata postać w zbroi, z istic marsowym obliczem.

— Jan Sobieski? Zaraz, mogę jeszcze zobaczyć wierzch skrzyneczki?

— W tej chwili — odparł pan Sychowski i zamaszyście zatrzasnął wieczko.

— „Maschallah. Paweł Pokora. Cigarren und Cigaretten Fabrik. Neustadt Westpreussen". No tak! Przypominam sobie! Czy wiesz, ojcze, że te wejherowskie cygara dostępne są nawet w Berlinie?

Brunon Sychowski uśmiechnął się pod wąsem.

— Młody człowieku, ja nie muszę tam jechać, żeby o tym wiedzieć. Naturalnie, wybrać się do Berlina skądinąd zawsze warto. Firma szczyci się, że wysyła wyroby do całych Niemiec. I jeszcze dalej. O, na przykład Holendrzy palą cygara na potęgę i chyba nawet tam Pokora je eksportuje.

— Widziałem te cygara kilka razy w trafice Alfreda Uhla, niedaleko naszego domu. W stolicy reklamują je jako „kaszubskie hawany". Nie wiem, czy nie na wyrost, ale podobno dobre hasło robi swoje. Palilem kiedyś cygarilosy od Pokory. Całkiem przyzwoite, ani słowa.

Rozalka westchnęła teatralnie. Kierunek, w jakim potoczyła się rozmowa, nie interesował jej zbytnio. Podskoczyła do siostry, umościła się

na jej kolanach i zapytała, jakie są dziewczynki berlińskie. Czym się bawią, czy wolno im być niegrzecznymi, jak długie mają wakacje? I — jak się je ubiera?

Tymczasem Ignaz przypomniał sobie, że przed laty, gdy rozmawiał w wejherowskim pałacu ze starostą, hrabią Henrykiem Keyserlingiem — a był to gorący czas, gdy należało wykryć sprawcę okrutnego mordu na tutejszym gimnazjaliście — pruski szlachcic wspomniał coś o Pawle Pokorze. Wtedy Braun pierwszy raz usłyszał o polskim przedsiębiorcy, który w Wejherowie otworzył fabrykę cygar i papierosów. Oczywiście, hrabia Keyserlingk mówił o takich z obawą. Polak, przedsiębiorstwo, gdzie dba się o polskie tradycje... Konkurencyjność, szybki rozwój firmy — przecież te przymioty właściwe być miały niemieckiej mentalności, mentalności ludzi zdolniejszych, bardziej przewidujących i tak dalej, i tak dalej.

Gilotynka zgrzytnęła dwa razy. Brunon Sychowski potarł dużą zapalną o bok kolorowego pudełka.

Pierwsze obłoki dymu poleciały pod zieloną mosiężną lampę z fantazyjnymi wiszącymi kloszami.

— Ale, ale! — wykrzyknęła pani Marta. — Na śmierć bym zapomniała! Przecież my mamy zaproszenie na uroczystość do fabryki Pawła Pokory!

— Do fabryki? — zdziwiła się Bernadeta.

— A tak — potwierdziła matka. — W fabryce, to znaczy na jej terenie, jest sala, gdzie czasami odbywają się koncerty, odczyty, różne uroczyste spotkania. Jak wicie, nie mam trudności z zawieraniem nowych znajomości, nigdy nie narzekałam na brak osób, które chciałyby ze mną rozmawiać. I dzięki temu dostałam zaproszenie na koncert. Jest imienne i na dwie osoby, ale przecież dwoje ludzi więcej chyba nie sprawi żadnego kłopotu. Chcielibyście pójść?

Bernadeta i Ignaz spojrzeli na siebie i równocześnie twierdząco pokiwali głowami. Pani Marta wstała z fotela i podeszła do kredensu. Poszperała chwilę w stosiku papierów i wyjęła zaproszenie.

Nałożyła okulary i oddaliła sztywną, kremową kartkę od oczu. Potem podała ją Bernadecie. Ta zaczęła czytać na głos.

— Paweł Pokora, właściciel fabryki cygar, papierosów i tytoniu, niniejszem ma zaszczyt zaprosić Czcigodnych Państwa na uroczysty wieczór poświęcony okazaniu Zacznej Publiczności *Śpiewnika polskiego, zbioru najjużywańszych piosenek różnej treści.*

Gęste kłęby dymu, puszczone przez teścia i zięcia, nie przeszkodziły Bernadecie w dalszej lekturze.

— Okazanie wydanego naszym sumptem śpiewnika uświetni koncert znakomitych artystek z fabrycznego Towarzystwa Śpiewaczego. Z niecierpliwością i staropolskim „gość w dom” uprasza się Miłych Państwa o przybycie w dniu 27 października (niedziela) do gmachu fabryki o godzinie 6 po południu.

— Ja bym się wybrał, owszem. Czasu mamy dużo, ostatecznie przyjechaliśmy do Wejherowa na urlop. Ciekawe, że fabrykant wydał śpiewnik.

— Pójdziemy — przytaknęła Bernadeta. — Mamy dziś piątek. Jeszcze okrągły tydzień do Wszystkich Świętych. Rzeczywiście, nie mamy tu żadnych obowiązków. A niedzielę miło spędzić wśród ludzi.

Nad panem Brunonem pojawił się wypuszczony z wielką siłą kłąb dymu, zupełnie jakby w salonie Sychowskich znalazła się lokomotywa, w której kotłowni urzędował jakiś szalony jegomość, marzący jedynie o dosypywaniu do ognia kolejnych szufli węgla. Zachowanie komina wyraźnie o tym świadczyło.

— Moi państwo, zapominacie o jednym. Otóż nie wszyscy, powtarzam, nie wszyscy mają przywilej nieróbstwa. Ja, jak wiecie, jestem poważnym urzędnikiem państwowym i w niedzielę muszę być w Lęborku. Znajcie jednak moje dobre serce. Życzę wam przyjemnego wieczoru! Niech zamiast mnie pójdzie Rozalka.

Uradowana dziewczynka wyczuwała pana Brunona w oba policzki. Cieszyła się, żal jej jednak było, że ojciec nie pójdzie razem z nimi.

Ojciec przycisnął dziecko do szerokiej piersi.



SÓL TEJ ZIEMI

Lampa naftowa zapłonęła ciemnym, żółtym światłem. Ranek był wyjątkowo pochmurny, nawet jak na trzecią dekadę października. Emma stała jeszcze chwilę nachylona nad stołem, upewniając się, że światło, coraz jaśniej rozbłyskujące, już nie zgaśnie.

Wreszcie wyprostowała się i spojrzała na zegar stojący w rogu. Do ósmej pozostały dwie minuty. Za chwilę z ciemnej drewnianej skrzyni wydobędzie się niski głęboki dźwięk.

Uznała, że można już wyjść na spotkanie. Korytarz oświetlony był przez dwa kinkiety. Gdyby nie one, musiałyby iść po omacku.

Z pokoju, do którego zaraz zapuka, dochodził wesoły gwar. Dwa głosy, starszy i młody, jeszcze niemal dziecinny, choć znacznie dojrzały niż pół roku wcześniej, kiedy zamieszkała w pałacu.

Zastukała. W tym samym momencie drzwi otworzyła krępa kobieta. Miała na sobie czarną prostą suknię z nałożonym na nią białym fartuszkim. Na piersiach krzyżowały się dwa pasy przechodzące za ramiona. Siwe włosy upięte bardzo starannie, według obowiązującej mody.

W kobiecie nie było nic z wiejskiej służącej. „Tak powinna od rana wyglądać dobra pokojówka”, pomyślała Emma.

— Dzień dobry, Giselle.

— Dzień dobry, proszę pani — ukłoniła się starsza kobieta.

— Czy panna Marie już gotowa?

— Oczywiście, proszę pani. — Giselle po raz pierwszy tego ranka spojrzała w oczy Emmy. Zawsze rankiem słyszała to samo pytanie i zawsze jawiła się nieco zdziwioną, że Emma może je zadawać.

Zza szerokich pleców pokojówki wyjrzała panienka, wzrostem dorównująca Giselle i nieco przewyższająca Emmę.

— Dzień dobry, panno Emmo — krzyknęła wesoło i uśmiechnęła się prawie entuzjastycznie.

Jej ciemne gęste włosy nieco opadały na czoło i ramiona, nie chcąc podporządkować się spinkom i kokardom. Czarne brwi, zrosnięte pod czołem, wygięły się w dwa łuki. Ustom nadal towarzyszył uśmiech. Białe zęby, równe i zdrowe, błyszczały w świetle wpadającym do pokoju od bliższego z kinkietów.

— Witam panienkę — skinęła głową Emma. — Widzę, że nastrój, mimo aury, ma panienka doskonały.

— Bo czym się tu martwić? — bez namysłu odparła Marie.

— Właśnie — szepnęła Giselle i trochę zawstydzila się własną śmiałością, zwłaszcza że Emma spojrzała na nią zaskoczona. Przecież o nic Giselle nie zapytała.

— Dobrze, przy takim usposobieniu panienki nauka pójdzie dziś jak nigdy. Wierzę w to gorąco.

Przez twarz dziewczynki przeszedł ledwie dostrzegalny cień. Wiedziała, że należy się uczyć, ale wolałaby oglądać jakieś kolorowe albumy z malarstwem albo, jeszcze lepiej, bawić się z Rufim. Bardzo mądry piesek,

potrafi w lot nauczyć się wielu rzeczy, jakie dla innych psów są nieosiągalne. Jak on szczeka na komendę, jak podaje łapę, jak bierze nagrodę w postaci kawałka suszonego świńskiego ucha tylko od niej, od swojej pani!

— Zapraszam więc do pokoju nauki, moja panno. — Emma wyciągnęła w stronę Marie dłoń. Ta chwyciła ją i poszły tam, skąd sączyło się światło zapalonej uprzednio lampy naftowej.

— A ja tymczasem pościelę łóżko i w ogóle posprzątam w pokoju panienki — szepnęła Giselle i przygładziła włosy. Tamte już nie słyszały jej słów.

— Dziś znów zajmiemy się językiem francuskim.

— A nie mogłybyśmy robótkami? Albo śpiewem? — potrząsnęła głową Marie, aż w blasku lampy zaświeciły się matowym, ciężkim aksamitem granatowe wstążki przy włosach.

Emma westchnęła z pobłażaniem. Wiedziała, że wszystko inne jest dla panny atrakcyjniejsze niż francuski. Śpiew był jej miłością, guwernerka też go kochała, wspólne robótki, literatura niemiecka i rachunki również nie były czymś, czego Marie zanadto by unikała. Ale mowa Ronsarda i Moliera! Oczywiście autorów tych Emma nie przerabiała z Marie, nawet nie przyszło jej do głowy, żeby informować pannę o ich istnieniu (byli, jak to Francuzi, dość niemoralni), ale właśnie o nich teraz pomyślała, gdy przypomniała sobie poprzednie lekcje.

Dziewczynka uwielbiała przebywać w przestrzeniach, które rozumiała. Tutaj natomiast piętrzyły się przed nią rozmaite trudności. Największą było to, że ci Francuzi zupełnie inaczej wymawiają wyrazy, niż je piszą. I samo brzmienie francuszczyzny, język można sobie wykrzywić! I taki wykrzywiony w końcu zostanie na zawsze...

Kiedy się jest dobrą guwernantką, w dodatku nieźle opłacaną, nie może być mowy o pobłażliwości. Wychowanka musi się uczyć. I, co ważniejsze, jej umiejętności mają być coraz szersze. Właśnie z tego rozlicza się guwernantkę.

Paul von Lietz i jego żona Elisabeth są bardzo czuli na punkcie pochodzenia i obycia w świecie. Właściciel majątku szlachectwo uzyskał jakieś dwadzieścia lat wcześniej, tak przynajmniej powiedział Franz, stary służący. Nieco później świeżo upieczony szlachcic ożenił się. Miał pieniądze i tytuł. Brakowało tylko wykształcenia. Tak, Marie musi swobodnie rozmawiać po francusku. Jest przecież dobrze urodzona. Powinna czuć się pośród tych wszystkich Grassów, Rodenackerów i Belowów swobodnie.

I Emma sprawi, że tak się stanie. Żeby tylko mniej lubiła tę żywiolową, pełną życia pannę... Pobłażać wychowance jest nieprofesjonalnie, jak zawsze podkreślali wykładowcy w żeńskim seminarium nauczycielskim.

— *Bonjour, mademoiselle.*

— *Bonjour, madame!* — kiwnęła głową Marie. — *Je vous suis très reconnaissante.*

— O, pięknie — ucieszyła się Emma. — A za co panienka jest mi wdzięczna?

Na twarzy Marie pojawiło się zakłopotanie.

— Zapomniałam słowa. Tamten zwrot zapamiętałam, ale... Za rozpoczęcie lekcji!

— *Commencer des leçon.* A odrabiać lekcje, co też nas czeka, będzie: *faire ses devoirs.* To, co teraz robimy, nazywa się: *prendre des leçons.*

Dziewczynka spojrzała na guwernantkę jak na Boga wszechmogącego i diabła jednocześnie. Jak towarzyszka jej mozolnych starań mogła się tego

nauczyć i zapamiętać te zaklęcia? I musi tak katować biedną Marie? Musi.

— Dobrze — westchnęła Emma, stukając ołówkiem w skoroszyt; notowała w nim zagadnienia już opracowane i jako tako opanowane oraz te, nad którymi musiały jeszcze popracować. — Powtórzemy liczebniki porządkowe. Panienska radzi sobie całkiem dobrze z rachunkami po niemiecku. Nie wymagam na przyszłość rozwiązywania zadań po francusku, ale ostatecznie jakieś podstawy należy znać. Kiedy zbudzę panienskę w nocy, Marie musi mi wyliczyć śpiewająco wszystko, co należy. Pan von Lietz przywiązuje wielką wagę do nauki pojęć i terminów ścisłych.

— Nawet jeśli wyjdę szybko za mąż za któregoś z sąsiadów i nigdy nie będę miała do czynienia z liczeniem, tym bardziej po francusku? — Marie uśmiechnęła się filuternie.

— Po pierwsze — odparła Emma — im lepiej panienska będzie wykształcona, tym lepiej wyjdzie za mąż, przynajmniej mam taką nadzieję; po drugie, droga Marie, nie zdajesz sobie sprawy, że dorosły człowiek, obojętnie w jakim znalazłby się położeniu i w jakim mówił języku, zawsze musi umieć liczyć. Codziennie coś liczymy! Proszę teraz wymienić liczebniki główne, od zera do dwadzieścia dwa.

Głębokie westchnienie rozległo się w pokoju nauki. Panna wlepiła oczy w sufit i zaczęła z namysłem, celebrując każdy element wyliczanki:

— *Zéro, un, deux, trois, quatre, cinq, six, sept, huit, neufé...*

— *Neuf!* — syknęła Emma.

— *...neuf, dix, onze, douze, treize, quatorze, quinze, seize, dix-sept, dix-huit, dix-NEUF* — z naciskiem wypowiedziała Marie i kiwnęła głową, zadowolona. — *Vingt, vingt et nun...*

— *Un! Vingt et un, mademoiselle!*

— *Oui, madame. Vingt et nun, vin deux.*

— *Bien.* Nieco lepiej niż ostatnio. Niech się panienska przedstawi.

— *Je m'appelle Marie von Lietz. Mais appelez-moi Marie.*

— Cóż za łaskawość, mogę ci mówić po imieniu! Dobrze, Marie, że przejawiasz inicjatywę w wypowiedziach. Jakich masz członków rodziny?

Marie wysunęła dłoń ze skurczoną piąstką i wyciągając kolejno palce, zaczęła wymieniać:

— *Père*, ojciec. *Mère*, matka. *Chien*, pies.

— Pięknie, rodzice bardzo by się ucieszyli, że mają w rodzinie Rufiego. Jaka jest twoja ojczyzna?

— *L'Allemagne.*

— Jesteś Niemką?

— *Oui, madame. Je suis Allemande.*

— Jakiego jesteś wyznania?

— *Je suis luthérienne.*

— Gdzie mieszkasz?

— *J'habite dans ma famille.*

— Pytanie nie brzmiało: z kim, ale: gdzie. No dobrze. A kiedy wyjdiesz za mąż? — Mina Emmy była jak najniewinniejsza. — Skoro o zamążpójściu wspomniałaś.

— *Je ne sais pas encoret.*

— *Encore. Je ne pas encore, mademoiselle.* Tak sądziłam, że jeszcze nie wiesz. *Pardon, quelle heure est-il?*

Uczennica spojrzała na wielki zegar stojący w kącie.

— *Avant neuf heures.*

— *Bien. Nous resterons ici quelques heures.*

— Słucham? — nie zrozumiała Marie.

— Zostaniemy tu kilka godzin. — Emma uśmiechnęła się odrobinę przepraszająco. — Całkiem nieźle sobie radzisz. Teraz przejdziemy, jak

zawsze po rozgrzewce, do krótkiego dyktanda. Panienska wie, że ma z pisownią niejake problemy.

— *Oui, madame.*

— *Bien.* W takim razie proszę o przygotowanie pióra i papieru.

Kałamarz i stalówka spoczywały na stole. Brulion również. Wystarczyło odkręcić wieczko i zanurzyć stalówkę w czarnej czeluści.

— Najpierw przeczytam paniencie te kilka zdań w ojczystym języku. Proszę mniej więcej zapamiętać treść. Ważne jest bowiem zrozumienie tekstu, nawet gdy chodzi niby tylko o poprawną pisownię. To procentuje później znakomicie przy samodzielnym konstruowaniu bardziej skomplikowanych zdań. A czeka nas ono już wkrótce.

Marie posłusznie skinęła głową i wsadziła do ust końcówkę pióra. Emma udała, że tego nie zauważyła. Potem dziewczynka spuściła oczy na kartkę wyrwaną z brulionu i zastygła w oczekiwaniu.

W dłoni guwernerki pojawiły się okulary. Nałożyła je na kształny nos i sięgnęła do niebieskiego kajetu.

Zaczęła czytać z doskonałą dykcją, czyniąc ledwie dostrzegalne pauzy między następującymi po sobie wyrazami. Jej głos był dźwięczny, niemal metaliczny.

— Lawenda kwitnie dopiero w lipcu. Maj jest miesiącem konwalii. Jest tam bardzo zacisznie. Moglibyśmy pójść na spacer do lasu eukaliptusowego i zwiedzić klasztor. Dobrze, w takim razie wrócę do hotelu, żeby się przebrać. Przyjdiesz po mnie za godzinę?

Spojrzenia uczennicy i guwernerki skrzyżowały się. Na twarzy Marie malowało się skupienie. Zanurzyła pióro w kałamarzu. Emma uśmiechnęła się zachęcająco.

— *La lavande ne fleurit qu'en juillet. Mai, c'est le mais du muguet. C'est très calme. On pourroit faire un balade dans la forêt d'eucalyptus et visitor*

le monastere. Bon, je retourne me changer? L'hôtel, tu passeras dans une heure?

Kiedy Emma skończyła czytać, nastąpiła głucha cisza. Marie zapomniała nawet westchnąć teatralnie, co lubiła i umiała robić znakomicie. Przed nią pojawił się niemiecki zapis przeczytanego tekstu. Teraz należało napisać go po francusku.

Przed guwernantką było około dwudziestu minut ciszy. Nie naciskała nigdy, żeby Marie spieszyła się przy lekcjach. Nie było takiej potrzeby. Skłaniała się do modnych ostatnio prądów w dziedzinie edukacji, głoszących, że uczeń powinien czuć się podczas zajęć w miarę swobodnie. W myśl owych zasad należało postępować tak, aby wychowanek nie traktował nauczyciela jak ekonoma stojącego nad nim z batem. Emma wiedziała że Paul i Elizabeth oczekiwali od niej konkretnych wyników w nauce jedynej latorośli, ale zdawała też sobie sprawę, że przy konstrukcji psychicznej dziewczynki, pogodnej i otwartej na świat, należy zachowywać się niemal po przyjacielsku, aby pozyskać jej sympatię i zaufanie. Miała pewność, że wtedy edukacja przyniesie nadspodziewane efekty, bo mimo pewnych kłopotów dziewczynki z językiem francuskim, dostrzegła w Marie pilną i pojętną uczennicę. Miała okazję przekonywać się o tym chociażby podczas ćwiczeń z rachunków, ale i wtedy, gdy rozmawiały o malarstwie i gdy dziewczynka grywała na pianinie prostsze utwory Schuberta i Chopina.

Usiadła na wygodnym krześle obitym zielonym pluszem. Starła się nie patrzeć na uczennicę, aby jej nie rozpraszać. Niekiedy tylko kątem oka zerkała, jak Marie, z wtulonym w jeden kącik ust językiem, wpatruje się w niemiecki zapis i jak na swojej kartce z mozołem pisze to samo w języku narodu, który tak był dumny ze swojej kultury i tak sromotnie przegrał wojnę z Niemcami trzydzieści parę lat wcześniej. Dziewczynka niekiedy

skreślała mocnym ruchem pióra napisane już słowa, a potem, z namysłem bądź pasją, zaczynała od nowa.

Emma zaczęła odruchowo rozglądać się po wnętrzu, zwanym w domu pokojem nauki. Znała tu doskonale każdy szczegół, każdy bibelot.

W pałacu nie było biblioteki. Pan domu, Paul von Lietz, zapraszany niekiedy z żoną przez Fliessbachów z Prusewa, widział w ich dworze bibliotekę. Myślał nieraz o takiej inwestycji, ale łatwiej powiedzieć niż wykonać. Tamci mieli zbiory liczone w kilka tysięcy woluminów, zbieranych przez dziesięciolecia. Pieniądze nie stanowiły specjalnego problemu, ale kto miałby zająć się doborem odpowiedniej literatury? On sam? Elizabeth? Niech wybiorą źle, a potem narażą się na śmieszność przy okazji którejś z rewizyt. Lepiej mówić, że w bibliotece remont albo że się spaliła. Albo w ogóle nie poruszać drażliwego tematu. Jest tyle innych rzeczy wartych omówienia...

W pokoju do nauki stał wąski regał, na którego półkach znalazło przystań ze czterdzieści woluminów. Były to podręczniki agronomii i handlu, słowniki niemiecko-łacińskie, książeczki do nabożeństwa. I nieco romansów szlacheckich napisanych przez panią von Lautenburg kilkadziesiąt lat wcześniej, swego czasu niezwykle poczytnych. Ot, bezpieczne historyjki o niewinnych dziewczicach i rycerskich młodzieńcach z dobrych, junkerskich rodów. Młodym z reguły stawały na przeszkodzie właśnie rodzinne, w końcu jednak, dzięki wstawiennictwu samego cesarza lub kogoś z monarszego rodu albo dzięki uratowaniu panny ze śmiertelnego niebezpieczeństwa w rodzaju pożaru czy napadu zbójców, młodzieniec zdobywał uznanie opiekunów swej wybranki i jej rękę. Książki te były cenione zwłaszcza przez panią Elizabeth.

W kącie pokoju stał na grubej mosiężnej nodze imponujących rozmiarów globus, zakupiony przez von Lietza w Lipsku, gdzie bawił

z okazji zjazdu obywateli ziemskich w roku 1899. Pan domu był niesłychanie dumny z saksońskiej zdobyczy, jak nazywał globus, i chętnie wprawiał go w ruch mocnym pchnięciem pulchnej różowej dłoni. Lubił wtedy patrzeć, jak kontynenty i oceany wirują w oszalałym pędzie.

Ściany zdobiły portrety przodków. Paul von Lietz nie mógł poszczycić się herbowymi antenatami, natomiast jego żona, pochodząca ze straszliwie zubożałej szlachty z okolic Miastka, nieposiadająca w momencie ślubu żadnego materialnego posagu, wniosła jednak do małżeńskiego stadła coś cennego — tradycję. Jej to właśnie przodkowie, płci obojga, spoglądali ze środka grubych złożonych ram na Emmę.

Panie w okazałych srebrzystych perukach, wydekoltowane do nieprzyzwoitości, i ich potomkinie, opatulone po samą brodę w bogate suknie. Mężczyźni patrzący władczo i wyzywająco, ozdobieni szarfami i orderami nadawanymi przez kolejnych elektorów i królów pruskich, jeszcze bogaci, posiadający ziemie, majątki, folwarki, młyny, kuźnie oraz włości.

Nagle szarpnięcie klamki wyrwało Emmę z zamyślenia. Marie także podniosła głowę znad kartek.

W otwartych drzwiach stanęła Elizabeth von Lietz. Szczupła, wysoka. Jej twarz wydawała się jeszcze bardziej ściągnięta niż zwykle. Haczykowaty nos zniżył się niemal do ust.

Pani domu trzymała w dłoni plik cienkich kartoników. Potrząsnęła nimi nieznacznie i podeszła do Marie.

— Co to jest?

— Słucham? — dziewczynka zaczerwieniła się. Wzrok miała utkwiony w dłoni matki. Nie odważyła się spojrzeć jej w oczy.

— Zadałam ci pytanie.

— Jakież kartki. Pocztówki?

— Zawsze cię uczyłam, żeby mówić prawdę. Co to jest? — głos pani Elizabeth był świszczący, matowy.

Marie, drżąca i przerażona, chciała zyskać choć kilka sekund. Pragnęła odwlec moment, kiedy będzie trzeba mówić. Ale miała też świadomość, że ta drobinka czasu darowana jej przez samą siebie nie zda się na nic.

Obok niej nieruchomo stała Emma. Podniosła się, gdy pani domu weszła do pokoju nauki. Guwernantka nie wiedziała, jak się zachować. Udać, że jest nieobecna duchem? Tak. Ta rozmowa rozgrywa się pomiędzy matką a córką.

Tymczasem pani Elizabeth zaczęła kolejno rzucać na stół pocztówki. Szmer kartoników spadających jeden na drugi urastał w uszach Marie do grzmotów, jakie zdarzało jej się słyszeć podczas wiosennych burz.

— Kiedy wyszłaś z panią Emmą z twojego pokoju, Giselle zabrała się za porządki. Pod kołdrą znalazła właśnie to!

Dziewczynka wpatrywała się w kartoniki.

Kobieta. Piękna, o jasnych włosach. W nieco przekrzywionym kapeluszu z kwiatami i wykwintnej sukni. Na szyi perły. Spogląda powłóczyстым wzrokiem w obiektyw aparatu fotograficznego. Jest zamyślona.

Ta sama postać w przebraniu Cyganki. Wymalowane oczy, jaskrawa szminka. W dłoni kastaniety. Za nią jakiś egzotyczny krzew.

Japonka. Wysoka peruka upięta na dalekowschodnią modłę. Kimono i sandały na koturnach. Wachlarz trzymany przy piersi. Kilka umiejętnych kresek ołówkiem sprawia, że oczy wydają się skośne. Twarz przykryta grubą warstwą białego pudru.

Sceneria na zewnątrz skromnej chatki. Dziewczyna z jasnymi warkoczami, w typie faustowskiej Gretchen. Wiązany stanik, bufiaste rękawy koszuli. Patrzy niewinnie na dzban stojący przy studni.

Odaliska w pozycji pólężącej. Ubrana we wzorzysty kaftan i szarawary. Na nogach pantofle bez pięty, z długimi zakrzywionymi noskami. Jeden z pantofli osunął się na palce, odsłaniając większą część smukłej alabastrowej stopy.

I znowu kapelusz, tym razem skromny, płaski, słomkowy canotier. Bluzka, jakie noszą robotnice z fabryki tekstylnej albo starsze pensjonarki na wycieczce do wód.

— Kto to jest?! — tym razem głos pani von Lietz był podniesiony.

— Jakaś aktorka? — niepewnie szepnęła Marie.

— Na to wygląda. Fotografie aktorki w naszym domu! W domu z takimi tradycjami! Skąd je masz?

— Ja... nie wiem. Nie wiem, skąd się tam wzięły.

Kobieta podniosła ze stołu kartoniki i jeszcze raz, zamaszystym ruchem, rzuciła je wszystkie przed siedzącą nieruchomo córkę. Marie przymknęła oczy i ponownie je otworzyła. Były rozszerzone przerażeniem. Ale jednocześnie w duszy dorastającego dziecka nastąpiło przesilenie. Twarz dziewczynki wyrażała stanowczość. Marie była blada i jakby skamieniała.

— Nie wiem! — powtórzyła z naciskiem. — Jestem zmęczona.

Matka, która nie spodziewała się takiej determinacji, poczuła się bezradna. Emma nie wiedziała: wyjść czy zostać w pokoju. Przesunęła się w stronę drzwi. Potrącił ją Paul von Lietz. Wszedł i stanął obok żony. Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

— Oto co twoja córka trzymała w łóżku!

— Pokaż — szepnął mężczyzna i wziął do ręki pocztówki, które wskazała mu pani Elizabeth.

— Nie chce powiedzieć, skąd je ma. Uparta dziewczyna.

Emma w milczeniu przysłuchiwała się dalszemu śledztwu. Paul von Lietz, mały, pękaty człowiek z wiecznymi rumieńcami na twarzy i wyglansowaną łysiną, również zaczął przepytować Marie.

Wreszcie oboje zdali sobie sprawę, że niczego nie wskórają. Marie była posłusznym dzieckiem, ale wiedzieli też, że potrafi okazać upór podobny do tego, jakim charakteryzowała się matka. Pani von Lietz pomyślała na koniec, że gdy minie godzina, dzień, lub tydzień, Marie sama się zdradzi.

Sięgnęła po pocztówki.

Gdy wychodzili, ojciec położył na ramieniu córki dłoń o krótkich, tłuściutkich palcach.

— Dziecko, musisz być czysta. Jesteśmy solą tej ziemi.

Guwernerka i uczennica milczały przez dłuższą chwilę. Obie nie wiedziały, co powiedzieć.



LIŚCIE W KOLORACH JESIENI

Wczesnym popołudniem roz pogodziło się zupełnie. Ranek powitał mieszkańców Wejherowa delikatnym deszczykiem. Właściwie gdy szło się ulicami w nakryciu głowy, a przecież każdy nosił kapelusz lub czapkę, nie czuło się delikatnych kropelek spadających nieśmiało z zasnutego szarą powłoką nieba. A jednak czuło się w powietrzu lepką wilgoć.

Kiedy pani Marta wyprawiała do szkoły Rozalkę, kapuśniaczek z wolna ustawał. Po godzinie, gdy razem z Bernadetą wychodziły na sobotnie zakupy, już od drzwi frontowych owionął je ożywczy wiatr. Na chodnikach już niemal nie było śladu wilgoci.

Nad targowiskiem zaświeciło bladym światłem słońce. I miało wisieć nad miastem aż do wczesnego zmroku, tak przynajmniej zawyrokował pan Albrecht z mięsnego kramu, sprzedający najbardziej pachnący boczek w Wejherowie.

Po powrocie z zakupów kobiety wraz z Ignazem wypity kawa. Braunowi, jak zwykle, bardzo smakowała drożdżówka teściowej.

Pogoda sprzyjała; postanowili przed obiadem wyruszyć na spacer.

Z ulicy Kalwaryjskiej wyszli różnym krokiem w stronę parku należącego do hrabiostwa Keyserlingków. Po prawej stronie wszystkimi kolorami jesieni pyszniły się rozmaite gatunki drzew. Dęby, wiązy, kasztanowce, graby... Niektóre, jak kasztanowce, gubiły już liście koloru złotego lub rdzawobrazowego, inne trzymały się dzielnie, odpierając ataki coraz mocniejszych chłódów, i strojne były jeszcze zielonością; jej czas był już jednak policzony.

Płytkie, lecz szerokie kanały świeciły się pomarszczonym od wiatru lustrem wody. Pływały po nich wielobarwne kaczki, gwarząc od czasu do czasu między sobą i podpływając do siebie, to znów oddalając się na różne strony.

Kremowe, świeżo otynkowane ściany pałacu jaśniały w głębi parku. Budynku strzegła zdobna, kuta brama. Za nią znajdował się ni to most, ni grobla z metalowymi barierkami. Dzięki owej konstrukcji możliwe było przejście od bramy do pałacu — po lewej i prawej stronie, tuż za barierkami, ciągnął się, na kształt średniowiecznej fosy, kanał.

Niedaleko głównego wejścia, do którego prowadziły szerokie kamienne schody, krzątał się przygarbiony mężczyzna. Przy pomocy grabi odgarniał z trawnika i piaszczystej alei liście. Jego szary fartuch łopotał na wszystkie strony, wydymany nieustannymi powiewami jesiennego powietrza. Głowa mężczyzny przykryta była czarną czapką z wąskim daszkiem.

Kiedy troje ludzi znajdowało się na wysokości pałacowej bramy, mężczyzna wyprostował się, zdjął czapkę i przetarł dłonią czoło. Potem oparł grabie o biodro i wyciągnął coś z kieszeni fartucha. Schylił głowę do dłoni i po chwili nad jego postać wzbił się delikatny obłoczek dymu.

Nie zwrócił uwagi na przechodzących. Mało to ludzi chodziło w okolicach pałacu i parku?

Ignaz uśmiechnął się do żony i teściowej. Przystanął na chwilę, one zaś poszły dalej niespiesznym krokiem.

Sześć lat minęło od czasu, gdy przekroczył progi pałacu. Poprzedniego dnia, gdy rozmawiali o fabryce Pokory, przypomniał sobie wizytę u hrabiego Keyserlingka. Nigdy potem nie widział wejherowskiego starosty. Nie przypuszczał jednak, aby czas, który minął od ich pierwszego i ostatniego spotkania, wpłynął jakoś szczególnie na pruskiego szlachcica. „Tacy się nie starzeją, nie zmieniają poglądów”.

Z lewej strony minęli zabudowania browaru. Jeszcze dwieście, trzysta metrów i ich oczom ukazała się Kaplica Grobu Matki Bożej. Zgrabna, o szlachetnych proporcjach, jedna ze starszych na wejherowskiej kalwarii, ufundowana, jak wyjaśniła kiedyś Ignazowi Bernadeta, jeszcze przez Joannę Katarzynę z Radziwiłłów, drugą żonę Jakuba Wejhera, założyciela miasta. Ignazowi przypomniał się pogodny w nastroju obraz w ich berlińskiej „księgarni” przedstawiający tę kaplicę. Bernadeta dostała go od swojej przyjaciółki Justyny, gdy po ślubie opuszczała Wejherowo.

Młoda kobieta przystanąła wzruszona. Ile to razy bawiła się tutaj z Anną, o której często wspominała mężowi w Berlinie! Im dalej od rodzinnego domu i im więcej lat upływało od dziecięcych trosk i radości, tym chętniej i z coraz większą tęsknotą wracała do beztroskich chwil, gdy jej babcia Małgorzata późną wiosną dawała dziewczynkom kanapki z truskawkami, a one biegły z najwspanialszym na świecie poczęstunkiem pod kaplicę, siadały w cieniu drzew i gadały o wszystkich ważnych w tym wieku sprawach.

— I rzeczywiście w środku znajduje się szklana trumna z figurą Matki Boskiej? — zapytał Ignaz, gdy już podeszli do kaplicy.

— Oczywiście — uśmiechnęła się Bernadeta. — Szkoda, że nigdy jej nie widziałeś.

Braun spojrział na żonę. Podobała mu się bardzo, gdy tak stała, przejęta sentymentalnymi odwiedzinami, zaróżowiona od powietrza i marszu, oddychająca szybko bujną piersią.

— A w wigilię Wniebowzięcia, 14 sierpnia, procesja ze świecami wieczorem odprowadza Matkę Bożą do grobu.

— Rodzaj pogrzebu?

— Nie, żaden tam rodzaj. To pogrzeb — odparła pani Sychowska z silną wiarą, jaką, pomyślał Ignaz, trudno byłoby już znaleźć w Berlinie.

Spojrzął przenikliwie na wciśnięte w mur drzwi do kaplicy, jakby chciał je przeświecić, niczym pan Wilhelm Röntgen, promieniami silniejszymi od gęstej materii atomów i ujrzeć trumnę z ciałem Maryi. Z jednej strony niezachwiana wiara kobiety, z drugiej skojarzenie ze świeżym jeszcze wynalazkiem. Skrzywił się. Stanowczo w takim miejscu przydałoby mu się więcej dziecięcej ufności. Takiej, jaką mają w sercu obie kobiety.

Tymczasem one, stojąc pod kaplicą, rozpoczęły, jedna przez drugą, wspominać wszystko, co kojarzyło im się z otoczeniem. Ignaz stał w milczeniu, nie chcąc przeszkadzać, i z zajęciem przysłuchiwał się Bernadecie i pani Marcie. Obie lubiły mówić, ale też obie miały w pamięci tak wiele pięknych chwil, które zostały im w swoim czasie darowane.

Wreszcie ruszyli stromą dróżką ku kolejnym kaplicom. Nie zdążyli na dobre zmęczyć się wspinaczką po znacznej stromiźnie, a już znaleźli się przed kaplicą Pocałunku Judasza, nazywaną często Kaplicą Zdrady Judasza lub Pojmania Pana Jezusa. Tam Ignaz znowu, wobec zamkniętych drzwi, musiał zadowolić się wyjaśnieniem, że w środku znajduje się ciemny, zimny obraz, ponury jak wydarzenie, które opisuje.

Na wierzchołku wzniesienia stała Kaplica Wniebowstąpienia z imponującym portalem ozdobionym koroną. Bernadeta opowiedziała

mężowi o czymś, jej zdaniem, znacznie ciekawszym niż same detale architektoniczne.

Gdy była mała, babcia pokazywała jej we wnętrzu kaplicy odcisnięte ślady stóp. Tłumaczyła wtedy dziewczynce zasapaną forsowną wspinaczką, ale mimo tego bardzo uważnie słuchającej słów starszej kobiety, że są to ostatnie ślady zmartwychwstałego Pana Jezusa, który właśnie stąd uleciał do nieba, aby królować po prawicy swojego, i wszystkich ludzi, Ojca. Bernadeta dotykała wtedy z nabożną czcią i dreszczem emocji konturów i wnętrza odcisniętych w piaskowcu znaków, czując, że zbliża się właśnie do tajemnicy największej z możliwych. Nie miała wtedy wątpliwości, że słowa babci są prawdą.

Ignazowi, gdy tak słuchał Bernadety, przyszło na myśl, że w tej opowieści dla grzecznych dzieci tkwiło jednak malutkie ziarno mistycyzmu, z niego zaś mogło wyrastać z czasem wielkie drzewo dorosłej wiary. Że zbudowane, w tym przypadku, na legendzie? Dla rozbudzonej prostą wiarą duszy nie miało to żadnego znaczenia. Potem, gdy dusza oswojona już była z doznaniem wykraczającym poza zwykłą egzystencję, łatwiej zakładała możliwość istnienia rzeczy, o których rzadko myślano w jego Berlinie. A przesiew zdarzeń prawdopodobnych od niemożliwych następował zapewne samoistnie.

Berlin zabija mistycyzm. Zabija! To skojarzenie ze zbrodnią! Nasiąkł światem, w którym nieustannie ktoś zabija.

Zresztą, rzeczywiste czy tylko domniemane dotknięcie Boga... Czy ta różnica ma jakiegokolwiek znaczenie? Ważne, gdy przenikanie się wymiarów, zaistniałe w sercu, pomaga, gdy dzięki niemu człowiek może zasypiać z nadzieją.

— Właśnie tak się zachowuje, gdy wpada w zamyślenie — tłumaczyła Bernadeta rozbawionej matce, która odezwała się do zięcia, lecz jej słowa

jakby uleciały w próżnię.

— Mężczyźni są znani z takich dziwactw — pokiwała głową pani Sychowska. — Gdy twój ojciec, sama pamiętasz, jest czymś zajęty albo bije się ze swoimi myślami, nic nie jest w stanie przywrócić go do rzeczywistości.

Jednak młoda kobieta nie zamierzała pozwolić mężowi na zbyt długie bicie się z myślami i pociągnęła go za rękaw. Ignaz spojrzął na żonę i uśmiechnął się do niej.

— Mówiłaś coś?

— Mama mówiła. A ty nie słuchałeś.

— A co mama mówiła? — pytanie skierowane do teściowej bardziej wyrażało zdziwienie niż skruchę.

— Że pora schodzić — odparła pani Marta. — Spacer nie powinien polegać na staniu w jednym miejscu!

Zostawili za sobą Kaplicę nad Cedronem, ufundowaną przez hrabiego Keyserlingka, spod której rozpościerał się widok na młyn i rozlewisko. Ignaz nie chciał, aby się tam zatrzymywali. Makabryczne wspomnienia, związane z urokliwym miejscem, nie pasowały do rodzinnego spaceru.

Gdy przecięli drogę wiodącą na Szemud i dalej na Kartuzy, otoczył ich bukowy, niemal dziewiczy las. Strome wzgórza, cisza, nastrój jak z opowiadań braci Grimm. Niespiesznie spadające liście, szum drzew, wilgotne powietrze nasycone ostrą wonią jesieni.

Wspinając się ciągle, przeszli przez Bramę Wschodnią. Gdy za Domem Annasza zamajaczyła już bryła Wieczernika, Ignaz doznał nieprzyjemnego uczucia, że nie są sami. Tak, posiadał ten instynkt, dzięki któremu kilka razy uchodził cało z życiem. Las, najbliższa okolica, były świadkiem obecności jeszcze kogoś.

Zaraz jednak berliński policjant skarcił w duchu samego siebie. Co z tego, że ktoś tu jest? Równie dobrze ten człowiek mógłby przelęknąć się ich.

Nie podzielił się swoim przeczuciem z idącymi kilka kroków przed nim kobietami, i tak zajętymi przyciszoną rozmową.

Nagle przystanął.

Oto nie samą alejką wiodącą do kaplicy, ale obok, po puszystym dywanie liści, biegły dwie istoty podobne do elfów. Wokół nich unosiła się znad parującej ziemi mgiełka.

Ignaz zamrugnął powiekami. Obraz jednak nie zniknął, a stał się odrobinę bardziej rzeczywisty. Dziewczynki w długich płaszczykach, w identycznych kapelusikach, spod których na ramiona niespokojnie spływały długie włosy, robiły koła, niemal tańczyły, zawracały, zbaczały na wszystkie strony i śmiały się, wesołe samym faktem istnienia i tym, co je otaczało.

W dłoniach miały kijki, których wokół, w całym lesie było co niemiara. Wystarczyło schylić się do liściastego dywanu i podnieść. A potem już można było samemu lub z towarzyszką wprawiać w ruch opadłe liście zamaszystymi ruchami leśnej różdżki.

Liście, przedtem martwe, wzlatywały na wysokość dziewczynek i, ożywione przez dwa elfy, wirowały jak oszalałe w radosnym chaosie, szczęśliwe, że nieoczekiwanie jeszcze na chwilę otrzymały prawo uczestniczenia w życiu bukowego lasu.

Świadek osobliwego tańca usłyszał wreszcie śmiech, nieco przytłumiony przez gęste, mgliste powietrze. Bernadeta i pani Marta przystanąły. I one zauważyły dziewczynki. Zbliżyły się do Ignaza.

I wtedy pojawiła się trzecia postać. Mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, w czarnym płaszczu i eleganckim kapeluszu. Podeszedł do

dziewczynek, one zaś chwyciły go za dłonie i cała trójka ruszyła szybkim krokiem w stronę Wieczernika.

Z mgły od strony kaplicy wynurzyła się kolejna osoba. Braunowie i pani Sychowska najpierw dostrzegli kapelusz, fantazyjnie przekrzywiony na lewą stronę, ozdobiony bukietem kwiatów. Później kremowy płaszcz i spódnicę, wreszcie spod kapelusza zamajaczyły zarysy twarzy okolonej upiętymi czarnymi włosami stanowiącymi kontrast dla szerokiego randa kapelusza i uzupełnienie dla kwiatów go wieńczących.

Kobieta trzymała w dłoni bukiet z liści rozmaitej barwy — żółtych, rdzawych, zielonych i brunatnych.

Na widok damy dziewczynki równocześnie wzbily kijkami zanurzonymi w listny dywan wielki podwójny wir, po czym przyspieszyły kroku, ciągnąc opiekuna w stronę kobiety. On śmiał się i nie opierał swoim elfom.

Poszli razem w stronę Wieczernika. Mężczyzna wziął swoją towarzyszkę pod rękę, a dziewczynki, jedna po lewej, druga po prawej stronie pary, znów oddały się tańcowi z wirującymi za ich przyczyną liśćmi.

— To Wacław Ruszkowski — szepnęła pani Marta, choć oddalając się grupka nie mogła żadną miarą usłyszeć jej głosu. — Pracuje w fabryce pana Pokory na urzędniczym stanowisku.

— Przyszedł na rodzinny spacer, jak my. Bardzo ładnie wyglądali — zauważyła Bernadeta i przypomniała sobie, że w dzieciństwie uwielbiała garściami podnosić z ziemi jesienne liście.

— Nie powiem, przyjemny widok. Ale to wszystko nie jest wesołe — westchnęła kobieta, która o życiu mieszkańców Wejherowa wiedziała wiele. — Pana Ruszkowskiego odumarła żona. Kiedy dwa lata temu zaczął pracę w fabryce, był już sam. Ma te dwie dziewczynki, bardzo miłe stworzenia, wesołe mimo tego, że są sierotami.

Bernadeta zadumała się nad losem dzieci, ale zaraz zapytała o kobietę, która towarzyszyła mężczyźnie i jego córkom.

— A, to bardzo ciekawa historia. I romantyczna — pani Marta ucieszyła się zainteresowaniem Bernadety. — Nie uwierzycie, ale to prawdziwa arystokratka. I w dodatku rosyjska!

Kobieta zawiesiła głos, żeby wzmocnić efekt. Twarze Braunów wyrażały zaskoczenie, jakiego oczekiwała.

— Tak, prawdziwa rosyjska arystokratka. Pan Pokora sprowadził ją do fabryki. Zaopiekował się nią, był znajomym jej rodziców. Kobieta zna języki, jest wykształcona, przydaje się panu Pokorze.

— Ciekawe — zamyślił się Ignaz. — A dlaczego musi pracować, skoro jest arystokratką?

— Nie znam szczegółów, ale po „krwawej niedzieli” w Petersburgu jej ojciec musiał uciekać przed gniewem jakichś carskich urzędników. No i schronił się w Niemczech, w Saksonii. Ale umarł zaraz potem i jego żona też. Adierichina, bo tak się ona nazywa, została sama jak palec. To wszystko, co wiem. A tutaj... Spotykają się od kilku miesięcy, chodzą na spacer, dziewczynki podobno bardzo ją lubią. Jeszcze wszystko dobrze się ułoży, mówię wam! A ja znam się na takich rzeczach.

Skromna Kaplica Płaczących Niewiast stała na płaskim terenie, który zmęczeni forsowną przechadzką Braunowie i pani Marta potraktowali niczym biblijni Izraelici Ziemię Obiecaną. Stanęli na nadspodziewanie jeszcze zielonej trawie, nieco zdyszani.

Głęboki wdech chłodnego powietrza. Ignaz pomyślał, że przydałoby mu się po powrocie do Berlina trochę ćwiczeń na sali gimnastycznej mieszczącej się na tyłach budynku Wydziału Zabójstw przy Alexanderplatz. Już miał powiedzieć o tym Bernadecie, gdy nagle jego uwagę przykuł

mężczyzna odwrócony do nich tyłem. Postać, znajdująca się w odległości kilkunastu metrów od kobiet i Brauna, była przygarbiona.

Kilka sekund trwało, nim Ignaz uświadomił sobie, kim jest mężczyzna. Kiedy już wiedział, szepnął kilka słów do Bernadety i teściowej, a następnie szybkim krokiem podążył w kierunku znajomego.

— Panie komisarzu! — zawołał, czym lekko przestraszył Rüdigera Renscha.

— Mój Boże! Kochany inspektor... Tak, inspektor Braun! — wykrzyknął szef wejherowskiej policji.

Na twarzy Ignaza odmalowało się smutne zdziwienie, choć jednocześnie czuł ogromną radość na widok Renscha.

Komisarz nijak nie przypominał siebie samego sprzed dwóch lat. Błady, wychudzony, z niepodkręconymi wąsami i znacznie powiększoną łysiną. Oczy jednak, jak zawsze przymrużone, lecz żywe i błyszczące, zaszklily się na widok przybysza ze stolicy.

Uściskali się mocno.

Do komisarza podeszły też dwie towarzyszki przechadzki Ignaza.

— Pan, inspektorze, przyjechał na mój pogrzeb? Trochę za wcześnie, mam nadzieję. Tak. Chyba za wcześnie. Żeby tylko nie wypowiedzieć w złą godzinę.

— Nie! Nie na pogrzeb — gwałtownie zaprzeczył Braun. — Przyjechaliśmy na urlop. Ale co się właściwie stało, panie komisarzu? Słyszałem, że zawał...

— Już pan wie — pokiwał głową Rensch. — Zresztą, wystarczy spojrzeć. Uciekłem spod łopaty, ale sam czuję, że nie jest dobrze.

— Wraca pan jednak do zdrowia! Chodzi pan na spacer! Będzie lepiej! — entuzjazm Ignaza, czuł to sam, nie był zbyt szczery.

— A dajże pan spokój! Nie mogę nawet palić cygar. Podobno szkodzą. I nawet mi się nie chce. Poza tym Katarzyna pilnuje mnie jak strażnik z aresztu śledczego. Gdybym na takim spacerze sobie zapalił, wyczułaby natychmiast. Taki ma nos!

— Żona troszczy się o pana — zauważyła matka Bernadety.

— Tak, tak. Ale kieliszeczek mógłbym sobie wypić czasami, tego mi się akurat nie odechciało. Tymczasem doktor Schimanski zabronił kategorycznie. Czym jest w takim razie moje życie? Życiem gasnącego policjanta.

I Rensch spojrzał bezradnie na trójkę towarzyszy. A oni nie bardzo wiedzieli, jak zaprzeczyć, żeby wypadło przekonująco.

— Komisariat czeka. Pan jest potrzebny miastu i podwładnym — Ignaz uznał, że ambicja zawodowa jest tym, co w takim starym psie gończym może obudzić chęć do walki.

— Tak, do środy też tak myślałem.

— O czym pan mówi? — nie wytrzymała Marta Sychowska, zdziwiona, że czegoś nie wie.

Odpowiedziało jej głuche westchnienie. Komisarz wyciągnął z kieszeni pomietą chustkę i przetarł błyszczące kropelkami potu czoło.

— Otto Lambert.

— Słucham? — Braun pochylił głowę do przodu.

— Otto Lambert — powtórzył Rensch. — Komisarz Otto Lambert. Przysłali go w środę z rejencji, z Gdańska. Rozważają, czy nie posłać mnie na emeryturę, a on teraz pełni moje obowiązki.

— Mój Boże! — pani Sychowska nic nie wiedziała o przyjeździe komisarza.

— Na pewno wszystko wróci do zwykłego stanu, zobaczy pan — Ignaz uścisnął ramię rekonwalescenta.

— Wróci, wróci — Rensch gniewnie spojrzał w bliżej nieokreśloną przestrzeń. — Czy państwo sobie wyobrażają, że on pierwszego dnia zażyczył sobie wszystkich dokumentów z ostatnich trzech miesięcy i zamknął się z nimi na parę godzin, a potem zrobił odprawę moim ludziom, na której wytknął im, że są przygarbieni i otyli, przez co przypominają zwykłych wieśniaków? Tak! Taki to ten komisarz!

— Pańscy ludzie przygarbieni i otyli? — zdziwił się Braun.

— No, może Heinz ma wygląd wieśniaka, bo też nie żałuje sobie piwa ani golonki. A Bochentin kiedyś nie zapinał regulaminowo munduru, ale od kiedy jeździ na zaoczne studia do szkoły policyjnej w Szczecinie, dba o wygląd, nie można powiedzieć.

Arno Bochentin będzie oficerem! Berliński inspektor głośno wyraził zdziwienie, ale zawierała się w nim aprobata.

— Tak. Mój człowiek się wybija, ani słowa! Tak. Czasem ma może niewyparzony język, ale jest w nim duży potencjał.

— Pięknie! A te akta? Chyba są w porządku, drogi komisarzu?

— Ja myślę! Wie pan, czasem kogoś ostrzej przyciśniemy, z przeproszeniem drogich pań. Nie umieszcza się takich rzeczy w dokumentacji, ale na każdym posterunku tak się robi i wychodzi to społeczeństwu na dobre. Taki potem dwa razy się zastanowi, zanim znów coś głupiego przyjdzie mu do głowy. Ale żeby coś bardziej nieprzepisowego? Fałszerstwa wyników śledztw, zawyżona wykrywalność, tego u nas nigdy nie bywało.

— Komisarz mówił coś potem? Komentował jakoś dokumentację?

— Nie. Kiedy skończył, polecił Myszkowi odłożenie tych wszystkich tomów, segregatorów i teczek na miejsce. Uśmiechnął się przy tym zjadliwie. Zapowiedział na poniedziałek robocze zebranie, polecił też, żeby wszyscy dokładniej i systematyczniej używali brzytwy i proszku do

czyszczenia zębów. Pożegnał się tego pierwszego dnia słowami: „Porządek zagości w Wejherowie”. Potem osobiście przesłuchiwał dwóch sprawców burdy, trzech pijaczków i starszą kobietę podejrzaną o pokątną sprzedaż wódki niewiadomego pochodzenia. Po każdym przesłuchaniu czesał się dokładnie i mył ręce, a potem skrapiał się jakąś perfumowaną wodą. I co pan powie?

— Cóż — Braun rozłożył ręce — mogę tylko życzyć panu jak najszybszego powrotu do pracy.

— No właśnie! Z drugiej strony, to, co teraz dzieje się w ratuszu... Katarzyna mówi, że dlatego właśnie mój zawał. Ciągłe hałasy, stuki, robotnicy przychodzą i do nas na dół, rządzą się, kują ściany, przestawiają nas jak manekiny. Tak. Wie pan, jestem nieco impulsywny.

— Ależ nie zauważyłem! Słyszałem jednak wiele o przebudowie ratusza. I widziałem prace na Rynku.

— Kochany panie inspektorze, jaka przebudowa! Przecież oni zburzyli stary ratusz i prawie od podstaw stawiają nowy. Trwa to już prawie rok, a końca nie widać. Ja wszystko rozumiem, ale policja powinna mieć warunki do pracy! No, drogi panie inspektorze, na długo pan zawitał do Wejherowa?

— Niestety, tylko na dwa tygodnie — wyraziła żal pani Marta.

— A! — ucieszył się Rensch. — Więc stanowczo zdążą państwo odwiedzić nas, koniecznie! Uprzedzę moją Katarzynę, będzie nam bardzo miło. Proście chorego nie wypada odmawiać.

— Oczywiście — Ignaz skłonił głowę przed starym przyjacielem.

Chwilę jeszcze patrzyli, jak Rüdiger Rensch wolnym krokiem, wspierając się na laseczce, podąża ulicą Strzelecką w kierunku miasta. Braun pomyślał, że nic nie trwa wiecznie, nawet energia i zapal wejherowskiego

komisarza. Ale, zauważył na głos, historia duża i mała pełna jest niespodziewanych zwrotów i sprawa, która zdawała się już przegrana, może nagle przybrać nieoczekiwane korzystny obrót.

Poza tym, chociaż być może Rüdiger Rensch nie uświadamiał sobie tego, walczył dzielnie ze swoją chorobą. I z... nowymi okolicznościami.

Bernadeta ścisnęła dłoń męża, a pani Marta uśmiechnęła się serdecznie do komisarza, który odwrócił się jeszcze, by pomachać laseczką znajomym.



KONCERT

Na skrzyżowaniu ulic Gdańskiej i Wniebowstąpienia panował ruch jak za jasnego dnia, mimo że pod koniec października przed godziną osiemną jest już ciemno. W kierunku głównego wejścia do fabryki „Maschallah” podążali grupkami lub pojedynczo amatorzy śpiewu chóralnego i wszyscy zainteresowani wydarzeniem, które przerastało ramy zwykłego koncertu. Wokół zabudowań należących do Pawła Pokory unosiła się aura oczekiwania, towarzysząca zwykle tego typu wydarzeniom.

Pani Marta prowadziła za rękę Rozalkę, co chwila domagającą się od matki coraz to nowych szczegółów dotyczących koncertu. Kobieta, będąca w dobrym nastroju, w końcu zapytała córkę ze śmiechem, czy zdaje jej się, że ma do czynienia z jasnowidzką. Tuż za nimi szli dostojnym krokiem Ignaz i Bernadeta. Przed otwartymi na oścież drzwiami przepuścili parę staruszków i dwie damy olbrzymiej tuszy, wyglądające wyjątkowo nobliwie.

W prowizorycznej szatni obsługiwanej przez starszego mężczyznę z monstualnymi faworytami można było zostawić palta.

Wreszcie cała czwórka znalazła się w jasno oświetlonym korytarzu. Jego ściany zdobiły obrazy ze scenkami rodzajowymi, przedstawiającymi a to plantacje tytoniu, a to egzotycznych smagłoliczych robotników układających do suszenia aromatyczne ziele, a to pracownice fabryki pochylone nad produkcją cygar i papierosów. Osobną kategorię stanowiły plakaty reklamujące najpopularniejsze marki wejherowskiej fabryki — Havanillos, Universal, Polarstern, Jan Sobieski.

Nie było czasu, aby przyrzeć się osobliwej dekoracji ścian, bowiem Ignaz, który zerknął na zegarek, stwierdził, że najwyższa pora, aby zająć miejsca na sali, znajdującej się w końcu korytarza.

Jak na pomieszczenie będące częścią fabryki w niewielkim mieście, sala sprawiała imponujące wrażenie. Ozdobne żyrandole rzęsiście oświetlały wnętrze. Większość pomieszczenia zajmowały krzesła obite zieloną materią. Na końcu umieszczony był półmetrowej wysokości podest, do którego prowadziły trzy schodki. Nad nim, wysoko na ścianie ozdobionej świerkowymi girlandami, wisiał duży drewniany krzyż.

Zwolna zapełniły się wszystkie krzesła. Publiczność płci obojga i w najrozmaitszym wieku spoglądała ciekawie po sali, szukając znajomych. Nad pomieszczeniem unosił się charakterystyczny szmer przyciszonych rozmów, przesuwanych krzeseł, niekiedy przytłumione kasznięcie świadczyło o rozpoczęciu się sezonu wzmożonych zaziębień.

Minęła osiemnasta, co obwieścił wielki zegar stojący w kącie sali. I w tym momencie boczne drzwi nieopodal sceny otwarły się. Na podest wolnym krokiem wkroczyły, jedna za drugą, artystki. Trzydzieści jeden członkiń fabrycznego Towarzystwa Śpiewaczego ubranych było jednakowo. Granatowe spódnice, białe bluzki ozdobione upiętymi pod szyją chustkami opadającymi na piersi, których wdzięczne kształty uwypuklały gorsety.

Każda z pań trzymała w dłoniach zeszyt z nutami i tekstami pieśni. Niekiedy zerkały na widownię, skupione, spokojne, świadome pracy wykonywanej podczas długich tygodni prób. Znały zresztą polskie pieśni na pamięć, śpiewały je w fabrycznych salach, aby godziny spędzane na produkcji cygar i papierosów mijały szybciej i weselej.

Za paniami wszedł dyrygent. Staromodny surdut spływał po szczupłej, wysokiej postaci dzierzającej w kościstej ręce batutę niczym wodzowską buławę.

Kiedy już śpiewaczki ustawiły się w trzech rzędach, środkiem sali weszła rodzina Pawła Pokory. Pani Marta co rusz nachylała się na obie strony, raz do Bernadety i Rozalki, raz do Ignaza, informując, kto właśnie przechodzi obok nich.

Przodem szła Konstancja Pokorowa. Energiczna kobieta nieco po czterdziestce, ubrana skromnie, choć z wyszukaną elegancją, prowadziła za rękę Annę, mniej więcej sześćioletnią, najmłodszą latorośl, ciekawie rozglądającą się na obie strony, po kolejno mijanych rzędach zajętych krzesel. Za nimi podążali Roman, Stefan i Alfons, synowie właściciela fabryki, kilkunastoletni chłopcy. Jedyne Roman, poważny, zamyślony, wyglądał już jak mężczyzna, pozostali mieli w sobie więcej z chłopców. Stefan trzymał w dłoniach duży zeszyt i dwa ołówki, a Alfons szukał wzrokiem pewnej nieco od siebie starszej panny, w której mniej więcej od tygodnia był śmiertelnie i nieszczęśliwie zakochany. Pochód zamykała panna Rozalia, siostra Pawła, postawna brunetka z niesfornymi lokami, dumna, że brat ma tego dnia wielkie święto.

Wejście rodziny fabrykanta sprawiło, że ściszone rozmowy ucichły, wzmogło się natomiast szorowanie krzesłami o parkiet. Gdy jednak żona z dziećmi i siostra bohatera uroczystości usiedli na swoich miejscach,

wszystko ucichło. Oto bowiem w bocznych drzwiach, którymi wcześniej weszły panie z Towarzystwa Śpiewaczego, stanął Paweł Pokora.

Spojrzał wzruszony na pełną salę, zaczerpnął w płuca haust powietrza i lekkim krokiem wszedł po schodkach na scenę.

Przed publicznością stał mężczyzna potężnej postury. Oddychał szybko, twarz miał lekko zarumienioną z emocji. Jego oczy, bystre, głęboko osadzone, błyszczały spod krzaczastych brwi wesołymi ognikami. Wydatny nos poruszał się delikatnie, chłonąc zapachy zabójczej mieszaniny perfum rozsiewanych przez damy siedzące na widowni. Ale czuł w powietrzu coś jeszcze — jakąś bezwoną, dodającą skrzydeł elektryczność, której nie mogło zastąpić nic innego.

Śniada cera osobliwie kontrastowała z siwymi, krótko obciętymi włosami, których już niewiele zostało nad wypukłym czołem, i z wąsami oraz bródką, takimi samymi, jakie kiedyś ujrzał na rycinach przedstawiających króla Zygmunta III Wazę, kiedy to matka, Justyna, uczyła go historii Polski.

Paweł Pokora, podobnie jak jego żona, ubrany był z wytworną prostotą. Żadnych zbędnych ozdóbek. Czarny frak, śnieżnobiała koszula i także mucha.

— Niech mi wolno będzie wyrazić radość wobec Szanownych Państwa — huknął mocnym głosem — z powodu przybycia w nasze skromne progi tak zacnej i licznej publiczności. Cieszę się ogromnie, że przybyliście państwo na uroczystość poświęconą sztuce śpiewaczej i wydaniu skromnej książeczki, która jednak zawiera w sobie potęgę ducha polskiego.

— Mamusiu, dlaczego ten pan tak głośno mówi? — wyszeptwała Rozalka.

— Żeby wszyscy usłyszeli. Dobrze, że ma donośny i niski głos. A przy tym raduje się bardzo — wytłumaczyła córce pani Marta.

— Ale z czego?

— Bo to święto pieśni polskiej, a ten pan się do tego przyczynił.

— Aha.

— Cenię sobie wielce — mówił Paweł Pokora — obecność pośród nas znamienitych i szacownych gości! Kłaniam się nisko czcigodnemu księdzu dziekanowi Walentemu Dąbrowskiemu, który zawsze okazuje tak wiele serca wszelkim inicjatywom służącym podniesieniu cywilizacyjnemu naszej społeczności i dodaje nam otuchy, ilekroć jej potrzebujemy.

Z krzesła w pierwszym rzędzie podniósł się barczysty mężczyzna w sutannie. Zwalista sylwetka, wielka głowa, krzaczaste brwi, wszystkie te atrybuty majestatu i powagi niknęły przy dobrotliwym, promiennym uśmiechu, jakim obdarzył Pawła Pokorę i zebranych, gdy skłonił się tylnym rzędem siedzącej za nim publiczności. Odpowiedziały mu rześiste brawa.

— Dziękuję również za przybycie drogiemu sędziemu Alfonsowi Chmielewskiemu — kontynuował mistrz ceremonii — przewodniczącemu Rady Nadzorczej spółki „Kupiec”, założycielowi i dyrektorowi Banku Kaszubskiego! Bez jego pomocy i poświęcenia Polacy wejherowscy nie byłiby tym, czym są obecnie, oświeconą i coraz zamożniejszą częścią miejskiego obywatelstwa.

Sędzia z Sopotu, wysoki, ascetyczny, z siwiejącą bródką, stanowiący wizualne przeciwieństwo uhonorowanego chwilę wcześniej proboszcza fary, skłonił się z pewnym zawstydzeniem. I on przywitany został z entuzjazmem.

Twarz wejherowskiego fabrykanta promieniała. Pozwolił przebrzmieć ostatnim oklaskom. Znowu zaczerpnął powietrza i tym razem z nutką refleksji, zaczął opowieść.

— Dostojna, szanowna publiczności! Palenie i śpiew należą prawie tak samo do siebie jak palenie i radość. Skoro chmurki niebieskie powoli

w górę się wznoszą i częstokroć różne dziwaczne przybierają kształty, rosną, a wreszcie wniwecz się obracają, i fantazja się ożywia, pożąda zadowolenia i orzeźwienia duchowego. Wtedy to rozbrzmiewa śpiew. Dźwięczne tony wraz z pełnym znaczenia słowem poety łączą się w jedną całość, aby ożywić i pokrzepić serce i ducha. Mianowicie nasze niezrównane piosnki polskie posiadają dla swej wzniosłej poezji wielką wartość. Jeżeli wśród sympatycznych chmurek tytoniu pieśń wesołą się zanuci, wtenczas i oko nasze jakimś żywszym zabłyśnie blaskiem, a nawet dusza obarczona troską i smutkiem na jakiś czas odetchnie i zapomina o ciężarze, który ją przygniata. Polskie śpiewki są wprawdzie każdemu znane, lecz bardzo wiele osób ich nie umie. Wobec obowiązków zawodowych i krótkich godzin wytchnienia nierzadko zapomina się o swym zamiarze nabycia na własność dobrego śpiewniczka polskiego. A gdy się znajdujemy w gronie osób, które śpiewać zaczęły, wtedy przykro nam, jeżeli zabraknie znajomości tekstu odnośnej piosnki i może tylko znane „la la” śpiewać możemy.

Tu Pokora przerwał i spojrzał na salę. Co poniektórzy goście przytakiwali i szeptali z aprobatą do sąsiadów. Bo w istocie, ilu z tych, co przybyli na koncert, znało więcej niż kilka pieśni polskich, a i to jedynie okrojonych do jednej, dwóch zwrotek?

— Z tego powodu, łącząc przyjemność z pożytkiem, kazałem zrobić ze strony powołanej zbiór naszych najużywanych, a tak ślicznych ludowych pieśni polskich. A że pieśń, nawet tak mile i starannie opracowana, zebrana i przedstawiona do śpiewu, niczem jest i martwa jest bez tych, co chętnym sercem pielęgnują ją ku ludzkiej uciechu, przeto znakomite nasze Towarzystwo Śpiewacze niemałym trudem, lecz i z talentem oraz ochotą, przygotowało na dzisiejszy wieczór uroczysty niewielki wybór tego, co się pieśnią polską zowie. Dumny jestem, że pod dachem mej fabryki pieśń

polska w tak piękny kształt ubrana zaświeci pełnem blaskiem i rozbrzmiewać będzie na kaszubskiej naszej ziemi. Szanowna publiczności! Zapraszam do wysłuchania koncertu!

— Wiwat Pokora! Wiwat! — ozwały się okrzyki towarzyszące oklaskom.

A on stał przed zgromadzonymi i kłaniał się zamasyście. Ilekroć podnosił głowę, w oczach dostrzec można było radosne błyski.

Na koniec zszedł z podestu i usiadł, szybko oddychając, obok żony, która obdarzyła go uśmiechem.

Scena należała teraz do chóru.

Przodem do publiczności stanął dyrygent we fraku spływającym do kolan.

Głęboki ukłon.

Batuta powędrowała w górę niczym sztandar. Ponownie rozległy się brawa.

I nastała cisza. Rozalka uśmiechnęła się do matki, a Ignaz do Bernadety. Dyrygent odwrócił się do chóru.

Artystki zaczęły śpiewać cicho, rzewnie. Po sali rozległa się pieśń, dumka, marzenie, a niejedna i niejeden westchnęli jak najciszej, gdy popłynęły tęskne słowa.

Blady księżyc świecił nam,

Kiedy lubą w cieniu drzew

Całowałem pierwszy raz...

Tak oboje sam na sam

Widział słowik, nucąc śpiew

I całusy słyszał las...

Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz,
Lube dziewczę ustek daj!
Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz,
Bo nie wróci taki maj!

Pocałunków przepadł czas;
Już nie wraca szczęścia maj,
Darmo nuce piosnkę swą:

Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz...

Kiedy przebrzmiały ostatnie tony piosnki, wydawało się, że nastrój nostalgii na dobre zapanował dokoła. Tymczasem pełne dramatyizmu słowa kolejnej pieśni zaczęły sprawiać, że krew żywiej poczęła płynąć w piersiach.

A kto chce rozkoszy użyć,
Musi iść w ułany służyć.
Tam rozkoszy on użyje,
Krwi jak wody się napije.

Tam mu dadzą mundur nowy,
A na mundur kij dębowy.
Tam mu każą maszerować.
Jeszcze lepiej niż tańcować.

Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie.
Koledzy go nie żałują,

Jeszcze końmi go tratuja.

Publiczność nie wiedziała już, czy żałować ułana, czy też zazdrościć mu wypełnienia straceńczego powołania. Tymczasem panie, jakby na przekór takim dylematom, wzięły się pod boki i ich twarze rozjaśniły się figlarnymi uśmiechami.

Była babulinka z rodu bogatego,
Miała koziołeczka bardzo rozpustnego,
Fik mik, fik mik,
Szwadyrydyrydy ciach, mach, ciach,
Bardzo rozpustnego!

A ten koziołeczek ten był bardzo tłusty,
Wyjadł on babuli ogródek kapusty,
Fik mik, fik mik,
Szwadyrydyrydy ciach, mach, ciach,
Ogródek kapusty!

Wzięła babulinka kijaszka małego,
Zaczęła wyganiać koziołka psotnego,
Fik mik, fik mik,
Szwadyrydyrydy ciach, mach, ciach,
Koziołka psotnego!

Dalsze losy łakomego koziołka zainteresowały szczególnie dzieci. Słysząc było głośny śmiech Rozalki, ale i innych najmłodszych widzów.

Jedna osoba zdawała się nie przywiązywać wagi do treści oraz melodyki pieśni i przyśpiewek. Stefek Pokora od dłuższego czasu,

trzymając na kolanach zeszyt, rysował poszczególne postaci z chóru, grupy śpiewających i zielone girlandy.

Tymczasem koncert trwał. Nuty wesołe, smutne, patetyczne i zwyczajne, obrazujące rodzajowe scenki z życia wiosek, na przemian ze wspomnieniem dawnej narodowej chwały, rozlegały się w sali fabryki Pokory.

Bracia Sokoły, nabierzmy ducha;
Niech siła w nas się wzmaga.
Niech przeciwności idą mimo ucha,
Inaczej dla nas zagłada.

Niech zgoda bratnia spocznie w tej dłoni!
Gdzie ciało hartu nabiera,
Niechaj niewieściuch wygodę goni,
Wzgardę niech za to odbiera.

Hej, bracie, niechaj wzrok twój sokoli
Dobiega myśli narodu,
Niech jak piorun niezgodę zwali
I zatknie sztandar przewodu.

A Pan Bóg, widząc zgodne swe dzieci,
Udzieli swego ramienia,
I w gruzach legną wszystkie rozterki,
Niezgoda złego przyczyna!

Gdy wybrzmiały ostatnie słowa pieśni, a chór z dyrygentem skłonił głowy przed publicznością, owacjom nie było końca. Dwa bisy, znów burza

oklasków, wszyscy powstali z miejsc.

Nie było już lęku o codzienne sprawy, nie było biedy, nikt nie myślał o tym, że znów nastaną szare dni, że pruska administracja ze zwyczajną skrupulatnością pilnować będzie, aby przejawy buntowniczego ducha gasić w zarodku.

Tamtego wieczoru liczyli się tylko Paweł Pokora, jego fabryka, chór, dyrygent i nade wszystko pieśni świadczące o sile uśpionej, lecz zdolnej już niedługo poderwać stroskanych, zmęczonych i zalęknionych ludzi do orlego lotu.



KULUARY

Nikt nie myślał opuszczać wnętrza rozjarzonego ciepłym światłem i przesyconego atmosferą święta.

Przed wejściem do sali ustawiony był stolik, na którym leżały stosy książeczek w twardej brązowej okładce. Dwie spośród chórzystek, nadzwyczaj urodziwe i przymilne, miały ręce pełne roboty, sprzedając nierzadko po kilka egzemplarzy jednej osobie. *Śpiewnik polski, zbiór najużywańszych piosenek różnej treści* miał być w najbliższych dniach najpopularniejszą lekturą Wejherowa. Podtytuł głosił, że książeczkę „ofiaruje swym Szanownym Odbiorcom P. Pokora, fabryka cygar, papierosów i tytoniu w Wejherowie (Neustadt Wpr.) założona 15 kwietnia 1888". Publikację wydrukowano u Pelagii Pałędzkiej w Gdańsku. Na kilkunastu ostatnich stronach widniały rysunki i opisy najpopularniejszych marek cygar i papierosów wytwarzanych w Wejherowie.

Ignaz, nabywszy dwa egzemplarze (nie zapomniał o teściu, wielkim wielbicielu cygar), wrócił do żony i teściowej. *Śpiewnik* od razu porwała w swoje rączki Rozalka i jęła go wertować. Już po chwili pani Marta i Bernadeta musiały tłumaczyć dziewczynce znaczenie niektórych

niezrozumiałych dla niej słów. „Rotmistrz”, „hart”, „niewieściuch” należały do grupy wyrazów, których objaśnianie nie stanowiło żadnego problemu, natomiast kiedy zapytała, co znaczy słowo „rozpustny”, w odniesieniu do koziołka, nastąpiła konsternacja. Braun pospieszył kobietom z pomocą, wyjaśniając, ciągle na przykładzie koziołka, że był on swawolny i nieposłuszny, zupełnie jak niektóre dzieci. Rozalka przyjęła wyjaśnienie i stwierdziła, że w takim razie i ona bywa niekiedy rozpustna, po czym sięgnęła po kruche ciasteczko, leżące na olbrzymiej paterze obok innych kruchych ciasteczek, których los, z uwagi na ilość kularowych gości, był przesądzony.

Tymczasem dookoła, w sali i prowadzącym do niej korytarzu, słychać było gwar zmieszanych ze sobą rozmów. Grupki po dwie, trzy i więcej osób dyskutowały zawzięcie, nie tylko na temat koncertu. Kupcy i sklepikarze załatwiali własne sprawy, panie mówiły o dzieciach i chorobach, a chórzystki rozchwytywane były przez co młodszych (choć nie tylko) przedstawicieli brzydszej płci.

Czego jak czego, ale odrobiny aromatycznego dymu nie mogło przy takiej okazji zabraknąć. Ignaz, sięgnąwszy do kieszeni marynarki, upewnił się, że nie zapomniał o papierośnicy. Przeprósiwszy panie, zajęte zresztą rozmową z dwiema znajomymi, ukłonił im się z galanterią, jak wypadało, i zapytał o coś grzecznościowo, lecz nie bardzo miał ochotę na dalszą konwersację. Odwrócił się, aby odejść w stronę dalszych rejonów korytarza, gdzie umieszczono popielniczki.

W tym momencie zderzył się ni mniej, ni więcej, tylko z samym Pawłem Pokorą. Zmieszał się i gotów był przeproszać jak najserdeczniej, lecz tamten zaśmiał się tubalnie.

— Nic nie szkodzi, drogi panie! Nic nie szkodzi! Pozwoli pan, że się przedstawię. Paweł Pokora!

— Niezmiernie mi miło. A jednak przepraszam za nieuwagę. Ignaz Braun.

Bernadeta, jej matka i Rozalka nie mogły nie dostrzec skutków zamieszania i przypatrywały się bacznie dalszemu rozwojowi zdarzeń. Obie znajome, urażone faktem bezceremonialnego odwrócenia się rozmówczyń w stronę mężczyzn, cofnęły się o dwa kroki.

— Ignaz Braun! Przecież ja znam pańskie nazwisko. Pan tu kiedyś przyjechał z Berlina, nieprawdaż? Zdaje się w 1900 roku?

— W 1901 — Ignaz uśmiechnął się z odrobiną zadowolenia, że zapamiętany został w Wejherowie.

— I rozwiązał pan sprawę młodego Wendersa! No przecież pamiętam, jak dziś. O, cieszę się, że wpadliśmy na siebie, bardzo mi miło.

I żelazny uścisk ręki fabrykanta, podobny do tego, jakim okazywał serdeczność Brunon Sychowski,omal nie zgruchotał delikatnej dłoni berlińskiego policjanta.

— Ależ to mi jest miło. Jestem wielkim wielbicielem śpiewu i cygar, a w pańskim pięknym świecie obie te szlachetne rzeczy połączone są tak udatnie...

— Bo bez muzyki i palenia życie byłoby smutne, drogi panie! Czy jednak znów sprowadza pana do Wejherowa jakaś mroczna sprawa?

— Boże uchroni — zaśmiał się Braun. — Przyjechałem z żoną, która pochodzi z Wejherowa, a po trosze też z Lęborka, na urlop. Mam tu teściów. Proszę wyświadczyć mi zaszczyt i pozwolić, abym właśnie przedstawił panu żonę, teściową i jeszcze pewną młodą damę.

Pokora domyślnie spojrział na kobiety przysłuchujące się ich rozmowie. Już po chwili, podczas prezentacji, kłaniał się wylewnie pani Marcie i Bernadecie, komplementując je oraz Ignaza jako słynnego pogromcę przestępców. Kiedy pochylił się do Rozalki, ta odrobinę się zawstydziała.

— Moja panno, a może chciałabyś poznać dzieci w twoim wieku?

— Może... — dziewczynka nadal była odrobinę onieśmielona, choć już zaczynała jej się podobać fantazyjna bródka fabrykanta i jego wesołe, młodzieńcze oczy.

— Spójrz, tam stoi moja córka Ania, a obok niej dwie dziewczynki, to córki pracownika fabryki, pana Ruszkowskiego. Czy państwo nie mieliby nic przeciwko, gdybym przedstawił tę młodą damę jej rówieśnicom?

— Rozalka byłaby uradowana — powiedziała pani Marta, a dziewczynka, która lubiła towarzystwo rówieśników, spojrzawszy na matkę, przytaknęła.

Wzrok Brauna powędrował w kierunku dzieci. Ruszkowski. Tak, mężczyzna spotkany na kalwaryjskich wzgórzach, Ignaz zapamiętał jego nazwisko. I te dwa elfy, które bawiły się wtedy liśćmi. „Wejherowo jest jednak małe” — pomyślał.

Tymczasem Pokora, wzięwszy Rozalkę za rękę, mimo potężnej sylwetki z wdziękiem pofrunął z nią w kierunku dzieci. Chwilę trwało przedstawianie sobie najmłodszych gości, po czym fabrykant wrócił do dwóch kobiet i inspektora.

— Bardzo miłe dziecko — powiedział. — Każdy gość jest dla mnie ważny, nawet ten najmniejszy. Choć mam nadzieję, że żadna z tych pannic nigdy nie zostanie amatorką wyrobów firmy „Maschallah”!

— Też mamy taką nadzieję — żywo, aczkolwiek z uśmiechem potwierdziła pani Marta.

— A pan, drogi inspektorze, próbował już czegoś z naszej oferty?

I tak rozpoczęła się krótka wymiana zdań na temat cygar, cygarillosów i innych dobrodziejstw, które można wyrabiać z tytoniu. Paweł Pokora miał jednak wiele taktu i nie zamęczał długo towarzystwa tematyką

niekoniecznie interesującą obie panie. Zapytał jeszcze o wrażenia z samego koncertu, interesował się również, jak goście ze stołecznego Berlina odbierają małe miasteczko w Prusach Zachodnich. Na koniec przeprosił, że musi jeszcze porozmawiać z innymi gośćmi, wyraził też nadzieję, że dojdzie do kolejnego spotkania.

— Bardzo miły człowiek — zauważyła Bernadeta.

— Jaki ujmujący! — dopowiedziała jej matka i nieco się zaczerwieniła, napotkawszy wesołe spojrzenie Ignaza.

— Ależ to całkiem naturalne spostrzeżenie — stwierdził Braun. — Pan Pokora jest w gruncie rzeczy bardzo podobny do mojego szanownego teścia. Zarówno pod względem aparycji, jak i zachowania.

„Ciekawym, czy też jest wielbicielem kolei żelaznej”, dopowiedział w myślach.

Kobieta tymczasem posłała zięciowi wdzięczne spojrzenie. Zaraz jednak, jak na troskliwą matkę przystało, zaczęła spoglądać w stronę, gdzie fabrykant zaprowadził Rozalkę.

Dziewczynek tam nie było. Pani Marta skinęła na Bernadetę i obie energicznym krokiem wyruszyły na poszukiwanie młodej damy. Ignaz, aby poszukiwanie było wszechstronnejsze, podążył w odwrotnym kierunku.

Sala nie mogła się równać z wnętrzem średniej wielkości kościoła lub auli dużego gimnazjum, niemniej liczba ludzi zgromadzonych w środku skutecznie utrudniała poszukiwania. Poza tym przed salą znajdował się duży korytarz, z którego odchodziły drzwi do toalety i części biurowej. Nikt nie mógł zaręczyć troskliwej matce, że wszystkie pomieszczenia zamknięto przed koncertem; wiedziała doskonale, że dzieci trzeba mieć na oku dzień i noc.

Intuicja matki jest rzeczą cenną. Pani Marta znalazła Rozalkę w towarzystwie Anny Pokorówny oraz dwóch córek Wacława

Ruszkowskiego, kiedy stały przed drzwiami prowadzącymi do jednego z pomieszczeń biurowych. Jednak drzwi były zamknięte, co sprawiło dzieciom zawód. Pani Sychowska podeszła do córki.

— Mamusiu, to są Ania, Ludwisia i Janeczka! Czy musimy już iść do domu?

— Nie, dziecko, jeszcze nie. Chciałam tylko sprawdzić, gdzie jesteście. Czy mogłybyście jednak, moje panny, wrócić na salę? Rodzice na pewno byliby spokojniejsi.

Dziewczynki nie wyglądały na uszczęśliwione, w tym jednak momencie zauważyły, że w ich kierunku podąża również inna kobieta.

— Jesteście tu! — ucieszyła się Wiera Adierichina.

— Ta pani mówi, że musimy wracać — żaliła się Ludwisia. — A tatuś tak rzadko zabiera nas do fabryki.

— Ta pani ma rację — uśmiechnęła się Rosjanka. Po czym gestem dłoni jakby zagarnęła Anię i dwie pozostałe dziewczynki. Pytająco spojrzała na Rozalkę, a pani Marta, już spokojna, skinęła głową.

Obie kobiety z dziećmi wróciły na salę, gdzie tymczasem rozmowom nie było końca.

— Mówię panom, naprawdę tam był — korpulentna niewiasta z zarumienionymi policzkami zawiesiła ręce w pół gestu.

Słuchający spojrzeli na siebie, potem znów na tę, która wypowiedziała jakże znaczące słowa. Jeden z nich zdążył puścić do drugiego oko i nie mógł odmówić sobie znaczącego skrzywienia ust. Jednak tamten zdawał się nie zauważać gestów ironii i pochylił się w kierunku kobiety.

— Pani Urszulo, proszę darować, ale mój rozum broni się przed tak niezwykłymi znakami. Jestem kupcem, przyzwyczailem się do suchych danych, do cyferek. Proszę mówić dalej.

— Zwłaszcza że niewielu znalazłaby pani wytrwałych słuchaczy. No, dalejże — zachęcał sceptyk.

— O, święte słowa — pani Urszula wzięła wypowiedź rozmówcy za dobrą monetę. — Każdy, kto nie widział, stuka się w czoło. A ja wiem swoje.

— Podziwiam panią szczerze.

Kobieta wzięła się pod boki, ale zaraz złożyła dłonie na piersiach. Pokiwała głową.

— Siedzimy sobie, nie dalej jak wczoraj. Jedna znajoma, dwie panie Prutenius i ja, nad stolikiem. Trzymamy się za ręce i wzywamy kogoś, kto zgodziłby się do nas przybyć. Świece się pałą, tabliczka na środku stołu, spodeczek od filiżanki...

— Wszystko jak Pan Bóg i święty Kościół przykazał — wtrącił pierwszy z mężczyzn i bez żenady trącił łokciem drugiego.

— Nagle mój Zygfryd zaczyna mówić. To znaczy spodek wędruje do literek. „Z-Y-G-F-R-Y-D”. Znaczący się, że on sam, mój mąż. A wiedzą panowie, że już dwa lata, jak mnie opuścił. Dobry był, nie powiem, a że czasami się napił, panowie pamiętają, zresztą który mężczyzna się nie napije?

— Fakt, pan Zygfryd był rzeczywiście typowym mężczyzną.

— Przestań i słuchaj — syknął w stronę kolegi kupiec o ezoterycznych skłonnościach.

— I spodek ruszał się jak zwariowany. Mąż nigdy nie był specjalnie gadatliwy, ale tym razem go nie poznawałam. A muszą panowie wiedzieć, że już niejedną raz z nim w taki sposób rozmawiałam. Ale wczoraj...!

— I wszystkie panie widziały ruchy spodka? — z nadzieją zapytał kupiec.

„Za życia to biedny Zygfryd musiał często oglądać spodki wprawiane w ruch" — pomyślał sceptyk, ale postanowił nie psuć przyjacielowi zabawy.

— I owszem! — odparła pani Urszula. — Wszystkie byłyśmy zdziwione, bo on mówił i mówił.

— O czym?

— Raczej o czym nie mówił! Poleciał mi, żebym dobrze karmiła ptactwo i żeby, zanim się je odstawi na targ, sprawdzić, po ile drób się sprzedaje. Łatwo oszukać biedną kobietę. I pytał, czy pan Pokora jest dla mnie dobry, i pani Rozalia, i wszyscy w fabryce. Powiedziałam na głos, że tak, no to on się ucieszył. Znaczący spodek powiedział, że on się ucieszył. I zależało mu, żebym wietrzyła pościel. I jeść mam chudo. W życiu tak się nie rządził! Ale wreszcie i my zapytałyśmy go o to i owo, w końcu niby dlaczego rozmawia się ze zmarłymi?

Nieboszczyk mniej chętnie „mówił" o rzeczywistości, w której przebywał. Dla pani Urszuli było to zresztą w pełni zrozumiałe, w końcu życie na tamtym świecie tylko przed wybranymi jednostkami, szczególnie godnymi zaufania Najwyższego, może być w pełni odkryte jeszcze za życia. Owszem, jest tam spokojny, nie cierpi, a nawet — tu kobieta zawahała się — zbyt nie tęskni. Jednak zdradził niewiele więcej.

— Niewiarygodne! Nie tęskni?! — sceptyk i tym razem nie mógł się powstrzymać.

— Nie — melancholijnie szepnęła pani Urszula. — Też mnie to zastanowiło. Tak bardzo chciałabym dowiedzieć się wszystkiego! Ale, widać, nie jestem wybrana. Dusze mogą odwiedzać wielu, ale szczerą rozmowa nie jest dana każdemu.

— Lecz — oczy kupca świeciły się jak u głodnego wilka — kto może naprawdę poznać za życia tamten świat? Kto może rozmawiać z duszami?

— Tego nie wiem do końca — po raz pierwszy kobieta nie znalazła odpowiedzi. — Rozumiem jednak, że muszą to być osoby bezgrzeszne, takie, które widzą więcej. Ci, którzy mają nieporównanie większe doświadczenie niż moje, mówią, że tak właśnie jest.

— Ale jak rozpoznać taką osobę?

— Są rozmaite znaki. Niewinność, dziecięcość duszy i coś, z czym człowiek się rodzi. Dobry przewodnik, dobre medium, toż to skarb! Gdyby tak dzieci, czyste i nieskalane życiem, godziły się na pośrednictwo! Nie można ustawać w poszukiwaniach. Im więcej osób szuka wybranej istoty, która może kontaktować się z tamtym światem, tym szanse są większe. I panom — zwolenniczka kontaktów z „tamtym światem” znacząco spojrzała na rozmówców — radzę baczenie przyglądać się ludziom, których Bóg postawi na panów drodze.

— Od dziś rozpoczynam te poszukiwania — sceptyk był pełen entuzjazmu. — No, może nie od dziś, bo jest już cokolwiek późno, ale od jutra ruszam w świat.

Ksiądz dziekan Walenty Dąbrowski rozmawiał z Alfonsem Chmielewskim. Sopocki sędzia, oszczędny w gestach, wyjaśniał zażywnemu duchownemu pewne szczegółowe kwestie dotyczące płynności finansowej Banku Kaszubskiego.

Konstancja Pokorowa, której towarzyszyła szwagierka Rozalia, w zastępstwie męża porwanego przez gości odpowiadała na pytania przybyłego na uroczystość dziennikarza „Gazety Gdańskiej”, który zainteresowany był przede wszystkim okolicznościami powstania śpiewnika. Panna Rozalia dorzucała niekiedy jakieś słówko na temat asortymentu oferowanego przez fabrykę, ponieważ żurnalista, pan Szczepan Kaczmarek, okazał się amatorem i znawcą cygarillosów.

Roman Pokora i jego najmłodszy brat Alfons stali nieopodal stolika, gdzie sprzedawano śpiewniki, i grzecznie kłaniali się tym, których znali, zamieniając z nimi choć słówko. Alfons, dla którego starszy brat był wzorem, starał się naśladować jego powagę i dystynkcję rozwiniętą ponad wiek. Niekiedy jednak rzucał okiem na wybrankę swego serca, brylującą w towarzystwie innych osóbek w swoim wieku.

Stefan nie rozstawał się z ołówkami i kartami. Siedział na krzeselku umieszczonym w kącie i zawzięcie rysował panie i panów obecnych na sali. Matka, która od paru miesięcy bacznie obserwowała jego zainteresowania, żywiła nadzieję, że zamiłowanie syna do sztuk pięknych minie jak wiele rzeczy, które zajmują chłopców w jego wieku.

Dwie nobliwe a korpulentne panie żywo gestykulowały. Dyskutowały o koncercie: czy stroje śpiewaczek były odpowiednie, czy dobór pieśni i piosenek trafny; wreszcie zgodziły się, że takie wydarzenia powinny mieć miejsce częściej.

Para staruszków, która przekroczyła progi królestwa Pokory na chwilę przed nobliwymi niewiastami, nie rozmawiała o niczym. Stali sobie cichutko pod ścianą i obserwowali salę. W ich życiu nie było już miejsca na jakieś wybujałe formy aktywności, natomiast mając na co dzień tak niewiele okazji do przyglądania się bliźnim, wszystkimi nieco przytępiionymi zmysłami chłonęli atmosferę tłoku, gwaru i przemieszania rozmów.

Paweł Pokora nie miał chwili wytchnienia. Kilka razy udało mu się podejść do żony i powiedzieć coś miłego, zaraz jednak odrywano go od niej i zasypywano komplementami bądź pytaniami.

Rozalka Sychowska w towarzystwie Ani Pokorówny oraz Ludwisi i Janeczki Ruszkowskich czuła się znakomicie. Dziewczynki szczebiotały jedna przez drugą na temat zabawek, potraw, których się nie lubi, i zajęć

szkolnych. W końcu Ludwisia zauważyła, że mogłyby spotykać się częściej i że koniecznie będzie trzeba porozmawiać o tym ze starszymi.

Wiera Adierichina stała przy Waławie Ruszkowskim. Niekiedy rzucała krótkie spojrzenie w stronę dziewczynek, a on podążał za jej wzrokiem. Potem znów ich oczy spotykały się. W zachowaniu pary nie było rozgorączkowania, jakie stało się udziałem większości zgromadzonych. Starali się nie wzbudzać zainteresowania postronnych.

Temat wyczerpał się. Pani Urszula westchnęła głośno, a jej rozmówcy usłyszeli wszystko, co zamierzała im powiedzieć. Kupiec chętnie zadałby jeszcze kilka istotnych pytań, ale sceptyk podziękował grzecznie kobiecie za tyle frapujących informacji o zaświatach i szepnął towarzyszowi, że chciałby z nim jeszcze poruszyć kilka kwestii ważnych dla życia codziennego, doczesnego. Łączyły ich bowiem interesy.

Żadne z tych trojga nie zorientowało się, że świadkiem rozmowy był pewien stojący niedaleko mężczyzna. Przysłuchiwał się z uwagą rewelacjom głoszonym przez kobietę. Kiedy aura spraw ostatecznych uleciała pod rzęsiście oświetlony sufit sali, on stał jeszcze i rozmyślał nad zawłościami duszy ludzkiej.

— Musimy częściej chodzić na koncerty — stwierdziła Bernadeta, zdejmując okulary.

— Już kilka razy obiecaliśmy sobie takie „bywanie” i jakoś nic z tego nie wyszło — głos z pościeli zdawał się przepojony melancholią.

— Takie rzeczy należą do mężczyzny, chyba że się mylę... — Kobieta rozpuściła włosy, które spłynęły bujną falą na peniar koloru kości słoniowej.

Ignaz obserwował w lustrze toaletki, ustawionym pod całym odpowiednim kątem, twarz żony.

— Wiesz, jaką mam pracę. Tak ciężko coś zaplanować.

— Prawda. To może nie planujmy. — Bernadeta odwróciła się szybko, a ciężar jej piersi z lekkim opóźnieniem powędrował za tułowiem. — Jeśli będziesz miał wolne, szybko sprawdzimy w gazecie repertuar teatru czy filharmonii. Odrobina improwizacji nie zaszkodzi.

— Jak zwykle masz rację. Chodź już do łóżka, jest późno.

Zgasła małą lampkę naftową i po omacku trafiła pod ciepłą kołdrę. Ignaz pomyślał, że w takich sytuacjach rozdział każdej porządnej edwardiańskiej powieści musi się kończyć.



HIOB

Wczesne poniedziałkowe popołudnie zapowiadało się całkiem przyjemnie. Wacław Ruszkowski również nie miał tamtego dnia powodów do narzekania i cieszył się każdą minutą.

Przed godziną wrócił z pracy. Kiedy ostatni raz wychodził z fabryki o dwunastej? Właściwie nie pamiętał, żeby przydarzyło się to kiedykolwiek. Zawsze był potrzebny panu Pokorze i Rozalii. Stanowisko głównego księgowego w zakładzie zatrudniającym ponad trzysta osób wymagało wyrzeczeń, chociaż zarobki były wprost proporcjonalne do dyspozycyjności i odpowiedzialności, jakimi musiał się wykazywać. Od miesiąca było go stać na zatrudnienie pokojówki i kucharki w jednej osobie, pani Lachs. Konto w Banku Kaszubskim, jeszcze może niezbyt imponujące, stanowiło coraz większy powód do radości, ponieważ systematycznie powiększała się jego zawartość, mimo wcale nie najmniejszych wydatków na bieżące utrzymanie córek i jego samego.

Okolo jedenastej, gdy siedział nad segregatorem, w którym przechowywano dokumentację sprzedaży do rejencji kwidzyńskiej za kończący się październik, do księgowego pokoju wszedł Paweł Pokora.

Przywitał się z Ruszkowskim i usiadł naprzeciwko. Pracownik, mimo że przyzwyczajony do takich wizyt, skupił wzrok na pryncypale.

Za plecami właściciela fabryki stała wielka szafa, zapełniona archiwalnymi papierami firmy „Maschallach”. Mebel przez lata stanowił znakomite pożywienie dla korników, a zawiasy przy otwieraniu skrzypiały niczym wrota w starym zamczysku, jednak Pokora nie chciał pozbyć się szafy. Miał do niej stosunek wielce sentymentalny, ponieważ towarzyszyła mu, gdy jeszcze w Gdańsku otwierał niewielką przetwórnę tytoniu. Przez cały czas istnienia fabryki, aż do teraz, była częścią jej wyposażenia. Nic nie zapowiadało, aby w przyszłości miał spotkać ją los właściwy użytym meblom.

Z kolei do pleców Ruszkowskiego prawie przylegał otwarty regał z segregatorami. Gdyby księgowy chciał gwałtownie odsunąć krzesło, na którym siedział, oparcie z pewnością zderzyłoby się z regałem.

Pryncypał spojrział przez okno. W oglądzie ulicy Gdańskiej nieco przeszkadzały doniczki z kwiatami, ustawione rządkiem na parapecie. W dodatku nad dwuosobowym biurkiem świeciła lampa, której światło sprawiało, że to, co działo się za oknem, zdawało się jakby przysłonięte szarą kurtyną.

Skądinąd Pokora nie przyszedł do księgowego pokoju, aby patrzeć przez okno. Przyszedł do pracownika.

— Panie Waławie — zaczął wesoło.

— Słucham, panie dyrektorze.

— Jest pan sumiennym pracownikiem. Niejednokrotnie zmuszony był pan do dłuższego pozostawania w pracy. Bywało, pamiętam, że i po dwudziestej pierwszej ślęczał pan nad papierami. Nie dalej, jak tydzień temu, o właśnie!

Rytualny, choć zawsze ceniony, poczęstunek. Ruszkowski chętnie go przyjął. W wielkiej dłoni Pokory i drobniejszej księgowego pojawiły się papierosy roman czerwony. Ulubiony gatunek fabrykanta. Krótki syk zapalającej się zapałki. I zaraz błękitny dym oplatający zawieszoną nisko lampę.

Ruszkowski był przekonany, że wie, co za chwilę usłyszy. Znów zostanie dłużej. Trudno, przyzwyczał się, zresztą pryncypał ma szeroką rękę do premii. Jeśli i tym razem o niej nie zapomni, Wacław kupi coś ładnego dziewczynkom i Wierze.

— Za to dzisiaj będzie pan miał możliwość wcześniejszego powrotu do domu.

— Proszę?

— A tak, dobrze pan usłyszał. — Pokora wyprostował się na krześle i z zadowoleniem obserwował zdziwienie pracownika. — Otóż ja muszę wyjechać z Rozalią poza Wejherowo, wrócimy nie szybciej niż przed dwudziestą. Tymczasem, jak pan dobrze wie, trzeba dziś w banku załatwić sprawę kredytu na maszyny nowego systemu, napędzane motorem gazowym.

— Oczywiście, telefonowałem do nich w tej sprawie kilka dni temu — potwierdził Ruszkowski.

— I właśnie pana poprosiłem o załatwienie tej kwestii. Ja potem podpiszę wszystko, co należy, ale słowo to słowo, czekają dziś na nas. Ma pan przecież moje pisemne pełnomocnictwa, proszę je zabrać. No, sam pan najlepiej się orientuje, jak to wszystko należy sfinalizować. Przecież nie poślę nikogo innego. A potem nie musi pan już wracać. To nie powinno zająć dużo czasu, projekt umowy jest przecież wstępnie przygotowany. I do domu! Nawet księgowemu należy się trochę przyjemności. I dziewczynki się ucieszą!

Ruszkowskiemu oczy zaświeciły się z radości. Tak, Ludwisia i Janeczka też się cieszą! Były w wieku, kiedy ojciec jest najlepszym przyjacielem. Radowały się na każdą niedzielę, kiedy miał dla nich czas. Chodzili wtedy z Wierą na spacer, wymyślali różne mało poważne zabawy i było im z sobą dobrze. A dzisiaj... Niespodziane chwile radości są najprzyjemniejsze.

— Dziękuję, panie dyrektorze. Wszystkiego dopilnuję, będzie pan zadowolony.

— I bardzo dobrze! — Pryncypał podniósł się i potrząsnął dłonią księgowego. — No, na mnie już czas!

Siedział nad dokumentami. Formalności w banku załatwił, jak przewidział fabrykant, szybko.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały wesołe głosy Ludwisi i Janeczki. Ze szkoły przyprowadziła je pani Lachs. Starsza kobieta, wprawdzie utykająca, miała jednak niespożytą energię. Do południa przygotowała dwudaniowy obiad, który niedawno Ruszkowski zjadł wspólnie z córkami.

Dziewczynki chciały, żeby ojciec zajął się nimi od razu po spożyciu posiłku. Niestety. Na następny dzień trzeba było jeszcze przejrzeć nieco dokumentów, koniec miesiąca to zawsze okres zamykania wielu spraw i księgowy wiedział, że jeśli nie zajmie się tym teraz, będzie musiał zostać w pracy nazajutrz po godzinach, a przecież obiecał dziewczynkom spacer na oba cmentarze, katolicki i ewangelicki, w okresie bezpośrednio poprzedzającym dzień Wszystkich Świętych. Ludwisi i Janeczce bardzo podobała się podobna eskapada rok wcześniej i koniecznie chciały ją powtórzyć. Lubiły, tak jak i on, chodzić pośród osób krzątających się przy grobach bliskich. Widok świeczek palonych na mogiłach, zwłaszcza gdy zaczynało szarzeć, wprawiał ich w niezwykajny nastrój. Tak, należało

jeszcze nieco przysiąc nad papierzyskami, żeby jutro i pojutrze mieć więcej czasu.

Zresztą groby jego rodziców i dziadków znajdowały się daleko, a matka dziewczynek... Nie mogą, nie powinni wykluczać się ze społeczności pamiętających o przeszłości swej i swego otoczenia. Tego także należało uczyć córeczki od najmłodszych lat.

— Panie Waławie — usłyszał nad sobą, gdy właśnie miał zamiar zająć się sprawdzaniem faktur za brzozowe tabakierki z rzeźbionymi obrazkami, na które, mimo ceny, popyt wzrastał z każdym miesiącem.

— Słucham, pani Lachs.

— Pan i dziewczynki po obiedzie. Wszystko pomyte, za godzinę zrobię jeszcze pranie bielizny, potem przygotuję podwieczorek, kakao i racuszki. Czy teraz potrzebuje pan czegoś?

— Nie, nie, kawę mam, popracuję jeszcze — Ruszkowski uśmiechnął się do kobiety.

— A to i dobrze. Bo mnie głowa boli strasznie, jak nigdy, wezmę proszek i położyłabym się. Bynajmniej nie na długo, za godzinę wstanę.

— Oczywiście, niech pani odpocznie. Proszę wziąć ten proszek i zamknąć oczy.

— Dziękuję — pani Lachs skłoniła głowę i już jej nie było.

Wrócił do faktur. Kawa pomagała w pracy. Wypijał jej dużo. Musiała być mocna, z tłustą śmietanką, lecz bez cukru. Odruchowo sięgnął dłonią po filiżankę, nie patrząc na stolik. Znów porządny łyk, ciepło przyjemnie rozeszło się po ciele.

Zegar wybił trzy razy. Piętnasta.

Jak na zawołanie, wpadły do pokoju dziewczynki.

— Tatusiu, kiedy skończysz pracować? — z odrobiną niecierpliwości zapytała Janeczka i obie z napięciem zaczęły wpatrywać się w ojca

pochylnego nad papierami.

Z czułością spojrział na córkę. Janeczka była młodsza, ale bardziej ruchliwa. Jasne włosy niesfornie spływały na czoło, uciekając kremowej kokardzie. Doczepiany kołnierzyk sukienki koloru błękitu nieznacznie się przekrzywił. Dziecko oddychało szybko, jak w chorobie, policzki były zaróżowione. Janeczka rzadko jednak chorowała, a pobudzenie stanowiło u niej stan naturalny i efekt przebywania w nieustannym ruchu.

— Jeszcze trochę, przepraszam was. Ale wytrzymajcie. Z półtorej godzinki i będę cały wasz!

— Tyle czasu? — Usta Janeczki zamieniły się w podkówkę. — To za długo!

— Nie bądź dzieckiem — powiedziała do siostry Ludwisia. — Tatuś powiedział, kiedy skończy, i na pewno dotrzyma słowa.

— Dotrzymam — uśmiechnął się Ruszkowski do starszej córki, która wzięła siostrę za rękę. Usiadły na kanapie, biorąc do rąk „Mały Świątek”, egzemplarz lwowskiego pisma, skierowanego do dzieci w ich wieku.

Ludwisia nie pozwoliłaby sobie na bycie zadyszana i zaróżowiona, to nie licowałoby z wizerunkiem przykładnej panienki, jaki zaczynała w sobie pielęgnować. Pomijając wiek, była masywniejszej niż Janeczka budowy ciała. Lubiła sukienki ciemnej barwy, najbardziej bordowe, także płaszczyki, kapelusiki i kokardy, które wiązała sobie sama, zawsze bezbłędnie i równo.

Przez chwilę panowała cisza, tak jakby dziewczynek nie było w pokoju. Tylko szelest przewracanych kartek świadczył o ich obecności. Ruszkowski oddał się całkowicie studiowaniu dokumentów.

Dzieciom jednak szybko sprzykrzyło się wertowanie pisemka. Zaczęły szeptać między sobą. Na koniec Janeczka podeszła na palcach do ojca i delikatnie chwyciła go za mankiet bonżurki.

— Tatusiu!

— Tak, dziecko... — Ruszkowski nie odrywał oczu od faktur.

— Jesteś bardzo zajęty?

— Bardzo — spojrzał znad papierów na dziewczynkę w niewidzącym zamyśleniu.

— A my nie chcemy ci przeszkadzać.

— Wspaniale. Pobawcie się, już niedługo.

— A kiedy przyjdzie ciocia Wiera?

— Za godzinę, może później.

— Bo widzisz, jest jeszcze jasno. Możemy pobawić się na dworze?

— Macie przecież w swoim pokoju dużo zabawek, niedługo zacznie się zmierzchać.

Janeczka teatralnie wzięła się pod boki, tak jakby ojciec nie rozumiał rzeczy najprostszyc pod słońcem.

— Ale my wolimy na dwór. Tam są liście. I przychodzą koty sąsiadów, a z nimi można się powygłupiać. A z drzewa ciągle jeszcze zlatują kasztany i od razu się rozłupują. Nazbieramy ich dużo i będziemy wieczorem robić osiołki i krówki. I pomożecie nam.

— Duże panienki nie powinny się wygłupiać! — zaśmiał się Ruszkowski i spojrzał na Ludwisę, jakby szukał u niej poparcia, ale starsza córka patrzyła na niego prosząco. Zrozumiał ją bez słów.

— No dobrze. Ale wróćcie, jak tylko zacznie się robić szaro. Zresztą poproszę panią Lachs, jak tylko wstanie, żeby miała was na oku. Pamiętajcie, macie zostać na podwórku. Kiedy przyjdzie ciocia Wiera, pomożemy wam z tymi kasztanami, obiecuję.

Dziewczynkom nie było trzeba powtarzać. Wycalowały ojca i po chwili został sam. Wyobraził sobie, jak we czwórkę zasiądą nad stołem

zapełnionym kasztanami. On naostrzy zapalki i zaczął zabawę w Pana Boga, powołując do istnienia nie tylko osiołki i krówki, ale również gatunki zgoła dotąd nieznanne specjalistom z zakresu historii naturalnej.

Znów zrobiło się cicho. Ruszkowskiemu ciężko się pracowało, gdy wokół panował gwar. Dopił kawę i zapalił papierosa. Po raz nie wiadomo który wrócił do dokumentów.

— Pan księgowy śpi nad fakturami. Oj, nieładnie. Z wysiłkiem otworzył oczy i ujrzał tuż przed sobą twarz Wiery. Białe zęby ukazane w figlarnym uśmiechu mocno kontrastowały ze śniadą cerą i kruczoczarnymi włosami upiętymi na czubku głowy.

— Wiera... — chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliły mu jej usta. — Dobrze, że jesteś. Zdrzemnąłem się chyba — szepnął usprawiedliwiająco, kiedy już trochę nasycił się pocałunkiem. — Która godzina?

Wiera spojrzała na zegar.

— Piętnaście po szóstej.

— Nie wiem, kiedy zasnąłem. — Wacław wyprostował się na kanapie. — Dziewczynki u siebie, prawda?

— Jak to: u siebie?

— Zwyczajnie, miały pobawić się na podwórku i wrócić przed zmierzchem.

— Nie ma ich tam, zajrzałam. Pewnie są w kuchni z panią Lachs. Nie zdążyłam wejść do kuchni. — Wiera szybkim ruchem odwróciła się w stronę drzwi i zaraz zniknęła.

Księgowy z niedowierzaniem spojrzał na papiery. Nie zdążył sprawdzić wszystkiego. Co za dzień!

— Ludwisia! Janeczka! Dziewczynki! — usłyszał przygłuszony odległością głos kobiety. — Ludwisia! Janeczka!

Wstał z kanapy. Do salonu wpadła Wiera.

— Gdzie one są?!

— Pewnie jeszcze na podwórku. Mówiłem im, żeby tak długo tam nie zostawały! Jeszcze się zaziębią.

— Idę po nie — kobieta nie potrafiła ukryć zdenerwowania — ale nie widziałam ich, kiedy tu szłam.

Znów został sam. Zdążył już całkowicie się rozbudzić. Pobiegł do pokoju dziewczynek, jakby nie dowierzał kobiecie. Ale dziecinny salonik był pusty. Wpadł do kuchni. Nic, nawet pani Lachs gdzieś się zawieruszyła, a przecież miała upiec racuszki. Przedtem zamierzała robić pranie. Zawsze wtedy hałasowała, na pewno zbudziłby się, przecież tylko drzemał.

Służbówka. Wierze nie przyszło do głowy, że dzieci mogły pójść do pomieszczenia zajmowanego przez pokojówkę, czasami tam przesiadywały, a ona opowiadała im różne dziwne historie o duchach. Nie, usłyszałyby wołanie, zresztą Wiera na pewno i tam zdążyła zajrzeć.

— Pani Lachs! — krzyknął i mocno zapukał w zamknięte drzwi. — Pani Lachs, proszę otworzyć!

Ze środka nie dobiegł żaden głos. Ruszkowski nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

W służbówce było ciemno. Jednak światło palące się w przedpokoju rozjaśniało wnętrze. Dostrzegł zarys postaci leżącej na łóżku.

Jednym susem stanął przy kobiecie. Szarpnął ją za ramię. Lekko się poruszyła. Potrząsnął mocniej.

— Pani Lachs! Co się dzieje! Co pani jest?!

Kobieta jęknęła przez sen. Kolejne szarpnięcie zaczęło przynosić skutek.

— Co...? Co się stało...? Pan Waclaw? Gdzie jestem?

— Do licha, jest pani w swoim łóżku. Spała pani jak zabita. Miała pani wstać wcześniej. Gdzie są dziewczynki?

— A dlaczego pan pyta?

— Co za pytanie! Bo nigdzie ich nie ma!

— Szukał pan dobrze? — kobieta siadała na łóżku.

— Pani Lachs!

— Przepraszam... Boże, jak mnie boli głowa, nie wiem, co się dzieje.

— Pani Wiera poszła na podwórko, może tam jeszcze są. Idę do niej, a pani niech spróbuje wstać. Wzięła pani ten proszek?

— Tak. I zasnęłam. Boże, Boże!

Zalękniony ojciec nie słyszał już ostatnich słów. Nie założywszy palta ani kapelusza, wybiegł na zewnątrz.

Dom, w którym mieszkał z córkami, stał przy ulicy Gdańskiej, około dwustu metrów od fabryki Pawła Pokory w stronę Bramy Oliwskiej. Przed domem, dzięki latarniom, było widno, prawie jak w dzień.

Rozejrzał się na obie strony. Wokół pusto.

Obiegł dom i znalazł się na podwórku. Wpadł na wracającą Wierę.

— Nie ma ich! — krzyknęła.

— Sprawdziłaś wszędzie? — zapytał nierozsądnie. Ale rozsądek był ostatnią rzeczą, jaka wtedy rządziłaby jego umysłem. — Pani Lachs ledwie żywa. Rany Boskie, nie wiem, co się stało. Ludwisia! Janeczka! — krzyknął z całych sił.

Wiera chwyciła go mocno za rękę.

— Tak. Wszędzie zajrzałam. Musiały pójść w stronę miasta. Zresztą nie wiem, może raczej w dół Gdańskiej. Albo na Wniebowstąpienia? Jest tyle możliwości — kobieta zdawała się bezradna. Zaraz jednak odzyskała zimną

krew. — Trudno, musimy się rozdzielić. Ja idę w stronę Bramy Oliwskiej, ty do miasta. Musimy wołać cały czas.

Mężczyzna wiedział, że zrobi tak, jak ona chciała. Od razu przyjął na siebie rolę wykonawcy poleceń. Wiera potrafi zachować zimną krew.

— Zaczekaj! — dogonił go głos kobiety. — Zajrzyj do domu i powiedz pokojówce, żeby pod żadnym pozorem nie wychodziła. Ktoś musi być na miejscu, jeśli wrócą!

Podążyli w przeciwne strony. Przez chwilę jeszcze nawzajem słyszeli swoje nawoływania. Jednak coraz bardziej rozpląwały się w gęstniejącej mgle i skrywały za rogami domów.

Niekiedy za Wierą lub Ruszkowskim oglądał się zdziwiony przechodzień. Pytany o dziewczynki, rozkładał bezradnie ręce.

Tymczasem pani Lachs chodziła po całym mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Głowa jeszcze ją bolała, ale nie zwracała uwagi na uporczywą dolegliwość. Była na siebie wściekła. Spała jak zabita, a w tym czasie dziewczynki zniknęły!

Zdążyła przywiązać się do Ludwisi i Janeczki. Czasem ofuknęła je, jeśli dokazywały, zwłaszcza Janeczce dostało się parę razy, chociażby gdy zbiła drogi wazon albo gdy za bardzo drażniła się z psem sąsiadów. Ojciec przyznawał wtedy rację gospodyni, sam nie mając dostatecznej siły, aby ukazać córkom surowe oblicze. Jednak pani Lachs cieszyła się, że może odprowadzać Ludwisię i Janeczkę do szkoły, przychodzić po nie, gdy zajęcia się kończyły, że może robić dla nich wszystkich zakupy i krzątać się potem po kuchni, przygotowując posiłki i słodkie smakołyki.

Dziwiła się tylko, że pan Ruszkowski zainteresował się Rosjanką. Jak to tak, mało jest statecznych panien lub wdów w samym Wejherowie, uczciwych i spokojnych, a nade wszystko pracowitych Niemek?

W ostateczności Polka, Kaszubka też mogłaby zostać przez panią Lachs zaakceptowana, oczywiście po pewnym czasie, kiedy doświadczona niewiasta uzyskałaby pewność, że tamta nie skrzywdzi dziewczynek ani nie oszuka jej chlebodawcy.

Rosjanka... Opowiadano, zresztą potwierdziła to sama Adierichina, że pochodziła z rodziny, wprawdzie ustosunkowanej i herbowej, która zbuntowała się przeciwko carowi po „krwawej niedzieli” w Petersburgu. Pani Lachs niewiele wiedziała o carze, ale wydawał się jej bardzo przystojny, miał miłą i dostojną żonę oraz ładne dzieci. Najistotniejsze, że był głową państwa, w dodatku tak ogromnego! Jakże można występować przeciw władzy?! Kobieta pochodziła z rodziny kaszubsko-niemieckiej, ale wyszła za mąż za dzielnego żołnierza, który oddał życie za ojczyznę w słynnej bitwie z Francuzami pod Gravelotte. Nigdy już nie wyszła za mąż i pielęgnowała pamięć o bohaterskim patriocie, a w trzydziestą rocznicę bitwy dostała nawet pamiątkowy dyplom z samego Berlina, z ministerstwa. Przechowywała też Krzyż Żelazny I klasy, jaki mąż otrzymał pośmiertnie, i często otwierała obite zamszem pudełko, z rozrzewnieniem wpatrując się w odznaczenie.

A tutaj kobieta należąca do buntowniczej rodziny, w dodatku cudzoziemka! Wiele musiało czasu upłynąć, aby pani Lachs zaczęła z wolna przyzwyczajać się do Wiery. Nigdy pewnie nie będzie mogła zaufać jej do końca, ale skoro dziewczynki ją lubią, a pan Waław światu poza nią nie widzi... Rosjanka zresztą sprawiała wrażenie, jakby cały jej świat skurczył się do mieszkania przy ulicy Gdańskiej i jej lokatorów. Często sama przyrządzała swoje narodowe przysmaki, z zabawnym zaśpiewem opowiadała dziewczynkom dziwne bajki, tak odmienne od niemieckich, i patrzyła na pana Waława w taki sposób, że niekiedy gospodyni czuła się cokolwiek zawstydzona.

Słyszała, jak Janeczka pytała ojca, kiedy ożeni się z ciocią Wierą. Ludwisia w kilka dni potem zadała Ruszkowskiemu to samo pytanie. On uśmiechał się wtedy i głaskał dziewczynki po główkach. „Dałby Bóg”, usłyszała pani Lachs w odpowiedzi na pytanie Janeczki. „Dałby Bóg” , powtórzył, przyciskając do siebie Ludwisię.

Nie ma ich! Co się stało?!

Kobieta wreszcie usiadła. Spojrzała na zegar. Po dziesiątej.



TU ZAWSZE BĘDZIE PORZĄDEK

Wejherowo pogrążone jeszcze było w mroku niechętnie ustępującej nocy.

Przed rusztowaniami sięgającymi pierwszego piętra przyszłego nowego ratusza stało dwóch mężczyzn, odwróconych plecami do pomnika cesarza Wilhelma II. Pierwszy z nich nacisnął klamkę drzwi prowadzących do posterunku umiejscowionego w suterenie. Po chwili przepuścił drugiego. Drzwi zamknęły się za nimi.

Heinz, z oczyma małymi od niewyspania po nocnym dyżurze i bladą twarzą, kwaśno uśmiechnął się do przybyłych.

— Myszk, Bochentin! Dobrze, że już jesteście. Staliście się ostatnio bardzo akuradni. Za trzy minuty szósta, a wy już w pracy. Nie wiem, co mogło tak was zmienić.

— Bierzemy przykład z kolegi. Podobno też dba o punktualność — Bochentin poklepał Heinza po ramieniu. — A gdzie twoje serdelki i musztarda? Zawsze tak ładnie wyglądały na biurku. Śmiało, nie żałuj sobie, nikt ci złego słowa nie powie.

— Panowie — wyszeptał Myszk. — Nie zaczynajcie, jeszcze usłyszy komisarz.

— Przecież nie ma go tutaj. — Heinz przesunął dłoń w stronę szuflady biurka, w której czały się trzy parówki. I słoik z musztardą.

— Czasami myślę, że on wszystko słyszy. Zresztą za minutę tu będzie.

Trudno było nie podzielać przypuszczeń najbardziej doświadczonego z wejherowskich posterunkowych.

Policjanci zamierzali jak najszybciej przystąpić do zwykłej procedury przejęcia dyżuru od Heinza. Co chwila któryś odkaszlnął, bo też w pomieszczeniu unosił się wszechobecny drobnutki kurz, efekt uboczny remontu ratusza. Zwalisty, nieco otyły blondyn z wiecznie opadającym na niezbyt wysokie czoło kosmykiem włosów sięgnął po dziennik dyżuru, lecz zastygł w bezruchu. Drzwi bowiem otworzyły się i do wnętrza wkroczył komisarz Otto Lambert.

Średniego wzrostu, lekko łysiejący, w okrągłych okularach z grubymi rogowymi oprawkami, szczupły i wyprostowany, dbający o precyzję wyrażaną w każdym geście. Nadzieja władz policyjnych rejencji gdańskiej. Człowiek, który trafił do Wejherowa z polecenia hrabiego Henryka von Keyserlingka. Starosta poznał Lamberta podczas jednego z licznych wyjazdów do Gdańska.

— Witam posterunkowych — rzucił sucho.

— Dzień dobry, panie komisarzu — chór głosów zabrzmiał bez zarzutu.

— Wszystko w porządku?

Heinz wstał i wyprężył się, przesadnie przechylając w tył plecy, co jeszcze uwydatniło jego imponujący brzuch. Nabrał w płuca powietrza.

— Posłusznie melduję, panie komisarzu, że noc minęła stosunkowo spokojnie.

— A co, Klopp, rozumiecie pod pojęciem „stosunkowo spokojnie”? Proszę o konkrety. Nie zadałem pytania, żeby usłyszeć coś tak ogólnego.

Zapamiętajcie sobie, że dobry policjant musi być uosobieniem konkretności. No więc?

Noc, w odczuciu Heinza, naprawdę minęła stosunkowo spokojnie, ale skoro musiał uściślić, powiedział o niecenzuralnych krzykach dobywających się z celi, gdzie oczekiwała na konfrontację z okradzionym klientem niejaka „Irma Dziewica”. Przyjął dwa zgłoszenia dotyczące głośnego zachowywania się bywalców niezbyt eleganckiego lokalu na ulicy Wałowej... i to właściwie wszystko.

W nocy przynajmniej nie było słyhać hałasowania robotników, nieustającego w ciągu dnia, pomyślał Heinz.

— Wy, Klopp, kończycie już służbę, prawda? Proszę zdać obowiązki posterunkowym Myszkowi i Bochentinowi. Potem możecie się oddalić.

— Tak jest! — Heinz znów się wyprostował, ponieważ podczas zdawania relacji z przebiegu dyżuru jego plecy zaczęły niebezpiecznie tracić pion, co obrazowo dawał mu do zrozumienia nieoceniony Anton. A komisarz nie cierpiał przygarbionych policjantów.

— Potem proszę posterunkowych o przyście do mojego gabinetu. Należy porządnie opracować plan dnia. Życie może nas potem czymś zaskoczyć, niemniej są zadania, które i tak trzeba dziś wykonać. Klopp, dziennik dyżurów!

Po chwili za komisarzem zamknęły się drzwi.

Trzej posterunkowi siedli przy biurku. Nastąpiły, jak mawiał nowy szef posterunku, rutynowe czynności. Trwało to około dziesięciu minut.

— Wejść! — suchy głos komisarza zabrzmiał tak, jak miał zabrzmieć, sucho, choć donośnie.

Pierwszy wcisnął się Bochentin, za nim Myszk.

Komisarz właśnie odkładał w lewy kąt biurka grzebień. Tuż obok stał niewielki flakonik z turkusowo-żółtą etykietką. Woda kolońska 4711.

Niewyszukana, męska, o czystym zapachu, w sam raz dla człowieka zdecydowanego, konkretnego. Na środku biurka leżał zamknięty zeszyt w sztywnej oprawie. Przy nim pióro i kałamarz, za nimi wpół zgięte łokcie Ottona Lamberta.

I on sam, sztywny, ze wzrokiem przeskakującym z jednego przybyłego na drugiego.

— Proszę chwilę poczekać — ozwał się komisarz. Otworzył dziennik dyżurów i spojrzął na stronę zapisaną w dwóch trzecich.

Krzesła stojące naprzeciwko fotela Lamberta pozostały puste. Gospodarz nie uważał za konieczne zaproszenia posterunkowych, aby usiedli.

Na wprost oczu Myszka i Bochentina wisiał, niezmiennie, dużych rozmiarów portret Wilhelma II. Gdyby w tej chwili niemiecki cesarz wyszedł z ram, posterunkowi nie byłoby bardziej spięci. Każdorazowa wizyta w gabinecie nowego przełożonego napawała ich lękiem przed niewiadomym.

Zegar Adlera wskazywał godzinę szóstą dwadzieścia. Czytanie sprawozdania Heinza zajęło komisarzowi kilka minut.

— Otóż — Lambert poprawił krawat, choć było to całkowicie niepotrzebne — należy się dziś zająć następującymi sprawami: po pierwsze, konfrontacja pomiędzy mężczyzną o nieuporządkowanym życiu intymnym a kobietą kupczącą swym ciałem, która prawdopodobnie okradła wymienionego osobnika. Myszk, wy się tym zajmiecie. Konfrontacja o dziesiątej trzydzieści. Poradzicie sobie, jak miemam.

— Oczywiście, panie komisarzu — Anton wyprężył się jak struna.

— Po drugie: Bochentin, wy przesłuchacie dokładnie tych mężczyzn, którzy w nocy zgłosili nieobyczajne zachowanie opilców w szynku. Świadkowie mają przybyć, według zapisów Kloppa, o ósmej. Potem

pójdziecie na Wałową i potrząśnięcie właścicielem spelunki. Wiecie, jak się potrząsa?

Arno spojrział na przełożonego niemal wyzywająco.

— Panie komisarzu, czy ja wyglądam na anioła?

Uważne i nieco złośliwe spojrzenie Lamberta nie pozostawiało wątpliwości. W retorycznym pytaniu Bochentina tkwiła bowiem pewna słuszność. Gładko ostrzyżone włosy, nasączone brylantyną, śniada cera, zuchwale patrzące oczy i mocno zaznaczona szczęka — oto obraz człowieka, który niejedno w życiu widział i niejedno potrafi. I w dodatku ma ambicję.

— Zawsze powtarzam, że wymagam konkretnych odpowiedzi. Ale tym razem, Bochentin, niech wam będzie, udaliście się, doprawdy. Rozumiecie, chodzi o wydobycie nazwisk tych pijaków, oni są stałymi klientami, więc właściciel może nie być zanadto skłonny do współpracy. I dlatego należy potrząsnąć, już na samym wstępie, żeby delikwent znał swoje miejsce.

— Tak jest.

— I najważniejsze. Kradzieże w wejherowskich sklepach jubilerskich. Coś nowego w sprawie?

— No... — Myszk już nie był wyprostowany tak, jak przed chwilą.

— Wiemy tyle, że to klient, a nie rasowy włamywacz. Brak śladów ingerencji w sejfy, zamki w drzwiach prowadzących na zaplecze są bardzo bezpieczne. Musi to być ktoś, kto bardzo zręcznie wykorzystuje moment nieuwagi personelu.

Twarz komisarza przybrała bardzo niepokojący wyraz.

— I tyle?

— No... — powtórzył Anton.

— Wy, Myszk, posługujecie się monosylabami, o ile wiecie, co to znaczy, a Bochentin próbuje mnie zagadać. Tego was, posterunkowy, uczą

w szkole policyjnej w Szczecinie? A ja sądziłem, że uczelnia należy do renomowanych! Was, Myszk, pytam o konkrety. Czy w ciągu ostatnich dwóch dni posunęliście się o krok do przodu?

Pytanie należało do gatunku kłopotliwych i takich, na które nie sposób znaleźć dobrą odpowiedź. Otto Lambert spodziewał się, że już za chwilę będzie mógł dać upust swoim emocjom, co lubił czynić od czasu do czasu.

A jednak nie dane mu było w określony sposób pouczyć podwładnych. Klamka u frontowych drzwi trzasnęła bowiem z wielką siłą i posterunkowi, obejrzawszy się, ujrzeni dziwną postać.

Mężczyzna w rozpiętym płaszczu, bez szalika, rękawiczek i kapelusza, z potarganymi włosami. Na policzku szeroka rysa czarnej, zakrzepłej krwi. Oczy niewidzące, a raczej wpatrzone w nieokreśloną dal. To nie był majster Hellke, brygadzysta ekipy remontowej.

Tuż za mężczyzną weszła kobieta. Wyglądała na równie zdenerwowaną, choć ubrana była staranniej.

Komisarz wstał. W ślad za posterunkowymi wyszedł z gabinetu. Przybyli stanęli naprzeciw funkcjonariuszy.

— Moje dzieci! — ryknął mężczyzna. — Nie ma moich dzieci!

Kurczowo wpił dłonie w ramiona Lamberta, który wcześniej wysunął się przed posterunkowych. Ci stali jak oniemiały. Tymczasem komisarz szybkim ruchem wyswobodził się z uścisku Ruszkowskiego.

Zrozpaczony ojciec nie poczuł nawet, że jego nadgarstki zostały boleśnie ściśnięte.

— Proszę się uspokoić — głos Lamberta był rozkazujący. — I opowiedzieć wszystko po kolei.

Przybyły spojrzął na komisarza, jakby go nie rozumiał. Zaraz jednak zerknął na swoją towarzyszkę. Ta skinęła głową i delikatnie dotknęła jego dłoni.

— I niechże państwo siadają — dodał komisarz.

— Przede wszystkim poproszę o nazwiska — zaczął Bochentin, gdy kobieta i mężczyzna zajęli miejsca przy biurku, gdzie zwyczajowo przyjmowano zeznania. On sam otworzył notes i sięgnął po pióro, które zamoczył w kałamarzu.

Nieco z boku usiadł Anton Myszk. Komisarz natomiast stanął za Bochentinem rozpoczynającym przyjmowanie zeznania.

— Nazywam się Waław Ruszkowski. Ludwisia, Janeczka... Panowie, moje córki zaginęły! Nie ma ich... W całym mieście szukaliśmy. I w lesie, i na kalwarii, wszędzie. Boże, co się stało?!

— Bardzo pana przepraszam, ale musi pan się uspokoić. Proszę opowiedzieć wszystko możliwie od początku. To znaczy przed zaginięciem i te poszukiwania. Najpierw poprosiłbym jeszcze o personalia dziewczynek. Imiona, wiek.

— Moment — wtrącił Lambert. — Jak rozumiem, p a ń s t w o Ruszkowscy? Potrzebujemy uściślenia do protokołu, skoro oboje tu państwo przyszli. Jest pan ojcem, a pani matką tych dzieci.

— Nie — Adierichina spojrzała na komisarza. — To ojciec, ale ja nie jestem ani żoną, ani matką dziewczynek. Pan Ruszkowski jest moim przyjacielem. A ja, ja bardzo kocham Ludwisię i Janeczkę.

Po twarzy Lamberta przemknął grymas.

— Przyjacielem. Cóż, myślę, że skoro pan Ruszkowski przyszedł na posterunek w pani towarzystwie, zrobił to dobrowolnie, na własną odpowiedzialność i postanowił pani zaufać. W takim razie cesarska policja nie znajduje powodu, aby musiała pani opuścić pokój na czas zeznania. My jesteśmy stróżami prawa, a nie moralności. Te kwestie są poza naszymi zainteresowaniami, przynajmniej na razie.

Wiera podniosła się. Potrafiła być porywcza. Na jej policzkach pojawiła się purpura. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, uprzedził ją Ruszkowski.

Uderzył pięścią w stół, aż kość zatrzeszczała.

— Niech pan nas nie obraża! Niech pan nie obraża pani Adierichiny! Do diabła, zaginęły moje dzieci! Chcę mówić i żądam, żebyście zaczęli ich szukać! Bo ja... my nie potrafiliśmy ich znaleźć!

Spuścił głowę i przygarbił się. Wiera usiadła, a komisarz Lambert wykonał dłonią gest, który mógł oznaczać, że wspaniałomyślnie przebacza zrozpaczonemu ojcu.

Ludwika Ruszkowska, lat dwanaście. Janina Ruszkowska, lat dziewięć. Ojciec: Waław Ruszkowski. Matka: Eliza z domu Schramm.

Adres zamieszkania. Domownicy, względnie służba. Rysopisy dziewczynek. Szkoła. Przyzwyczajenia. I bardzo ważna rzecz — kiedy zaginęły, kiedy zostało to zauważone, gdzie doszło do zniknięcia.

Pióro Bochentina pracowało szybko i sprawnie. Posterunkowy starał się zanotować jak najwięcej szczegółów i pytać możliwie beznamietnie, choć było mu żal nieszczęśliwego ojca i z chęcią poczęstowałby go kieliszkiem czegoś naprawdę mocnego.

Za czasów komisarza Renscha taka pomoc byłaby oczywistością.

Kiedy Bochentin doszedł do wniosku, że prawdopodobnie zadał już wszystkie konieczne pytania, nastąpiła chwila ciszy. Był pewien, że zaraz usłyszy głos komisarza. Jakoż nie zawiódł się.

— Sytuacja jest dramatyczna — oświadczył Lambert. — Trzeba teraz wziąć pod uwagę dwie okoliczności. Miejmy nadzieję, że jeżeli dziewczynki zostały porwane, to żyją i są zdrowe. Jeśli jednak zagubiły się w lesie...

Komisarz zniknął w swoim gabinecie, zaraz jednak wrócił, trzymając w ręku sporych rozmiarów atlas geograficzny Niemiec. Zaczął wertować

karty.

— Spójrzmy. Mamy koniec października. W nocy średnia temperatura dla Prus Zachodnich w pasie nadmorskim wynosi trzy, cztery stopnie. Łatwo o wyziębienie. Dzieci zaginęły około dwunastu godzin temu.

— Boże — jęknął Ruszkowski.

— No właśnie. Ale nie możemy zdać się wyłącznie na Boga. Swoją drogą, mogli państwo przyjść znacznie wcześniej, a nie na własną rękę błąkać się po okolicy!

Atlas wylądował na biurku. Lambert podszedł do aparatu telefonicznego. Lewą ręką podniósł słuchawkę, prawą natomiast zaczął energicznie kręcić korbką. Usłyszał sygnał. Wykręcił numer, poprosił o połączenie międzymiastowe i spojrzał na zboląłego ojca. Ich oczy spotkały się.

— Halo, halo, mówi się, mówi się! Dzień dobry, tu komisarz Otto Lambert z komisariatu w Wejherowie, chciałbym rozmawiać z pułkownikiem von Rautzem. Tak, pilne. Świetnie, poczekam, oczywiście.

Nastąpiły chwile pełne napięcia. Wreszcie twarz komisarza rozjaśniła się.

— Halo, panie pułkowniku, kłaniam się, z tej strony Otto Lambert. Tak! Cieszę się, że pan mnie pamięta. Panie pułkowniku, mamy tu na komisariacie w Wejherowie bardzo pilną sprawę. Zaginęły dwie dziewczynki. Wczoraj po południu. Mogą być w lesie, na kalwarii. Orientuje się pan, tu jest dużo lasów. Właśnie, lasy prawie w samym mieście. Czy dysponuje pan od ręki jakimiś siłami, które mogłyby przeczesać okolicę? Tak, sami nie damy rady, tu jest bardzo szczupła kadra. Cóż, prawdziwa prowincja. Właśnie. Oczywiście, pozostaję przy telefonie!

Twarz komisarza pilnie obserwowali Adierichina z Ruszkowskim i Bochentin z Myszkciem. Ci ostatni byli nawet gotowi przejść do porządku

dziennego nad nieco lekceważącą opinią przełożonego na temat ich placówki, aby tylko interwencja przyniosła skutek.

— Jestem. Tak, słucham. Panie pułkowniku, moja wdzięczność... Jestem pańskim dłużnikiem. Oczywiście. Znakomicie. W takim razie czekamy. Ukłony dla szanownej małżonki. Do widzenia!

Odkładana słuchawka wydała z siebie delikatny, metaliczny dźwięk.

Otto Lambert odczekał kilka sekund i obwieścił uroczyście, z chępliwością w głosie:

— Mój dobry znajomy, pułkownik von Rautz z 2. Przybocznego Pułku Huzarów w Gdańsku, obiecał przysłać do Wejherowa kompanię wojska. Sześćdziesięciu ludzi! Przyjadą najbliższym pociągiem. Będą tu za trzy godziny. Wiem, że to dużo czasu, ale nie można szybciej.

— Panie komisarzu — szepnął Ruszkowski — nie wiem, jak mam panu dziękować.

— Ja również — za plecami ojca dziewczynek odezwał się niski kobiecy głos.

— Trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy. Przyjeżdżając do Wejherowa, obiecałem policyjnym władzom rejencji i sobie, że tu zawsze będzie porządek. I słowa dotrzymam.

Myszk i Bochentin nie wiedzieli, co myśleć o przełożonym. Byli jak psy przywiązani do swojego starego, poczciwego komisarza, który nawet gdy na nich burczał, robił to jak ojciec. Zdawali sobie jednak sprawę, że Rüdiger Rensch nie byłby w stanie sprowadzić do Wejherowa, jedną rozmową telefoniczną, kompanii wojska z samego Gdańska. A ten człowiek coraz bardziej jawił się im postacią skomplikowaną i nieodgadnioną. „I bądź tu mądry”, pomyślał posterunkowy Myszk, natomiast posterunkowy Bochentin zaklął w duchu w sposób, który nie przystoi policjantowi, zwłaszcza takiemu, który pobiera nauki w szczecińskiej szkole policyjnej.

— Ci huzarzy mają doświadczenie. Nie tylko jeżdżą na paradach w galowych mundurach. Pułkownik von Rautz często organizuje im ćwiczenia w terenie. W jego wykonaniu to szkoła przetrwania. Tak być powinno. Dlatego wierzę w ich umiejętności. Mam nadzieję, że znajdą dziewczynki. Natomiast w przypadku, jeśli nie zabłądziły, będziemy musieli działać inaczej.

— Co pan ma na myśli, komisarzu? — Ruszkowski po raz pierwszy dotknął ręką zakrzepłej krwi na policzku.

— A co się panu stało? — zainteresował się Lambert i wskazał zdecydowanym gestem palca ranę mężczyzny.

— Potknąłem się o gałąź, kiedy szukałem córek w lesie.

— Ach tak. Wracając do tematu, mamy te trzy godziny. Państwo oczywiście zostaną tutaj. Posterunkowy Myszk, wy pójdziecie do domu pana Ruszkowskiego i będziecie czekać. W tym czasie przesłuchacie dokładnie gospodynię Lachs. Poza tym jeżeli dziewczynki znalazłyby się, ktoś musi być tam na miejscu. Zostaniecie na Gdańskiej aż do odwołania.

— Tak jest! — Posterunkowy wstał, skłonił się służbowo, nałożył płaszcz i czapkę, sięgnął po raportówkę i skierował do wyjścia.

— Wspomniałem już, że państwo zostaną tutaj. Należy wykorzystać każdą chwilę do przyjazdu kompanii z Gdańska. Musimy od pana i pani — Lambert nieokreślonym spojrzeniem obdarzył Wierę Adierichinę — wydobyć jak najwięcej informacji o dziewczynkach. Pańskie córki chodziły, zakładam, do szkoły, miały jakieś koleżanki i tym podobne. Uwarunkowania sąsiedzkie, zainteresowania dzieci, to wszystko jest teraz bardzo ważne. Musimy bowiem przygotować się również na inny wariant.

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, komisarz dokładnym ruchem otwartej dłoni przygładził włosy. Miał bowiem wrażenie, że jego uczesanie

nie przedstawia się tak jak wtedy, gdy przed trzema kwadransami ostatni raz użył grzebienia.

Kiedy po złożeniu reszty zeznań Wiera Adierichina w towarzystwie Waława Ruszkowskiego, za zgodą komisarza, wyszła na moment przed komisariat, aby zaczerpnąć surowego, świeżego powietrza, w jej oczach zabłyśły łzy. Ścisnęła dłoń Waława. Nie czuł, że kobieta drży.

Znów upokarzająca sytuacja. Było jej wstyd, że w obliczu takiej tragedii myśli o sobie, ale co mogła poradzić, że czuła się upokorzona szczególnym przywitaniem komisarza Lamberta? Rozumiała jednak tego Prusaka. Ojciec dziewczynek przychodzi w tak poważnej sprawie z kobietą, o której właściwie nie wiadomo, kim jest. Nie żona. Kochanka? Nienawidziła słowa „przyjaciół”. Ale padło ono i musiało wystarczyć.

Tak bardzo chciałyby móc chodzić po mieście z podniesioną głową w towarzystwie Waława. I kiedy zdarzy się coś złego, być przy nim całą sobą, nie tylko sercem i ciałem. Pójść do urzędu, do szpitala, choćby na komisariat!

Mocniej uścisnęła zimną, drżącą rękę.

Dopiero teraz poczuł, że Wiera łąka.

Przed budynkiem zgromadzili się już robotnicy. Dookoła nich stały wiadra, łopaty i rzędy cegieł. Majster Hellke nie miał czasu, aby uważnie przyjrzeć się zrozpaczonej parze.



DZIEŃ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Od rana niebo błękitniało nad Wejherowem. Jakby na przekór pierwszemu dniu listopada i wszystkiemu, co wiąże się z miesiącem zimnych deszczów, opadania ostatnich liści i panowania wilgotnych mgieł.

Wszyscy, którzy wybierali się na cmentarz, cieszyli się, wyglądając przez okna, i tylko lękali się, aby chimeryczna jesienna pogoda nagle nie spletała im figła. Ale nie, słońce świeciło cały czas. Mimo że krążyło nisko i zdawało się nieśmiałe w swojej bladości, nie zamierzało oddać pola ewentualnym słotom.

Ci, a była ich mniejszość, dla których udział w uroczystościach na cmentarzu był niemożliwy z uwagi na wiek lub stan zdrowia, żalowali. Nie wiedzieli, ile jeszcze razy dane im będzie modlić się za swoich bliskich w dni takie jak ten i następny.

W oknach luterzańskich domów niekiedy odchyłały się firanki i spojrzenia odprowadzały katolików podążających w stronę swojego cmentarza.

W domu przy ulicy Kalwaryjskiej zasiadano do śniadania. Rozalka była cała w skowronkach. Razem z matką pokroiły i poukładały na stole sery, bułeczki, wędliny i miseczki z marmoladą. Dziewczynka swoim zwyczajem pilnie się przyglądała, jak pani Marta parzy kawę i gotuje mleko, jednocześnie usta jej się nie zamykały. Zasypywała mamę pytaniami i opowieściami. Poprzedniego dnia była ze swoją klasą szkoły miejskiej na cmentarzu. Pod okiem wychowawcy dzieci porządkowały zaniedbane groby, słuchały także opowieści nauczyciela o znamienitych obywatelach miasta spoczywających w obrębie cmentarnych murów. Wszystko to było dla dziewczynki ciekawe i odczuwała przemożną chęć, aby dzielić się z najbliższymi wrażeniami ze szkolnej eskapady.

— Szkoda, że nie mam już babci — westchnęła Rozalka.

— Szkoda — potwierdziła pani Marta i zamyśliła się, wspominając swoją zmarłą matkę.

— Albo cioci. Bo widzisz, poszłabym z nimi na cmentarz i poprosiłabym ładnie, żeby wybrały sobie pomniki tak piękne, jakie tylko by im się zamarzyły. A ja kupiłabym im takie.

— Aż żal, że babcia i ciocia nie doczekały takiej chwili — rzekła Bernadeta, wchodząc do pokoju, który cały rozkosznie pachniał świeżo zaparzoną kawą.

— No właśnie — Rozalka, mimo właściwej sobie bystrości, nie zrozumiała intencji starszej siostry.

Wkrótce Brunon Sychowski i jego zięć zeszli do pokoju stołowego, zwabieni dźwiękami wydawanymi przez rozstawianą porcelaną śniadaniową i aromatem kawy domagającej się natarczywie, aby jej skosztować.

Gdy zasiedli za stołem, pani Marta, stojąc obok i lustrując wiktuały, głośno zauważyła, że zapomniała o ugotowanych jajkach. Pobiegnęła do

kuchni i już po chwili można było stukać łyżeczką w czubek owalu wieńczącego ozdobny kieliszek.

Przez pierwsze kilka minut nikt nic nie mówił, nawet dziewczynka zajęła się swoim talerzem z zapamiętaniem godnym zmarniałego podczas srogiej zimy dorosłego wilka.

Jednak w końcu Rozalka nie wytrzymała. Kiedy bowiem nasyciła pierwszy głód, zaczęła objawiać szczególnie silną chęć prowadzenia konwersacji. Natomiast jej bliscy nadal jedli, a matka uczyła przecież dziewczynkę, że rozmawia się przy stole dopiero wtedy, gdy wszyscy nasycą głód. Jeszcze trochę więc odczekała, a potem już mówiła i mówiła.

Cieszyła się, gdy starsi podejmowali rzucane przez nią tematy. Chociaż gdy wróciła do wczorajszych odwiedzin na cmentarzu, wszyscy poczęli spoglądać na siebie znacząco, a Bernadeta nawet powiedziała, że siostrze należy przynieść jakiś smakołyk, aby zamknąć jej usta.

— A dlaczego nie mogę mówić o nieboszczykach? To taki ładny temat — zaperzyło się dziecko. — Przecież jestem już dorosła. Wy cały czas rozmawiacie o Ludwisi i Janeczce, a nie wiadomo, czy one żyją, i o wojsku, a jak ja chcę słuchać, to przerywacie, jakbym była dzieckiem.

Nastała kłopotliwa cisza. Choćby nie wiadomo jak chronić dziewczynkę przed światem dorosłych i jego problemami, ten świat sączył się i przelewał przez szczeliny w oknach i murze domu, wtłaczając swoje piękne i brzydkie aromaty w duszę i serce dziecka.

Cmentarz katolicki zapępniały tłumy. Zdawało się, że przy każdym nagrobku stoją już bliscy, aby w dzień Wszystkich Świętych towarzyszyć doczesnym szczątkom matek, ojców, dziadków, dzieci i krewnych podczas ich święta, święta tych, którzy już dostąpili zbawienia.

Lecz w kierunku bramy cmentarnej w dalszym ciągu podążały strumienie wiernych.

Kobiety w ciemnych płaszczach i kapeluszach ozdobionych kwiatami, dostojne, często trzymające kurczowo za rękę dzieci, aby te nie zgubiły się w tłumie. Mężczyźni w odświętnych okryciach, z poważnymi twarzami ojców lub seniorów rodzin.

Przed bramą klęczeli lub siedzieli dziadowie proszalni, wyśpiewując żalonymi głosami nabożne pieśni. Dwie żebraczki kłóciły się o dobre miejsce, tuż przy samym wejściu na cmentarz, a siedzący nieco dalej malec o niepełnym uzębieniu i sprytniej twarzy, starał się zwrócić uwagę przechodzących zawołaniem niewiele mającym wspólnego ze świętem:

W on czas, kiedy krowa piała,
A rzeka Wisła w płomieniach stała,
Wielkie znaki dała święta Panna,
Smukła jako ta dziewanna...

Co poniektórzy ze zgorszeniem spoglądali na chłopca, ale wielu rzucało do leżącego przed nim kaszkietu po kilka fenigów. On zaś przy każdym otrzymanym datku kiwał głową niczym gipsowy Murzynek w bożonarodzeniowej szopce.

Ilu z tej rzeki ludzkiej, płynącej do cmentarnego morza, miało już nigdy potem nie przyjść we Wszystkich Świętych na groby bliskich? Zastanawiano się nad tym, zawsze po cichu, a liturgia czasu obcowania ze zmarłymi zawierała również modlitwę za tego, kogo pierwszego z grona powoła do siebie Bóg.

Stary był wejherowski cmentarz, liczył sobie niemal sto lat. Wystarczy, aby znalazły na nim spoczynek trzy, cztery pokolenia. Tyle, ile zazwyczaj

może objąć ludzka świadomość przynależności do rodziny rozrastającej się przez kilkadziesiąt lat.

Nagrobki zdawały się kontynuacją świata, który wierni zostawiali za sobą, idąc ulicą Szemudzką w górę, w stronę nekropolii. Wystawne kamienne grobowce obok mogił usypanych z ziemi. Rzeźby Matki Boskiej i aniołów obok zmurszałych bezimiennych krzyży z ledwością stojących nad tymi, o których może już nikt nie pamiętał. Napisy polskie obok tych wyrytych gotykiem, zaczynających się od „Hier ruht in Gott...”.

Wzrok przechodzących niekiedy przykuwały przygarbione kobiety, wsparte na ramieniu mężów, ze spuszczoneymi głowami, wpatrzone w epitafia na małych grobach, mające im choć na chwilę przywrócić umarły świat. „Bóg nam ciebie na krótko dał, bo sam w niebie aniołka chciał. Choć już cię nie ma przy naszym stole, wciąż jesteś z nami, kochany sokole”. „Dokąd mieliśmy ciebie, było jak w niebie. Tyś był życia ozdobą, lecz serca nasze dalej z tobą”.

Sychowscy i Braunowie podążali, wtłoczeni w tłum, do grobu, w którym od dwóch lat spoczywała siostra pana Brunona. Oddychali ciężkim, ciepłym powietrzem, lepkiem od dymu i wosku świec.

Zawsze było trzeba ubrać się ciepło, bo przecież początek listopada. I uczestnicy nabożeństwa zawsze potem żalowali, że są zakutani w okrycia dobre na zimę. Kobiety w pelisach, z dłońmi w futrzanych bądź wełnianych mufkach, mężczyźni w grubych płaszczach z kołnierzami z nutrii, w rękawiczkach podszytych watoliną i grubszych niż letnie, filcowych kapeluszach. Jeszcze cieplej było dzieciom, którym trudno wytrzymać bez podskakiwania i oglądania się za rówieśnikami. Tylko niektóre z nich wielkimi oczami wpatrywały się w blask świec i procesje podążające do grobów bliskich.

Uroczysta procesja pod przewodnictwem proboszcza fary, księdza Walentego Dąbrowskiego, weszła przez bramę cmentarza i skierowała się w stronę ołtarza umiejscowionego u podnóża kalwaryjskiej Kaplicy Pałacu Piłata.

Tłumy wiernych, jeszcze przed chwilą przelewające się na wszystkie strony, skamieniały przy grobach. Większość stała w skupieniu, co poniekąd rozmawiali ściszonymi głosami.

Zmarli... Pamiętani bądź znani tylko z fotografii oraz ci, po których zostały jedynie nazwiska lub bezimienne mogiły. Zamożni kupcy, gospodarze z okolicznych wsi, służba, rzemieślnicy, rajcy miejscy, dzieci zgasłe przedwcześnie, wszyscy oni mieli swoje święto. Ku ich czci była prowadzona liturgia.

Ignaz stał obok Bernadety. Trzymała go pod rękę, wtulona w ciepło męża. A on czuł ją obok siebie i było mu dobrze. Potrzebował tej bliskości. W takie dni warto być przy kimś, kogo się kocha, dla kogo jest się najważniejszym. Zbyt wielu już odeszło, żeby nie docenić prostej, zwyczajnej obecności żyjącego człowieka. Nie powinno się kochać jedynie zmarłych.

Dziadkowie, matka, ojciec. Wszyscy byli już po tamtej stronie. Oprócz niej nie miał nikogo. Tak, jest jeszcze teść, pani Marta i mała Rozalka. Ale oni żyją własnym życiem i na co dzień są tak daleko... Na okazję przebywania wśród nich można sobie pozwolić tylko od święta, na urlopie. Bernadeta jeszcze bardziej niż zazwyczaj zdała mu się całym światem. Jedynym pewnym punktem odniesienia. I to punktem wcale pokaznym, uśmiechnął się w duchu.

Spojrzał na nią kątem oka. W dużym kapeluszu, z okularami na nosie, zaróżowiona i odpowiadająca po łacinie słowami liturgii na formuły wygłaszane przez księdza, naraz wydała mu się nierzeczywista. Jakby nie

było tych kilku wspólnych lat, podczas których poznał ją w całym jej człowieczeństwie. Nie mógł uwierzyć, jak przed laty na kalwarii, że jest przy nim, że w każdej chwili może się do niej odezwać i że należy dbać o każdą wspólną minutę, bo nie znajdzie się na świecie nic równie ważnego.

Obok nich stali państwo Sychowscy z Rozalką. Dziewczynka bacznie przypatrywała się dorosłym i ze wszystkich sił starała się ich naśladować. Jej szczęście byłoby pełne, gdyby potrafiła uczestniczyć we mszy tak jak inni. Niestety, łacińskie formuły przerastały jej dziecięce możliwości. Nie była świadoma, że większość wiernych wypowiada poszczególne słowa i zdania mechanicznie, bez znajomości języka Ojców Kościoła, papieży i Kurii Rzymskiej.

Msza zakończyła się. Duchowni w niespiesznej procesji opuszczali cmentarz. Jednak dla zgromadzonych zaczynała się druga część święta, przez wielu wyczekiwana i uważana za znacznie ciekawszą.

Obszar cmentarza zaczął pulsować tłumami przemierzającymi się na rozmaite strony. Przystawano przy grobach dalszych krewnych i znajomych. Powitaniom żyjących nie było końca. Ściskano się, całowano, dzieci zaczynały rozglądać się za okazją, aby oddalić się od opiekunów zajętych rozmowami.

Byli też tacy, którzy nabożnie, w skupieniu, wędrowali od grobu do grobu i zmówiwszy zdrowaśkę, stali przez chwilę, zadumani nad przemijaniem.

Braunowie, widząc że państwo Sychowscy podążyli na spotkanie grupki znajomych stojących nieopodal, postanowili pospacerować cmentarnymi alejkami i poprzyglądać się ludziom i nagrobkom. Już sam widok setek świec, migotliwie zarysowujących kontury kamienia i drewna zaklętego w świadectwa pamięci, zachęcał do zanurzenia się w zewnętrzną

oprawę świętowania i chłonięcia rozszerzonymi jak u dziecka oczami wszystkiego, wszystkiego...

— Panie inspektorze! — przed Braunem stanął mężczyzna w czarnym płaszczu i takimż kapeluszu. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego jasna twarz, nieco nalana, przyozdobiona drugim podbródkiem, oświetlona była żółtym, migającym blaskiem.

— Anton Myszk! — omal nie krzyknął inspektor. — I pani Anastazja! — ucieszył się na widok stojącej obok kobiety.

Przez moment spoglądali na siebie nawzajem. Zaraz wróciły wspomnienia. Sześć lat, a tyle się zmieniło!

Anastazja Myszk niewiele przypominała siebie z czasów, gdy Ignaz Braun po raz pierwszy zawitał do Wejherowa. Jej postać przedstawiała się doprawdy imponująco. Anton, który także przytył, nie mógł równać się z żoną. Jej bujna i szybko falująca pierś świadczyła o niespożytej energii, biodra znamionowały znakomity apetyt, a policzki błyszcząły niczym strusie jaja nasmarowane masłem. Tak, pani Anastazja mogła podobać się każdemu amatorowi prawdziwie kobiecych wdzięków.

Między Myszkami stała Marta, najmłodsza córka posterunkowego i jego dostojnej małżonki. Dziewczynka, która przed laty stanowiła przedmiot troski rodziców z uwagi na chore serce, z onieśmieleniem wpatrywała się w obcych państwa. Ale i oni zerkali na dziewczynkę.

Marta, panienka jedenastoletnia, stanowiła jawny kontrast w stosunku do rodziców. Była bowiem bardzo szczupła. Bujne rude włosy, przed wyjściem na cmentarz zaczesane i nakryte kapelusikiem, wymykały się na wszystkie strony i sprawiały wrażenie, jakby żyły swoim życiem. Bystre zielone oczy i twarzyczka usiana piegami... Wystarczyło choć raz ujrzeć pannę Antonównę Myszkównę, aby rozpoznać ją później niezawodnie.

— Komisarz Rensch wspominał, że widział pana inspektora na spacerze. I szanowną małżonkę — pospiesznie dopowiedział Myszk, kłaniając się z należnym szacunkiem Bernadecie.

— Tymczasem my również się spotkaliśmy, drogi przyjacielu — Braun z uśmiechem przyglądał się rodzinie Myszków. — Jak się państwu wiedzie?

— Dzięki Bogu, dobrze. Wszyscy zdrowi — z satysfakcją oświadczyła pani Anastazja i przycisnęła do siebie Martę.

— Tylko na posterunku sądne dni. I to nie tylko ze względu na przebudowę ratusza — szepnął Anton, spoglądając dookoła, czy aby nikt postronny go nie słyszy.

— Czy... mowa o nowym komisarzu i jego zwyczajach? — Ignaz również ściszył głos, choć jego pytanie wypowiedziane zostało nieco żartobliwie.

Tak, w pewnym sensie. Wszyscy na komisariacie znali przyzwyczajenia starego, dobrego Rüdigera Renscha, wiedzieli, kiedy może się rozeźlić i jak można sprawić, żeby miał dobry humor. I mimo że praca odpowiedzialna, że czasami niebezpieczna, posterunkowi przychodzili na służbę z poczuciem specyficznego komfortu. Bywają zagrożenia, ale rutyna robi swoje. Nauczyli się poruszać w mglistym światku wejherowskiej i podmiejskiej drobnej przestępczości. Zakres kompetencji był niezmienny.

W dodatku komisarz czasem poczęstował sznapsem.

— A teraz? — Myszk wymownie spojrzął na gościa z Berlina. — Komisarz Lambert na pewno jest fachowcem. I na pewno obrał sobie bardzo nowoczesne metody działania. Nie, złego słowa nie mogę o nim powiedzieć — posterunkowy uświadomił sobie, że prawdopodobnie powiedział o parę słów za dużo.

— Ale bardzo dobrze życzysz komisarzowi Renschowi i chciałbyś, aby jak najszybciej wróciły mu siły. Trzeba się za niego modlić, podobnie jak za komisarza Lamberta — pani Anastazja w pewnych sytuacjach była niezastąpiona.

Anton spojrział na żonę z wdzięcznością.

— Mówiłem o sądnych dniach. Wie pan, inspektorze, policjant z takim stażem jak mój niejedno w życiu widział i musi się liczyć, że przychodzą nowi przełożeni, a odchodzą już dobrze znani. Nie o tym myślałem.

— Tak przypuszczałem — już całkiem poważnie odpowiedział Braun, a Bernadeta zerknęła na niego. Wiedziała, że mąż, podobnie jak większość mieszkańców Wejherowa, w ostatnich dniach myśli głównie o jednym. A Anton Myszk za chwilę powie to, co powie.

— Ta historia z dziewczynkami! — posterunkowy pokręcił głową. W jego słowach wyraziła się cała bezradność człowieka, który jest w centrum sprawy, a nie może zrobić nic, żeby ją wyjaśnić.

Na ulicy, w pracy, na targu i w domu rozmawiało się najpierw o dziewczynkach. Trzy dni wcześniej zaginęły córki niejakiego Wacława Ruszkowskiego, urzędnika w fabryce Pawła Pokory.

Obficie mnożyły się plotki.

Ludwikę i Janinę porwali Żydzi, aby ich krew dodać do macy. Zabił je zboczeniec mordujący już wcześniej w okolicach Lubawy i Nidzicy. Panny uciekły w ładowni statku płynącego do Ameryki Południowej. Ktoś widział je całe i zdrowe, jak na puckim rynku zajadały się cukrową watą kupioną od sprzedawcy stojącego ze słodyczami pod kamienicą Capińskich.

— Na takie rzeczy już nic nie poradzimy. Ciągłe przychodzą na posterunek ludzie, którzy są przekonani, że coś wiedzą.

— Jak kiedyś w przypadku Wendersa.

— No właśnie — potwierdził Myszk. — A my utknęliśmy w martwym punkcie. Na pewno pan wie, inspektorze, że komisarzowi Lambertowi udało się sprowadzić z Gdańska kompanię huzarów.

— Trudno by było przeoczyć taką grupę wojska.

— Oni najpierw pół wtorku i prawie całą późniejszą noc przeczesywali lasy i okolice kalwarii. Nic, żadnego śladu. A komisarz mówił, że muszą znaleźć dzieci, że nie ma takiej siły, która by powstrzymała pruskich żołnierzy. No a potem, jak się nie udało, to przeszukiwali całe miasto, wszystkie podwórka, krzaki, odludne miejsca. Jak kamień w wodę.

— Straszna historia — szepnęła Bernadeta.

Braun zamyślił się. On, gdyby miał takie możliwości, prawdopodobnie również sprowadziłby wojsko. Im więcej ludzi szuka, jeżeli w grę wchodzi zwykle zagubienie się dzieci, tym większa szansa, że wszystko dobrze się skończy.

Jednak tutaj musiało zajść coś innego. Coś o wiele gorszego. Uprowadzenie. A wtedy porywacz lub porywacze są przygotowani na takie sytuacje. Opracowują plan na długo przedtem, nim dojdzie do samego uprowadzenia. Tylko dlaczego porwano dwie dziewczynki? Dla okupu?

Sprawa dziewczynek nie leżała w jego kompetencji. A jednak na chwilę o tym zapomniał. Pod czaszką kłębiły mu się myśli, wracały rozmaite wspomnienia z różnych lat i różnych miejsc.

— Jestem w niezręcznej sytuacji. Macie tu młodego, rzutkiego komisarza, a ja nie chciałbym wtrącać się do śledztwa. Zresztą, nie mam prawa. Ale może jednak byłby pan, drogi posterunkowy — Ignaz przy żonie Antona Myszka zwracał się do niego per „pan” — łaskaw powiedziec tylko, czy komisarz Lambert przedsięwziął wystarczające kroki, żeby na poważnie zająć się drugą, gorszą ewentualnością?

— Jasna sprawa — pokiwał głową posterunkowy. — Mamy już zeznania wszystkich sąsiadów. Nikt nic nie zauważył, nikt nie ma żadnych podejrzeń, które mogłyby być prawdopodobne. To znaczy ludzie oskarżają kogoś, z kim mają na pieńku, ktoś znów wygadywał, że to Żydzi, a pewna kobieta była zdziwiona, że doszło do porwania, skoro w okolicy od dawna nie pałętał się żaden cygański tabor.

— Ale wy znacie się na takich zeznaniach i potrafcie prawidłowo je ocenić — podsumował Braun.

— Tak, mąż jest doświadczonym policjantem — głos pani Anastazji zabrzmiał dobitnie.

Małżonek i wytrawny funkcjonariusz w jednej osobie spieszył się.

— Daj spokój. Człowiek robi, co może.

Delikatny uśmiech tylko na moment rozświetlił oblicze Ignaza.

— Nigdy nie wątpiłem w talenty pana Antona — zapewnił. — Zastanawiam się tylko nad stopniem trudności sprawy. Ktoś, kto porwał dziewczynki, musi być odważny, sprytny i zdecydowany na wszystko. I pozostaje jeszcze drobiazg, motyw. Gdybyż go odgadnąć!

— No właśnie — westchnął Myszk. — Pracujemy naprawdę ciężko. Cud boski, że wyprosiłem na część dnia wolne od komisarza, ale zaraz idę dyżurować. Komisarz wprowadzie ewangelik, ale dla niego prawo jest prawo. Jak ktoś jest katolikiem, powinien mieć możliwość uczestniczenia w swoich świątach, tak mówi. Bochentinowi też się udało. Ale jeszcze go dziś nie widziałem.

— Komisariat jest więc pusty? — zdziwił się Ignaz. — Przecież z kolei ewangelicy mają dziś Święto Reformacji.

— Nabożeństwo w zborze zaczyna się później, o osiemnastej. Heinz Klopp, pamięta go pan, i dwóch młodszych niedługo schodzą z dyżuru. W ogóle to oni, znaczy luteranie, budują teraz nową dużą świątynię, może

pan zauważył? Sama cesarzowa Augusta się dołożyła. No ale to już inna sprawa. A od jutra znów przesłuchania i burza mózgów, jak mawia nowy komisarz. O ile robotnicy nie wtargną na komisariat!

Służba rzecz święta. Ignaz nie mógł dłużej zatrzymywać Myszków. Gdy Braun gościł w Wejherowie i spotykał posterunkowego w przypadkowych okolicznościach, zawsze obiecywali sobie, że koniecznie muszą się spotkać któregoś wieczora. Tym razem było inaczej. Inspektor wiedział, że gdy zachodzą okoliczności tak nadzwyczajne, jak zaginięcie dwojga dzieci, wszystkie sprawy prywatne schodzą na plan dalszy. Udział Antona w świątecznej mszy był wyjątkiem. Już nie będzie świętowania. I nie będzie wojska z Gdańska. Będą zdani na siebie. A każda godzina będzie miała coraz większą wartość.

— Czy nie odnosisz wrażenia — szepnął Ignaz do żony, gdy wracali do domu przy ulicy Kalwaryjskiej — że powinienem jak ognia wystrzegać się przyjazdów do Wejherowa?

— Dlaczego? — zdziwiła się Bernadeta.

— Ponieważ kiedy byłem tu na dłużej ostatnim razem, zamordowano fotografa Pratza. Teraz te dziewczynki.

— Podobno policjanci powinni myśleć trzeźwo — lekkim tonem odpowiedziała pani Braun, ale w jej duszy zakiełkowało coś nieokreślonego.



DUSZE, KTÓRE ZSTĘPUJĄ NA ZIEMIĘ

Pani Urszuli trudno się chodziło. Krótkie nogi, obfita tusza i zamiłowanie do solidnych posiłków robiły swoje. Cały dzień w pracy, to również potęgowało zmęczenie. A trzeba było, wyszedłszy z fabryki, przejść trzy czwarte długości miasta.

Wyciągnęła z kieszeni płaszcz chusteczkę i przetarła spocone, mimo chłodnego popołudnia, czoło. Dostrzegła znajomą postać stojącą przed wejściem do domu przy ulicy Strzeleckiej. Zwalista sylwetka, siwa czupryna. Czerstwa twarz. Punktualny. Tak powinno być.

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę. Przyspieszyła, choć nie było to łatwe. Jeszcze kilkanaście sekund i przywitają się. Mężczyzna lekko się skłonił, pani Urszula podała mu dłoń.

Nacisnęła klamkę drzwi prowadzących do wnętrza kamienicy o ceglanej elewacji pełnej ozdobnych elementów.

Mieszkanie nie należało do największych, ale było schludne. Pokój stołowy, sypialnia, kuchnia i spiżarnia. Królestwo wdowy.

Gość, zachęcony zaproszeniem, usiadł w skromnym fotelu. Pani domu zostawiła go na chwilę, aby zagotować wodę na kawę. Zaczął ciekawie rozglądać się po pokoju. Tylko raz był tu wcześniej. Żył jeszcze wtedy Zygryd, mąż kobiety, człowiek o gołębim sercu i anielskiej cierpliwości, jak mawiał sam o sobie. Sąsiedzi mieli w pamięci pewne epizody, mogące nieco podważyć tę opinię, ale o zmarłych nie powinno mówić się źle.

Od czasu owej pierwszej i ostatniej wizyty zmieniło się tu wiele. Meble solidne i ciężkie, szerniałe od starości, nadjedzone przez korniki, ale świadczące o niegdysiejszym dostatku, stały tak jak dawniej. Stanowiły łącznik pani Urszuli z dawnym światem. Reszta świadczyła o obecnych zainteresowaniach kobiety.

Nad dwoma fotelami i kanapą przykrytą ciężką bordową narzutą wisiał wielkich rozmiarów oleodruk przedstawiający Chrystusa wskrzeszającego Łazarza z Betanii. W tle ponura jama grobowa, przed nią postać owinięta w biały całun. Jezus z Nazaretu wyciąga w kierunku ożywionego zmarłego dłoń w geście ni to władczym, ni braterskim. Obok siostry Łazarza, Maria i Marta, onemiałe, zadziwione.

Na przeciwległej ścianie stół z fotografią Zygryda. Mężczyzna o marsowym obliczu, z sumiastym wąsem i gładko przyczesanymi włosami, wyzywająco spoglądający na gościa. Obok złoczonej ramki z fotografią — lichtarz z trzema świecami.

Dwa okna szczelnie odizolowane od światła brunatnymi firanami. Przy jednym z okien piec, obok niego wiklinowy kosz. W koszu zwinięty w kłębek imponujących rozmiarów kocur, obojętny na wszystko, co dzieje się wokół niego. „Wcześniej nie było tu tego kota” — pomyślał przybyły. I zaraz też pojawiła się w jego głowie myśl, że zwierzę jest w mieszkaniu takim jak to całkiem na miejscu. Dom na granicy dwóch światów. I zwierzę tajemnicze, widzące więcej niż człowiek...

Każdą niegdyś wolną przestrzeń ścian zajmowały obrazy i obrazki przedstawiające ulotne istoty kobiece z anielskimi skrzydłami, wizerunki dusz ukazujących się dzieciom i dorosłym, drewniane płaskorzeźby z nierzeczywistymi postaciami maskaronów, demonów, bóstw, duchów opiekuńczych i pośredniczących. Chrystus wracający życie przyjacielowi musiał pogodzić się z towarzystwem wszystkich tych wyobrażeń, niekoniecznie pasujących do uświęconych prawd ewangelicznych.

— Już niosę kawę! — obwieściła pani Urszula. Jakoż w istocie pojawiła się w pokoju, trzymając w pulchnych dłoniach tacę z dzbankiem, dwoma filiżankami, kubeczkiem na śmietankę i cukiernicą.

— Bardzo się cieszę — mężczyzna rzeczywiście wyglądał na zadowolonego. — Przemarżłem, idąc do pani. Dziś zimno, całkiem inaczej niż wczoraj.

— Tak, wczoraj był taki piękny dzień. Dzień Wszystkich Świętych — na rumianej twarzy pani Urszuli zagościł błogi uśmiech. — Mało jest w ciągu roku równie wielkich świąt.

Starszy Zgromadzenia przytaknął ochoczo i nasypał cztery łyżeczki cukru do swojej filiżanki.

— Ale i dzisiaj, droga pani, i dzisiaj! Szczególnie my musimy pamiętać o wszystkich, którzy jeszcze nie dostąpili odkupienia. Widzą już, jak przez mgłę, ostateczny cel swojej wędrówki, widzą światło w oddali, ale ich droga się nie zakończyła. A dzięki nam może być krótsza.

— I dobrze się stało, że właśnie dzisiaj spotkamy się w Komnacie Iluminacji — dopowiedziała pani Urszula. — Na przykład siostry Prutenius uważają, że spotkania w takich okolicznościach są w dwójnasób ważne.

— I mają rację, droga pani, i mają rację. Ale, ale, ja właśnie w tej sprawie do pani. Kiedy poprosiłem o spotkanie jeszcze przed wieczorną

uroczystością, nie była to prośba mająca na celu jedynie przyjemność, wynikającą z potrzeby towarzyskiej. Otóż proszę posłuchać...

Kot pani Urszuli, jakby przeczuwając, że Starszy Zgromadzenia ma do przekazania informację szczególnej wagi, podniósł łeb i wystawił w górę spiczaste uszy. Jego właścicielka zauważyła zainteresowanie podopiecznego.

— Arielu, ten pan, Starszy Zgromadzenia, ma nam do powiedzenia coś ciekawego.

Łapy Ariela już były wyprostowane, a kark wygiął się w pałąk. Ciche miauknięcie mogło stanowić objaw zaciekawienia, ale też zachęty dla gościa.

Łyżeczka powędrowała do filiżanki. Mężczyzna zamieszał kawę, unikając przy tym stukania o ścianki fajansu.

— Droga pani, warto chyba przypomnieć sobie nasze ostatnie spotkanie. Pożałowania godne usiłowania byłego już Starszego Terminującego, związane z jakimś Ezechielem z Braszowa, który, Bogiem a prawdą, w rzeczywistości może wcale nie istniał. Takie historie wystawiają na szwank wiarygodność naszą, jako zgromadzenia, nie wspominając już o reputacji prezydium. I najważniejsze, co pomyśli sobie o nas Bóg?! On i wszyscy, którzy dostąpili już oświecenia. Stanowczo, trzeba rozsądniej dobierać tych, którzy mają być pośrednikami.

— Mój Boże — pokiwała głową pani Urszula. — Siostry Prutenius mówią kubek w kubek to samo.

— Nie dalej jak trzy dni temu odbyłem bardzo interesującą rozmowę.

Kocur wyszedł z kosza i przez chwilę zamierzał łąsić się do pani Urszuli, w końcu jednak stanął przed Starszym Zgromadzenia i zadarłszy do góry łeb, zaczął patrzeć w oczy mówiącego.

— I rozmowa dotyczyła pani.

— Mnie? — dłoń kobiety, sięgająca po filiżankę, zawisła w powietrzu.

— A dlaczego by nie, dlaczego nie? Otóż Starsza Terminująca zwróciła moją uwagę, że warto by było wcześniej zastanowić się nad wyborem następcy tamtego brata. Właściwie takie sprawy omawia się podczas zgromadzenia, ale sama pani pojmuję, że wtedy mogą rodzić się niepotrzebne spory. Urażone ambicje, zawiedzione nadzieje, wreszcie zawiść. Ostatecznie jesteśmy tylko ludźmi. Znow ucierpi nasz autorytet.

Starsza Terminująca miała rację. Już poprzednio pojawiały się gorszące spory, w których wyniku niektórzy bracia i siostry opuszczali Komnatę Iluminacji na zawsze. Zdarzyło się nawet, że pewien mężczyzna nazwał zgromadzenie sekciarską bandą i zamierzał opublikować obrzydliwy paszkwil w „Neustädter Kreis-Zeitung”. Dopiero osobista prośba Starszego Zgromadzenia, poparta pewnym argumentem starym jak świat, zmieniła nastawienie awanturnika. Takich sytuacji należało ze wszelkich miar unikać i dlatego trzeba było wcześniej przygotować grunt. Naprowadzić członków zgromadzenia na kandydaturę najkorzystniejszą i niebudzącą negatywnych emocji.

— Po głębokim namyśle — kontynuował gość, który lubił kończyć przemowę w sposób efektowny — postanowiłem zaproponować pani zaszczytny obowiązek piastowania funkcji Starszej Terminującej.

Siedząca obok pani Urszula poczuła ciepło w sercu od słów właśnie wypowiedzianych. Powstała. Gość i kot bacznie jej się przyglądali.

— Ja... nie mogę wziąć na siebie takiego zaszczytu. Czym sobie zasłużyłam? Jest tylu godniejszych. Są osoby znaczące w mieście, wykształcone.

— Ale pani ma w sobie iskrę bożą i niespożytą chęć odkrywania tajemnic niedostępnych nieoświeconym. Spośród członków bractwa

właśnie pani ma najwięcej zapachu — odparł mężczyzna i nie mijał się z prawdą.

— Tak. Tak bardzo chciałabym wiedzieć wszystko o tamtym świecie! Ale czy potrafiłabym być pośrednikiem?

Mężczyzna z entuzjazmem przytaknął. Znał odpowiedź na to pytanie. Szczera dusza, pozbawiona ziemskich ambicji, jest najmilsza Panu Światła. I z pewnością pochyli się On nad pokorną i pełną zapachu sługą. A ileż pożytku z takiego obrotu sprawy wyniknie dla zgromadzenia!

— Tylko powinna pani mniej polegać na zdaniu sióstr Prutenius. One, będąc poczciwymi duszami, były zanadto związane z poprzednim Starszym Terminującym. Mogłyby, pod wpływem złej namowy, próbować przywrócić mu, ma się rozumieć po pewnym czasie, zaszczyt, który utracił. I może już nie byłyby pani tak przychylne.

— Są jego dalekimi krewnymi. Ale mają tyle samo dobrych chęci, co i ja.

— Z pewnością. Jednak co rodzina, to rodzina. Pani, jako osoba szczera, mówiłaby im o wielu szczegółach, które może znać jedynie prezydium. No, między nami, potrzebne to pani?

— Ja jeszcze nie podjęłam decyzji — rezolutnie odpowiedziała kobieta, choć jej oczy mówiły coś innego.

— Niech więc pani wyobrazi sobie Komnatę Iluminacji... Półmrok, świece, oczy wszystkich utkwione w pani. Oczekiwanie.... I wreszcie, przywołany, pojawia się ktoś ważny, ważny dla pani, dla zgromadzenia, dla ludzkości pogrążonej w mrokach!

— Mój Zygfryd? — z nadzieją w głosie zapytała pani Urszula i złożyła rękę.

— Droga pani, droga pani! — mężczyzna wylewnie uściskał jej dłoń. — Dziękuję! Wiedziałem, że pani będzie wspaniałomyślna i wyświadczy

nam wszystkim ten zaszczyt!

— Ale...

— Zgadza się pani, ja czuję, ja wiem!

Ariel, uspokojony, z powrotem umościł się w swoim koszu. Mężczyzna z dobrze ukrywaną niechęcią pogłaskał kota, czym wzbudził jeszcze większy entuzjazm gospodyni.

Od dwóch godzin panował mrok. Nie była to jednak ciemność absolutna. Księżyc trzy dni wcześniej jawił się ludziom olbrzymią, jasną tarczą i przez te kilkadziesiąt godzin tylko nieznacznie stracił na swej krągłości, nadal oświetlając ziemię zimnym, ale jednak rozpraszającym ciemności, blaskiem. Niebo było bezchmurne i ozdobione gwiazdami.

„W mieście tak pięknie nie świecą” — pomyślała Emma i głęboko westchnęła. Okręciła się na pięcie jak podłotek, który miałby ochotę na taniec.

A potem przypomniała sobie, jak w dzieciństwie, kiedy wieczorami siadała na kolanach babci, ta raczyła ją opowieściami o duszach pokutujących, z których każda ma swoją gwiazdę. Na niebie zawsze będą świecić gwiazdy, bo zawsze znajdą się grzesznicy. Jednak ci, którym przypatrzemy się, jako niebieskim ognikom, i zmówimy za nich nabożnie zdrowaśkę, w niedługim czasie dostąpią miłosierdzia. Znikną jako światełka na niebie, a narodzą się jako dusze czyste.

W oddali zawył pies. Emmę przeszył dreszcz. Było wprawdzie zimno, trawę i zarośla zaczął pokrywać szron, ale dreszcz spowodowany był nieprzyjemnym uczuciem, że gdzieś blisko jest ktoś, lub coś, co baczenie się jej przypatruje.

Wolała sytuację, kiedy to ona narzuca warunki. W końcu profesja nauczycielki wymagała takiego podejścia do świata. Tu jednak jest ta, która

nie ma przewagi. Wieczór na odludziu, wieczór zaduszny... Wszystkie przesady, jakimi kiedykolwiek ją karmiono, domagały się od jej umysłu, żeby o nich nie zapomniał. I wpełzały na wierzch, i triumfowały.

Uświadomiła sobie, że chciałaby już znaleźć się we własnym łóżku. Zanurzyć się w pościeli, przykryć głowę kołdrą i choć na krótko uciec myślami od wszystkiego, co na co dzień zaprzętało jej umysł.

Jeszcze pół mili i znajdzie się we dworze. Droga jest prosta, wokół nie ma żadnych lasów, co najwyżej pojedyncze drzewa, prawie nagie, za którymi nie potrafi się ukryć żadne zło. Nikt nie obserwuje jej z ukrycia, to takie niemądre. Od dawna wiedziała, że nie ma na świecie strachów, duchów ani żadnych zjawisk, których nie można by ogarnąć rozumem.

A jednak bała się. Strach, karmiony wyobraźnią, nie dawał spokoju. Wszelkie logiczne argumenty, siłą woli przywoływane przez Emmę, musiały walczyć z poczuciem zagrożenia, a był to bój ciężki, szarpiący zmysły i umęczone ciało.

Zatrzymała się. Przed chwilą powtarzała sobie, że należy iść pewnym krokiem. Nie można zawahać się, nie można ulegać nastrojom i całej tej czeredzie strachów zapamiętanych z dzieciństwa.

Znieruchomiła i wyczekująca, patrzyła przed siebie. Z przeciwnej strony nadchodziła staruszka. Ale skąd pewność, że staruszka? Kobieta, przygarbiona i stawiająca ostrożne, zmęczone kroki, mogła równie dobrze liczyć sobie lat siedemdziesiąt, jak i czterdzieści. Zdarzało się, że ktoś, przytłoczony troskami życia lub chorobą, wyglądał znacznie leciwiej, niż wskazywałaby suma przeżytych lat.

A jednak wiedziała, że kobieta jest wiekowa, choć nie mogła dostrzec twarzy pośród ciemności. Dzieliło je jeszcze około dwudziestu, trzydziestu metrów.

Zniknęła gdzieś rezolutna i podziwiająca ją Marie i jej piesek Rufi, zniknęła wyniosła Elizabeth von Lietz i jej mąż o twarzy małomiasteczkowego piekarza. Nie było Giselle ani starego Franza. Ani sielskiego dworu, malowniczo położonego wśród pól, okolonego drzewami i osłoniętego łagodnymi wzgórzami. Ani niczego, co stanowiło o jej terażniejszości.

Miała wrażenie, że tamta jej nie dostrzega. Idzie niespiesznym krokiem, jej sposób poruszania się jest regularny, jednostajny. Żadnych odgłosów, żadnego szmeru. Zmrożona ziemia nie skrzypi pod naciskiem butów.

Jeszcze chwila i spotkają się. Emma postępuje o krok, jakby chciała wyjść naprzeciw przeznaczeniu, jakby pragnęła, aby mieć już za sobą... właściwie co?

Spuściła oczy. Niech już będzie po wszystkim, niech skończy się szalone bicie serca i ta obezwładniająca niepewność.

Coś zmusiło ją, żeby znów spojrzeć na staruszkę. Wbiła wzrok w jej oczy. Kobieta stała przed Emmą przygarbiona, pomarszczona, ale to ona panowała nad sytuacją. Emma uświadomiła sobie w jednej chwili, że sama jest bezradna, tymczasem tamta wie wszystko. Jej pojawienie się miało sens i było zaplanowane. Miało cel. Spojrzenie kobiety nie budziło wątpliwości.

Czuła, jak cała krew ucieka z ciała. Już wiedziała. Naprzeciwko niej stała Emma. Ona sama. Minie jeszcze ze czterdzieści lat i będzie wyglądać tak samo.

To jej oczy, choć zamglone i bardzo zmęczone. Jej policzki, chociaż przeorane głębokimi bruzdami. Nos, piękny nos Emmy, prosty, wąski, stanie się haczykowaty. Czoło ze zmarszczkami. Szyja, jak szalem, opatulona siatką cieniutkich kreseczek. Usta, zmysłowe i lekko rozchylone, opadną po bokach, przybierając kształt żalosnej podkówki, jak u smutnego dziecka.

Znów spojrzała w oczy tamtej. I mimo przerażenia uświadomiła sobie, że te oczy, zmęczone oczy starej, wyniszczonej trudami życia kobiety, są spokojne. Jej nie nękają żadne obawy, ona już wie, że nie musi się o nic martwić. Jest poza wszelkimi troskami.

Czy ja taka będę? I kto to jest?! To ja, ale skąd się tu wzięłam, taka... stara? Po co?!

Powtarzała w myślach wszystkie te pytania. Nie musiała ich wypowiadać, wiedziała, że tamta je słyszy.

Nie padła żadna odpowiedź.

Kobieta jakby oczekiwała jej, Emmy, reakcji. Może nie reakcji, może uświadomienia sobie czegoś? Skąd się wzięła? Diabeł ją przysłał w taki dzień? Może Bóg? Nie, nie istnieje ani ten, ani tamten. Boże ratuj, Szatanie, ratuj! Mętlik w głowie, czego ona chce? Czy jesteśmy dwie, czy to tylko ja?

Myśli Emmy krążyły po głowie jak oszalałe. A jednak szarpany impulsami umysł trzymał się uparcie zadziwienia nad spokojem kobiety, nad jej brakiem obaw i trosk.

Tamta chce przekazać jej coś ważnego. Że właściwie nie liczy się to, o co zabiegamy przez całe życie. Ważne, żeby na chwilę przed odejściem mieć takie beznamienne oczy, żeby bez lęku czekać na śmierć, na nieuniknione przejście.

Skąd te myśli?

Więc po co pragnienia? Po co tęsknoty i marzenia? Po co wiatr i słońce, i śmiech, i łzy?

Kobieta uśmiechnęła się delikatnie.

— Sama musisz odgadnąć — zdawały się mówić oczy staruszki.

I odeszła. Minęła Emmę, a ta nie obejrzała się. Znów została sama. Wiedziała, że czeka ją bezsenna noc.

A jednak jej twarz rozjaśniła się, gdy ujrzała w oddali światelka dworu von Lietzów.

Odetchnęła głęboko. Kobieta zdawała się jedną z tych mar, jakie czasami tworzy nieposłuszna wyobraźnia.

— I wtedy on powiedział, że żył kilkaset lat wcześniej — ściszym głosem powiedział Brunon Sychowski.

Siedzieli w salonie. Lichtarz z trzema świecami nikłym blaskiem oświetlał meble, ściany i obrazy. I rodzinę, która w zaduszny wieczór zajęta była opowieściami o tajemniczych zjawiskach.

Co prawda, pani Marta nie była przekonana, czy właściwe jest, aby jej mąż karmił opowieściami o duchach dziewczynkę, która i tak zainteresowana była ponad miarę cmentarzem i tymi, którzy na nim spoczywali. Rozalka jednak, zapytana, miała w tej kwestii krańcowo odmienne zdanie. Na jej twarzy kwitły rumieńce, a oczy błyszczały z przejęcia. Urzeczona, wpatrywała się w ojca, ten zaś jak z rękawa sypał opowieściami mrożącymi krew w żyłach.

Ignaz ziewnął delikatnie, tak aby teść nie zauważył jego senności. Bernadeta dała mu, równie delikatnie, kuksańca i jednocześnie poczuła, że zaczyna ogarniać ją niepohamowana potrzeba śmiechu. Spojrzenie męża wystarczyło. Musiała odkaszlnąć, aby przykryć chichot. Znała wszystkie opowieści ojca na pamięć, ale pierwszy raz zetknęła się z tym, że potrafią usypiać.

Natomiast Rozalka doświadczała dreszczyku emocji towarzyszącego dzieciom podczas słuchania historii nie z tej ziemi. Wiele by dała, żeby pan Brunon mówił całą noc, równocześnie jednak mocniej ścisnęła dłoń matki. Tak strasznie i tak rozkosznie jest słuchać o duchach...

— Był hrabią, który sprzeniewierzył się trosce o poddanych. Gromadził bogactwa i nie przejmował się biednymi, których tylu miał w swoim majątku. Był tam jego syn, dobry młodzianek, który napominał niejednokrotnie ojca, lecz prośby nie przynosiły żadnego skutku. Potem, gdy hrabia umarł, lepiej się wszystkim działo, bo syn został panem dóbr i w majątku coraz mniej było ubogich. Nowy dziedzic pomagał potrzebującym, kazał leczyć chorych, a wdowom i sierotom nie żałował grosza — pan Sychowski uznał, że dziecku należy się budujący przykład.

— I ten hrabia nie żył, a i tak przyszedł do tej pani? — Rozalka nie mogła się nadziwić. Ojciec zaczął bowiem opowieść od tego, że pewna nabożna niewiasta ofiarowała swój żywot, siły, czas i modlitwy za dusze czyścicowe.

— Tak, pokutujący wiedzą, kto im może pomóc, i mają od Boga przywilej odwiedzin u takich pomocników. A on przecież był taką duszą czyścicową — tłumaczył ojciec, podkrecając sumiastego węża. — Czekał na modlitwę setki lat, a nikt o nim nie pamiętał, bo pamięć o nim wszyscy pochowali wraz z ciałem. I wreszcie Bóg pozwolił mu ukazać się świętej niewieście.

— A on miał ciało?

— No, właściwie tak. To znaczy nie takie, którego można dotknąć. Przybrał kształt widoczny dla oczu. Wicie, blady, chudy, z kościstymi dłońmi. Ale myślę, że gdyby chcieć go złapać za rękę, nie udałoby się. Złapałoby się powietrze. I ta kobieta zaczęła dokładnie wypytywać go o wszystkie grzechy, bo musiała wiedzieć, o odpuszczenie czego ma się modlić. Tego już wam nie będę opowiadać, bo nie skończyłbym do rana, w każdym razie...

Na pulchne ramię Bernadety opadła głowa męża. Ignaz, który w swojej karierze niejednokrotnie widywał zjawiska o wiele bardziej tajemnicze

i złowieszcze niż pokutująca dusza hrabiego sprzed kilkuset lat, najspokojniej w świecie zasnął.

Jeszcze długo w noc nad światem unosiły się opowieści o pokutujących. A oni sami radowali się każdym nabożnym westchnieniem.



BABECZKI Z CHILI

Deszcz dzwonił o parapet przez całą noc. Ignaz przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Wstał po cichu, żeby nie zbudzić Bernadety, i poszedł do kuchni, aby zapalić. Wychłodzone pomieszczenie nie zachęcało do delectowania się nikotyną. Zgasił wypalonego do połowy papierosa i wrócił pod ciepłą pierzynę. Sen w końcu nadszedł.

Wstał rześki, mimo niespokojnej nocy. Zjadł w towarzystwie żony i teściowej obfite śniadanie i właśnie zamierzał usiąść w fotelu z najnowszym numerem „Kaiserische Polizei”, aby przeczytać niezwykle interesujący artykuł poświęcony głośnej trucicielce Marie Lafarge, gdy przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek, jako żywo przypominający sygnał słyszany przez podróżnych na wielu niemieckich dworcach.

Brunon Sychowki był zadowolony, kiedy w sklepie pana Kornlaba natrafił na cud techniki, dzwonek elektryczny o dźwięku do złudzenia przypominającym o jego największej pasji.

Pani Marta otworzyła. Braun usłyszał męski głos. Wydawał mu się znajomy. Podniósł głowę znad policyjnego czasopisma.

— Dzień dobry, panie inspektorze.

— Posterunkowy Bochentin! — Ignaz nie potrafił ukryć zaskoczenia.
— Arno Bochentin!

— To ja, panie inspektorze, rzeczywiście — mężczyzna ucieszył się, że Braun go zapamiętał.

— Proszę, proszę bardzo. Co pana sprowadza?

— Panie inspektorze, przychodzę z taką sprawą, bardzo ważną sprawą. Pewno będzie pan zadowolony.

— Ale proszę usiąść — Ignaz wskazał gościowi miejsce na krześle pod tykającym głośno zegarem z kukułką.

— Dziękuję — ukłonił się posterunkowy i spoczął. Nieco bezceremonialnie położył czapkę na stoliku sąsiadującym ze swoim krzesłem.

Przed Braunem siedział człowiek, który miał mu coś istotnego do zakomunikowania. Inspektor lubił takie sytuacje.

Drzwi do salonu zamknęły się od zewnątrz. Pani Marta należała do osób dyskretnych. Zwłaszcza gdy liczyła na to, że i tak później dowie się wszystkiego.

— Słyszał pan o zaginięciu dwóch dziewczynek, córek Wacława Ruszkowskiego — zaczął Bochentin, raczej stwierdzając fakt, niż pytając.

— Rzecz jasna — odparł Braun.

— A więc, niestety, nadal jesteśmy w punkcie wyjścia.

— Na mieście tak się właśnie przypuszcza. — Braun sięgnął po papierośnicę i zapalki.

— W takim razie miasto należałoby zaaresztować za sianie defetyzmu. Usłyszałem takie zdanie podczas jednego z wykładów w Szczecinie. Bo ja, panie inspektorze, zacząłem naukę...

— Ależ drogi posterunkowy, wiem o tym — uśmiechnął się inspektor, częstując gościa papierosem. — I szczerze gratuluję.

— Dziękuję. Ale już wracam do dziewczynek. Wczoraj przed samym wyjściem komisarza Lamberta, bo...

— Wiem, jest u was nowy komisarz, w zastępstwie pana Renscha — szybko dopowiedział Ignaz.

— Właśnie. Komisarz już ubierał płaszcz, gdy do środka wszedł Paweł Pokora, miejscowy fabrykant.

Właścicielowi fabryki „Maschallah” towarzyszył nieszczęsny ojciec dziewczynek. Nieobecny duchem, z wyrazem rezygnacji na twarzy nabrzmiałej bólem.

Paweł Pokora, mężczyzna o imponującej postawie, z groźnym wzrokiem pod zmarszczonym czołem, zażyczył sobie natychmiastowej rozmowy z komisarzem.

— Trzeba było widzieć, jak pan Pokora rozmawiał z szefem! Co tu dużo gadać, zażądał, aby wobec braku postępów w śledztwie poproszono o pomoc, jak to całkiem słusznie powiedział, prawdziwą sławę policji, pana inspektora Brauna! No, mój pryncypał próbował się tłumaczyć, nawet podniósł głos, ale co pan Pokora, to pan Pokora. Ma pozycję w mieście, bez dwóch zdań!

— I?

Arno Bochentin mocno się zaciągnął. Na jego twarzy zagościł uśmiech. Taki, którego się nie zapomina.

— I jeżeli pan inspektor nie pogardzi zaproszeniem od skromnego przedsiębiorcy, tak właśnie powiedział, pan Pokora będzie zaszczycony, jeżeli odwiedzi go pan dzisiaj o dziewiętnastej.

Kukułka wysunęła się ze swojego lokum w zegarze. Nad posterunkowym Bochentinem dziesięć razy rozległo się kukanie

drewnianego ptaszęcia.

Ukłon pokojówki był taki, jak należy, dyskretny i bez unізoności wprawiającej przybyłego w zakłopotanie.

Braun wprowadzony został do obszernego korytarza, na końcu którego pojawił się mężczyzna słusznej postury.

— Witam, serdecznie witam, panie inspektorze! — zagrzmiął Paweł Pokora i chwycił w żelazny uścisk dłoń Brauna. — Tak się cieszę, że przyjął pan moje zaproszenie!

— Jakże mógłbym odmówić?

— Do salonu, z całego serca! — Pokora przepuścił gościa, który oddawszy płaszcz pokojówce, zwrócił się w stronę wskazanych drzwi.

Przybyłego uderzył blask żyrandola elektrycznego, rześście oświetlającego bawialnię. Kontrast z mrokiem ulicy, gdzie królowała listopadowa śłota, jawił się uderzającym.

Przy kanapie stały dwie kobiety i mężczyzna.

Paweł Pokora rozpoczął prezentację.

Pani Konstancja, szczupła szatynka o regularnych, ascetycznych rysach twarzy, lekko uśmiechnęła się do Brauna i podała mu dłoń, którą z należyty szacunkiem ucałował.

Z kolei jasny, niemal wesoły uśmiech towarzyszył siostrze gospodarza, pannie Rozalii, gdy witała się z berlińskim oficerem.

Braunowi z gorączkowym napięciem przyglądał się Wacław Ruszkowski. Gdy Ignaz podał mu rękę, poczuł lodowaty, kurczowy dotyk kości powleczonych skórą.

Gospodyni zaprosiła towarzystwo do okrągłego stołu nakrytego subtelnie haftowanym obrusem.

— Czekamy jeszcze, rzecz jasna, na komisarza Lamberta — obwieścił Paweł Pokora. — Z pewnością przyjdzie lada chwila.

— Wspaniale — uśmiechnął się Ignaz.

I w tym momencie pokojówka, która niepostrzeżenie weszła do salonu, pochyliła się nad panem domu. Krótki szept. Paweł Pokora wstał i przeprosił zebranych.

Braun nie miał czasu, żeby zamienić choć słówko z gospodyniami i nieszczęsnym Waławem Ruszkowskim, bo w drzwiach stanął Otto Lambert.

Wyprostowany, w nienagannie skrojonym garniturze, ze stosowną grzecznością skłonił się towarzystwu. Kobiety przywitały się z ostatnim z gości, to samo uczynił ojciec zaginionych dziewczynek.

Kiedy dwaj oficerowie stanęli naprzeciw siebie, poczuli, jakby dzieliła ich niewidzialna bryła lodu. Braun nie mógł mieć wątpliwości. Lambert żywił do niego głęboko posuniętą nieufność, jako do intruza wkraczającego na nie swój teren. Jego samego natomiast cechowała ciekawość.

— Jestem zaszczycony, mogąc poznać tak zdolnego oficera — słowa Ignaza, wbrew jego intencjom, zabrzmiały cokolwiek protekcyjnie.

— Ja również — Lambert przeszył Brauna ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

— Znakomicie! W takim razie usiadźmy, zapraszam — gospodarz zatarł ręce.

Zanim nawiązała się jakakolwiek rozmowa, pokojówka wniosła tacę z porcelaną. Nad dzbankiem unosił się aromat egzotycznej kawy o trudnym do określenia pochodzeniu. Kobieta zniknęła i za moment powróciła z szerokim talerzem pełnym okrągłych, ciemnobrązowych ciasteczek. Postawiła talerz na środku stołu i rozlała kawę do filiżanek. Potem skłoniła się i wyszła.

— Zachęcam państwa do spróbowania babeczek — powiedziała pani Konstancja. — Uprzedzam jedynie, że są ostre w smaku. Wzbogacono je chili.

— Osobliwe połączenie, droga pani — uśmiechnął się Ignaz, zawsze łączył na wszelkiego rodzaju przysmaki. — Słodczyz i ostrość...

— To stary kolonialny przepis — tłumaczyła panna Rozalia, odgarniając niesforne loki uciekające na czoło. — Bratowa otrzymała go od swej krewnej, Krystiany, która jakiś czas przebywała w ciepłych krajach, gdzie chili jest bardzo chętnie dodawane przez krajowców do rozmaitych potraw.

— Ciepłe kraje... — rozmarzył się Paweł Pokora. — Osobliwie lubię opowieści o ciepłych krajach. Imaginujcie sobie państwo, słońce, radość, paleta barw nieznanych nam, ludziom Północy! Ale proszę się częstować! Tymczasem jednak chciałem powiedzieć, że moje zaproszenie, jakkolwiek szczere i wypływające z wielkiej ku panom sympatii, ma swoje uzasadnienie w bardzo smutnym zdarzeniu.

Gospodarz kątem oka zerknął na Ruszkowskiego. Ten wyprostował się nieco i spojrzał na pryncypała z nikłym błyskiem nadziei w zaczerwienionych oczach.

— Obecny tu pan Waław Ruszkowski, wielka podpora naszej fabryki, główny księgowy, sumienny pracownik i co tu dużo mówić, dobry człowiek — głos Pokory był wyciszony, pełen skupienia — dotknięty został czymś najgorszym, czymś, co trudno sobie wyobrazić mnie, ojcu trzech synów i córce, ale chyba i każdemu, kto ma wrażliwe serce. Jak państwo wiecie, zaginęły jego córki, Ludwisia i Janeczka. Mija już ładnych kilka dni.

— Błagam panów — głosem z zaświatów odezwał się ojciec dziewczynek — pomóżcie mi! One są całą moją radością! Nie życzę

nikomu czegoś takiego! Zrozumcie, co może czuć ojciec, kiedy... Nie wiem, co się z nimi dzieje, nie wiem, czy... czy żyją. Z początku nie śmiałem podejrzewać, że ktoś mógłby je porwać, skrzywdzić, ale teraz sam już nie wiem. Panie inspektorze!

Komisarz Lambert wyprostował się jeszcze bardziej. Babeczka przez niego trzymana zawisła w powietrzu.

— Drogi kolego — Ignaz poważnie spojrzał na Lamberta. — Myślę, że możemy zapewnić pana Ruszkowskiego, iż dołożymy wszelkich starań. Jeśli tylko nie ma pan nic przeciwko temu.

— Moja opinia nie ma tu nic do rzeczy. Należy odnaleźć dzieci — odpowiedzi gdańskiego oficera towarzyszyło napięcie. W dwóch zdaniach zawarł wszystko, co go nurtowało. Zawiść, ambicję, zawziętość i determinację gończego psa.

Ignaz skinął głową.

Atmosfera przy stole stała się ciężka. Nikt nie wiedział, czy kontynuować temat zaginięcia dziewczynek. Kawa, babeczki, elegancko przystrojony stół, wszystko to jaskrawo kontrastowało z nieszczęściem, jakie stało się udziałem Wacława Ruszkowskiego.

Wreszcie Otto Lambert ozwał się głosem wskazującym na zmęczenie sytuacją.

— Szanowni państwo, proszę wybaczyć, mam dziś jeszcze bardzo dużo pracy. Dziękuję za miły wieczór. Obowiązki wzywają. Jestem wdzięczny za zaproszenie. Mam nadzieję, że niedługo spotkamy się w pomyślniejszych okolicznościach. Panie inspektorze — zwrócił się do Brauna — czy zechciałby pan towarzyszyć mi do drzwi?

— To zrozumiałe — odparł Braun.

Skłoniwszy się reszcie towarzystwa, obaj policjanci w asyście Pawła Pokory opuścili salon. Gospodarz dyskretnie pozostał nieco z tyłu.

— Los sprawił, że jesteśmy na siebie skazani — szepnął Lambert. — Nie znam pana, inspektorze, więc nie mogę odnosić się do pana ani dobrze, ani źle. Normy cywilizacyjne zobowiązują mnie do określonych zachowań. Zresztą, jestem profesjonalistą, który nie zamierza swoimi odczuciami prywatnymi obarczać kolegów z policji, więc będę się starał, aby nasze stosunki były znośne. Niech pan jednak pamięta, że to ja prowadzę śledztwo. I może pan sobie wykazywać inicjatywę, wyrażać przypuszczenia, a nawet rozmawiać ze świadkami, ewentualnie podejrzanymi, oczywiście przy mojej akceptacji. Nie zniosę jednak, aby pouczał mnie pan w jakiegokolwiek kwestii ani działał na własną rękę. Rozumiemy się?

— Wyraził się pan tak jasno, że mam już obraz naszej przyszłej współpracy — uśmiechnął się Braun. — Pogromca mordercy wejherowskiego gimnazjalisty jest do pańskiej dyspozycji.

Od dawna już nie karmił się trofeami w postaci schwytanych złoczyńców, tym razem jednak nie mógł odmówić sobie drobnej przyjemności wobec człowieka, o którego sukcesach jakoś uparcie nie donosiła prasa.

— W takim razie oczekuję pana jutro rano, powiedzmy o ósmej, na komisariacie. Ile dni pozostało do pańskiego wyjazdu?

— Sześć.

— W sam raz, żebym zakończył śledztwo.

— Zakończy pan prędzej, mam nadzieję.

Wacław Ruszkowski w kilka minut po wyjściu komisarza również podziękował za gościnę. Czuł się niedysponowany, co wszyscy rozumieli doskonale. Pryncypał zaproponował mu, żeby nie przychodził następnego dnia do fabryki. Ma tyle urlopu do wykorzystania! Księgowy jednak odmówił stanowczo. Bezczynność byłaby najgorsza.

W salonie zostały panie Konstancja i Rozalia, Paweł Pokora i Braun.

Dopiero przed chwilą, korzystając z małego zamieszania spowodowanego pożegnaniem Ruszkowskiego, Ignaz mógł nieco dokładniej rozejrzeć się po obszernym pokoju. Całość wnętrza zdominowana była przez masywne meble gdańskie. Krzesła z misternie rzeźbionymi oparciami, solidny stół będący świadkiem wielu uroczystości i dni codziennych, wreszcie olbrzymi kredens ozdobiony kilkoma wartościowymi bibelotami. Chińska porcelana, nieco filigranowych sreber koronkowej roboty.

Na jednej ze ścian pysznił się obraz starego mistrza, przypominający jako żywo te oglądane przez Ignaza w amsterdamskim Rijkmuseum. Niderlandzki manieryzm. Statki, wąskie kamieniczki, zaaferowani kupcy, wystrojeni przechodnie. A jednak nie był to widok żadnego z miast Zjednoczonych Prowincji Niderlandów. Żuraw nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Malarz wyczarował na płótnie konterfekt Gdańska.

— Mam nadzieję, że podoba się panu nasz salon — uśmiechnęła się panna Rozalia do wpatzonego w antyki gościa.

— O tak, bardzo! Przepraszam, niestosownie tak się rozglądać, ale widzi pani, jeśli ma się do czynienia z wnętrzem wybitnie stylowym i — Ignaz chwilę szukał właściwego określenia — patrycjuszowskim, trudno zachować stosowną powściągliwość. Bardzo tu pięknie!

— Miło nam. Mąż, kiedy jeszcze fabryka działała w Gdańsku, bardzo polubił zabytkowe wnętrza. Miał nieco takich pamiątek po ojcu, resztę kompletowaliśmy. Dobrze przebywać w otoczeniu przedmiotów mających własną historię.

Ignaz potwierdził. Lubił wchodzić z Bernadetą do sklepów specjalizujących się w sprzedaży antyków. Co prawda, nie wszystkie arkana dotyczące stylów poszczególnych epok były mu znane, zwłaszcza gdy

chodziło o meble. Z malarstwem było już lepiej. Odkąd po raz pierwszy zawitał do Holandii, kompletował albumy z dziełami starych mistrzów. I jeszcze Drezno. Zwinger, Vermeer...

Zdarzało się, że przez kilka dni męczył go jakiś motyw muzyczny. Teraz w mózgu Brauna rozgościł się hymn Holandii. Wiedział, że stara pieśń, zasłyszana podczas pobytu w krainie tulipanów, nie da o sobie zapomnieć przez jakiś czas.

— Może jeszcze babeczkę, panie inspektorze — zachęcała pani Konstancja.

— Nie odmówię — twarz Brauna rozjaśniła się. Sięgnął dłonią do talerza, gdzie brązowe ciastka jakby prosiły, żeby ich znów skosztować.

— Żona nie piecze ich często, ale zawsze robi to sama — Paweł Pokora poszedł w ślady gościa i sięgnął po smakołyk. — Mamy bardzo dobrą kucharkę, bez dwóch zdań, ale punktem honoru mojej Konstancji jest, żeby raz na jakiś czas osobiście upiec babeczki z chili.

— Od razu po ślubie nie mieliśmy kucharki, każdego feniga oglądaliśmy wtedy po kilka razy, nim zdecydowaliśmy się go wydać — westchnęła pani Konstancja. — Gotowałam więc sama. A babeczki udawały mi się zawsze, uprzyjemniały nam wieczory po ciężkiej pracy. Od tamtego czasu, trochę przez sentyment dla najpiękniejszych lat, piekę je nadal sama. Ot, taka fanaberia.

— Bardzo przyjemna fanaberia — powiedział Ignaz, gdy przełknął kolejny kęs. — Dobrze mieć taką rodzinną tradycję kulinarną.

— Prawda! — zaśmiał się pan domu. — Czasem powtarzam żonie, żeby przekazała przepis naszej małej Ani, gdy już będzie większa. Przyjemnie pomyśleć, że za jakieś, dajmy na to, sto lat któraś z naszych potomkiń nadal będzie piekła babeczki z chili.

— Miła to perspektywa — talerzyk Ignaza był już pusty — ale niech mi wolno będzie zauważyć, że już zbudowali państwo sobie pomnik, który będzie świadectwem wobec przyszłych pokoleń.

— Pomnik? — spytał Paweł Pokora.

— Owszem! Śpiewnik! Iluż ludzi, a wiem to chociażby na podstawie rozmów z moją rodziną zamieszkałą w Wejherowie i ich znajomymi, nuci piosenki z pańskiego śpiewnika i uczy się ich, aby koncertować chociażby podczas domowych uroczystości!

Na twarzy gospodarza odbiło się zadowolenie. Nie było jednak oznaką próżności. Paweł Pokora ucieszył się, że zamiar, który przyświecał mu przy wydaniu książeczki, był słuszny. Ludzie będą śpiewać więcej polskich pieśni!

— W morzu niemieckości pojawiło się coś, co ludziom przywróciło wiarę w siłę polskiej kultury — patetycznie, lecz całkiem szczerze dokończył Ignaz.

— Pochlebiam sobie i mojej rodzinie — Pokora przenikliwie spojrział na gościa — że darzy nas pan inspektor dużym zaufaniem, wypowiadając takie słowa.

— Rzecz jasna — oficer niemieckiej policji uśmiechnął się porozumiewawczo. — A poza tym koncert był naprawdę wielkim artystycznym wydarzeniem. Gratuluję z całego serca.

— Tyle miłych słów! Z kolei proszę zauważyć, jak niespodzianie potoczyło się wszystko. Kto by pomyślał, że będziemy przyjmować pana w naszych progach! Ale, inspektorze, zapraszam teraz do palarni! Moje urocze panie wybaczą, chciałbym porozmawiać z gościem o mniej przyjemnych sprawach, dotyczących nieszczęścia pana Ruszkowskiego.

Palarnia, która przylegała bezpośrednio do salonu, oddzielona od niego podwójnymi oszklonymi drzwiami, sprawiła na gościu miłe wrażenie.

Pomieszczenie nie odznaczało się wielką powierzchnią. Było kameralne i przytulne.

Na jednej ze ścian znajdowało się okno. Pozostałe wyłożone były regałami pełnymi książek o złożonych skórzanych grzbietach. Myliłby się jednak ten, kto widziałby w owej dekoracji nowobogacki snobizm. Grzbiety książek były bowiem podniszczone, wielkość woluminów sąsiadujących ze sobą przedstawiała wielkie urozmaicenie. W domu nuworysza królowałyby symetria i pedantyczność, charakterystyczne dla biblioteki, z której nikt nie korzysta. Tutaj wiele książek leżało na stole, a te ustawione w regałach posegregowane były tematycznie. Historia, proza, poezja, dzieła religijne...

Obok stołu zarzuconego woluminami stał duży humidor z szufladami, bogato intarsjowany. Skarbiec pana domu, wypełniony najlepszymi cygarami.

— Zaproponuję panu Flor de Suarez — szepnął Paweł Pokora z namaszczeniem, jakby znajdowali się w świątyni. — Nasze najlepsze. Tytoń z Ameryki Środkowej, żadna turecczyzna. Proszę, są naprawdę klasą samą dla siebie.

Powietrze w palarni zatraciło świeżość i przejrzystość. Dym przysłonił złotobrunatne grzbiety książek. Dwaj mężczyźni, popijając porto z rżniętych kryształowych kieliszków, zapalili kolejne cygaro.

Rozmawiali o Wacławie Ruszkowskim i Wierze Adierichinie. Wtedy na twarzy Pawła Pokory malowała się troska. Gdy jednak tematem rozmów stała się rodzina fabrykanta, a jeszcze później książki, jego oczy błyszczały jak u małego chłopca, gdy ojciec pozwoli mu jeszcze godzinę pograć z kolegami w piłkę.

Wzrok Ignaza zaczął płatać mu figle, jednego po drugim. Porto i aromatyczne cygara z ojczyzny tytoniu zrobiły swoje.

Poczuł się lekki jak piórko, a równocześnie jakiś rozkoszny bezwład cieszył go niczym rozwiązana sprawa groźnego przestępcy.

Wszystko, co miłe, kończy się szybko. Następnego ranka trzeba będzie stanąć oko w oko z komisarzem Lambertem. I tajemnicą zaginięcia dziewczynek.

„Dlaczego poznaję dobrych ludzi zazwyczaj wtedy, gdy prowadzę jakąś straszną sprawę?” — zapytał Ignaz samego siebie, gdy już pożegnał serdecznych gospodarzy i znalazł się na mokrej ulicy.

Odetchnął zimną wilgocią. Czekały go trudne dni.

Tymczasem Paweł Pokora spojrział na talerzyk z babeczką i zaciągnął się dymem z ostatniego tamtego wieczoru cygara.

„Wyobrażałem sobie, że będzie śliski jak wąż. Z początku wydawał się takim. Ale rozumie nas doskonale, mimo tego Berlina. A, wspominał coś, że jest w połowie Polakiem”.

Fabrykant i artysta zmienił się naraz w analityka charakterów ludzkich. I jeszcze długo zastanawiał się nad postacią Ignaza Brauna.

Na koniec zaś, gdy kładł się do łóżka, westchnął pobożnie w intencji córek Wacława Ruszkowskiego.



WSPÓLNE ŚLEDZTWO

— W porządku, inspektorze — Otto Lambert zaszczyił Brauna przelotnym spojrzeniem. — Dobrze, że jest pan punktualny. Punktualność jest cechą, która pomaga podczas śledztwa.

— Jakże mógłbym się spóźnić... — uśmiechnął się Ignaz.

— Bochentini! — metaliczny głos szefa komisariatu przeciął powietrze niczym ostry nóż. — Chodźcie tu do nas!

Niedomknięte drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich posterunkowy.

— Proszę przynieść dokumenty dotyczące Ruszkowskich.

— Tak jest.

Po chwili na biurku leżała brązowa kartonowa teczka. Lambert otworzył ją. Spojrzał na posterunkowego, który nie wiedział, czy ma się odmeldować, czy też pozostać w gabinecie przełożonego. Ignaz obrócił się nieco w bok i również zerknął na Bochentina.

— No, posterunkowy, usiądźcie — usta komisarza skrzywiły się w osobliwym uśmiechu. — Jesteście od początku zaznajomieni ze sprawą, prowadzicie dokumentację, w dodatku powinniście, zważywszy na wasze

studia w szkole policyjnej, wdrażać się w poważne śledztwa. Zreferujcie nam sytuację. Nie patrzcie tak na mnie, przecież naszej komórce zależy na tym, żebyście mieli jakiś wkład w śledztwo. W tym Szczecinie od razu inaczej na was spojrzą. Leży to w naszym wspólnym interesie.

Przełożony Bochentina umościł się w fotelu i złożył dłonie jak do modlitwy. Natomiast posterunkowy wyprężył się i skłonił przed komisarzem, ale jego oczy zdawały się mówić, że takiej właśnie decyzji przełożonego oczekiwał.

Po czym usiadł.

Teczka znalazła się przed posterunkowym. Wyjął z kieszeni okulary i dokładnie nałożył je na prosty, wąski nos. Wada wzroku, jaką odkryto u niego, była wprawdzie minimalna, ale Arno Bochentin bardzo był dumny z faktu, że mógł sobie sprawić okulary i nosić je w ważnych sytuacjach.

Braun, słuchając posterunkowego, odniósł przyjemne wrażenie, że ten spełnia polecenie przełożonego całkiem dobrze. Mówił zwięźle, bez zbędnych dygresji, odnosił się wyłącznie do faktów. Używał przy tym wyrażeń, które raczej nie należały do jego zasobów werbalnych dwa lata wcześniej. „Konkluzja”, „przypuszczalnie”, „rzeczony”. Tak, takimi terminami nasiąka się w szkole policyjnej, ale też pewnym było, że Bochentin ma wewnętrzną potrzebę samokształcenia.

— Tak więc, panie komisarzu — referent skinął głową w stronę Lamberta — i panie inspektorze — z kolei Braun zaszczycony został podobnym gestem — wygląda na to, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Oczywiście nie mówiłbym tak wobec osób spoza posterunku, ale tu, między nami...

— Oszczędźcie nam i sobie tego typu przemyśleń — Otto Lambert na ogół miewał problemy z przyznaniem się do niepowodzenia. Zwłaszcza odkąd rozwiązał pewną sprawę uchodzącą za stosunkowo trudną. —

Podsumowanie należy już do mnie. Wy, Bochentin, słuchajcie i ucźcie się! Panie inspektorze — zwrócił się do Brauna, który analizował w myślach sprawozdanie posterunkowego — z obowiązku muszę poprosić pana o wyrażenie zdania na temat bieżącej sytuacji.

„Żadnego punktu zaczepienia, żadnego motywu i żadnych potencjalnych podejrzanych”, pomyślał Braun.

— Żadnego punktu zaczepienia, żadnego motywu i żadnych potencjalnych podejrzanych — powiedział tonem, na jaki dotąd pozwalał sobie jedynie Lambert.

— Wykonaliśmy olbrzymią pracę.

— Nie przeczę — zgodził się Braun. — Kompania doborowych żołnierzy przeszukała okolicę, przy okazji wyrażam szacunek dla pańskich możliwości. Z kolei funkcjonariusze przesłuchali około trzydziestu świadków, z reguły sąsiadów i znajomych.

— Właśnie!

— Tylko że, jak zauważył posterunkowy, śledztwo utknęło w martwym punkcie. Cóż, powtórzmy krótko to, co wiemy.

I Braun zaczął lapidarnie wyliczać najważniejsze punkty.

Można praktycznie wykluczyć zagubienie się dziewczynek. Kompania z Gdańska dokładnie przeszukała okolicę, poza tym mieszkańcy Wejherowa są wyczuleni na zaginięcie i w końcu ktoś odnalazłby jakiś ślad, gdyby Ludwika i Janina znajdowały się w okolicy.

Ewentualna ucieczka nie wchodziła w grę. W dobie telegrafu i telefonu, według przyjętych standardów, policja w całych Prusach Zachodnich otrzymała informację o dziewczynkach. Straże portów, dworców kolei żelaznej, kadra dowódcza posterunków i zwyczajni stójkowi wiedzą, że muszą być wyjątkowo czujni.

Rozmowy z ojcem i Wierą Adierichiną nie wniosły niczego, co mogłoby już teraz spowodować przełom w śledztwie. Absurdalna jawiłaby się myśl, że ojciec i Rosjanka są sprawcami jakiegoś nieszczęścia czy wręcz przestępstwa. Taka sytuacja mogłaby hipotetycznie zaistnieć, gdyby dziecko było jedno. Ale skrzywdzić dwie dziewczynki nie jest tak łatwo, ogólne ryzyko i możliwości obrony wzrastają w dwójnasób. Zresztą, wszystkie opinie sąsiadów i znajomych świadczą na korzyść Ruszkowskiego i Adierichiny. Spokojny dom, gdzie kocha się dzieci.

Pani Lachs w roli porywaczki, morderczyni, psychopatki? Niewiarygodne. Wejherowscy policjanci prześwietlili ją na wylot. W dodatku kobieta znajduje się od momentu zaginięcia Ludwika i Janiny w rozpacz. Obserwacja nie wykazała jakichkolwiek kontaktów z osobami trzecimi.

— Pozostaje jedno, panowie — podsumował Braun. — Mamy do czynienia z porwaniem.

— Przyjmijmy, panie inspektorze — odpowiedział Lambert — że ma pan rację. Skądinąd do takiego przekonania doszedłem już parę dni temu. Co dalej?

— Trzeba zająć się „środowiskiem” porywaczy — Arno Bochentin dawno już pozbył się lęku przed zabieraniem głosu w obecności funkcjonariuszy wyższych stopniem. Teraz zaś, gdy poproszono go o zreferowanie sprawy, tym bardziej czuł się w obowiązku wyrazić własne zdanie. — Ja wiem, że w Wejherowie trudno znaleźć jakichś przestępców, którzy byliby wyspecjalizowani w uprowadzeniach, ale nie wiadomo też, czy zrobił to ktoś miejscowy. Należy...

Sceptycyzm jest podobno najbardziej pożądaną cechą wytrawnego oficera śledczego. Komisarz Lambert niewątpliwie należał do ich grona.

— Wam, Bochentin, zdaje się, że sięgniecie do jakichś rejencyjnych akt i po godzinie przed waszymi oczami pojawi się notka personalna poświęcona przysłowiowemu Schmidtowi, który odsiadywał wyrok za porwania dzieci i właśnie przed tygodniem wyszedł na wolność, a na dodatek miał zamiar zamieszkać gdzieś w pobliżu. Powiem wam szczerze — przełożony nachylił się do posterunkowego — ja też bym tak chciał. Ale nic nie jest proste w takiej sprawie. Zaparzcie nam kawę. Kawa wzmacnia dopływ krwi do mózgu. Wam też się przyda.

— Świetnie, napijmy się mocnej kawy — przytaknął Ignaz. — Skądinąd, ja często zakopywałem się w aktach policyjnych i niekiedy coś interesującego udawało mi się znaleźć.

— Cóż — odparł Lambert. — Być może będzie pan miał okazję zająć się tą kwestią, gdy uznam to za potrzebne. Na razie jednak proponowałbym, abyśmy skupili się na rozważeniu motywu. Potencjalnego, rzecz jasna, hipotetycznego.

W gabinecie nastąpiła niezręczna cisza. Posterunkowy zniknął za drzwiami i oficerowie mogli usłyszeć, jak tonem nieznoszącym sprzeciwu komunikuje Heinzowi, aby ten zaparzył trzy mocne kawy.

Drzwi wejściowe do komisariatu otworzyły się i do środka weszło trzech robotników pod wodzą przysadzistego siwego majstra. Brygadzysta Hellke dzierżył w dłoni, niczym berło, wasserwagę. Budowląńcy, skłoniwszy się policjantom, przeszli do pomieszczenia, które przed remontem pełniło rolę aresztu. Komisarz Lambert obdarzył majstra i jego pomocników morderczym spojrzeniem.

W samym gabinecie nastąpiła cisza. Policjanci mogli usłyszeć każde słowo robotników mówiących nad wyraz donośnie.

O czym mieliby rozmawiać Braun z Lambertem, gdyby nie sprawa dwóch dziewczynek? Prawdopodobnie w innych okolicznościach

znaleźliby jakiś wspólny wątek nawiązujący do pracy zawodowej. Tutaj jednak sprawa zaginięcia, zamiast łączyć, dzieliła obydwóch policjantów. Gdyby spotkali się na jakimś szkoleniu albo towarzysko... Ale teraz? Pozostało milczące oczekiwanie na Bochentina.

Ten w końcu przyszedł, niosąc tacę z filiżankami.

— A więc, skoro poruszyłem już wątek motywu — Lambert wsypał do swojej kawy trzy czubate łyżeczki trzcinowego cukru i zaczął dokładnie mieszać płyn, unikając stukania o ścianki filiżanki — wydaje się on punktem podstawowym. Skoro najprawdopodobniej mamy do czynienia z porwaniem, dokonał go ktoś, komu ów czyn był do czegoś potrzebny. Tak wynika z zasad logiki. Tu jednak zaczyna się problem, ponieważ motywy porwań mogą być zróżnicowane. Zacznijmy od pierwszego, który chyba bywa najczęstszy w takich sytuacjach. Panie inspektorze, proszę wykazać się dedukcją.

— Motyw finansowy — Braun wykonał nieokreślony ruch ręką. — Sprawca pragnie otrzymać okup.

— Możemy przyjąć takie założenie. W takim razie nie jest ważne, że jeszcze się nie odezwał. Niekiedy porywacze celowo odczekują, aby rodziców ogarniała coraz większa desperacja. Można wtedy zażądać naprawdę wysokiej ceny — Lambert pochwalił się wiedzą dotyczącą metod kidnapерów i ich mentalności.

— Jeżeli mamy z kimś takim do czynienia, odezwie się lada chwila. Ma pan słuszność w kwestii eskalacji napięcia, ale porywaczowi też w końcu puszczają nerwy, musi wykonać pierwszy ruch. W dodatku każdy dzień obarczony jest ryzykiem odkrycia dziewczynek przez kogoś przypadkowego bądź przez nas. Pamiętajmy, że sprawca nie wie, na jakim etapie śledztwa się znajdujemy.

Bochentin zapytał, czy w takim razie należy czekać. Bezczyność jest straszna. Wątek z porywaczem dla okupu nie musi przecież być jedynym.

— Przecież mówiłem — zaperzył się Lambert — że to dopiero pierwszy wymieniony wariant. Panie inspektorze, proszę kontynuować. Na razie poszło panu stosunkowo dobrze.

— Druga możliwość jest gorsza. Jeżeli mamy do czynienia z psychopatą, nieprzewidywalność jego czynów jest nieunikniona. Posterunkowy, jak podzielibyście z grubsza ludzi, którzy porywają dziewczynki z powodów innych niż finansowe?

Czoło posterunkowego zmarszczyło się. Bochentin utkwiał wzrok w lewym górnym rogu gabinetu. Zdawało mu się, że myśli całe wieki, w rzeczywistości jednak minęło niecałe dziesięć sekund.

Fetyszyści. Lubią dziewczęce sukienki, może inne części garderoby, kto ich tam wie? Raczej nieszkodliwi, ale sam fakt, że porwali, już jest znaczący. W razie zagrożenia mogą się bronić.

Zboczeńcy. Ci są najniebezpieczniejsi, mogą zgwałcić i zabić.

Jacyś paranoicy, którym może się wydawać, że dziewczynki im zagrażają, bo na przykład krzywo spojrzwały na delikwenta.

— Ale właściwie — zakończył Bochentin — dlaczego to musi być psychopata, jeśli już zakładamy, że nie porwał dla okupu?

— Takiego spostrzeżenia oczekiwałem — uśmiechnął się Braun. — Moje pytanie dotyczyło tylko psychopatów. Kolejny etap. Pomyślmy dalej.

— Bo może ktoś chciał się zemścić na Ruszkowskim? Jakież ambicje, zadawnione spory.

— Otóż to. Czy sąsiedzi, bliżsi i dalsi, zostali naprawdę dokładnie przesłuchani?

— Sam pan wie — szef komisariatu wzruszył ramionami — że stuprocentowej gwarancji nigdy nie ma. Muszę jednak przyznać, że tutejsi

ludzie, jakkolwiek ich braki są widoczne gołym okiem — Lambert dobrze uczynił, nie patrząc w tym momencie na posterunkowego — raczej sumiennie zrealizowali zadanie. Czytałem po nocach te zeznania. I nic. Kompletnie żadnego śladu. Wszyscy powtarzają, że Ruszkowski jest dobrym sąsiadem, że uprzejmy, że nawet pieniądze pożyczy, jak ktoś potrzebuje. I wszystkie te zeznania na siebie nachodzą. Zazębiają się jak sprawny mechanizm, żadnej luki, żadnej wątpliwości. W dodatku przeszukano okoliczne domostwa, lamusy, chlewiki, kurniki, drewutnie, piwnice.

— Dobrze. Chyba mijałoby się z celem ponowne przesłuchiwanie sąsiadów. Przynajmniej na razie. Zaproponowałbym, żebyśmy pochylili się nad kolejnym obszarem.

— Fabryka pana Pokory! — powiedział posterunkowy, odgadując intencje gościa z Berlina.

Komisarz Lambert cały czas miał na uwadze firmę. Policja rozmawiała już z właścicielem zakładu i kilkoma współpracownikami Ruszkowskiego. Konkretnie trzema. Na wiwisekcję totalną na razie nie starczyło czasu.

— No, proszę — komisarz wskazał ręką na Brauna, widząc że ten pragnie mówić.

— Na terenie fabryki Waclaw Ruszkowski jest osobą znaczącą — zamyślił się Ignaz. — Wśród osób tej samej profesji — tu obdarzył gdańskiego policjanta przelotnym, choć znaczącym spojrzeniem — nie sposób uniknąć konfliktów. Jednym z motywów mogła być zawiść, zemsta za wytknięcie jakiegoś błędu lub odkrycie przez Ruszkowskiego nadużycia. Chociaż i tu kwestia finansowa, mam na myśli okup, mogła zaistnieć. Ktoś, kto zarabia niewiele, może sądzić, że księgowy i właściwie prawa ręka fabrykanta, zarabia Bóg wie ile, a przynajmniej znacząco więcej niż inni. W każdym razie, środowisko firmy „Maschallah” koniecznie trzeba

prześwietlić, używając modnego słowa. Jak w aparacie pana Roentgena. W fabryce mogły zaistnieć oczywiście i inne czynniki, w tym wymienione wcześniej. Wiedzą panowie, mam jakieś przeczucie, że z firmą wiąże się coś, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę porwania.

— Co ma pan na myśli, inspektorze? — zapytał przełożony komisariatu.

— Niestety, nic konkretnego. Wydaje mi się jednak, że gdzieś usłyszałem słowa odnoszące się do zakładu pana Pokory jakoś pasujące do domniemanego porwania. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć i dopasować jedno do drugiego! Tak, musimy pójść do fabryki.

— Panie Braun — Lambert przesunął pióro, tak aby leżało prostopadle do notesu w zielonej oprawie. — My tu nie jesteśmy od przeczuć. Mam wrażenie, że naczytał się pan za dużo Edgara Allana Poe'go. Nie możemy ot, tak sobie, bez planu, wybrać się do fabryki i powiedzieć, że musimy obejrzeć ją i pracowników, ponieważ panu coś się wydaje.

— Możemy.

— Możemy?

— Owszem. Nie trzeba mówić na miejscu, że przychodzimy, bo mam niesprecyzowane odczucia. Jestem przekonany, że pan Pokora uzna wizytę za oczywistą. A zresztą, i tak musimy przesłuchać pewnych ludzi.

— Tyle wiem i ja.

— A więc — uśmiechnął się Braun — proszę pomyśleć, czas upływa. Gdyby pan Pokora dowiedział się, że mógł być pomocny, a nie wykorzystano jego energii i życzliwości...

Lambert znów przesunął pióro. Teraz leżało równolegle do notesu.

— W takim razie dziś jeszcze złożymy tam wizytę. Zaraz zatelefonuję do pana Pokory. Posterunkowy, czy macie jakieś wcześniej zaplanowane czynności?

Bochentin oświadczył, że o jedenastej miał odwiedzić pewną kobietę, która skarżyła się, że sąsiedzi kradną jej zapasy węgla.

— Przekażecie sprawę Myszkowi, on w kwestii kradzieży węgla powinien sobie poradzić. I pójdziecie z nami. Którą mamy godzinę? — Lambert spojrział na zegar Adlera, od dwóch lat dumę komisarza Renscha. — Za pięć dziesiąta. Muszę jeszcze dokończyć raport z innego śledztwa, rejencja czeka. Panie inspektorze, wyznaczam spotkanie o dwunastej przed fabryką. Na pewno ma pan jakieś sprawy na mieście.

W ten oto, jakże wyszukany, sposób Otto Lambert pożegnał Ignaza. Musiał odreagować jakoś, że właściwie wypełnił polecenie berlińskiego intruza. Kiedy ten wychodził z komisariatu, Bochentin zabierał się już do wprowadzenia Antona Myszka w sprawę domniemanej kradzieży węgla. Braun serdecznie przywitał się, a jednocześnie pożegnał z Myszkciem i wyszedł przed coś, co za rok miało, jak larwa w motyla, przemienić się w nowy wejherowski ratusz.

Nawoływania robotników, skrzywienie lin podnoszących do góry wiadra pełne cegieł i zaprawy murarskiej, stukot młotów i zgrzyt kielni.

Ambitny projekt Augusta Leona Carra z Berlina i Ernesta Döhringa z Sopotu na oczach mieszkańców Wejherowa nabierał realnych form. Sto siedemdziesiąt siedem lat służył stary ratusz, aż w końcu okazał się za ciasny i za mało reprezentacyjny. Potęga cesarstwa stanowczo domagała się okazałej architektury.

Jesień w okolicy młyna nad Cedronem wydała mu się wyjątkowo malownicza. Wiatr, wszechobecny w mieście, hulający po zaułkach i uderzający w okna domów, tutaj nie miał przystępu. Młyn, ze wszystkich stron otulony lasem, zdawał się wysepką spokoju na wzburzonym morzu ludzkich namiętności, ambicji i — przestępstw. Tak, miasto miało w sobie

coś niepokojącego. Tętniło, pulsowało życiem, ale to życie nie zawsze oznaczało współpracę z boskim aktem stworzenia sprzed milionów lat. Życie miasta, gorączkowe, pełne niezdrowych rumieńców, jak u suchotnika.

Mimo zapału i chęci wyjaśnienia sprawy zaginięcia dziewczynek, Braun po wyjściu z komisariatu poczuł się znużony. Przed nim znajdowało się wąskie wejście w wilgotny, gęsty las pełen poplątanych pnączy, wymoszczony dywanem oślizgłej ściółki. Wiedział, że było to jego naturalne środowisko, że właśnie piętrzące się trudności wyzwalały w nim siłę, ale też czuł, że potrzebuje chwili wytchnienia. Dawniej nie męczył się tak szybko.

Płatanina, cienie, zakątki i zaułki. Słowa — znaki. Czy umiałby czuć się dobrze na otwartej przestrzeni? Ogrzewany spokojnymi, łagodnymi promieniami słońca?

Woda rozlewiska zdawała się nic nie wiedzieć o miejskim życiu, spokojna i niemal majestatyczna. Z jej ołowianą barwą kontrastowały jasnordzawe ceglane ściany młyna Jana Biangi. Niespieszny miarowy ruch koła młyńskiego powodował ciche skrzypienie, sprawiające przyjemne wrażenie — archaiczności i niezmienności.

Liście co jakiś czas leniwie opadały na niezmaconą płaszczyznę wody i nie odpływały, jakby żal im było opuszczać towarzystwo drzew, które je zrodziły.

— Panie inspektorze! — zabrzmiało tuż za plecami Ignaza.

Braun, wyrwany z zamyślenia, gwałtownie się odwrócił.

— Profesor März! Wilhelm März!

— Znów mnie pan poznał — ucieszył się nauczyciel języka niemieckiego. — Tak jak przed dwoma laty, na ulicy. Tak! To było dwa lata temu!

Inspektor pomyślał, że trudno było nie poznać profesora z jego wianuszkami nastroszonych dookoła łysiny włosów i wystającymi górnymi zębami.

Wilhelm März wylewnie potrząsnął dłonią Ignaza. Zaraz potem sięgnął do kieszeni zbyt dużego płaszcza, wyjął pomietaną chusteczkę i głośno wytarł nos. Na koniec przy pomocy tejże chusteczki pozbył się łez wzruszenia, które napłynęły mu do oczu.

— Przepraszam za emocje, panie inspektorze. Łatwo się wzruszam, rozumie pan. Ilekroć pana spotykam, przypomina mi się tamta sprawa biednego Johannka. Szmata czasu, a jednak w człowieku zostają takie rzeczy na zawsze! I wiem, że nasze spotkania nie są przypadkowe. O nie! Może pan myśleć swoje, ale ja wiem, że to Bóg stawia pana na mojej drodze. Drogowskaz, znaki!

— A jaka w takim razie dla mnie — uśmiechnął się Braun — ma płynąć nauka ze spotkań z panem profesorem?

— Podejrzewam — zamyślił się März — że pan ma dzięki mnie możliwość przekonania się, że ludzie potrafią zmieniać się na lepsze, dzięki pańskim interwencjom, oczywiście. A to pomoże panu dalej iść drogą walki o lepszy świat. Takie przecież zadanie przeznaczył panu architekt wszechświata — zakończył profesor i wzniosł załzawione ponownie oczy w górę.

Architekt wszechświata? Do licha, czyżby staruszek przerzucił swoje metafizyczne zainteresowania z hiszpańskich mistyków na idee fartuszkowych braci? Ignaz na moment zapomniał, że czeka go rozpoczęcie śledztwa.

— O, to bardzo interesujące — odparł. — Doprawdy, jest pan człowiekiem o szerokich horyzontach myślowych.

— Cóż, na emeryturze ma się dużo czasu na rozwijanie pasji i zainteresowań.

— Właśnie, wspominał pan, kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, o emeryturze.

— To także pan pamięta! Owszem, już cztery lata, odkąd nie nauczam. Dydaktyka i wychowanie młodzieży były kiedyś dla mnie najważniejsze. I zadowolony jestem, że w taki sposób potoczyło się moje życie. Ale...

Twarz emerytowanego profesora zmieniła się. Delikatny skurcz, tik, grymas przemknął po lewym policzku w stronę oka.

Powiew wiatru, pierwszy, odkąd Ignaz trafił nad rozlewisko, potarosił wianuszek włosów Märza.

— Ale wolny czas stał się dla mnie znamienym darem. Boże wielki, ile można wtedy przeczytać książek! Ile wiedzy osiąść! Z iloma zagadnieniami się zapoznać! Szkoły filozoficzne, prądy naukowe! I wszystko w zasięgu ręki. Księgarnie, biblioteki, wreszcie domowe zasoby ludzi życzliwych i zainteresowanych doskonaleniem umysłu, wszystko czeka na człowieka, który chce się rozwijać! Dopiero po przejściu na emeryturę zrozumie pan, o czym mówię. Wcześniej obowiązki tłamszą nas i ściągają ku ziemi, ku materii. Czy pan na przykład słyszał o Swedenborgu? Albo o doznaniach pana Conan Doyle'a podczas kontaktów z duszami zmarłych? Albo taki zapoznany mnich, Izajasz z Braszowa, chociaż... Ale przepraszam, rozgadałem się, stary nawyk. Co u pana inspektora, jeśli wolno spytać?

— Dziękuję, wiedzie mi się dobrze. Jesteśmy z żoną zdrowi. Praca trudna, ale chyba nie potrafiłbym robić nic innego.

— A przyjechał pan tu prywatnie czy też może...

— „Czy też może”?

— Bo te dziewczynki, wie pan inspektor, córki Polaka z fabryki Pokory. Gdy pana ujrzałem, od razu pomyślałem o nich.

— Zapewniam pana — odparł Braun — że do Wejherowa przyjechałem jak najbardziej prywatnie.

— Rozumiem — profesor pomyślał, że nawet, jeśli było inaczej, niczego z Ignaza nie wydobędzie. — Co za zdarzenie — pokiwał głową. — Takie dzieci, czyste, niewinne, są najbliżej światła, najbliżej Boga. Ile dobrego mogą uczynić w życiu! Tak, pomóc żywym i pokutującym! Ale wierzę, że wszystko dobrze się skończy. Bóg wie, co robi. Droga przez życie jest pełna niespodzianek, potknięć, ale i radości. Potknięć jest znacznie więcej. Ale na końcu zawsze jest światłość, zapewniam pana!

Kiedy już profesor März zakończył wypowiedź owym krzepiącym stwierdzeniem, bardzo się wzruszył. W jego dłoni znów zatrzepotała chusteczka. Z wąskiego, niepozornego nosa wydobył się dźwięk godny porównania z potęgą trąb jerychońskich.



MASCHALLAH

Ignaz Braun spojrzął na cyferblat. Do dwunastej brakowało dziesięciu minut. Zamknął zegarek i schował go do kieszeni.

Znajdował się na rogu Wniebowstąpienia i Gdańskiej. Tutaj ulokowane były zabudowania fabryki „Maschallah”.

Na Wniebowstąpienia, ulicy ciągnącej się niemal od kalwarii, firma posiadała sześć przylegających do siebie budynków, przy czym jeden z nich właściwie był bramą, z której akurat wyjeżdżał wóz zaprzężony w cztery konie, załadowany po brzegi skrzynkami z artykułami tytoniowymi. Nad bramą znajdowało się piętro z trzema oknami. Obok, w okazałej kamienicy, mieściło się biuro fabryki, co można było poznać po napisie „Comtoir von P. Pokora”. Na rogu znajdowały się kolejne budynki ozdobione szyldem. „Cigarren — u. Cigaretten — Fabrik v. P. Pokora”, przeczytał Ignaz i westchnął na wspomnienie aromatycznego cygara palonego wczoraj w towarzystwie gościnnego fabrykanta.

Kamienica stojąca na rogu ulicy Gdańskiej charakteryzowała się oryginalną drewnianą loggią na pierwszym piętrze, dokładnie nad drzwiami. Na prawo od niej, idąc w stronę Śmiechowa, tętniło fabryczne

życie. Oto na nieoddzielonym od traktu placyku, z trzech stron otoczonym murami budynków, stały jedne na drugich skrzynie z towarami. Uwijali się tragarze, ruszały lub zatrzymywały się konie ciągnące wozy, nawoływali woźnice i robotnicy. Dwóch oficjalistów bez płaszczy i kapeluszy dyskutowało o czymś zawzięcie.

Braun przystanął i przyglądał się temu gorączkowemu pulsowaniu fabryki, bardziej przypominającemu atmosferę industrialnych rewirów wielkich miast niż spokojnego prowincjonalnego Wejherowa.

Na prawo od placyku ulokowany był jeszcze jeden budynek, frontonem nawiązujący do starych gdańskich kamienic. U nasady znajdował się napis, najkrótszy ze wszystkich widniejących na terenie firmy: „P. Pokora”. Bryła różniła się znacznie od innych, ponieważ z jej dachu wyrastały dwa długie ceglane kominy, buchające ciemnoszarym dymem.

Od wschodu do zabudowań przylegał niewielkich rozmiarów park w stylu angielskim, gdzie obok platanów, topól i grabów spotkać można było świerki i jodły.

Zegar fabryczny, znajdujący się w obrębie placyku, wybił dwunastą. Ignaz rażnym krokiem wrócił pod budynek ozdobiony napisem: „Comtoir von. P. Pokora”. Tak jak sądził, zastał już przed drzwiami Lamberta i Bochentina. Komisarz, spojrzawszy na gościa z Berlina, wymownie zatrzasnął zegarek, który musiał trzymać otwartym od dwunastej, aby dać Braunowi do zrozumienia, że ów mógłby zjawić się przed biurem punktualnie. Rzeczywiście, spóźnienie miało miejsce. Dwie po dwunastej. Ignaza ciekawiło, czy gdyby przekroczył czas o kwadrans, co skądinąd jawiło się niemożliwym, chronometr Lamberta przez cały ten czas narażony byłby na niekorzystne działanie delikatnej mżawki.

— Panie inspektorze — ozwał się tymczasowy szef wejherowskiej policji — musi pan wiedzieć, że niezwykle cenię sobie punktualność. Wam,

Bochentin, też radzę o tym pamiętać.

— Ma pan rację — rzekł Ignaz. — Właśnie obejrzałem fabrykę z zewnątrz.

— I dokonał pan zapewne jakiegoś ważnego spostrzeżenia, prawda?

— Owszem — powiedział Ignaz. — Mianowicie z pokorą należy podejść do wszystkiego, czego dokonał tu Paweł Pokora. W tak małym mieście stworzyć coś, co rozmachem przypomina fabrykę w jakiejś metropolii...

— Pokora i pokora. W języku polskim byłaby to gra słów — zamyślił się Otto Lambert.

— Zna pan polski, komisarzu? — zdziwił się Ignaz.

Wzrok gdańskiego oficera wbił się w chodnik.

— Moja matka była Polką. Chodźmy już. Telefonowałem do pana Pokory, że pojawimy się o dwunastej. Nie powinien na nas czekać.

Zaskoczony Braun chciał coś powiedzieć, ale odmyślił się. Należało uszanować milczeniem szczere wyznanie Ottona Lamberta.

Wacław Ruszkowski wstał. W drzwiach jego kantoru stał pryncypał, za nim zaś dwaj oficerowie policji i posterunkowy.

— Panie Wacławie! Witam! — rzekł Paweł Pokora. — Dziś jeszcze nie mieliśmy okazji się widzieć. Panowie policjanci, tak jak obiecali, rozpoczynają wspólne śledztwo.

Na twarzy księgowego odmalowało się zaskoczenie, jakby zapomniał o wczorajszym spotkaniu u dyrektora. Zaraz jednak pokiwał energicznie głową.

— Proszę, proszę bardzo. Czy panowie zechcą raz jeszcze ze mną rozmawiać?

— Nie teraz — wyrwał się Braun i porozumiewawczo spojrzął na Lamberta, ten zaś, tym razem nie mając do powiedzenia niczego kąśliwego, potwierdził oszczędnym i nieco nonszalanckim ruchem dłoni.

— Natomiast poprosimy pana dyrektora i pana również, aby oprowadzili nas po fabryce.

— Po fabryce? — odparł księgowy. — A tak, oczywiście. Proszę zaczekać chwilę, odłożę do szafy księgę. Dobrze. Od czego zaczniemy? — Ruszkowski spojrzął na Pawła Pokorę.

— Od pokojów biurowych, naturalnie. Skoro już tu jesteśmy.

Oddzielny pokój Ruszkowskiego, znajdujący się w reprezentacyjnej części fabryki, na wysokości widocznego od ulicy Wniebowstąpienia napisu „Comtoir v. P. Pokora”, sąsiedował z kilkoma innymi pomieszczeniami, w których pracowali urzędnicy. Kanceliści, rachmistrzowie, spedytorzy, pomocnicy księgowości, wszyscy w bezpośrednim sąsiedztwie gabinetu Pawła Pokory.

Mężczyźni stanęli przed uchylonymi drzwiami sekretariatu, za którym znajdował się gabinet dyrektora.

Ignaz zauważył, że za biurkiem siedzi panna Rozalia Pokorówna, którą po raz pierwszy miał okazję ujrzeć podczas niedawnego koncertu.

Również Bochentin skojarzył sobie, że niejednokrotnie widywał młodą kobietę. Przeważnie w kościele farnym, dokąd chodził ze swoją żoną Małgorzatą.

Fabrykant gestem zaprosił mężczyzn do środka.

— Panowie pozwolą, moja siostra, Rozalia — zwrócił się do Lamberta i Bochentina.

— Miło poznać panią. Pani pracuje w firmie szanownego pana... — Otto Lambert, wygłosivszy jakże odkrywczą kwestię, z galanterią skłonił się przed kobietą. Jego zachowanie, na ogół odpychające, tym razem jawiło

się nadzwyczaj wyszukany i kontrastowało z uprzejmym, acz formalnym przywitaniem ze strony Brauna.

— Moja siostra jest bezcennym pracownikiem — Paweł Pokora podniósł palec wskazujący. — Prowadzi niektóre kwestie buchalteryjne, obsługuje telefony, załatwia wiele spraw, do których biedny dyrektor nie miałby głowy w nawale tylu zajęć.

— Konstancja również pomaga, na ile czas pozwala — uśmiechnęła się Rozalia i na moment jej oczy napotkały uważne, uporczywe spojrzenie komisarza Lamberta.

Braun nie po raz pierwszy pomyślał, że panna Rozalia jest osobą intrygującą. Z kolei kątem oka dojrzał wyraz twarzy kolegi i uśmiechnął się półgębkiem. Bo też kobieta mogła się podobać.

Miała około trzydziestu lat, może nieco więcej. Wesołe oczy patrzyły przed siebie śmiało, zdradzając pewność siebie panny i jej optymizm. Ubiór skromny, dopasowany do okoliczności biurowych, kontrastował z burzą czarnych włosów, przywodzących na myśl najmodniejsze prace popularnych austro-węgierskich artystów — Muchy i Klimta. Loki i fale, te misternie uczesane, i te wymykające się licznym szpilkom, przyciągały wzrok, zwłaszcza męski, już od czasu, gdy Rozalia jako kilkunastoletnia panienka zaczęła bywać w świecie dorosłych.

Kobieta zdawała się należeć do odmiennego świata snów i fantastycznych boginek wyczarowywanych w szkle, porcelanie i na płótnach twórców secesji. Skromna bluzka ze stójką pod szyję i brązowa spódnica stanowiły niby tło obrazu. Jakby na pierwszym planie artysta namalował włosy, jasną cerę i czarne oczy, uśmiechające się raz z dziecięcym wdziękiem, raz odrobinę drwiąco.

— Rozalia — kontynuował Pokora — posiada bezcenny dar. Dzięki niej wiem, czy dostawcy tytoniu są uczciwi.

— To znaczy? — szczerze zainteresował się Otto Lambert.

— Moja siostra rozpoznaje gatunki tytoniu! Wyobraźcie sobie panowie, że potrafi ocenić swoim szczególnym zmysłem węchu, z jakiego kontynentu pochodzi towar, nie wspominając już o gatunku. Na przykład turecki blend o nutce orzechowej i taki sam, ale pochodzący z plantacji afrykańskich, to dla osoby o zwykłym węchu, nawet pracującej w branży, jeden i ten sam produkt. Ale dla Rozalii różnica jest kolosalna.

— Tak — potwierdziła siostra fabrykanta — rozróżnienie przychodzi mi bez trudu. Po prostu tytoń rośnie na rozmaitych glebach, do tego dochodzi nasłonecznienie i sposób suszenia. Z tego wynikają różnice.

— A gdyby ktoś dodał do szlachetniejszego gatunku odrobinę towaru tańszego, pani rozpozna fałszerstwo, prawda? — uśmiechnął się Braun.

— Wtedy sprawa jest jeszcze prostsza.

— Doprawdy — Lambert złożył dłonie jak do modlitwy — fascynujący dar. Czy nie zechciałaby pani kiedyś szerzej podzielić się swoimi wiadomościami dotyczącymi zapachów? Słucha się tego jak jakiejś sensacyjnej opowieści.

Grymas ust posterunkowego był jedyny w swoim rodzaju. Co prawda koledzy uważali, że uśmiech Bochentina przypomina reakcję na uporczywy ból zęba, ale nie mieli racji. Świadczył on o bogatym umyśle skłonny do sarkastycznej oceny rzeczywistości.

Lambert zmitygował się.

— Miałem oczywiście na myśli wykład dla funkcjonariuszy policji, przedstawicieli świata medycznego, naukowego i tak dalej.

— Nie myślałam o tym nigdy — powiedziała zaskoczona Rozalia. — Wystarczy, że jestem pomocna bratu.

— A właśnie! — zatarł ręce Paweł Pokora. — Ja z kolei chciałbym być pomocny panom, tak jak i Waclaw Ruszkowski. Czym konkretnie

moglibyśmy panom służyć?

— Panie dyrektorze — odparł Lambert. — Policja przesłuchała już wielu świadków. Należy rozpoznać każde środowisko, w którym obraca się pański księgowy. Fabryka może okazać się istotna. Na początek chcielibyśmy obejrzeć firmę. Stanowiska pracy, hale produkcyjne, magazyny. W nich pracują ludzie, konkretni ludzie. Każdy z nich mógł coś zauważyć, nie zdając sobie sprawy, że to ważne.

— Mówiąc wprost, podejrzewają panowie, że jest wśród moich pracowników ktoś, kto ukrywa prawdę? — zmarszczył czoło Pokora. Ruszkowski spojrzał na pryncypała skonsternowany.

— Możemy więc prosić o oprowadzenie po całej fabryce? — Lambert pytaniem skomentował pytanie, kątem oka obserwując siostrę Pawła Pokory.

Panna Rozalia odpowiedziała skinieniem głowy na ukłony policjantów. Gdy wyszli, sięgnęła po pudełko z wizytówkami. Miała dziś jeszcze wysłać do drukarni nowy tekst wizytówki w języku polskim. Wyjęła przygotowany wzór i przeczytała głośno:

— Pan Pokora, fabryka cygar, tytoni i papierosów „Maschallah”. Telefon numer 39. Konto bankowe: Bank Kaszubski, Wejherowo. Założono: 15 kwietnia 1888.

— Skąd właściwie wzięła się nazwa „Maschallah”? — zapytał komisarz Lambert, gdy mężczyźni schodzili na parter budynku biurowego.

— O, właśnie — wtrącił Bochentin.

— Wiele osób pyta mnie o tę nazwę — zaśmiał się Paweł Pokora. — Prawda, że udatna? A jej historia jest prosta. Jak panowie może wiedzą, pasjami czytuję książki. Otóż kiedyś znalazłem informację w pewnej publikacji poświęconej koloniom brytyjskim, że Arabowie używają tego

słowa na określenie podziwu dla czegoś lub kogoś. I gdy pewien odbiorca towaru, zaraz na początku działalności firmy, wyraził podziw dla moich cygar, przypomniałem sobie ten zwrot. Byłem świeżo po tamtej lekturze. Gdyby odbiorca urodził się Arabem, może powiedziałby: „Maschallah!”. I zarejestrowałem tę nazwę.

Paweł Pokora szedł przodem, jak na dyrektora przystało. Oficerowie z posterunkowym posłusznie sunęli o krok za nim. Tutaj on był najważniejszy. Znał w fabryce każdy kąt. Tymczasem Lambert znajdował się w zakładzie po raz drugi, a Braun, nie licząc obecności na koncercie, nie miał jeszcze okazji gościć w królestwie fabrykanta. Natomiast kontakty Bochentina z wytworami przemysłu tytoniowego były niezwykle ożywione i systematyczne, jednak posterunkowy nigdy nie miał okazji przebywać tam, gdzie produkowano używki, przy których tak miło moczyło się nogi w misce z gorącą wodą po całodziennej służbie.

Czterej mężczyźni przekroczyli progi sali, w której mieścił się kantor urzędniczy. Tutaj najczęściej przebywał Wacław Ruszkowski, gdy opuszczał swój pokój.

Na szarzielonych ścianach porozwieszane były rozmaite certyfikaty jakości, dyplomy, podziękowania od kontrahentów. Nad całością dominowała wielka mapa świata z naniesionymi punktami obrazującymi geografię importu tytoniu i całymi połączeniami obszarów, na których uprawiano aromatyczną roślinę.

Ignaz ze zdziwieniem zauważył, że pomieszczenie pozbawione było zwyczajnych biurka, a za miejsce pracy kancelistów służyły dwa długie stoliki, poprzedzielane niewysokimi deseczkami. Naprzeciw siebie siedziało łącznie sześcioro pracowników, trzy kobiety i trzech mężczyzn. Przed nimi rozłożone były segregatory, teczki, luźne papiery. Nie

brakowało tradycyjnych atrybutów kancelaryjnych — kałamarzy, piór, ołówków, temperówek, a także nożyków i przycisków do papieru.

Na osobnym stoliku usadowił się telefon, czarny, solidny, z ciężką słuchawką. Obok niego skromnie przycupnął bloczek niewielkich karteczek.

Dzień od rana był iście listopadowy, ale dzięki wiszącej podwójnej lampie elektrycznej o dużej mocy w pomieszczeniu panowała jasność.

Gdy w środku pojawił się pryncypał w towarzystwie gości, wszyscy wstali jak na komendę i niemal chóralnie powiedzieli „dzień dobry”. Pokora, którego wcześniej policjanci poprosili, aby na razie nie odrywał podwładnych od zajęć, zamaszystym machnięciem dłoni dał znak pracownikom, aby usiedli. Kanceliści wrócili do zajęć, ale widać było, że przejęci są dodatkową obecnością nieznanym sobie mężczyznom.

— Czy zawsze pracuje tutaj sześć osób? — szepnął Otto Lambert.

— Tak — z trudem odszepnął dyrektor, który, mając głos dźwięczny i donośny, przyzwyczajony był, zgodnie ze swoim temperamentem, do wykorzystywania jego siły. — Ma się rozumieć, poza dniami, gdy ktoś ma urlop lub jest chory. A często mają miejsce wyjscia i wyjazdy służbowe moich kancelistów. Do miasta, do pobliskich ośrodków, do Gdańska i innych miast Prus, a niekiedy do Hamburga i Holandii. Tam, ma się rozumieć, są centra handlu tytoniem.

— Wszyscy ci ludzie są powiązani zależnościami i obowiązkami służbowymi z Wacławem Ruszkowskim?

— Tak, choć w różnym zakresie — głos Pawła Pokory podniósł się o kilka tonów, ponieważ ze stanowiska zajętego przez korpulentną szatynkę w drucianych okularach zaczęła rozbrzmiewać kakofonia maszyny do pisania. Kobieta musiała mieć długoletnią praktykę w obsłudze czarnego potwora, gdyż stukot jawił się jednym suchym trzaskiem,

nieprzerywanym nawet na ułamki sekund. Charakterystyczny dźwięk przesuwania wałka do początku nowej linijki zlewał się ze stukotem go poprzedzającym i po nim następującym.

Komisarz Lambert odczekał dwie sekundy, podczas których maszyna wypluła zapisaną częściowo kartkę, i poprosił dyrektora, aby sporządził imienną listę kancelistów oraz ich krótką charakterystykę.

— Wybaczy pan, ale jesteśmy zmuszeni do posiadania tych informacji.

— Zrozumiałe — odparł fabrykant. — Skoro zobowiązałem się do pomocy... Czy wystarczy, kiedy jutro z samego rana posłaniec przyniesie panom list?

— Owszem — odruchowo wtrącił Braun. Tym samym wyprzedził Lamberta, który pragnął oświadczyć, że on sam może przed pracą odebrać listę. Komisarzowi na moment odebrało mowę.

Do pierwszego z brzegu, potem do następnych stanowisk podchodził Paweł Pokora. Zamienił z każdym pracownikiem parę słów. W tym czasie policjanci przyglądali się kancelistom niczym na kursach psychologicznych, będących elementem wyszkolenia w szkołach policyjnych.

„Sprawiają wrażenie dobrze zorganizowanych profesjonalistów i pewnie takimi są — pomyślał Ignaz — ale każdy z nich ma jakieś życie prywatne, jakieś antypatie, marzenia, niepowodzenia i radości. Każdy ma powiązania z Ruszkowskim”.

— Pójdziemy dalej — szepnął Lambert. Ignaz przytaknął i dał znak fabrykantowi, który właśnie zakończył wymianę zdań z młodziutkim szczupłym kancelistą o rzadkim rudawym wąsiku.

— Zanim opuścimy ten budynek — odparł Paweł Pokora — chciałbym panom pokazać coś jeszcze.

Na parterze znajdowała się biblioteka, służąca pracownikom i ich rodzinom. Fabrykant wprowadził policjantów do niewielkiego pomieszczenia, które zastawione było regałami z książkami. Przy biurku siedziała niepozorna starsza pani, spowita od stóp do głowy w zieloności kilku odcieni, z grubymi szklami na malutkim nosie. Przed nią stała drewniana brązowa skrzynka z rewersami, które kobieta właśnie porządkowała. Na widok dyrektora delikatnie się podniosła, ale jego przybycie nie zrobiło na niej szczególnego wrażenia.

„Pan Pokora zachodzi tu często”, pomyślał Ignaz.

Bibliotekarka zamieniła słowo z pryncypałem i wróciła do swoich zajęć.

— Oto moja duma — wyprostował się Paweł Pokora. — Około czterech tysięcy książek, z których bezpłatnie mogą korzystać wszyscy zatrudnieni w fabryce, bez żadnego limitu ilościowego. Tyle że muszą w terminie oddawać wypożyczone pozycje.

— A tematyka książek? — zainteresował się Lambert.

— Rozmaita, ma się rozumieć. Nie brakuje słowników i encyklopedii, są książki dla dzieci, kupujemy romanse i lektury klasyczne, najczęściej w tanich seriach wydawniczych. Biblioteczki ludowe oferują wybór podstawowej literatury, prostszej i dostosowanej do oczekiwań robotników i ich bliskich. Sam niekiedy dokupuję jakieś nowości albo też szukam w wolnym czasie jakichś okazji antykwarycznych za naprawdę niewielkie pieniądze.

Szczupłe dłonie komisarza powędrowały ku rzędom książek. Wertował stronice nerwowymi ruchami długich palców. W jego ślady poszedł Bochentin, który od czasu rozpoczęcia nauki w szczecińskiej szkole życzliwszym niż kiedyś okiem spoglądał na słowo drukowane.

— Paulina Kraków, *Branka tatarska* — ozwał się Lambert. — *Pamiętka po dobrej matce, czyli ostatnie jej rady dla córki przez młodą Polkę. Poezje Ludwika Kondratowicza z portretem autora. Kwiaty i kłosa, utwory do deklamacyi zebrał ksiądz Mieczysław Brodowski.* Pięknie — komisarz kostycznie uśmiechnął się do Pokory.

— Prawda? Od paru dni mamy nowy komplet dzieł pana Sienkiewicza — fabrykant uznał, że trzeba uraczyć Lamberta jeszcze tą informacją.

— Może już przejdziemy dalej — odparł szef wejherowskiego komisariatu.

— Słusznie, słusznie, ja przy książkach zapominam o bożym świecie — uśmiechnął się Paweł Pokora.

— A ja muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem pańskiego socjalnego nastawienia do pracowników — zauważył Braun.

Na potwierdzenie słów Ignaza, przed opuszczeniem budynku policjantom dane jeszcze było wysłuchać kilku zdań na temat społecznych „urządzeń” w firmie. Fabrykant powiedział, że zorganizował kasę chorych, co w przypadku każdego zakładu produkcyjnego powinno być oczywistością, choć gdzie indziej to rzadkość. Dumą Pawła Pokory była też samodzielna kasa oszczędnościowa, zorganizowana według wzorów zaczerpniętych z działalności księdza Piotra Wawrzyniaka i Franciszka Stefczyka.

Kiedy czterej mężczyźni wyszli na wewnętrzny dziedziniec, owionął ich wilgotny listopadowy chłód.

Komisarz Lambert podczas chwili milczenia przypomniał sobie spotkanie z panną Rozalią, zaraz jednak jego myśli zajęło widmo regałów, uginających się pod ciężarem polskich książek.



MATERIA I DUCH

Zapalenie papierosa trzeba było odłożyć na później. Jeszcze tylko dwie godziny pozostały do zamknięcia fabryki.

Paweł Pokora wprowadził policjantów do hali, w której cięto i szatkowano tytoń. Pracowali tam sami mężczyźni.

Hałas panujący we wnętrzu od razu przytłoczył przybyłych. Z żelaznej maszynerii wydobywały się rytmiczne, ogłuszające dźwięki, uderzające w szare ściany i rozpychające się aż pod sklepienie. Oficerom, przyzwyczajonym do pracy polegającej na misternych analizach i rozmowach z ludźmi, hala zdała się jakimś diabelskim wynalazkiem, odczłowieczającym każdego, kto przekroczył jej progi. Bochentin podziękował Bogu, że ten stworzył go policjantem. Jednak robotnicy, stojący przy olbrzymich kołach napędzających mechanizmy tnące tytoń, sprawiali wrażenie przyzwyczajonych do swojej pracy. Podnosząc głos, komunikowali się ze sobą, śmiali się ze słonych dowcipów i tylko pot na czołach świadczył o wysiłku.

— Są panowie pod wrażeniem warunków tu panujących, prawda? — krzyknął do gości fabrykant. — Ale zaręczam, że to nic w porównaniu

z hutą czy zakładami włókienniczymi. Tam para nie pozwala oddychać, a huk jest znacznie głośniejszy.

— Może — odparł Lambert, mając wrażenie, że najdelikatniejsze części jego uszu, przyzwyczajone do dźwięków muzyki Schuberta, odtwarzanej każdego wieczoru przez patefon, za chwilę ulegną destrukcji.

Tymczasem zafascynowany Braun przyglądał się bębnom obracającym się miarowo. Ich nieustanna, uporczywa praca przynosiła efekt. Poszatowane zwały tytoniu, wypływane przez rynienki z mechanicznych smoków, rosły z chwili na chwilę w płaskich, szerokich misach. Dokoła nich unosił się intensywny, gryzący nozdrza zapach, niepodobny do tego, jakiego palacz doświadcza, wachając cygaro lub papierosa tuż przed zapaleniem.

Robotnicy ubrani byli w lekkie samodziałowe bluzy i także spodnie. Czapki, przesunięte w tył i odsłaniające czoła, przylegały jednak szczelnie do głów, nie pozwalając, aby jakiś przypadkowy włos dostał się do misy wypełnianej rozdrobnionym tytoniem.

„Triumf materii, zupełny i oczywisty”, pomyślał Ignaz. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby którykolwiek z tych mężczyzn, pracujących w hali zwanej „Tabak — Schneider”, mógł mieć cokolwiek wspólnego z zaginięciem Ludwisi i Janeczki. Niepotrzebne były jakiegokolwiek argumenty, zbędne analizy. Maszyny żelazne i maszyny ludzkie, współistniejące ze sobą tak doskonale, należały do innego świata, w którym nie było miejsca na jakiegokolwiek niuans ani namiętności inne niż te namacalne i dostrzegalne już na pierwszy rzut oka. Tu wszystko jawiło się jasne i proste.

— A teraz przejdziemy przez magazyn, gdzie gotowe wyroby czekają już na odbiorców — ozwał się dyrektor fabryki, gdy mężczyźni znaleźli się

w wąskim przejściu prowadzącym do jasno oświetlonej hali. — Idziemy drogą dla personelu. Z szatkowni tytoń do sal produkcyjnych przewozi się okrężną drogą, szerokim korytarzem. My trafimy od razu tam, gdzie magazynujemy produkt finalny. Czyli na razie ominiemy kolejne etapy produkcji.

— Może być, aby dalej od mechanicznych potworów — mruknął Bochentin, któremu na razie przeszła ochota na papierosa. Nie słuchał wprawdzie Schuberta, jak jego przełożony, lubił natomiast ciszę.

Pomieszczenie, które ukazało się oczom gości, sprawiło na nich duże wrażenie. Pod każdą ze ścian, aż pod sufit, wspinały się metalowe regały wypełnione kartonowymi paczkami. Środek sali musiał być przejezdny, na potrzeby wozów ciągniętych przez duże, masywne, zimnokrwiste konie, hodowane w północnych częściach niemieckiego imperium, mogące poradzić sobie z ciężarami będącymi poza zasięgiem mięśni zgrabnych koników pod siodło, trzymanyh przez pruskich junkrów.

Każda z paczek opatrzona była informacją o firmie oraz danymi dotyczącymi rodzaju towaru. „Plantador”, „Graf Moltke”, „Jong Holland”, „Gloria de Mexico”, „Krakowski 80” i wiele innych napisów, którym towarzyszyły symbole niemożliwe do odszyfrowania przez laika. Policjanci upajali się jednak nazwami i zapachem, przenikającym, czuli to doskonale, ich ubrania i wchodzącym w chemiczną reakcję ze skórą. Odnosili wrażenie, jakby jeszcze długo po wyjściu z fabryki mieli czuć na swojej odzieży i ciele wibrujący aromat gotowych wyrobów fabryki „Maschallah”.

Koń, na którego drodze pojawił się posterunkowy, zarżał. Woźnica zazwyczaj każdego przeszkadzającego mu w pracy traktował obrazową i niepozabawioną walorów literackich mieszanką kaszubszczyzny i platdeutscha, jednak na widok munduru przygryzł sumiastego wąsa i tylko

poprosił policjanta o przesunięcie się w bok od wyjazdu z hali. Bochentin zastosował się do prośby.

Pracownicy obecni we wnętrzu stanowili przekrój typów fabrycznych.

Woźnice zdawali się tu jedynie gośćmi, przybyszami z innego świata. Sami nie zapełniali swoich pojazdów towarem. Kiedy wjeżdżali do środka, szli do odsłoniętego kantorka po dokument wydania towaru. W tym czasie magazynierzy, chłopcy barczyste, o olbrzymich barach, ładowali paki na wozy. Inni, przy pomocy rusztowań podobnych do budowlanych, naruszali uporządkowaną strukturę kartonów i skrzyń, zdejmując je i podając kolejnym magazynierom, mającym bezpośredni kontakt z wozami.

We wnętrzu panował chłód, ponieważ brama łącząca halę ze światem zewnętrznym cały czas była otwarta. Niekiedy do środka wlatywały w chaotycznym tańcu żółte liście.

— Tak, tu nie znajdują panowie niczego romantycznego. Niczego, co kojarzy się z magią kolonialnych produktów — zauważył fabrykant.

— Z drugiej strony — odparł Braun — atmosfera magazynu nasuwa mi skojarzenia z portem. Załadunek, przeładunek, ekspediowanie w świat.

Komisarz Lambert uznał, że należy dorzucić swoje trzy fenigi.

— Jest w tym nieco racji. Każdy, kto mieszkał, jak ja, lub chociażby bywał w portowym mieście, w istocie musi zauważyć pewną zbieżność.

— A mi tu po prostu zimno — szepnął Bochentin.

— Teraz natomiast zaprowadzę panów do pomieszczenia, w którym jest znacznie przyjemniej — uśmiechnął się Paweł Pokora.

„Arbeitsraum”, Lambert z zadowoleniem przeczytał napis po niemiecku, znajdujący się nad wejściem do sali znacznie mniejszej niż poprzednia. Jego satysfakcja byłaby pełniejsza, gdyby obok nie wisiała tabliczka z polskim napisem „Pracownia tytoniu”.

Od samego wejścia uderzył policjantów aromat powodujący wibracje w nozdrzach. Powietrze aż gęste było od obezwładniającego zapachu.

W pomieszczeniu panował ład, tak różny od gorączkowej atmosfery ruchu w poprzednio oglądanych halach. Salę oświetlały rzędy mocnych lamp elektrycznych umieszczonych około dwóch metrów pod sufitem.

Pośrodku przechadzał się młody mężczyzna w śnieżnobiałym fartuchu, prosty jak struna. Pod szyją pyszniła się elegancka granatowa mucha w delikatne białe groszki. Plastikowy stojący kołnierzyk, na skutek wysokości zdający się krępować ruchy głowy, dodawał majstrowi szyku omal nielicującego z porą i okolicznościami. Nawoskowany wąsik sterczał zupełnie jak u cesarza Wilhelma, nadając pucołowatej twarzy swoistego uroku. Zmierzwiona czupryna, najwidoczniej oporna na działania grzebienia, dopełniała reszty.

Braun w pierwszej chwili zdziwił się manifestowaną i nieco wyzywającą elegancją majstra, zaraz jednak pomyślał, że okoliczności same prowokują mężczyznę do przesadnej dbałości o wygląd.

Oto sala pełna była młodych kobiet i dziewcząt.

Z prawej strony wpływało światło dzienne. Za szerokimi i wysokimi oknami poczynano się wprawdzie robić szaro, ale w ciągu dnia, zwłaszcza w miesiącach wiosennych i letnich, sala musiała być widna i wesoła.

Pod oknem i pod przeciwległą ścianą stały podłużne pulpity. Przy każdym z nich siedziały cztery kobiety. „Biuurka” były dwustronne, tak że każda z robotnic miała naprzeciw siebie towarzyszkę pracy. Od sąsiadki obok oddzielała każdą z kobiet zaokrąglona przegródka. Podłużne stoły sporządzone były z jasnordzawego drzewa olchowego, dzięki czemu nie sprawiały wrażenia ciężkich i przytłaczających. Obok każdego ze stanowisk umieszczone były maszynki z drewna i metalu, teraz stojące bezczynnie.

Policjanci w skupieniu przypatrywali się pracy kobiet. Kiedy weszli do wnętrza, nie tylko aromat tytoniu podrażnił ich zmysły. Uszy, nawykłe już do hałasu dwóch poprzednio oglądanych hal, koił teraz cichy śpiew.

Ignaz, który przeczytał większość śpiewnika wydanego przez Pawła Pokorę, rozpoznał słowa jednej z pieśni.

Matko niebieskiego Pana
Ślicznaś i Niepokalana
Jakiej wieki, czas daleki
Czas niemały i świat cały
Nie słyszał...

Staranny ubiór kobiet nie uszedł uwadze policjantów. Większość miała na brązowe lub granatowe suknie nałożone jasne fartuszki, podobne do tych, jakie nosiły pokojówki. Kilka z nich jednak odzianych było w kremowe bluzki, a komisarz Lambert, bardziej niż wypadało, i niż sam sobie uświadamiał, wrażliwy na szczegóły niewieściej garderoby, nie wiedział, czemu przypisać tę niekonsekwencję.

Starannie upięte włosy dodawały pracownikom dyskretnego uroku.

Z pewnością kobiety należały do robotniczej arystokracji. Ich praca nie należała wprawdzie do najlżejszych, ponieważ skręcanie cygar i papierosów jawiło się zajęciem monotonnym i żmudnym, wymagało w dodatku zręczności i skupienia, jednak nie można go było porównać do pracy kobiet zatrudnionych w masarniach czy przędzalniach.

Fabrykant nachylił się do policjantów.

— To jest najważniejsze miejsce w moim zakładzie, choć oczywiście wszystkie etapy produkcyjne są potrzebne.

— A kim jest ten młody człowiek? — odezwał się Braun.

— Nasz kierownik zmiany, bo zmiany tutaj są dwie. Ukończył specjalistyczną szkołę zawodową w Hamburgu. Zdolny i zna się na rzeczy, choć zbyt wrażliwy na wdzięki niewieście.

— Trudno, żeby pracując w takim miejscu, nie zwracał uwagi na... — zaczął Bochentin, ale Lambert postanowił być stróżem moralności podwładnego i zgromił posterunkowego spojrzeniem.

— Prawda? — zauważył Paweł Pokora. — Ale sędzę, że jeśli pan inspektor myśli o panu Kaltenbachu jako potencjalnym podejrzanym, jest to stratą czasu. Znam go od dziecka i przywiozłem z Gdańska, z polecenia jego rodziców. To dobry chłopiec. I zna się na rzeczy.

— Czy pan Kaltenbach ma jakiś kontakt z Wacławem Ruszkowskim?

— Raczej nie — po chwili zastanowienia odpowiedział Pokora. — Pracują w zupełnie innych, by tak rzec, sferach.

— Dobrze. A jednak jutro, kiedy przyjdzie tu posterunkowy Bochentin, porozmawia i z nim.

— Oczywiście — skinął głową fabrykant. I zaraz w jego oczach pojawiły się figlarne błyski. — Czy panowie wiedzą, że na Kubie, a w ogóle w całych Indiach Zachodnich, tam gdzie uprawiają najlepsze tytonie świata, Kreolki, Mulatki i czarnoskóre piękności formują cygara na udach? Dzięki sprężystości mięśni kształt cygara jest wtedy najdoskonalszy, a gęstość tytoniu w produkcie najbardziej optymalna. No i wyobraźnia palacza wzbogaca się niepomierne, co jednak jest z kolei związane z ceną takiego dzieła sztuki.

Na usta Lamberta już cisnęło się pytanie, czy wymieniona praktyka stosowana bywa także w fabryce „Maschallah”, pomyślał jednak, że szef wejherowskiej policji, choćby tymczasowy, nie powinien interesować się takimi sprawami. Natomiast prywatnie jego ideałem powinny być uczciwe niemieckie kobiety o jasnej karnacji i odpowiedniej wadze, w pełni oddane

wierze ewangelickiej, domowi i kuchni, zaś czekoladowe gazele z tropikalnych rejonów świata i ich uda stanowczo należało zostawić w spokoju. Westchnął.

Chociaż taki Konrad Schirmann, kolega z gdańskiego komisariatu, podpisał kilkuletni kontrakt na służbę w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Lambert ponownie westchnął.

— Pracownice do produkcji tańszego asortymentu cygar i wszystkich gatunków papierosów używają maszyn. Natomiast ostatnio otrzymaliśmy intratne zamówienie z Królestwa Belgii na wyroby luksusowe, stąd praca ręczna. A teraz zaprowadzę panów w miejsce, które również wymaga skupienia i kobiecej zręczności — szepnął dyrektor.

Wychodzącym mężczyznom towarzyszył cichnący z każdym krokiem śpiew.

Przez Twą poważną przyczynę
Niech nam Bóg odpuści winę
Uproś pokój, Panno święta
Boś bez zmayı jest poczęta
Maryjo!

Policjanci i ich cicerone znaleźli się w sali podobnej wielkością do poprzedniej. Tu zapach tytoniu nie był tak intensywny i mieszał się z gryzącą wonią kleju. Na pierwszy rzut oka całość sprawiała wrażenie chaosu. Umebłowanie stanowiły stoły i stoliki rozmaitej wielkości i wysokości, częściowo zapełnione paczkami i kartonami w przeróżnych kolorach, oznakowanymi napisami i ozdobionymi rysunkami.

Obrazki na kartonowych opakowaniach przedstawiały Murzynów, Arabów, władców historycznych, w tym Jana Sobieskiego, jak również

zadowolonych mieszczuchów i obywateli ziemskich trzymających w ustach lub w dłoni cygara, rzadziej papierosy. Niektóre zadrukowane były wyobrażeniami palm czy egzotycznych krajobrazów i miast.

Na osobnym stole o grubych nogach leżały drewniane skrzynki z najwykwintniejszymi cygarami.

Marek wytwarzanych przez „Maschallah” były dziesiątki. Indianos, Plantador, Jägerslust, El Premio, Famos, Menado, Jan Sobieski, Hilda, La Grandezza, Tierra, Poniatowski, Flor de Garcia, Cygara Krakowskie...

Ignaz spojrzął na sporych rozmiarów portret Pawła Pokory, wiszący na jednej ze ścian. Zaraz jednak zaczął przypatrywać się pracy kobiet, którym fabrykant nakazał, aby dalej wykonywały swoje obowiązki.

— Tutaj pakuje się gotowe produkty? — Lambert zdał retoryczne pytanie.

— Owszem. Niewiasty zatrudnione przy tej pracy muszą być tak samo szybkie i zręczne jak te, które w poprzedniej sali formowały cygara. Są zadowolone, w odróżnieniu od tamtych, że po wyjściu z pracy prawie nie pachną tytoniem. A woń kleju nie jest tak trwała.

Bochentin pomyślał, że nie byłby zachwycony, gdyby jego Małgorzata pachniała tytoniem. Część pracownic uwijała się, pakując cygara i papierosy do pudełek. Inne dopiero składały kartoniki i kartony, mogące później pomieścić większą liczbę paczek. Gotowe produkty ustawiano pod ścianami, gdzie czekały na przybycie tragarzy.

Kobiety przemieszczały się na rozmaite strony niczym mrówki, pozornie przypadkowo, jednak można było dostrzec, że ich ruchy są ekonomiczne i oszczędne. Nie czyniły żadnych przypadkowych gestów.

Braun już przez dłuższą chwilę przypatrywał się jednej z pracownic. Gdy doniosła zaklejony karton na niski stół znajdujący się pod oknem

i wyprostowała się, oczy jej i inspektora spotkały się. Ignaz drgnął. Spotkał już kiedyś tę kobietę.

Nie rozmawiał z nią. Był jednak świadkiem dyskusji, jaka toczyła się w kuluarach po koncercie.

Jego umysł zaczął gorączkowo odtwarzać słowa i zdania.

„Jedna znajoma, dwie panie i ja, nad stolikiem. Trzymamy się za ręce i wzywamy kogoś, kto zgodziłby się przybyć. Świece się palą, tabliczka na środku stołu...”.

„Nagle mój Zygfryd zaczyna mówić”.

„Niewinność, dziecięcość duszy i coś, z czym człowiek się rodzi. Dobry przewodnik, dobre medium, toż to skarb! Gdyby tak dzieci, czyste i nieskalane życiem, godziły się na pośrednictwo! Nie należy ustawać w poszukiwaniach”.

Braun nachylił się do Lamberta. Szepnął mu kilka zdań na ucho. Wejherowski komisarz zawahał się. Wreszcie skinął głową i podszedł do Pawła Pokory. Znów szeptał.

Kobieta wiedziała już, że mówią o niej. Stała w bezruchu, jak sparaliżowana.

Komisarz Lambert skierował się w jej stronę. Za nim podążył Ignaz.

— Jak się pani nazywa?

— Urszula Koschke.

— Proszę o udanie się z nami do biura pana dyrektora.

— Teraz? — zapytała kobieta drżącym głosem.

Wokół nastąpiła cisza. Pozostałe pracownice przestały wykonywać swoje czynności. Wszystkie obserwowały scenę, jaka rozgrywała się między policjantami a ich koleżanką.

— Wracajcie do obowiązków — powiedział zdenerwowany Paweł Pokora. Kobiety z ociąganiem posłuchały pryncypała, zerkając jednak w stronę pani Urszuli stojącej przed funkcjonariuszami.

— Tak, teraz. Natychmiast — odparł Lambert w taki sposób, że zatrzymana od razu otrzeźwiała.

— Panie komisarzu — Lambert usłyszał szept Bochentina, który wprawdzie nie rozumiał przyczyny zaistniałej sytuacji, zawsze jednak gotów był do wykonania przepisanych prawem czynności — czy nałożyć kajdanki?

— Nie, na razie nie ma takiej potrzeby.

Opuszczeniu sali przez dyrektora, funkcjonariuszy i Urszulę Koschke towarzyszyła grobowa cisza. Kiedy jednak drzwi za nimi zamknęły się, wybuchła wrzawa. Kobiety, jedna przez drugą, zaczęły to wyrażać zaniepokojenie o los koleżanki, to snuć rozmaite przypuszczenia, a jedna z nich nie potrafiła ukryć mściwej satysfakcji, była bowiem od lat skłócona z ową Koschke.



DROGERIA ZIEMENSA. PRZESŁUCHANIE

Rozalka bardzo cieszyła się na zakupy w towarzystwie starszej siostry. Lubiała spacerować po kalwaryjskich drózkach, lubiała pokonywać codzienną drogę do szkoły i tę, która po lekcjach wiodła ją do domu, ale wyjście do centrum miasta, na Rynek i pobliskie ulice, pełne kolorowych wystaw sklepowych, też miało swoje uroki. Zawsze można było trafić na coś niespodziewanego. W dodatku dorośli mieli czym płacić za rozmaite cuda, których tak wiele w mieście.

Zaszły po mąkę do sklepu firmowego przy młynie Buraua na ulicy Gdańskiej, co dla dziewczynki nie było zbyt ciekawe, ale zaraz potem udały się do eleganckiego salonu odzieżowego Mode Bazar Blümel — Selbiger, mieszczącego się na rogu Gdańskiej i wschodniej pierzei Rynku, gdzie starsza siostra miała zamiar kupić jedwabne pończochy. Rozalka już przed wejściem do sklepu liczyła po cichu, że zostanie obdarowana jakimś drobiazgiem, a Bernadecie wystarczyło później raz spojrzeć w błyszczące orzechowe oczy dziewczynki, by odgadnąć, co sprawi jej największą przyjemność. Przeznaczona dla małych dam miniatura „dorosłej” torebki

w stylu Gladstone, prostokątna i nieco rozszerzana ku dołowi, nie stanowiła może artykułu pierwszej potrzeby dla dziecka, w dodatku Bernadeta nie wiedziała, jak na taką ekstrawagancję zareaguje matka, pomyślała jednak, że skoro „gladstonki” nosi wiele małych berlinianek, to dlaczego i jej siostra nie mogłaby mieć czegoś tak szykownego.

Rozalka była tego samego zdania i jeszcze w sklepie mocno uściskała, ze szczerą, dziecięcą wdzięcznością, nachyloną ku niej słuszną postać Bernadety.

Później siostry przekroczyły progi sklepu kolonialnego pana Welza, mieszczącego się na rogu Rynku i ulicy Lęborskiej. Piętro i poddasze budynku zajmował zajazd. Natomiast sam sklep dorównywał atrakcyjnością odzieżowemu, choć asortyment był zgoła inny. Kawy i herbaty ze wszystkich stron świata, tytonie, cygara i papierosy, kandyzowane owoce, czekolady, syropy i cukier z trzciny rosnącej na wyspach Indii Zachodnich... I oszałamiająca mieszanina zapachów, obezwładniająca każdego, kto wszedł do sklepu.

Kiedy opuściły królestwo pana Welza, trzymały w dłoniach papierowe torebki z napisami reklamującymi sklep. Miały wrażenie, że przesiąkły aromatami dalekich krain, o czym pachnąca zawartość torebek nieustannie przypominała.

Bernadeta spojrzała na zegarek. Szesnasta trzydzieści. Przyspieszyły kroku, by już po chwili znaleźć się przed drogerią Minerwa, należącą do Augusta Ziemensa, znanego w mieście fotografa. Sklep mieścił się niemal naprzeciwko cesarskiej poczty.

— A co tu będziemy kupować? — zainteresowała się Rozalka, która rzadko bywała zabierana do drogerii.

— Takie sklepy — Bernadeta łobuzersko zmrużyła jedno oko — kobiety odwiedzają nie tylko wtedy, gdy koniecznie muszą coś kupić.

Zapach, który już od wejścia uderzył obie klientki, zdawał się melanzem nut słodkich i ostrych, ziołowych i chemicznych. W pierwszy momencie Rozalka pomyślała, że chciałaby jak najszybciej opuścić sklep, ale po chwili zaczęła przyzwyczajać się do woni panującej we wnętrzu. Jej wrażliwy nosek zaczął wyławiać aromaty przyjemne. Bergamotka, piżmo, jaśmin i ostrzejsze zapachy znane z kuchennej szafki w domu przy ulicy Kalwaryjskiej. Nie potrafiła nazwać tych ulotnych niespodzianek, ale pomyślała, że są właśnie jedną wielką niespodzianką złożoną z wielu części i wirują dookoła niej, żyjąc swoim życiem.

Za ladą stała kobieta w białym fartuchu. Uśmiechnęła się na ich widok. Wzrokiem zapytała Bernadetę, czy może służyć pomocą, ale zorientowawszy się, że klientka z towarzyszącą jej dziewczynką pragną najpierw rozejrzeć się po wnętrzu, skierowała wzrok na zeszyt z rzędami kaligrafowanych cyferek, leżący na kontuarze.

Drogerię podzielono na dwie części, fotograficzną i medyczo-kosmetyczną. Osobliwością była dekoracja umieszczona na całej szerokości pod samym sufitem, stanowiąca żywą reklamę atelier znajdującego się na zapleczu i w ogóle dokonań artystycznych pana Ziemensa. Oprawne w ramy i antyramy fotografie miasta, kalwaryjskich kaplic, pobliskich wiosek oraz ludzi najrozmaitszych stanów, wszystko to sprawiło, że Bernadeta i Rozalka dłuższą chwilę, ku zadowoleniu ekspedientki, z zajęciem podziwiały talent fotografa.

Część drogerii, poświęcona artykułom fotograficznym, nie wzbudziła zainteresowania klientek. Pan Sychowski kolekcjonował widokówki i zdjęcia rozmaitych bliższych oraz dalszych miejsc, od czasu do czasu zabierał żonę i córkę do fotografa, to samo czynił Ignaz z Bernadetą, jednak techniczne aspekty sztuki fotograficznej nie zajmowały myśli sióstr.

Tymczasem przestrzeń zajęta przez świat zapachów, kremów, maści i medykamentów wydawała się znacznie ciekawsza. Tu oko od razu przykuwały stojące na ladzie słoje, wypełnione kolorowymi kostkami mydła. W domu najczęściej używało się mydła szarego, bezwonnego, dlatego taką atrakcją stanowiło pojawienie się przed kilkoma laty mydełek, o których bardziej konserwatywni klienci powiedzieliby, że służą nie myciu, lecz pielęgnowaniu próżności.

Na regałach w regularnych rzędach stały szklane i ceramiczne słoiki z łacińskimi nazwami. Miało się wrażenie przeniesienia w czasie i przestrzeni do jakiejś tajemnej pracowni alchemika.

Kiedy jednak Rozalka spojrzała na szklane półeczki z kolorowymi, o fantazyjnych kształtach buteleczkami perfum, jej twarz ozdobił uśmiech.

Nigdy wcześniej nie przypatrywała się z takim zajęciem osobliwemu asortymentowi. Dotąd wołała zabawki i dziecinne stroje.

Gdy później, po powrocie do domu, opowiedziała o wszystkim pani Marcie, ta westchnęła, pomyślawszy o nieuchronnym wkraczaniu córki w czas dojrzewania.

Minęło kilka minut, podczas których siostry przyglądały się kosmetykom. Wreszcie drogistka zwróciła się do nich:

— Czym mogę służyć szanownym PANIOM?

Ostatnie słowo wypowiedziała żartobliwie, lecz ciepło.

— Szukam zapachu o nucie kwiatowej. Co mogłaby mi pani polecić?

— O, mamy całkiem nowe perfumy i wody toaletowe firmy Coty. Wśród klientek cieszą się dużym uznaniem.

Drogistka odwróciła się i zdjęła z półki ozdobne flakoniki.

— „l'Effleur” i „La Rose Jacqueminot”. Pierwszy stanowi połączenie jaśminu, konwalii i narcyza, w drugim natomiast, obok fiołka, zdecydowanie dominuje róża. Proszę łaskawie wypróbować.

Bernadeta ujęła w gładką, pulchną dłoń flakonik z pierwszym zapachem, gdy drzwi drogerii otworzyły się. Stała w nich skromnie, choć gustownie ubrana kobieta. Podeszła do kontuaru.

— Dzień dobry. Słucham łaskawą panią.

— Dzień dobry. Chciałabym nabyć truciznę na szczury. Bardzo rozmnożyły się w domu i zabudowaniach gospodarczych.

Siostry równocześnie spojrzały na przybyłą, tak dalece jej życzenie tematycznie odbiegało od tego, czym zajmowały się w ciągu ostatnich minut.

Granatowy płaszcz, zgrabnie skrojony, delikatnie opinał nienaganną figurę kobiety. Kapelusz z trzema kremowymi różyczkami nie przytłaczał klasycznej urody twarzy nieznajomej. Wąski zgrabny nos, wysokie czoło, dźwięczny głos...

„Boże, jaka ona podobna do Lily Elsie”, pomyślała Bernadeta, która w berlińskim kinematografie widziała niedawno fragment zabawnej sztuki z udziałem słynnej angielskiej aktorki, mającej u stóp dużą część świata.

Ekspedientka nie była zdziwiona żądaniem.

— Powiada pani, na szczury? Służę.

Podeszła do obszernej oszklonej szafki oznaczonej trupią główką i dwoma skrzyżowanymi piszczelami. Wyjęła z kieszonki białego fartucha kluczyk i przekręciła zamek. Uchyliła drzwiczki. Sięgnęła po ceramiczne słoiczki.

— O, tu mamy *arsenicum*, arszenik. A tu *strichninum nitricum*, na bazie strychniny. Polecam pani nowość, bardzo skuteczna, angielska. Brytyjczycy mają duże tradycje w klasyfikacji i produkcji trucizn. Nieco droższa od tamtych, ale nad wyraz skuteczna.

Klientka spojrzała na ampułkę z napisem „Poison! Chlorinated soda”.

— W takim razie poproszę tę.

— Oczywiście.

Za elegancką kobietą zamknęły się drzwi.

Bernadeta raz jeszcze porównała oba polecane zapachy. W końcu zdecydowała się na „l'Effleur”. Rozalka poważnym gestem główki wyraziła aprobatę dla wyboru siostry.

Mała klientka pierwsza skierowała się do wyjścia. Gdy Bernadeta zapakowała już flakonik i zamierzała ruszyć w ślady dziewczynki, drogistka uśmiechnęła się.

— Widziałam pani zdziwienie. Ale odwiedzający nas często pytają o trucizny. Pracując w aptece, ma się do czynienia z różnymi nietypowymi produktami. Niektórzy z klientów są wielkimi zwolennikami walki z reumatyzmami poprzez nacieranie ludzkim tłuszczem, inni pytają o tabletki na przeczyszczenie wielokrotnego użytku. Tak, chwalą je sobie bardzo! Do widzenia pani, proszę o nas nie zapominać!

— Imię i nazwisko?

— Urszula Koschke. Mówiłam już w fabryce.

— Proszę ściśle odpowiadać na zadane pytania — syknął Otto Lambert.

— Data urodzenia?

— 18 stycznia 1850 roku.

— Miejsce urodzenia? Bochentin, notujecie?

— Tak jest, panie komisarzu!

— Dobrze. Miejsce urodzenia?

— Wejherowo.

— Adres?

— Strzelecka 4.

— Zawód?

— Przed ślubem służyłam w kilku wejherowskich domach, potem przy mężu, od sześciu lat w fabryce „Maschallah” pakuję wyroby tytoniowe.

— Mąż nie żyje, prawda? — Braun pochylił się nad przesłuchiwaną.

— Tak. Od roku.

— Zna pani Waclawa Ruszkowskiego? — teraz Lambert przybliżył twarz do twarzy pani Urszuli na odległość oddechu.

— Tak.

— Może pani odpowiadać szerzej, gdy istota pytania wskazuje na potrzebę dokładniejszego wyjaśnienia — w głosie wejherowskiego komisarza pojawiła się nuta irytacji.

— Nie widuję pana Ruszkowskiego często. Wiem, że jest głównym księgowym, ale nie spotykam go w paczkarni. Czasami na ulicy, może raz w miesiącu gdzieś w fabryce. Ale to wtedy, jak wychodzi ze swojego kantoru.

— Pani oczywiście wie, że zaginęły córki Waclawa Ruszkowskiego — zauważył Lambert, który wyprostował się i patrzył na Urszulę Koschke z góry.

— Mój Boże, każdy wie.

— I co ma nam pani do powiedzenia w związku z tym zdarzeniem?

Kobieta wstrzymała oddech. Spojrzała na Lamberta, który zadał pytanie, potem na Brauna.

— Ja?

— A czy jest tu jeszcze ktoś, kogo przesłuchujemy? — Lambert podniósł przycisk do papieru i mocno stuknął nim w biurko. Pani Koschke skrzywiła się i zamknęła oczy. Dreszcz przebiegł przez jej ciało. — Zadałem pytanie!

— Ale ja nic nie wiem!

— Panie inspektorze — Lambert spojrział na Ignaza.

— Więc może — odezwał się Braun — przypomnimy sobie wieczór, kiedy to odbył się koncert w fabryce pana Pokory.

— Nie rozumiem?

— A ja sądzę, że pani doskonale rozumie.

Na twarzy Brauna pojawił się szczególny uśmiech, który przeraził kobietę. Ignaz przez chwilę milczał, wpatrując się w małe załzawione oczy pani Urszuli.

Koncert?! Tak! Przypomniała sobie. Rozmowę z tamtymi dwoma mężczyznami. Mówiła im chyba o biednym Zygfyrdzie. O pragnieniu kontaktu z nim. Tęsknota za znalezieniem odpowiedniego medium. Tak, wszyscy tęsknili do dobrego medium. Seanse spirytystyczne, niewinne istoty, dzieci. Ach tak, dzieci!

— I panowie sądzą, że ja...

— Niech pani sobie nie pochlebia, nie sądzimy, że sama pani zaplanowała, hm, zdobycie pośredniczek. Inspektor Braun usłyszał, że usiłujecie wywoływać istoty z innego świata. Jakież kobiety były z panią, prawda? Proszę o ich nazwiska.

— Przypominam sobie, tak, mówiłam o siostrach Prutenius, ale one wyjechały jeszcze przed koncertem do Essen. Mają tam krewnych. Ale tylko z siostrami Prutenius...

— Jeszcze jakaś pani — zauważył Braun.

— Nie wiem, kto to jest. Uczestniczyła kiedyś w seansie.

— Skąd pani ją zna?

— To siostry Prutenius...

— Zdziwiające, cały czas kieruje pani uwagę na osoby, z którymi nie można w tej chwili skonfrontować pani zeznań. Kim są siostry Prutenius?

— To krewne nieżyjącego już notariusza, pana Pruteniusa. Miał biuro w Wejherowie.

— Jak pani je poznała?

— Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam. Poznałyśmy się przypadkiem.

— Nie ma przypadków! — krzyknął Lambert.

— My natomiast wiemy o istnieniu szerszej grupy osób zajmujących się seansami — zablefował Braun. — Żarty się skończyły. Proszę już nie kluczyć.

Urszula Koschke spojrzała niepewnie na berlińskiego inspektora, ale zaraz spuściła oczy.

— Pani, zdaje się, nie rozumie powagi sytuacji. Dla nas każda chwila jest droga, a pani jest w tej chwili podejrzana o porwanie bądź o współudział w porwaniu dziewczynek. I czy zdaje sobie pani sprawę, co grozi za tak potworny czyn?! — huknął Lambert, a jego twarz pałała oburzeniem.

— Co...? — niespodziewanie trzeźwo odpowiedziała kobieta.

— Powieszenie! — syknął Braun.

— Śmierć na szubienicy — dodał Lambert. — Jeśli tylko coś im się stanie. A kto pani zagwarantuje, że są żywe i zdrowe? Jeżeli nie interesuje pani ból ojca, proszę sobie wyobrazić własny ból. Najpierw wstyd i hańba podczas publicznego procesu. Później oczekiwanie na egzekucję w samotnej celi. Może nie w samotnej, wtedy więźniarki zrobią z pani krwawą miazgę i stryczek będzie niepotrzebny, zna się takie przypadki. Gdyby jednak czekała pani sama, czas płynie wolno. Tak, bardzo wolno, nawet nie umie pani sobie tego wyobrazić. I po co to? W imię czego? Ale gdyby pani złożyła zeznanie... Nie musi się pani niczego bać, nikt ze współników nie zrobi pani krzywdy, niemiecka sprawiedliwość zadba o to,

żeby już nikogo nie skrzywdzili. Ani dzieci, ani pani. Wiemy z pewnych źródeł, że właśnie panią obarczają winą za porwanie dziewczynek.

Obaj policjanci nachylili się nad kobietą. Pióro Bochentina zawisło w znieruchomiałej dłoni, on sam zaś jak zahipnotyzowany patrzył na twarz przesłuchiwanej. Jej oblicze z czerwonego stało się śmiertelnie blade.

Bezradność i rozpacz Urszuli Koschke stawały się coraz bardziej widoczne. Kobieta nie umiała kłamać. Przy tym od najmłodszych lat rosła w przekonaniu, że co jak co, ale władza jest świętością i do jej poleceń powinno się podchodzić z należnym respektem.

W jej umyśle, jak objawienie, zaświtało coś jeszcze. Iskierka, która w mgnieniu oka przemieniła się w płomień gniewu. Nie, nie wie nic o tych dzieciakach Ruszkowskiego, ale skoro ci policjanci wiedzą więcej... Ale nie znają wszystkich nazwisk. A może znają i chcą ją sprawdzić? Kto ich tam wie? Przecież mówili, że ktoś z bractwa ją obarcza winą!

Cela z kryminalistkami. Ksiądz klepiący łacińskie formułki na kwadrans przed...

Musi być wiarygodna. W imię czego ma chronić tamtych? Tak, chcieli ją uhonorować, uczynić Starszą Terminującą. Od razu wydało jej się to dziwne. Bo przecież wyczuwała dystans, jaki dzielił ją od tamtych.

Zrzucić winę na nią, na biedną wdowę? Taki był plan, gdyby policja wpadła na jakiś trop? I co oni właściwie robią? Śmierć, wszędzie umarli, duchy, a ona, żeby wiedzieć coś o swoim biednym Zygfydzie, dała się omamić! Może naprawdę te dzieci... Boże, sama im kiedyś napomknęła o dzieciach. Ale i ona usłyszała wcześniej o dzieciach w roli medium!

— Już powiem, co wiem! — wykrzyczała z dna udręczonej duszy.

Otto Lambert pomyślał, że nowoczesne metody śledcze, które pilnie studiował i których był orędownikiem, przegrywają ze sprawdzonym i starym jak świat sposobem: zwykłym zastraszeniem.

- Bochentin, notujcie uważnie!
- Tak jest, panie komisarzu!
- No, słuchamy.

Zbierali się w Komnacie Iluminacji, tak nazywali ciemne pomieszczenie, w którym wywoływali duchy. Ona wspominała sąsiadom i znajomym, że tęskni za Zygfydem, że chciałyby go jeszcze kiedyś zobaczyć.

W sklepie, bo tam spotyka się tylu ludzi, poznała siostry Prutenius, starsze panie, bogate i żyjące jako rentierki dzięki spadkowi po bogatym krewnym. Interesowały się życiem pozagrobowym, podobno odwiedziły je dusze rodziców. Miały dar przekonywania. I tak dobrze potrafiły wczuć się w sytuację osoby samotnej, która straciła jedynego towarzysza życia. Poza tym bardzo spodobał im się Ariel. A Urszula Koschke była zdolna zaufać każdemu, kto docenił liczne zalety jej kota.

— Tak, wiemy, siostry Prutenius. Teraz już beż żartów — warknął Lambert. — Nazwiska pozostałych!

— Nazwiska? — na moment powrócił strach.

— Nazwiska! Ta grupa składa się z ludzi, którzy jakoś się nazywają!

— Nie znam wszystkich. Ale domyślałam się, że planują porwanie dziewczynek.

— Mów, co wiesz — szepnął komisarz, a pani Urszula pomyślała, że wołała już, gdy ten straszny policjant krzyczał.



ARESzt ŚLEDczy

Wieczorem rozpadało się na dobre. Ulice były puste. Kałuże szybko zamieniły się w rozlewisko zasilane rwącym potokiem, płytkim, lecz niespokojnym. W świetle gazowych latarni potoki wody zmieszanej z błotem połykiwały niespokojnie.

Policjanci nie zaglądali w rozświetlone okna kamienic stojących przy Rynku. Nie przejmowali się mokrymi butami i nogawkami spodni. Posterunkowy Myszk chciał służyć parasolem, ale komisarz Lambert i inspektor Braun zignorowali jego uprzejmość. Tak samo zachował się Arno Bochentin.

Przed komisariatem, znajdującym się w dolnej części przebudowywanego ratusza, stał automobil. Opel 10/12PS, duma wejherowskiej policji, czterocylindrowe monstrum rozpędzające się nawet do 45 kilometrów na godzinę, czteroosobowe, z nasuniętym składanym dachem nasączonym kauczukiem.

Za automobilem, zaprzężony do policyjnej karetki, cierpliwie czekał koń, z którego pyska wydobywały się regularne obłoki pary.

Bochentin siadł na miejscu przewidzianym dla woźnicy, z zazdrością spoglądając na automobil, w którego wnętrzu sadowili się oficerowie.

Posterunkowy Myszk kilkoma energicznymi ruchami korby sprawił, że silnik zaczął warczeć.

Na twarzy komisarza Lamberta malowała się pasja. Nade wszystko lubił ciszę i samotność, ale gdy jego wąskie delikatne dłonie opierały się na drżącej kierownicy, czuł, że budzą się w nim nieznane instynkty. Podobnego uczucia doznawał, gdy jego zmysły atakowała teutońska otchłań oper Ryszarda Wagnera.

Przeraźliwy warkot silnika, przechodzący w skowyt, oznajmił miastu, że oto jeden z kilku jeżdżących po Wejherowie automobili wyruszył w drogę. Stukot końskich kopyt nikł gdzieś w hałasie, będącym dziełem koni mechanicznych.

Komisarz Lambert w duchu pobłogosławił miejskiego budowniczego, Wilhelma Schmitza, którego przelotnie spotkał raz lub dwa, za to że kilka lat wcześniej zainstalował w prowincjonalnym miasteczku imponującą liczbę gazowych latarni. Dla mieszkającego dotąd w Gdańsku komisarza były one oczywistością. Nie wyobrażał sobie, jak bez nich jechałoby się teraz po ciemku. Automobilowe reflektory nie dawały zbyt wiele światła.

Opel zatrzymał się przy alei Wilhelma, przed niezbyt okazałym, ale ozdobionym dwoma wieżyczkami budynkiem, którego krasy nie sposób było docenić podczas ulewnego wieczoru.

Gdy oficerowie opuszczali automobil, na ich płaszcze spadał już nie tylko ulewny deszcz. Drobne, wilgotne płatki śniegu, momentalnie topiące się w zetknięciu z paltami, stanowiły zapowiedź pierwszych przymrozków.

Obaj mężczyźni znaleźli się przed ogrodzeniem okalającym posesję. Za automobilem, tak jak na Rynku, stanęła karetka policyjna. Z kozła na chodnik zgramolił się posterunkowy Bochentin. Odruchowo sprawdził, czy

u paska wiszą kajdanki. Spojrzał na komisarza, ten zaś już skierował się w stronę furtki.

— Panowie do kogo? — w drzwiach stanęła wysoka, masywna kobieta w stroju gosposi. Wyraz jej twarzy świadczył, że umiała poradzić sobie z obwoźnymi handlarzami i włóczęgami.

Przed nosem zażywej niewiasty pojawił się kartonik, na widok którego każdy obywatel cesarstwa powinien odczuwać należny szacunek.

— Komisarz Otto Lambert. Czy zastaliśmy pana Georga Mucha?

— Tak — szepnęła kobieta.

— Proszę więc wpuścić nas i zaprowadzić do pana Mucha! — Lambert prawie odepchnął gosposię i wszedł do ciemnego korytarza, za nim zaś podążyli Braun i Bochentin.

Kobieta zamknęła drzwi, minęła policjantów i weszła na schody.

Po chwili oczom komisarza i inspektora ukazał się przygarbiony siwy mężczyzna w bordowej bonzurce, o bladej, niemal przezroczystej twarzy.

— Panowie z policji? — spytał jakby z niedowierzaniem.

— Komisarz Otto Lambert — padła odpowiedź wyrażona tym samym tonem, pozbawionym zbędnej skromności, co przed momentem.

„I inspektor Braun”, pomyślał Ignaz Braun, ale zachował milczenie.

— Czy pan Georg Much? — dodał Lambert.

— Tak. Radny miejski Georg Much — gospodarz nieco się wyprostował. — Mogę spytać, co jest powodem pańskiej wizyty?

— Nie przyszedłem tu z wizytą — odparł komisarz, którego zawsze drażniło, gdy człowiek piastujący jakąś umiarkowanie eksponowaną funkcję starał się podkreślać swoje znaczenie. — Jest pan zatrzymany do wyjaśnienia w związku z zaginięciem Ludwiki i Janiny Ruszkowskich.

Oczy radnego miejskiego zrobiły się okrągłe jak dziesięciofenigówki.

— Słucham? — wyszeptał.

— Ja nie zwykłem powtarzać rzeczy wypowiedzianych prostym językiem — syknął Lambert. — Proszę się ubrać. Pojedzie pan z nami.

Przed głównym wejściem Prowincjonalnego Zakładu Psychiatrycznego zaparkował opel. Tak jak to miało miejsce w alei Wilhelma, po chwili dojechała policyjna karetka. Tym razem jednak posterunkowy Bochentin, opuściwszy kozioł woźnicy, nie podszedł do oficerów, którzy zdążyli już wysiąść z samochodu. Zatrzymał się przy drzwiach karetki i spojrzał do środka. Potem sięgnął do kieszeni munduru i wyjął z niej paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Cieszył się, że przestało padać.

Portier nie był zdziwiony. Człowiek, który pracował w takim miejscu, widział już niejedno. Nie istniały dla niego pory dnia, nie istniał sztywny podział na ludzi zdrowych i chorych. Wizyta policjantów w nocy? Proszę bardzo!

Wicedyrektor Edwin von Schau o dwudziestej trzeciej szesnastce teoretycznie powinien znajdować się w swoim służbowym mieszkaniu na drugim piętrze głównego gmachu. Portier jednakże wiedział, że profesor lubi w nocy przesiadywać w gabinecie i oddawać się studiowaniu rozmaitych fachowych książek.

Pokręcił korbką telefonu i wykręcił numer do mieszkania wicedyrektora. Dwanaście dłuższych sygnałów i nic. Zadzwoił więc do gabinetu. Usłyszał w słuchawce silny głos von Schaua.

Strażnik zawiadomiony przez portiera, olbrzymi osobnik o kanciastej sylwetce, posiadający twarz jednego z bohaterów słynnej powieści Mary Shelley, słabo oświetlonym korytarzem zaprowadził policjantów pod solidne dębowe drzwi ozdobione mosiężną tabliczką z napisem

informującym, kto urzęduje w środku. Stał pod drzwiami i spode łba spojrzął wyczekująco na oficerów.

Kościsty palec Lamberta dotknął przycisku dzwonka elektrycznego.

W drzwiach stanął profesor.

Ignaz zwrócił uwagę na jego młodzieńcze błękitne oczy, osadzone nad czerstwymi policzkami.

Siwa czupryna wyglądała tak, jakby jej właściciel w trakcie studiowania zajmujących dzieł psychiatrycznych bezwiednie a nieustannie targał włosy, nie wiedząc o bożym świecie.

— Panowie z policji? — zapytał z troską, nim komisarz zdążył się przedstawić. — Czy któryś z naszych podopiecznych...? Ale nie, nie informowaliśmy policji o żadnej ucieczce.

— Komisarz Otto Lambert — usłyszał wicedyrektor. — I inspektor Braun — dodał Lambert po krótkiej pauzie. — Możemy do środka?

Profesor spojrzął na strażnika, potem na komisarza i ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Oczywiście, zapraszam.

Kiedy po mniej więcej dziesięciu minutach posterunkowy Bochentin zapalał kolejnego papierosa, dostrzegł, jak przez właśnie uchylone drzwi wychodzi trzech mężczyzn. Ten z nich, którego nie znał, gestykułował żywo, mówiąc coś do oficerów.

Z samochodu wysiadł Otto Lambert. Odczekał, aż pod areszt śledczy podjechała karetka. Bochentin, zszedłszy z kozła, otworzył drzwiczki pojazdu. Pierwszy wyszedł wicedyrektor von Schau, za nim Braun, ostatni zaś radny Much.

Okienko w żelaznej bramie otwarło się. Lambert zamienił kilka słów z dyżurnym. Policjanci wraz z aresztantami przekroczyli zaklęty próg.

Gdzieś wewnątrz dziedzińca zaszczekał pies wartowniczy, spuszczały na noc.

— Komisarz Lambert do pana naczelnika — urzędowo, bez żadnych wstępów, zakomunikował Lambert dyżurnemu, według dystynkcji starszemu dozorczy.

— Oczywiście, już powiadamiam.

Nastąpiła chwila oczekiwania, podczas której zatrzymani wicedyrektor i radny w żaden sposób nie mogli się porozumieć, między nimi bowiem stanął czujny posterunkowy Bochentin.

Na schodach prowadzących ku wyższym kondygnacjom dało się słyszeć kroki, z początku ciche, później coraz głośniejsze, aż wreszcie oczom policjantów i zatrzymanych ukazał się naczelnik.

Średniego wzrostu, uśmiechnięty, pełen energii mężczyzna podszedł do Lamberta, którego miał okazję spotkać kilkanaście dni wcześniej. Podał mu dłoń. Jako doświadczony oficer służby więziennej, poznał jakimś ukrytym zmysłem, mimo braku kajdanek, którzy z mężczyzn są jego przyszłymi podopiecznymi i na razie ich ominął. Podszedł do Ignaza.

— Czy mam przyjemność z panem inspektorem Braunem? — zapytał retorycznie. — Miło poznać, choć okoliczności nie są zbyt przyjazne.

— Iście zawodowe — dokończył Ignaz.

— Otóż to — uśmiechnął się naczelnik. — Montag. Reinhold Montag. Pan komisarz poinformował mnie telefonicznie o sytuacji. Zapraszam, zapraszam na górę do mojego gabinetu. Oskar, poprowadźcie zatrzymanych przodem do celu na piętrze. Szóstka i siódemka, obok mojego gabinetu. Są wolne, prawda? Znakomicie. A, posterunkowy Bochentin, pana kojarzę, przyprowadził pan ostatnio tego oszusta matrymonialnego.

— Tak jest — Bochentin nie krył zadowolenia, że naczelnik go zapamiętał. Co prawda, twarz posterunkowego należała do gatunku facjat,

których, nie tylko z uwagi na wyraz oczu, nie sposób było zapomnieć.

Siedmiu mężczyzn ruszyło schodami. Gdy znaleźli się na piętrze, dozorca Oskar, słyszący w areszcie z faktu, że przez ładnych dwadzieścia lat na służbę przybywał pieszo aż z Barłomina, gdzie mieszkał, odprowadził zatrzymanych do cel. Za oficerami zamknęły się drzwi gabinetu naczelnika, tymczasem Bochentin, otrzymawszy dyskretny znak od przełożonego, pozostał na korytarzu.

Oświetlenie było na tyle dobre, że posterunkowy zainteresował się, z braku innych zajęć, specyfiką korytarza znajdującego się w miejscu tak szczególnym, jak areszt śledczy.

Na ścianie wisiał jadłospis na cały tydzień. Bochentin, który lubił zjeść dużo i dobrze, wlepił wzrok w kartkę przytwierdzoną pinezkami do tablicy.

Chleb porcja normalna — 200 gramów (dni powszednie)

Chleb, porcja zwiększona — 400 gramów (niedziele i święta)

Poniedziałek:

Śniadanie — kapuśniak z kartoflami

Obiad — kartoflanka z marchwią

Kolacja — marchwianka z kartoflami

Wtorek:

Śniadanie — kartoflanka z marchwią

Obiad — grochówka z kartoflami

Kolacja — kapuśniak z kartoflami

Środa:

Śniadanie — marchwianka z kartoflami

Obiad — kapuśniak z kartoflami

Kolacja — grochówka z kartoflami

Bochentin skrzywił się. Przypomniała mu się pięknie pachnąca i posiadająca niebiański smak kaczka, którą Małgorzata przyrządza jak nikt inny. Podziękował też w duchu Opatrzności, która nie stworzyła go przestępcą.

Tymczasem jego oczom, niespodziewanie jak zjawą, ukazała się postać dozorczy, który z jednego krańca korytarza kierował się ku drugiemu. Kiedy mężczyzna doszedł do celu, przekręcił w ścianie wajchę przypominającą klamkę. Posterunkowy z początku zdziwił się wykonanej czynności, ale zaraz przypomniał sobie, co opowiadał mu Anton Myszk, który miał znajomego wśród personelu aresztu. Otóż podczas nocnego dyżuru strażnicy zobowiązani byli do nieustannego obchodu korytarza, a kiedy doszli do przeciwległych krańców, nakręcali mechanizmy zegarowe. Zegary znajdowały się na zewnątrz i były dostępne dla oczu wszystkich przechodzących obok budynku, wystarczyło spojrzeć w górę ku którejś z bocznych fasad. Jeżeli zegar w określonym czasie nie zostałby nakręcony, automatycznie włączał się alarm, świadczący albo o nieobecności strażnika na piętrze, albo też o wypadku funkcjonariusza, wobec którego potencjalny zbieg dokonałby aktu przemocy.

Mężczyzna, przechodząc obok Bochentina pierwszy raz, obdarzył go przelotnym spojrzeniem, potem już nie interesowała go obecność policjanta.

W ścianę wmontowane były kaloryfery. Wzbudziły lekką irytację posterunkowego, który w swoim domu musiał palić w piecu. Centralne ogrzewanie! Zaraz jednak uśmiechnął się złośliwie, spoglądając na wiszący tuż obok jego głowy jadłospis.

Otworzył zegarek. Właśnie minął kwadrans, odkąd pozostał na korytarzu sam. I w tym momencie drzwi gabinetu naczelnika otworzyły się. Na zewnątrz wyszedł komisarz Lambert. W drzwiach uścisnął dłoń naczelnika, przyciszonym głosem zamieniając z nim kilka słów.

Bochentin wyczekująco spojrzął na przełożonego.

— Posterunkowy — Lambert pociągnął za sobą Bochentina — jedziemy do tej całej komnaty. Nie ma chwili do stracenia. Dałby Bóg, aby one tam były. Inspektor Braun zajmie się zatrzymanymi. Miejmy nadzieję — dodał kwaśno — że sobie poradzi. I będzie czekał na mój telefon z miejsca akcji. Ja już zadzwoniłem na komisariat po posiłki. Na dole macie poprosić dyżurnego, żeby naszą karetkę odprowadzili do więziennej stajni. Tam muszą wyprząść konie i dać im obroku. Rano ktoś od nas zgłosi się po konie i karetkę. No, idźcie przodem.

— Tak jest! — głos posterunkowego był znacznie bardziej donośny niż głos komisarza. Bochentina przeszedł dreszczyk. Zawsze go czuł, ilekroć szykowałą się akcja.

Naczelnik Reinhold Montag pozostawił niedomknięte drzwi. Spojrzął na Brauna stojącego przy jego biurku.

— A więc, panie inspektorze, zaczynamy?

— Tak. Najpierw pójde do celi wicedyrektora.

— Szóstka — jakby do siebie powiedział Montag. — Nie wolałby pan w pokoju przesłuchań?

— Nie, nie! Cella jest odpowiedniejsza. Tam przesłuchiwany wie, że jest w areszcie.

— Racja. Czy dozorca ma wejść z panem?

— Tak. Obecność dozorca działa podobnie, jak przebywanie w celi. No i proszę, aby zamknąć za nami drzwi, najlepiej głośno. I klucz należy

przekreślić w zamku. W stołecznym więzieniu na Moabicye dopracowano takie metody do perfekcji i praktykuje się je tam z dużym powodzeniem. Niby nic takiego, a działa na przesłuchiwanym. Tak, Niemcy w ogóle mają duże osiągnięcia w rzeczonym zakresie.

Reinhold Montag zgodził się z rozmówcą.

Młody funkcjonariusz, który zatrzasnął drzwi za Braunem i towarzyszącym mu starszym dozorcą (wbrew nazwie funkcji, i tamten nie należał do weteranów pruskiego więziennictwa), uczynił to w taki sposób, że inspektor musiał być zadowolony. Edwin von Schau odruchowo przymknął oczy i przygarbił się na swojej pryczy.

Starszy dozorca, zachęcony przez Brauna, zanim obaj przekroczyli progi celi, starał się najlepiej, jak potrafił, wypełniać obowiązki gospodarza miejsca.

— A nie przeczytał pan regulaminu? O, tu wisi, nad panem. W ubraniu nie należy siadać na pryczy, proszę na krzeselko.

— Słyszałem kiedyś — psychiatra zdziwiony spojrzął na funkcjonariusza — że w nocy można tylko na pryczy.

— Ale właśnie nie w ubraniu — z politowaniem odparł starszy dozorca.
— Na pryczy tak, ale w koszuli nocnej. A w dzień z kolei tylko na taboreciku. Zresztą — dodał pojednawczo — naucz się pan wszystkiego.

— Co to znaczy, że się nauczę?

— Panie von Schau! — Braun uznał, że najwyższa pora zakończyć idylliczną pogawędkę. — Po pierwsze, policja za moment znajdzie się w Komnacie Iluminacji. Po drugie, pan wie, czy tam są dziewczynki. Po trzecie, dla pana lepiej będzie, jeżeli nasza „współpraca” przebiegać będzie na naszych warunkach. My pytamy, pan grzecznie odpowiada.

Wicedyrektor w pierwszej chwili, podczas zatrzymania na terenie Prowincjonalnego Zakładu Psychiatrycznego, był zdezorientowany. Jednak

z tego, co usłyszał jeszcze w swoim gabinecie i teraz, kiedy mówił do niego jakiś oficer z obcym, może meklemburskim akcentem, wywnioskował, że policja nie żartuje i że jego sytuacja jest poważna. Zaczął w myślach porządkować układankę.

Śniło mu się czasami, że czeka na wyrok. Sznur, zapadnia, kapłan. Nie, ateście nie musiał towarzyszyć kapłan. Nieważne. Ważny był sznur. Profesor, który przecież nie wierzył w Boga mniej więcej od własnej bar micwy, nie wierzył też w spełniające się sny.

Należało więc myśleć logicznie i wybrać najrozsądniejszą taktykę. Spokój, opanowanie. Precyzja wysławiania. Przecież nie da się zapędzić w kozi róg jakiemuś inspektorowi, on Edwin von Schau, odważny krytyk kilku sław psychiatrycznych, w tym samego Ludwiga Lichtheima i jego *Zur Diagnose der Meningitis*.

Żadne dźwięki nie przedostawały się zza ściany, gdzie zamknięto Starszego Zgromadzenia.

Nigdy nie pomyślałby, że może tu trafić. Oczywiście, trzy razy odwiedził wejherowski areszt śledczy z pogadankami umoralniającymi, czuł wtedy, że jest bardzo przydatny społeczeństwu i tym jego członkom, którzy potrzebują wiele, wiele troski. Ale nie wyobrażał sobie nigdy siebie zamkniętego w celi.

Pamiętał plac budowy w 1889 i w rok później, kiedy więzienie oddano do użytku razem z sądem. Jako radny miejski, był wtedy dumny, tak jakby on sam był pomysłodawcą inwestycji. Areszt śledczy z prawdziwego zdarzenia, nie jakaś komórka na końcu ulicy Szemudzkiej, jak dotąd. Całkiem porządny budulec, pełna cegła z zakładu w Gościcinie. Cztery imponujące wieże. Kuchnia. Kotłownia. Piekarnia. Izba chorych. Dwa poziomy przeznaczone dla więźniów, suteryna i pierwsze piętro.

Przestronne pomieszczenia dla administracji na parterze. Kaplica dla obu głównych wyznań, luterańskiego i katolickiego. Lokale służbowe dla dwóch funkcjonariuszy. I oddzielny domek, w którym naczelnik aresztu urządził sobie potem całkiem wygodne mieszkanie.

Czasami, gdy przechodził obok aresztu, pomyślał przelotnie, że los więźniów, mimo tylu nowoczesnych rozwiązań tu zastosowanych, jest nie do pozazdroszczenia. I równocześnie pielęgnował w sobie myśl, że on, Georg Much, radny miejski, a dla wtajemniczonych Brat Ceremoniarz, cieszy się jako obywatel szacunkiem wejherowian, że poważają go nawet przeciwnicy w Radzie Miasta, bo nikogo nie urazi, zawsze z każdym porozmawia i ogólnie jest przepełniony duchem koncyliaryzmu. A członkowie zgromadzenia cenią go za takt, spokój i szczere zaangażowanie połączone z głęboką duchowością.

A teraz?!

Ten areszt wydał mu się jakąś zaklętą twierdzą, z której nie ma wyjścia. I miejscem, gdzie zawali się całe jego dotychczasowe życie.



PRZED ŚWITEM

Komisarz Lambert zawsze posługiwał się określeniem „klucz uniwersalny”. Słowo „wytrych” istniało oczywiście w jego słowniku, niemniej używał go jedynie w odniesieniu do zawodowego wyposażenia złodziei. Obok stali Bochentin i Heinz Klopp, z ciekawością przypatrujący się „kluczowi uniwersalnemu”, który pojawił się w dłoni przełożonego.

Znajdowali się przed niezbyt okazałym domem przy ulicy Gdańskiej. Kiedy Urszula Koschke wyjawiała im numer posesji, gdzie miała mieścić się Komnata Iluminacji, komisarz sprawdził, kto jest właścicielem domu. Okazało się, że należy on do przebywającego na stażu w Berlinie doktora Aarona Rosego. Oczywiście było, że skontaktowanie się w nocy z nieobecnym na miejscu lekarzem jest trudne, a Lambert wiedział, że każda minuta jest droga.

Zamek w drzwiach zgrzytnął. Komisarz nacisnął klamkę. Oczom policjantów ukazała się czarna czeluść. Dom stał przed nimi otworem.

— Panie doktorze, radzę jednak być bardziej rozmownym — powiedział Braun.

— Ależ ja nie mam nic więcej do powiedzenia. Nic nie wiem o żadnych dziewczynkach. Oczywiście słyszałem, że ktoś je porwał, ale jaki mogłoby mieć to związek z bractwem, którego, to prawda, jestem członkiem?

— Drugi raz przyznaje pan, że należy do grupy zajmującej się ezoteryką.

— Bo też nie ma w tym niczego niestosownego.

— Nie ma — odrzekł Braun. — Dowiedzieliśmy się, że pełni pan tam funkcję kierowniczą.

— Słucham? — psychiatra zmieszał się. — Na jakiej podstawie...

— Zeznanie świadka. Jest pan starszym zgromadzenia, czyż nie?

— Daruje pan, inspektorze, ale to są nasze wewnętrzne sprawy.

— Odpowiednie organy administracyjne nie otrzymały nigdy prośby o rejestrację bractwa. Jako takie, jest więc nielegalne. Może to świadczyć, że macie coś do ukrycia. Świadek wyjawiał, że na spotkaniach zajmujecie się seansami spirytystycznymi.

— To nie jest zabronione, poza tym przywołuje pan ciągle jakiegoś świadka. Nie wiem, kim on jest i po co opowiadał panu o bractwie. Moim zdaniem, panie inspektorze — von Schau podniósł do góry wskazujący palec, jakby miał ogłosić jakąś szczególnie ważną prawdę, nieznaną jeszcze nikomu; starszy dozorca spojrzał na niego z zainteresowaniem. — Moim zdaniem, żaden świadek nie istnieje. To są jakieś policyjne działania, mające na celu znalezienie kozła ofiarnego. Po co mielibyśmy porywać te nieszczęsne dzieci?

Braun, bez podania nazwiska zatrzymanej, przytoczył opinie dotyczące wyjątkowości dzieci jako pośredników w kontaktach między światami widzialnym i niewidzialnym. Dużo, według słów inspektora, było tych opinii.

Gdyby usłyszeć nazwiska świadków! Choćby jednego! Niestety, ten policjant jedynie cytował fragmenty rozmów. A Edwin von Schau zdumiewał się, że policjant zna określenia i cytuje opinie będące w użyciu, jak mu się zdawało, jedynie członków bractwa. Ostrzegał ich przecież tyle razy, żeby wszelkie działania i rozmowy nie wychodziły na zewnątrz.

Inspektor wie wiele. A jeżeli... Do licha! Von Schau uświadomił sobie nagle, że pewne słowa padły tylko w rozmowie z tą głupią Koschke! Ona! Ale dlaczego zdradza bractwo? Tak, musiała być zatrzymana. Jest załamana, szuka winnych. Inaczej nie obciążałaby jego ani pozostałych. Znała nazwisko wicedyrektora. Innych, oprócz Mucha i sióstr Prutenius, chyba nie. I raczej nie zna personaliów starszych terminujących. To ważne, bo oni dużo wiedzą. Zbyt dużo.

— Szkoda, taka ładna kariera — wycedził Braun. — Imponujące dokonania naukowe, ważna funkcja w jednym z największych, a na pewno w najnowocześniejszym zakładzie psychiatrycznym w Prusach Zachodnich. Koledzy po fachu będą zdziwieni, czytając w prasie, że profesor Edwin von Schau porwał bezbronne dziewczynki.

— Nie porwałem żadnych dziewczynek! — psychiatra po raz pierwszy stracił nad sobą panowanie.

— Więc niech pan mówi. Wszystko.

— Nie mogę! Lojalność wobec osób, które przecież nie złamały prawa i zaufały mi! Czy pan tego nie rozumie?

— Czekam! — również Braun podniósł głos.

— Panie inspektorze! Czy pan wierzy jakiejś Koschke?! Bo przecież ona jest tym świadkiem, proszę nie zaprzeczać! Ja nie wiem, dlaczego mnie oskarża!

— Domyślny pan.

— Ja jestem niewinny! I wreszcie, dlaczego koledzy mieliby dowiedzieć się w moim kontekście o porwaniu? Czy policja rozgłasza takie informacje?

— Oczywiście, że nie — Braun teatralnie rozłożył ręce. — Ale sam pan rozumie, przecieki mogą zdarzyć się wszędzie. Jeżeli nawet pan nie porwał tych dzieci, to brał pan udział w czymś, co z nauką ma raczej niewiele wspólnego. Ścisły umysł, tytuł profesora i proszę, taka niespodzianka.

— Nic nie mogę powiedzieć, choćbym chciał — jęknął psychiatra — bo jestem niewinny. A sprawy bractwa? Ci ludzie mi zaufali. Nie mogę, nie mogę...

Wszędzie dużo kurzu. Równomierna, nieskazitelna warstwa. Żadnego śladu obecności kogokolwiek w ciągu kilku poprzednich miesięcy.

Bochentin skierował się na piętro. Nie potrzebował używać latarki elektrycznej, choć lubił stosować ten nowoczesny wynalazek będący od niedawna na wyposażeniu wejherowskiej policji. W całym domu funkcjonowało oświetlenie za pomocą prądu i wystarczyło przekręcić włącznik wmontowany w ścianę, aby pomieszczenie rozświetliło się jasnym równomiernym blaskiem żarówek.

Bezradny wzrok posterunkowego Kloppa skrzyżował się ze złym spojrzeniem komisarza. Lambert szorstkim gestem zakomunikował podwładnemu, że ma ruszać do piwnicy, on sam natomiast podążył w ślady Bochentina.

Heinz nie lubił dużo myśleć, a jego wyobraźnia nie sięgała zbyt daleko, dlatego też nie przeraził go niemy rozkaz dotyczący udania się na dół. Każdego innego nocna wizyta w piwnicy zapewne przejęłaby zabobonnym lękiem.

Zszedł po niezbyt stromych schodach, pulchną dłonią dotykając chropawej ściany. Kiedy już znalazł się na najniższej kondygnacji domu, jego oczom ukazało się dwoje drzwi.

A jeżeli one tam są?

Niewiele się namyślając, nacisnął pierwszą z klamek. Drzwi uchyliły się. W niewielkim pomieszczeniu walały się deski, szmaty i butelki z różnymi preparatami do czyszczenia podłóg i mebli, jak również wiele drobnych rupieci, których przeznaczenia trudno się było domyśleć.

W drugim pomieszczeniu, podobnej wielkości co pierwsze, Heinz znalazł grabie, łopaty, konewki i zakurzony podręcznik pielęgnowania roślin ogrodowych. Westchnął i człapiąc po schodach, wrócił na piętro, gdzie postanowił zaczekać na pozostałych. Jakoś nie przyszło mu na myśl, żeby wspomóc dalsze poszukiwania na piętrze. „Jak nie w piwnicy, to nigdzie”, pomyślał.

Wokół Kloppa, niczym niezgrabne zjawy, stały sofy, fotele i krzesła przykryte białymi kapami. Jego uwagę przyciągnęły bogate, złoczone ramy obrazów. Za uchylonymi drzwiami do jednego z pomieszczeń można było dostrzec umeblowanie charakterystyczne dla gabinetu lekarskiego. Jasne szafy, masywne biurko z fotelem i skromnym krzesłem, kozetka, półka z literaturą fachową, oszklona gablota na medykamenty, niemal całkowicie opróżniona z uwagi na dłuższą nieobecność gospodarza. Nic szczególnego.

Jedyny dysonans stanowił widok otwartych szaf i wysuniętych szuflad, ślad po właśnie przeprowadzonym przeszukaniu, które nie przyniosło żadnych rezultatów.

Komisarz był coraz bardziej zirytowany.

— Ona nas oszukała — syknął. — To babsko chciało zyskać na czasie, Bóg wie, w jakim celu. O, to gra na krótką metę, już ja ją przycisnę!

— Może pan komisarz za mało mówił o tej szubienicy — zauważył Bochentin.

Lambert spojrział na posterunkowego i mimo woli lekko się uśmiechnął.

— Może. Całe piętro obejrzelismy dokładnie, zresztą pokoje nie są za duże, a sala, gdzie gromadzi się swobodnie kilkanaście osób, powinna być większa. O ile w ogóle istnieje. Ale po co by o niej mówiła, gdyby sala nie istniała? Zresztą, nie o tę przekłętą komnatę nam chodziło, tylko o dzieci. Sądzę jednak, że nie przetrzymyaliby ich, jeżeli to ich sprawka, w innym miejscu, to zwiększałoby ryzyko odkrycia. Więc powinny tu być. Jesteśmy w punkcie wyjścia. Nie wiemy, czy to oni, czy to w tym domu coś się działo. Wracamy do aresztu, zobaczymy, czy Braun wycisnął coś z tamtych dwóch gagatków. Lepiej dla niego, aby tak było.

Posterunkowy Klopp, gdy na schodach ukazali się komisarz z Bochentinem, nie musiał pytać o wynik przeszukania.

— Panie Much, proszę mi powiedzieć, dlaczego pan nie chce mówić? Zakładam, że skoro jest pan wieloletnim radnym miejskim, powinien pan rozumieć, że prawo jest ponad wszystko i ktoś, kto sprawuje taki urząd, powinien świecić przykładem. Tymczasem zaciął się pan w uporze, a to, pomijając, że niemoralne i niepraworządne, dodatkowo wpływa na pańską sytuację. Pobyt w areszcie nie będzie korzystny ani dla pańskiej kariery, ani dla samopoczucia. Ani dla zdrowia.

— Ale z drugiej strony — zauważył starszy dozorca, zachęcony przez Ignaza spojrzeniem — do wszystkiego można się przyzwyczaić. Mieliśmy tu więźnia. Starszy, miły człowiek, który przesiedział w rozmaitych aresztach pięćdziesiąt lat. I bardzo sobie chwalił, bardzo. Kary też nie są dotkliwe. Nagana na osobności, nagana w obecności więźniów,

pozbawienie widzeń i pościeli, zamknięcie w ciemnej celi, izolatka. Nic szczególnego.

— Ale pan Much na pewno nie będzie uciążliwym więźniem — obruszył się Braun.

— Pewnie nie. I lepiej, żeby nie, bo dla takich w ostateczności mamy tu trzydziestofuntową dębową kulę z łańcuchem mocowanym do nogi więźnia. Ale nie, pan inspektor ma rację, zresztą to naprawdę ostateczność. I nie za często stosowana.

— A jak często?

— Tak z raz na tydzień.

— Rzadko, w istocie.

— Tyle że wszystkie listy są cenzurowane. Niby niewielka uciążliwość, ale... I, jak pan radny już wie, w celach nie ma wody, ale w końcu są zbiorowe umywalnie na każdej kondygnacji. A tu człowiek się nie poci, mało ruchu.

Georg Much przygarbił się. Starał się nie słuchać inspektora i starszego dozorca, próbował sobie nawet wyobrazić, jak po paru godzinach wraca do własnego ciepłego łóżka z mocno wykrochmaloną pościelą, ale słowa tamtych uparcie wgryzały się w jego mózg.

Nagle drzwi celi otworzyły się i stanął w nich naczelnik. Reinhold Montag tym razem nie uśmiechał się. Spojrzał na Brauna, podszedł do niego i szepnął na ucho parę słów. Ignaz wyszedł za nim na korytarz.

Przed nimi stał Otto Lambert.

— Inspektorze, czułem, że będę przeklinał dzień, w którym zgodziłem się na dopuszczenie pana do śledztwa. Gdyby nie Pokora, pakowałby się pan teraz i wracał za dzień czy dwa do swojego Berlina.

— Co się stało?

— Żadnego śladu, nic! Dziewczynek tam nie ma. Ta cała przeklęta komnata z pewnością nie istnieje. Przeszukaliśmy każdy kąt! Zmarnowaliśmy pół dnia i noc, zatrzymaliśmy pod absurdalnym zarzutem, na podstawie zeznań nic nieznaczącej wariatki, dwóch wysoko postawionych obywateli miasta i będą z tego duże, naprawdę duże nieprzyjemności! Zakładam, że oni milczą. Wcale bym się nie dziwił.

— Nie tacy tu już siedzieli — nieśmiało wtrącił naczelnik, chcąc pocieszyć oficerów.

— Może — warknął Lambert — ale nie ja tych „takich” zatrzymywałem. A wicedyrektora i radnego, owszem. I na mnie spadnie odpowiedzialność. Czy... czy pan stosował jakieś ponadnormatywne środki podczas przesłuchań, inspektorze?

Braun obruszył się i gwałtownie zaprzeczył.

— Pana szczęście. I moje też. Proszę zatem natychmiast, panie naczelniku — komisarz zwrócił się do Montaga — o zwolnienie zatrzymanych. Zaraz zajmę się przeprosinami. W towarzystwie naszego geniusza z Berlina, ma się rozumieć!

— Komisarzu — odparł Braun. — Wiem, że źle to wygląda, ale proszę dać mi jeszcze jedną szansę. Dosłownie kilka minut, nie zdążyłem jeszcze do końca przesłuchać radnego. Niemożliwe, żeby te wszystkie półsłówka i aluzje do dziewczynek nic nie znaczyły. Ale jeśli Much nic nie powie, trudno, ja zrobię wszystko, żeby ci dwaj panu nie zaszkodzili.

— Ani słowa więcej — syknął Lambert. — Zakazuję panu dalszego przesłuchiwania! A załagodzić i tak pan będzie musiał. Dość już pańskiego wtrącania się do śledztwa! Od dziś jest pan tu nikim!

Nie usłyszeli delikatnych kroków naczelnika, który sekundę wcześniej taktownie oddalił się na bezpieczną dla ucha odległość, nie chcąc

uczestniczyć w kłótni dwóch oficerów. Patrzyli na siebie jak dwa psy gotowe, aby rzucić się sobie do gardeł.

Ignaz poczuł wściekłość. Nienawidził przegrywać, ale nie był też przyzwyczajony, żeby jakiś prowincjonalny chłystek odnosił się do niego w obraźliwy sposób. Nawet jeśli ten chłystek mógłby mieć rację.

Zamknął w żelaznym uścisku nadgarstek Lamberta i zbliżył usta do jego ucha, jak mógł najbliżej.

— Posłuchaj, młokosie. Masz przed sobą człowieka, który pochwyił Kustosza z Karlsbadu. I złapie jeszcze wielu takich jak on. A wcześniej znajdzie dziewczynki. Byłem w stosunku do ciebie grzeczny i będzie tak nadal. Ale nie obrażaj mnie, bo inaczej kłopoty, jakie możesz mieć z radnym i psychiatrą, będą niczym. W porównaniu.

— Grozisz mi? — wyszeptał zdumiony Lambert.

— Nazywaj to, jak chcesz — odparł Braun. — Dostaję dziesięć minut na Mucha. Jeżeli się nie uda, przeprosimy ich i zaczynamy od nowa.

Zwolnił żelazny uścisk. Oszołomiony Lambert potarł obolały nadgarstek. Usłyszał jeszcze łagodne „dziękuję, panie komisarzu”, wypowiedziane przez Brauna, który zaraz znikł za drzwiami celi numer siedem.

Szczery uśmiech na twarzy starszego dozorca dodał Braunowi otuchy.

— Właśnie wspominałem panu radnemu — zwierzył się funkcjonariusz — że mamy tu ogródek, a w nim od wiosny świeże warzywa i owoce. Na wypadek, gdyby pan radny pobył dłużej.

— A może nie będzie to konieczne, prawda, panie Much?

— Wypuście mnie? — nadzieja zagościła w sercu radnego. Badawczo spojrzął w oczy Brauna.

— Zależy od pana — zauważył inspektor. — Nie chce pan mówić o dziewczynkach, nawet pana rozumiem, porwanie to brzydka sprawa.

A wobec tego, czym zajmuje się bractwo?

— Czytanie ksiąg, ich interpretacja, seanse mediumiczne.

— Gdzie?

— Nie mogę powiedzieć. Za to grozi potępienie wieczne, śmierć. Nie mogę!

— A śmierć dzieci? Gdyby do niej doszło, wtedy będzie pan miał czyste sumienie?

— Ale my nie wykorzystywaliśmy naturalnych zdolności żadnych dzieci! Pewnie, dobrze by było, gdyby jakaś niewinna dusza nam pomogła, ale porwanie?! Nawet nie odważylibyśmy się zaprosić dzieci na takie spotkanie. To mogłoby je pobudzić do przedwczesnych poszukiwań kontaktów z innymi światami!

— To kto jest medium?

— Kilka osób, w różnym czasie. Ale właściwie, jakie tam seanse! — Much postanowił zbagatelizować zebrania. Braun zdziwił się, jak ów nowy, lekceważący ton ma się do poprzednich słów o potępieniu i śmierci, w których przebijał autentyczny strach radnego przed jakąś zemstą zdradzonych braci.

— No właśnie, jakie?

— Nieudane — szybko odparł radny. — W gruncie rzeczy, nie mieliśmy doświadczenia i łaski. A w przypadku amatorów łatwo potem o fanatyzm. Tak, przysięgałem, więc dotrzymam przysięgi, ale też lękam się ludzkiej zapalczywości i zemsty. Może nie tylko ludzkiej.

— Nigdy nie udawały się kontakty z istotami umarłymi? — poważnie zapytał Braun, choć w głębi ducha, mimo tragicznych okoliczności, chciało mu się śmiać.

Georg Much nabrał otuchy. Jeżeli inspektor, tak jak on chciał, uzna bractwo za grupę nieudaczników, łatwiej da się przekonać, że nie

dokonaliby porwania, a ewentualna przemoc mogłaby dotyczyć tylko osób wewnątrz grupy.

— Tyle to mogę powiedzieć — ożywił się. — Medium musi mieć dar boży, a my... Stwórca poskąpił nam takich braci. Kiedyś, na początku, tak, udawało się przywołać parę dusz, ale potem? Bo też niefortunnie dobierano przewodników.

— Przewodników? — wtrącił starszy dozorca i już miał zamiar przeprosić Brauna za zabranie głosu, ale ten skinął potakująco w jego stronę.

— Przewodników — potwierdził przesłuchiwany. — Dusze, które pośredniczą w kontaktach między światem ducha a doczesnością. Niefortunnie — powtórzył z naciskiem i nutką irytacji. — Albo jakiś zaratustriański kapłan sprzed tysiąca lat, czyli poganin, albo żona gospodarza z Chyloni, a więc kobieta, albo ostatnio, jakiś mnich z Transylwanii, siłą rzeczy katolik, Izajasz z Braszowa. Panie inspektorze, żeby katolik, do tego zakonnik, miał być odpowiednim przewodnikiem!

Braun już nie usłyszał kilku następnych słów. Wyszedł z celi i stanął przed Lambertem.

— Panie komisarzu, może pan przesłuchać tych dwóch, jeżeli ma pan ochotę, a jeśli nie, niech pan wraca na komisariat lub zdrzemnie się trochę w domu. Będziemy mieli pracowity dzień. I stanowczo proszę o pozostawienie doktora i radnego jeszcze na kilka godzin w areszcie. Nie powiedzieli, gdzie odbywały się zebrania, trudno. Nic właściwie nie powiedzieli, nie chcą, a wiedzą dużo. Niemniej, mam pewien trop. I to dzięki radnemu.

— Nie mam zamiaru z nimi rozmawiać. Zdrzemnąć się?! — prychnął Lambert. — A pan już całkowicie przejął sprawę, tak?

— Przepraszam — westchnął Braun — ale bardzo się spieszę. Potem wszystko wyjaśnię. Ma pan rację, drzemka raczej nie wchodzi w grę. Gdyby pan zczekał na mnie w komisariacie... Muszę odwiedzić pewną osobę. Tak, jednak czegoś się dowiedziałem! Mieszka niedaleko, w drodze na komisariat. Postaram się wrócić szybko.

Zanim Lambert zdążył odpowiedzieć, Brauna już nie było. Komisarz słyszał tylko szybkie kroki odbijające się echem od ścian otaczających schody.

Ignaz podniósł głowę i jego oczy napotkały nieprzytomny wzrok krótkowidza, któremu właśnie przerwano sen.

Łysina okolona wianuszkami sterczących nad uszami siwych włosów sprawiała nieco groteskowe wrażenie. Oczy mężczyzny niezbyt szybko oswoiły się z widokiem Ignaza Brauna. Język dwa razy oblizał spieczoną wargę. Wreszcie ni to strach, ni uśmiech sprawił, że ukazały się zęby, zanadto wystające spod górnej wargi.

— Pan inspektor?

— Profesorze, wybaczy pan, że o tak wczesnej porze. Musimy porozmawiać.

Wilhelm März patrzył jeszcze przez moment na gościa, jakby zobaczył ducha. Wreszcie otworzył drzwi.

— Proszę, proszę, panie inspektorze. Wystraszyłem się. Co się stało?

Salonik profesora zawałony był książkami. Regały zajmowały trzy ściany aż po sufit, a tam, gdzie widniało zasłonięte wyblakłą kotarą okno, książki umieszczone były pod splekanym parapetem.

Żadnego obrazka, żadnej ozdoby, wszędzie książki. Jedyne niewielki piec kaflowy i okno świadczyły tu o prawdzie, że świat nie składa się

jedynie z mało zróżnicowanych organizmów o narządach w postaci zadrukowanych kartek, nici introligatorskich, kleju i okładek.

Braun nie zwrócił uwagi na zaduch, jaki panował w pomieszczeniu; profesor właściwie nigdy nie otwierał okna wychodzącego naprzeciw górnej kondygnacji poczty. Podczas czytania, które na własny użytek z lubością nazywał „badaniem” i „studiowaniem”, przeszkadzał mu hałas dobiegający z ulicy, zwyczajny hałas żyjącego miasta.

Dopiero teraz inspektor zauważył szlafmycę w dłoni profesora.

— Musimy porozmawiać — powtórzył Braun.

— O czym? — Wilhelm März, wbrew zdenerwowaniu, które odczuwał, potężnie ziewnął.

— Na przykład o Izajaszu z Braszowa.

Emerytowany nauczyciel wejherowskiego gimnazjum nie miał już ziewnąć tego poranka.



WIEDZA WYBRANYCH

— Skąd... skąd pan się dowiedział?

Ignaz zakasłał. Zaduch panujący wewnątrz zdawał mu się coraz intensywniejszy.

— O Izajaszu z Braszowa?

— Tak. Przecież to są sprawy...

— Wewnętrzne sprawy bractwa? Nie ma już wewnętrznych spraw bractwa. Zaginęły córki Wacława Ruszkowskiego, rozmawialiśmy już o tym podczas naszego spotkania przy młynie. I padło tam nazwisko owego Izajasza z Braszowa.

Na twarzy profesora Märza wykwitł nieznacznym rumieniec.

— Ale co zaginięcie ma wspólnego z bractwem?

— O to właśnie również pana chciałem zapytać.

— Nie rozumiem.

— Mamy poważne podstawy, aby przypuszczać, że bractwo, a przynajmniej niektórzy z jego członków, są zamieszani w porwanie.

— Niemożliwe! — zakrzyknął profesor.

— A jednak.

— Ja... ja nie odpowiadam za wszystkich braci, chyba pan rozumie!

— W każdym razie pan należy do grupy.

— Nie będę ukrywał, skoro pan już wie, owszem.

— Proszę więc opowiedzieć wszystko, co pan wie.

— Ale ja nic nie mogę powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica, przysięgałem na święte księgi.

— Święte księgi — ożywił się Braun. — A jakie?

— Muszę milczeć.

— Szkoda. Pana towarzysze nie mieli takich oporów, choć na początku też się zarzekali. Wspomnieli o pańskiej roli w bractwie — Ignaz przez lata pracy w Wydziale IV nauczył się, że elastyczne i twórcze podejście do zastanych faktów podczas przesłuchania zazwyczaj przynosi pożądany skutek.

— Mojej roli? — März spuścił oczy, ale też westchnął ciężko. Ręce mu drżały.

Braun przykrył dłonią usta i ponownie zakasłał, tym razem głośniej.

— Sam pan powiedział, że dzieci są najbliżej światła, że mogłyby być pomocne. Kotko mówiąc, albo pan zacznie mówić, albo stanie się pan jednym z najbardziej podejrzanych.

— Przysięgałem — powtórzył profesor, spojrzawszy na Ignaza żałośnie.

— I najważniejsze — inspektor zdawał się nie dosłyszeć ostatniego słowa wypowiedzianego przez März — zdradzi mi pan natychmiast, gdzie jest siedziba bractwa, ta sławetna Komnata Iluminacji.

— Panie inspektorze! — jęknął nauczyciel, a jego dłonie złożyły się jak do modlitwy.

— Siedziba! Każdy unik będzie traktowany jako współudział w przestępstwie. A oni pana zdradzili!

— Nikczemnicy — wyszeptał profesor, który niedawno przeczytał w „Konitzer Tageblatt”, przywiezionej przez znajomego z Chojnic, o procesie, którego finałem był wyrok śmierci wydany na pewnego studenta z Mannheim. Cudem, na trzy dni przed wykonaniem wyroku schwytano prawdziwego sprawcę mordu. Ale tam rzeczywiście można było mówić o cudzie. Tutaj mogą zabić niewinnego. Właśnie jego. — Czy pan wie, inspektorze — wybuchnął i nic już nie mogło zatrzymać rozpaczliwej obrony — że na skutek obrzydliwych intryg pozbawiono mnie funkcji Starszego Terminującego?!

— Tak — instynktownie szepnął Braun i pomyślał, że praca w policji może zdeprawować szybciej, niż kiedyś sądził.

Za to właśnie dowiedział się, że w bractwie, tak jak podejrzewał, istnieje gradacja funkcji.

— Otóż to! Nie wiem, jak doszło do smutnego faktu, że Izajasz z Braszowa, o którym panu wtedy wspomniałem, i o którym wiele przeczytałem, franciszkanin rodem z Transylwanii, przebywający przez lata w wejherowskim klasztorze, nie chciał, czy też nie mógł pojawić się, przywoływany przeze mnie, na naszym spotkaniu. Albo ktoś — März głośno przełknął ślinę — wszedł w konszachty ze złym duchem, aby mi zaszkodzić, albo sprawił jakimiś sztuczkami lub siłą woli, że zakonnik nie objawił się nam i nie przemówił. Ja wiem, oni tylko czekali, wszyscy czekali, żeby ośmieszyć biednego starca, biednego nauczyciela. Nie jestem już nikomu potrzebny, a przecież tyle wiem o świętej sztuce i taką mam wolę pomocy braciom, a oni, a oni...

Lawina, która zrodziła się w sercu profesora z ostrego płatka zimnej jak śmierć drobinki lodu, poruszała się z coraz większą prędkością i nabierała

masy, gotowej burzyć i obracać wniwecz wszystko, co spotka na swojej drodze. Zniknęły obiekcje dotyczące zachowania przysięgi, zniknęła dawna lojalność. Skrzywdzono go, odrzucono i ośmieszono. A on, zawsze pokorny i załęczony, przy tym świadomy swej wiedzy, poczuł, że dłużej już tak nie można, że teraz on, Wilhelm März, erudyta i człowiek o gorącym sercu pragnącym poznania prawdy, przez lata traktowany z przymrużeniem oka, płacący duże składki na cele bractwa, musi powstrzymać zło i deprawację, jaka rozprzestrzeniała się pośród współwyznawców. Bractwo, które z takim poświęceniem zakładał jako jeden z pierwszych, już go nie potrzebuje! Niech się wszystko wali, skoro ci ludzie przestali służyć założonym celom, skoro ambicje są dla nich ważniejsze.

W dodatku mówili coś policji o jego roli w bractwie. A jeśli zechcą uczynić z niego kozła ofiarnego?

— Cóż: oni? — zapytał Braun i zakasłał po raz trzeci.

— Powiem wszystko, o co pan zapyta, inspektorze.

— Świetnie. Czy wie pan coś na temat porwania dziewczynek?

— Nie — w głosie profesora Ignaz usłyszał rezygnację, ale März nagle się ożywił. — Ale powiem panu, gdzie jest Komnata Iluminacji.

Emerytowany nauczyciel dostrzegł błysk w oczach inspektora. Braun energicznym gestem zachęcił go do powstania.

— Gdzie to jest?

— Na Gdańskiej, za fabryką Pawła Pokory.

Na twarzy Ignaza pojawił się cień. A jeżeli profesor zechce zaprowadzić policjantów w miejsce, które wcześniej podała Urszula Koschke? Jeżeli zechce, tak jak prawdopodobnie ona, zyskać na czasie? Tylko dlaczego wskazują, być może, ten sam dom?

— Idziemy?

— Teraz? — niezbyt rozsądnie zapytał Wilhelm März.

Ignaz nie odpowiedział. Niemal wypchnął profesora z mieszkania. Resztki włosów gospodarza zafalowały.

Kątem oka posterunkowy Bochentin spojrzął na przełożonego. Komisarz Lambert sprawiał wrażenie, jakby noc spędził w czystej, miękkiej pościeli, w pokoju dobrze nagrzanym, a wcześniej wywietrzonym. Może to skutek dwóch piekielnie mocnych kaw, które wypił, gdy wrócili do komisariatu?

Lambert był zdeterminowany, szedł szybko i miarowo. Właśnie minęli fabrykę Pawła Pokory, uśpioną jeszcze, z kominami pozbawionymi pióropuszy dymu. Za godzinę robota zacznie się na dobre, na razie przez bramę dopiero wchodzili pierwsi pracownicy.

Przodem kroczył inspektor Braun z tym śmiesznym chudym nauczycielem, którego twarz zawsze bawiła Bochentina. Gdyby posterunkowy znał określenie „groteskowy”, użyłby go niezawodnie na widok profesora, gdy ten przed kwadransem stanął przed nim w drzwiach komisariatu, przyprowadzony przez Brauna.

W pewnej chwili Wilhelm März zatrzymał się.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział i westchnął ciężko. Odwykł od szybkiego marszu, lata i świeże emocje również zrobiły swoje.

Stali przed nieotynkowanym domem, dobrze już znanym policjantom.

— Tutaj? — wycedził Lambert.

— Tak — odparł zdziwiony März, usłyszał bowiem w głosie komisarza wyraźną irytację.

— Pan z nas sobie kpi! Tu nic nie ma!

— Czy... — nieśmiało zaczął profesor — czy panowie już tu byli?

— Tak! I nie ma tu żadnej komnaty, panie März. Pan sobie z nas kpi! Z cesarskiej policji! — Na twarzy komisarza pojawiły się różowe plamy,

których dotąd nie widział jeszcze nikt, kto w Wejherowie miał z nim do czynienia.

Z pobliskiego drzewa dało się słyszeć krakanie wrony, jakby śmiejącej się z naiwności policjantów. Lambert już chciał solidnie potrząsnąć wąskimi ramionami profesora, ale powstrzymał go widok jakiegoś przechodnia, ze zdziwieniem przypatrującego się czterem mężczyznom.

Profesor spojrział na dom, potem na komisarza.

— Ale tu jest Komnata Iluminacji.

— Nie ma! Przeszukaliśmy cały dom!

Wilhelm März musiał i chciał być wiarygodny. Od tego zależał jego los.

— Panowie pozwolą za mną — powiedział zdecydowanym głosem.

Jednak gdy stanął przed drzwiami, dotknął otwartą dłońią zimnego, wilgotnego czoła.

— Nie wziąłem kluczy.

— To ma pan swoje klucze? — syknął Lambert, z naciskiem wymawiając „swoje”.

— Tak, ale pośpiech, pan inspektor popędzał, mogłem przewidzieć. Przepraszam, przepraszam...

Ku zdumieniu profesora, komisarz wyjął z kieszeni paltka „klucz uniwersalny” i drzwi stanęły przed nimi otworem.

— A skąd pan miał klucze, panie komisarzu? — zapytał niepomiernie zdziwiony profesor, ale nikt mu nie odpowiedział.

Mężczyźni weszli do środka. Lambert włączył światło i pytającym spojrzeniem obdarzył profesora.

März nie spuścił oczu, jak czynił wcześniej. Teraz on, przez moment, był panem sytuacji. Tak rzadko nim bywał! I tyle przyjemności, wbrew realiom, w jakich się znalazł, sprawiła mu ta władza.

— Panowie nie znaleźli przejścia — powiedział głośno i wyraźnie.
Jego przepustka do wolności.

— Jakiego przejścia? — wyrwało się Bochentinowi; takie samo pytanie zadali sobie w myślach pozostali.

Profesor uznał, że wyjaśnianie nie ma sensu. Wystarczy chwila i wszystko stanie się zrozumiałe.

— Panowie pozwolą, ja poprowadzę.

— Prowadź pan — komisarz skinął głową.

Wysoka, chuda postać z wianuszkiem siwych włosów sterczących dookoła błyszczącej czaszki skierowała się w stronę zejścia do piwnicy.

— Panie komisarzu — szepnął posterunkowy — Klopp przecież obszukał piwnicę.

— Klopp — westchnął Lambert i ruszył za Märzem.

Schody nie były zbyt strome, co już kilka godzin wcześniej zauważył Heinz. Policjanci spojrzeli na dwoje drzwi skrywających wnęki na rozmaite narzędzia.

Tak jak opisywał posterunkowy Klopp.

Profesor pchnął drzwi prowadzące do jednego z pomieszczeń. Światło bijące z piwnicznego korytarza pozwoliło policjantom dojrzeć grabie, łopaty i konewki.

Tak jak opisywał posterunkowy Klopp.

A jednak przeoczył on coś, co miało okazać się najistotniejsze.

Na prawo od drzwi, otwierających się do wewnątrz, właściwie nie dochodziło światło. März czekał, aż wszyscy funkcjonariusze wcisną się do środka, i pewnym ruchem dłoni przesunął jedną z cegieł w ścianie, właśnie tam, gdzie było najciemniej.

Były Starszy Terminujący pchnął „ścianę”, która nie stawiała żadnego oporu. Oczom policjantów ukazała się wnęka o wysokości niemal dwóch metrów, prowadząca w czarną czeluść.

— Nie wiem, kto panom powiedział o Komnacie Iluminacji — szepnął profesor — ale trasę przejścia zna tylko kilka osób. Wejście do niej znajduje się w tym budynku. Tu braciom i siostram zawiązuje się na oczach opaski. Sprawy, które tu są celebrowane — westchnął — są... były najwyższej wagi i zależało nam, żeby zachować dyskrecję.

— Więc jesteście wyróżnieni — rzekł Lambert. — Prowadź pan dalej. Jak to: „wejście w tym budynku”?! — zapytał gwałtownie.

— Bo... Zresztą, proszę!

Komisarz wyjął z kieszeni elektryczną latarkę. Jasny snop światła torował drogę. Przeszli tak, jeden za drugim, dziesięć, może piętnaście metrów. Wreszcie oczom policjantów ukazały się solidne dębowe drzwi. Profesor przystanął.

— Znajdujemy się przed Komnatą Iluminacji.

— Sąsiednia posesja — mruknął Braun.

— Szczwane rozwiązanie — mruknął Bochentin i skrzywił usta.

— Ale i tutaj potrzebny byłby klucz, nie mam go przy sobie — rzekł März i wyczekująco spojrział na komisarza, zaczął się już bowiem domyślać, do jakiego rodzaju przedmiotów należał klucz znajdujący się w posiadaniu Lamberta.

Szef wejherowskiej policji bez namysłu ponownie wyjął z kieszeni wytrych. Delikatna manipulacja w zamku, trwająca moment, wystarczyła.

Przed policjantami otwarła swoje podwoje sala, będąca przedmiotem ich zainteresowania.

— Ale — szepnął nauczyciel — tu jest tylko jedno pomieszczenie i niewielkie zaplecze. Wątpię, żeby ktoś, kto porwałby się na dziewczynki,

przetrzymywał je właśnie tutaj. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

— Okaże się! Jest jeszcze dom, pod którym znajduje się podpiwniczenie — odparł Lambert. — Przeszukamy wszystko, każdy kąt.

— Właśnie — dodał Arno Bochentin, patrząc znacząco w oczy profesora.

Komnata Iluminacji zajaśniała. Wielki żyrandol zawieszony na środku sufitu oświetlił ściany wyłożone drewnianą boazerią, mosiężną menorę stojącą na skrzyni zawierającej w swoim wnętrzu szuflady, mahoniowe krzesło z towarzyszącymi mu dwoma skromniejszymi siedziskami, okrągły stół przykryty czarną pluszową materią, otoczony dwunastoma krzesłami, kandelabry ustawione w czterech kątach, wreszcie umocowane nad menorą słońce z czterema promieniami rozchodzącymi się na cztery strony świata i napis zaczynający się od słów: *Verusque sol illabere...*, „O zniż się, słońce prawdziwe...”.

Policjanci bez słów przypatrywali się pomieszczeniu. Liczyli się z tym, że podobne miejsca mogły istnieć w jakichś dużych miastach albo w pańskich posiadłościach, ale żeby w maleńkim, pocziwym Wejherowie?

Posterunkowy przeżegnał się.

— Obraza boska — szepnął i pomyślał, że lepiej byłoby, gdyby ludzie nie mieli zbyt wiele czasu, powoduje to bowiem same złe rzeczy.

— Ale dziewczynek jakoś nie widzę — Lambert nachylił się w stronę Brauna.

— A to zaplecze? — Ignaz z kolei spojrzał na Märza.

— Oczywiście — odpowiedział nauczyciel i podszedł do ściany znajdującej się naprzeciw trzech krzesel.

„Znów przycisk” — zauważył w myślach Bochentin, obserwując profesora dotykającego dłonią na wysokości piersi miejsce w obłożonej drewnianymi płytami ścianie.

Szerokie na trzy płyty i wysokie na sześć, niewielkich rozmiarów drzwiczki prowadziły do ciasnego pomieszczenia, w którym funkcjonariusze znaleźli jedynie kilka czarnych szat przypominających sędziowskie togi, kryształowy kielich z wyszczerbioną czaszą i Biblię wydaną w Lipsku, z roku 1886.

Ignaz zaczął badać ścianę magazynku. Bezskutecznie.

— Tu naprawdę nie ma nic więcej — odparł Wilhelm März. — Zresztą, mogą panowie przeszukać cały dom. Należy do rentiera, on jest członkiem bractwa, ale byłby chyba ostatnim, który mógłby porwać dziewczynki. Ma osiemdziesiąt pięć lat, jest przygłuchy i słabo widzi. I bardzo liczy się z opinią ludzi, dlatego właśnie nie chciał, żeby do komnaty wchodziło się bezpośrednio z jego domu. Udziela się w radzie parafialnej tutejszego zboru, zwłaszcza przy budowie nowej świątyni. Przyjęła go nawet na audiencji cesarzowa Augusta, która patronuje budowie i...

— Panie März — Ignaz nie potrafił ukryć zdenerwowania — pokazał pan nam już nietypowe przejścia. Bardzo dobrze. Teraz skrytki. Dokumenty, jakieś przedmioty, musi tu być coś takiego. Tamta skrzynia...

— Czy to teraz konieczne? — syknął Lambert do ucha inspektora. — Dajmy już sobie spokój, i tak rozpęta się piekło. A dziś powinna być nam dostarczona ta lista oficjalistów z fabryki i mamy przesłuchanie nadzorczy robotnic. Nie dość panu jeszcze tych nocnych atrakcji?

— Kiedy już odkryliśmy komnatę, ci ludzie nie podniosą hałasu. Nie będzie im zależało na rozgłosie. Czy pan tego nie pojmuje?

— Chodźmy — ozwał się profesor i poprosił policjantów o wyjście z komórki.

Podszedł do skrzyni, właściwie komody uwieńczonej menorą, i otworzył pierwszą z szuflad, najwyżej umiejscowioną. Zawierała zapasowy czarny obrus.

W drugiej z szuflad, środkowej, złożony był kryształowy kielich, starannie owinięty kremowym jedwabiem pozbawionym jakiegokolwiek wzoru. Obok leżała tablica „ouiija”, służąca do przywoływania zmarłych.

Trzecia szuflada, najniżej położona, świeciła pustką.

— To wszystko? — westchnął komisarz.

— No... — Wilhelm März udał, że się waha.

— Cóż: „no”?! — Braun podniósł głos.

— Bo jest skrytka, jedna skrytka, ale do niej może zaglądać tylko Starszy Zgromadzenia.

— A kto nim jest? — Lambert ścisnął ramię profesora.

— Edwin von Schau, profesor z domu dla obłąkanych — März spuścił wzrok, ponieważ poczuł się podle, zdradzając tajemnice człowieka, z którym jeszcze niedawno, jak sądził, łączyła go przyjaźń.

— Pan wie, gdzie jest ta skrytka?

— Tak.

— A co się w niej znajduje?

Nauczyciel obruszył się.

— Przecież nigdy tam nie zaglądałem!

Lambert chciał zacieśnić uścisk, ale spojrzał na twarz März'a i zrozumiał, że ten mówił prawdę.

— Gdzie ta skrytka?

Bez zbędnych słów były Starszy Terminujący podszedł do stołu wyłożonego czarnym pluszem. Podniósł oburącz krzesło i ustawił je przy komodzie z menorą. Z pewnym wysiłkiem wspiął się na nie i sięgnął chudymi, długimi ramionami ku słońcu.

Przekręcił najpierw promień wychodzący ku wschodowi o czterdzieści pięć stopni, później promień południowy o sto osiemdziesiąt.

Wystarczyło uchylić tarczę słońca i Wilhelm März sięgnął kościstymi palcami, rozpostartymi jak ptasie pazury, do wnętrza.

Bochentin gwizdnął cicho. Trzech mężczyzn ciekawie wyciągnęło szyje ku nauczycielowi penetrującemu skrytkę.

— Jest jakiś skoroszyt — powiedział profesor.

— Proszę go wyjąć i okazać mnie! — odparł komisarz.

— I teczka. Wiem, że w niej pan von Schau przechowuje organizacyjne materiały dotyczące spraw bractwa.

— Bardzo dobrze! — Lambert zdawał się zapomnieć o swym niedawnym sceptycyzmie.

Gruby skoroszyt trafił w jego ręce. Nerwowo przewrócił pierwsze dwie niezapisane kartki. Wreszcie jego oczom ukazało się równe, staranne pismo.

Profesor stał nieco z boku. Natomiast Braun i Bochentin nachylili się ku skoroszytowi.

W sali rozległ się metaliczny, suchy głos komisarza.

— Edwin von Schau, prof. rzeczywisty. Mechanizm powstawania, rozwoju, trwania i zaniku grupowych zachowań paranoidalnych na tle pseudonauki ezoterycznej, ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb w zakresie kontaktów z tzw. światem duchowym... Niniejsza praca powstała dzięki możliwości osobistego udziału autora, dla celów badawczych, w grupie nazywanej tu umownie „bractwem iluminacji”. Mechanizmy zachowań i zdarzenia opisane w publikacji są autentyczne i stanowią ważne źródło wiedzy na temat zachowań jednostek o skłonnościach patologicznych w zakresie potrzeb emocjonalnych, podlegania sugestii i oglądu zastanej oraz wyimaginowanej rzeczywistości. Dotychczasowa psychiatria, zdaniem autora, w ogóle zbyt mało wagi

przywiązywała do zachowań grupowych o zabarwieniu zbiorowej halucynacji. Otóż...

— Boże jedyny! — wydarło się z zapadłej piersi Wilhelma Märza.



NADZIEJE

Wiera przekręciła regulator lampy. Płomień nad palnikiem z bawełnianym knotem umieszczonym wewnątrz kolby urósł do dwóch centymetrów. Pokój stał się bardziej widny, choć nadal kształty mebli i ścian ozdobionych skromnymi pejzażkami i scenkami rodzajowymi zdawały się pochodzić ze snu; rozmyte kontury, brak wyrazistych barw, smutek przezierający ze wszystkiego, co otaczało kobietę, sprawiały, że najchętniej cała przykryłaby się kołdrą i szeptała raz po razie: „Nie ma mnie, nie ma mnie, nie ma mnie”.

Przeszył ją dreszcz. Piec musiał wystygnać. Nałożyła przed snem za mało drewna. Bywały takie czasy, że w piecu paliła służba. Ale te wspomnienia z wolna traciły na ostrości, zamazywały się pod wpływem zbyt szybko mijających dni, tygodni, miesięcy i lat.

Gdyby Waław był obok, przytuliłby ją mocno. I odleciałby chłód, zniknęłoby poczucie samotności, z którym budziła się każdego ranka.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Każdego wieczoru, gdy tylko zaczynały się jesienne chłody, do jej pokoju wchodził wielki, barczysty Arsenij o patriarchalnej siwej brodzie,

dźwigając na złożonych w kołyskę ramionach stos drewna. Wiedziała, że zaraz będzie cieplej. Potem przychodziła matka i kładła ją do łóżka.

Gdy dziecko zmieniło się w dorastającą i wreszcie dojrzałą pannę, matka nadal ścisłała Wierę na dobranoc. W codziennym rytuale często uczestniczył ojciec.

Ale w grudniu 1904 coraz rzadziej bywał w domu. Ukradł im go świat polityki. Marzenia o wolnych wyborach, o sprawiedliwszym życiu robotniczym rzesz, praca przy rozwijającym się Stowarzyszeniu Rosyjskich Robotników Fabrycznych. Hrabia Adierichin ramię w ramię z grubo ciosanymi robociarzami z Zakładów Putiłowskich, widok zaiste komiczny dla większości zadowolonych z życia przedstawicieli ich sfery.

Kiedy 9 stycznia 1905 roku, według kalendarza juliańskiego, rzesze niezadowolonych z warunków życia i polityki władz wyszły na ulicę, prowadzone przez mnicha Gieorgija Gajdara, wśród świętych ikon i pieśni sławiących jedyną prawosławną wiarę oraz dobroć cara Mikołaja, Piotr Adierichin wiedział, że stanie się coś złego. Czule pożegnał się z żoną i córką. Poszedł, bo tam miały decydować się sprawy Rosji.

Dwieście tysięcy ludzi, zdesperowanych faktem kapitulacji twierdzy Port Artur przed tak wcześniej niedocenianymi Japończykami i z dnia na dzień pogarszającą się sytuacją kraju, szło Brama Narwską, Traktem Szlisselburskim, kroczyło po Wyspie Wasilijewskiej, Stronie Wyborskiej i Newskim Prospekcie, aż zaszło pod Pałac Zimowy.

Tyle razy wyobrażała sobie później pierwszą salwę oddaną do manifestujących, jakby karmiła się hukiem, dymem i odgłosem ciał padających na bruk. Jakby znajdowała przyjemność w rozpamiętywaniu nieszczęścia i sekund je poprzedzających, kiedy można było jeszcze zapobiec wszystkiemu. Można było?! Przyszli do cara, a jego nie było w stolicy. Przyszli upomnieć się o sprawiedliwość w jego, w swoim

państwie. A w jego imieniu zaczęto do nich strzelać. Co mógł myśleć wtedy ojciec? Wierzył carowi, wierzył, że można poprawić los robotników.

Przeżył, na szczęście. Ale gdy generałem-gubernatorem został Dymitr Trepow, ochrana skrupulatnie, mimo chaosu i kolejnych walk, będących początkiem rewolucji, wyłapała tych przedstawicieli wyższych klas, którzy opowiedzieli się po stronie buntowników i wicherzycieli. Inni, ci co nie mieli nic do stracenia, ukrywali się w te pierwsze dni na przedmieściach i w okolicznych zmrożonych na kamień wioskach. Piotr Adierichin nie uciekł. Wrócił do pałacyku, do żony i córki, i czekał.

Coraz częściej zdarzały się mordy dokonywane przez rewolucjonistów. To już nie był jego świat. Marzył o przełomie dokonanym bez użycia siły, o braterstwie wszystkich stanów. Wolał czytać Tołstoja niż Dostojewskiego.

Przyszli po niego w dwa dni po tamtej niedzieli. Wrócił już po kilku godzinach. Nie był bity, nie odważono by się, w końcu był spokrewniony z takim rodami, przed którymi ugięły się kolana ludzi Trepowa. A jednak gdy stanął przed żoną i Wierą, wyglądał staro. Jak nigdy dotąd, zdawał się zmęczony i przytłoczony. Jego oczy utraciły blask. Za życia stał się trupem.

Musieli opuścić Petersburg. I Rosję. Takich jak Piotr było kilkunastu. Włos nie spadłby im z głowy. Nie za Mikołaja II. Ale majątek i prawa obywatelskie... W Rosji poczucie własności było pojmowane względnie.

Eskortowano ich do granicy z Niemcami.

Rodzina, przyzwyczajona do życia w luksusie, z dnia na dzień straciła wszystko. Zatrzymali się w saksońskiej miejscowości Oybin. Kiedyś odpoczywali tam, gdy Wiera ledwo co nauczyła się chodzić. W letnie miesiące późniejszych lat niekiedy powracali w zaciszne okolice.

Wynajęli domek, żyli w oczekiwaniu na Bóg wie co. Ojciec słał listy do znajomych w Dreźnie, marzyła mu się posada w jakimś piśmie o liberalnych tendencjach. Nie chciał dostrzegać pogarszającego się stanu

zdrowia. Żona i córka widziały, jak powoli odchodzi. Wstawał w południe. Kładł się spać z kurami, jak włościanin. Wspinaczki na stromą górę, gdzie mieściły się ruiny starego klasztoru i zamku, nie cieszyły go, później nie miał już zresztą na nie siły. A kiedyś potrafił zdobyć wzniesienie nawet dwa razy dziennie.

I pewnego dnia zmarł w swoim łóżku. W trzy tygodnie po jego pogrzebie zmarła na serce matka. Wiera miała wtedy dwadzieścia dwa lata i tak naprawdę znała się na robótkach i ładnie grała na fortepianie.

Ale też mówiła kilkoma językami i była inteligentna. Jej kapitał.

W Oybin przebywał wtedy pewien fabrykant z Wejherowa. Towarzyszyła mu żona i córeczka. Paweł Pokora znał Adierichinów, spotkał ich podczas jednego z ich pobytów w Oybin.

Pokora zainteresował się losem sieroty. Znała języki, mogła nauczyć się podstaw buchalterii. Nie namyślał się długo.

Pakowanie rzeczy, które mogła zabrać do Wejherowa, zabrało jej dwie godziny. Trochę dokumentów i pamiątek, trzy walizki z garderobą. Niewiele, jak na spadkobierczynię potęgi rodu, którego historię zwykle skłonni do przesady genealodzy wywodzili od Rurykowiczów.

Kiedy ma się nieco ponad dwadzieścia lat i nikogo bliskiego, a dom rodzinny utraciło na zawsze, wszędzie jest się tak samo obcym i tak samo u siebie.

Z początku nie zwracała zbytniej uwagi na fakt, że znalazła się akurat w Wejherowie. Miejsce jak każde inne. Żyła w letargu. Nie miała już nikogo. I nic. Dla panny przyzwyczajonej do bliskości kochających rodziców i do dostatku wszystko, czego doświadczała teraz, jawiło się pełzaniem w oślizgłej dolinie. A może po chłodnym, nocnym piasku pustyni.

Jednak w młodej duszy Wiery tliła się iskierka, która pod byle podmuchem ożywczego wiatru mogła rozświecić się mocnym żarem. Wola życia okazała się silniejsza od beznadziei, jakiej doświadczyła po tylu ciosach.

Chodziła na długie spacerunki po kalwarii z Rozalią, siostrą Pawła Pokory. Rozmawiały wtedy nie tylko o fabryce, w której obie pracowały. Dzieliły się tajemnicami dzieciństwa i okresu dorastania. Bywała u Pokorów na uroczystych obiadach wydawanych z okazji świąt, ale zdarzało się jej doświadczać ciepła ich gościnnego domu także w dni powszednie. Gwarno tam było i jasno, tak jak nigdy w jej petersburskim pałacyku, gdzie konwenanse nie pozwalały na wiele rzeczy, tutaj oczywistych.

Wacława pokochała właściwie od razu. Kilka razy spotkali się przy okazji tłumaczenia przez nią umów, które miały być zawarte ze spółkami z Belgii i Rosji.

Z początku Ludwisia i Janeczka traktowały ją jak koleżankę, prawda, że nieco starszą. Później, a właściwie dość szybko, dostrzegły spojrzenia rzucone przez ojca ich nowej przyjaciółce i całą nieświadomą grę jej ciała w odpowiedzi na jego słowa i niedopowiedzenia.

Nie, nie były zazdrosne. Potrzebowały kontaktu z kobietą. Matki nie znały. Sama była zdziwiona, że nie rywalizują z nią o miłość ojca. Codziennie udowadniał im przecież, że są dla niego najważniejsze.

Nie miała w Wejherowie grobów bliskich. Czyli tego, co tak naprawdę przywiązuje do miejsca. Ale dostrzegła, że lubi rozgardiasz wokół remontowanego ratusza, że spacerunki po okolicznych wzgórzach pozwalają na oddech pełną pierś, a tego brakowało jej w Petersburgu, że znów uwielbia, ubrana tak elegancko, jak tylko mogła sobie pozwolić, udać się na odświętne zakupy. Magazyny z galanterią, jubiler, drogeria... Czuła na sobie łakome spojrzenia mężczyzn oglądających się za postawną, czarnooką

panną i nawet ją to bawiło. Ale liczył się tylko on. I w coraz większym stopniu Ludwisia i Janeczka.

Gdy zasypiała w swoim skromnym pokoiku w obrębie zabudowań fabrycznych, którego okna wychodziły na wschód, skąd widok był całkiem przyjemny, wprost na drzewa rozmaitych gatunków, myśli jej coraz uparciej krążyły wokół wymarzonego domu. Jej domu. A w nim szczęśliwa rodzina. On, dwie wesołe panienki, później ktoś jeszcze. I ona, pani Wiera Ruszkowska, na której głowie byłoby tyle obowiązków! Nie przypominała już kruchej panienki, potencjalnie stanowiącej największą dekorację wykwintnego wnętrza. Odkąd musiała zacząć radzić sobie sama z rzeczami, o których wcześniej nie miała pojęcia, i odkąd Rozalia nauczyła ją wielu praktycznych rzeczy, pielęgnowała w sercu obraz i smak przyszłej władzy nad domem i troski o bliskich.

Ich miłość trwała od kilku miesięcy. Niedługo, ale mógłby już... Przecież jest wdowcem. Kilka razy, wbrew obyczajom, zasugerowała mu delikatnie, że chciałyby dzielić z nim życie. Potrafił wtedy spojrzeć z taką miłością, że serce topiło jej się jak воск, ale zaraz potem tulił ją do siebie i głaskał po policzku. I nie mówił ani słowa.

Kiedy przyszli na komisariat, boleśnie doświadczyła, że nie jest żoną Waclawa. Kochała jego, kochała dziewczynki. Ale w rozumieniu prawa i w obliczu tamtego oficera, jakże on się nazywa, Lamberta, była tylko znajomą. Na ulicy zdarzało jej się zauważyć badawcze spojrzenia rzucone w ich stronę, gdy spacerowali Gdańską lub wzdłuż pierzei Rynku. Nie żona, nie narzeczona. Właściwie kto?

Nie, nie może poddać się rozpacz. Podobno ten inspektor z Berlina jest najlepszy. Paweł Pokora mu ufa. A Waclaw? Ona znajdzie w sobie tyle siły, żeby obdarzyć nią również jego. I znajdą się dziewczynki, i wszystko się zmieni, i już zawsze będą razem.

Spojrzała na zegar. Świtało. Za godzinę będzie w fabryce.

Wilhelm März siedział na krześle, które nie tak dawno miał prawo zajmować jako Starszy Terminujący. Niewidzącym wzrokiem obserwował komisarza, który właśnie skończył wertować skoroszyt wicedyrektora von Schaua.

— Daliście się oszukać — Lambert skierował kościsty, długi palec w stronę profesora. — Skądinąd, nauka psychiatryczna pewnie skorzystałaby na działalności bractwa. Pan naprawdę nie znał intencji profesora?

— Nie, na Boga, nie! — zawołał März. — Ja jestem idealistą, nie przypuszczałem, że on byłby zdolny do takiego podstępu!

— Panie komisarzu — wtrącił Braun, który już nieco ochłonął — oto dokumenty bractwa.

— A właśnie! — Lambert wyrwał teczkę z rąk inspektora. — Co my tu mamy... O, lista członków! — I znów zaczął czytać na głos. — Edwin von Schau, Starszy Zgromadzenia, Wejherowo, profesor psychiatrii. Georg Much, Brat Ceremoniarz, Wejherowo, radny miejski. Wilhelm März, brat, były Starszy Terminujący, Wejherowo, emerytowany nauczyciel. Emma Schratz, Starsza Terminująca, Rekowo, guwernantka. Urszula Koschke, Starsza Terminująca, Wejherowo, pracownica fabryczna. Erna Prutenius, siostra, Wejherowo, rentierka. Meta Prutenius, siostra, Wejherowo, rentierka. Winifreda Eschenbeck, siostra, Wejherowo, rentierka. Róża Resnick, siostra, Wejherowo, wdowa po mistrzu kowalskim. Hannah Schechter, siostra, Wejherowo, wdowa po właścicielu lokalu gastronomicznego. Wilibald Wild, brat, Wejherowo, urzędnik magistracki. Arnold Srockowski, brat, Wejherowo, rentier.

— Mamy ich wszystkich — szepnął Braun. I odetchnął.

— O ile trop jest właściwy — odparł komisarz. — Cóż, dziś będzie pracowity dzień. Lista z fabryki, no i ci tutaj. A, przy nazwisku Koschke jest przekreślone „siostra” i nad skreśleniem dodane to „Starsza Terminująca”.

— Coś jeszcze ciekawego w tych papierach? — wtrącił Bochentin, przygotowując się równocześnie w myślach do rozmowy z żoną, która nie widziała go już ładnych kilkanaście godzin, a wiedział, że rozłąka przedłużona zostanie, być może, o następnych kilkanaście.

Protokoły ze spotkań bractwa. Daty przyjmowania nowych członków, niedługo po adnotacjach o śmierci poprzedników. Zawsze dwanaście osób. Rachunki za kupno nowego obrusa, za żarówki i za nowe wydanie Biblii.

— Przeszukajmy dom — zaproponował Ignaz. — Trzeba zrobić wszystko, co możliwe. I mieć nadzieję.

— Trzeba — przytaknął komisarz i spojrzał na Bochentina. — Posterunkowy, zostaniecie tu z zatrzymanym, my tymczasem z inspektorem idziemy na górę.

— Tak jest — powiedział Bochentin i, odczekawszy, aż oficerowie znikną w korytarzu wychodzącym z sali, wziął w dłonie skoroszyt należący do profesora von Schaua.

Wilhelm März, jak zahipnotyzowany, przyglądał się zaciekawionemu posterunkowemu rozpoczynającemu lekturę, potem jednak przymknął oczy i skrzywił się, jakby wziął haust soku z co najmniej połówki dorodnej cytryny.

„Zauważyć należy z całą stanowczością — czytał Bochentin, poruszając wąskimi ustami układającymi się w coś na kształt uśmiechu — iż jednostki o skłonnościach do nadmiernej afektacji łacniej niż takie, o których zwykło się mawiać potocznie, że »prą do przodu« bez roznamiętniania się nad sytuacją osobistą, ulegają potrzebom kompensacyjnym w postaci tworzenia

wewnątrz i na zewnątrz siebie światów alternatywnych, zgoła nierzeczywistych, jednakowoż dla osób takich — jawiących się ze wszechmiar realnymi. Znakomitym przykładem jest tu Winifreda Eschenbeck, rentierka z Wejherowa, która, wskutek dramatycznych przeżyć..."

Zimny, chropawy szczęk klucza w zamku sprawił, że Wilhelm März odetchnął ciężko. Doznał niemal fizycznej ulgi na myśl, że został sam. Że skończyło się upokarzające przesłuchanie.

Kościstą dłonią dotknął pieca kaflowego. Do krwioobiegu przedostało się ciepło. Strażnik poinformował go, że niedługo otrzyma śniadanie. I że naczynia będzie musiał umyć sam. Uśmiechnął się do ciepłego pieca. Całe życie sam zmywał statki.

A jednak świadomość, że znalazł się w takim miejscu, obezwładniała. Być teraz we własnym domu! I zasnąć na pół godzinki w starym fotelu, po kilkunastu stronach *Wstępu do metafizyki* Bergsona.

Komisarz Lambert przetarł czoło dokładnie wyprasowaną chusteczką, mimo że nie znalazłaby się na nim ani jedna kropla potu. Przed momentem z jego gabinetu wyszedł Arno Bochentin, który w fabryce przesłuchiwał nadzorcę dziewcząt i kobiet pracujących w pomieszczeniu zwanym „Arbeitsraum”.

Pan Kaltenbach, młody i ambitny człowiek, który w posterunkowym nie wzbudził zbyt dużego zaufania (kto to widział, żeby ubierać się jak śpiewak operetki; Bochentin wprawdzie nigdy nie spotkał osobiście żadnego artysty operetkowego na gruncie prywatnym, niemniej tak właśnie wyobrażał sobie owo zjawisko), natomiast w jego zeznaniach nie dopatrywał się niczego podejrzanego. Ot, młody, ambitny człowiek o pewnych pretensjach urzędniczych, wykształcony w porządnej hamburskiej szkole zawodowej, zainteresowany raczej dwoma lub trzema ładniejszymi robotnicami

znajdującymi się pod jego nadzorem, a nie porywaniem córek Wacława Ruszkowskiego.

Uważna lektura służbowych notatek posterunkowego nie wniosła, według przekonania komisarza, niczego nowego. Kaltenbach nie stanowił materiału na przestępcę ani desperata.

— Czy ta Koschke dostała coś do jedzenia? — komisarz właśnie chował chusteczkę do kieszeni, po uprzednim starannym jej złożeniu.

Heinz podrapał się po jasnej czuprynie.

— Nie było rozkazu.

— A jak miałem wydać dyspozycję, skoro nie było mnie na komisariacie?

— No....

— Dajcie jej, Klopp, ciepłej herbaty i jakąś bułkę.

— Mam tylko swoją.

— Więc nie dawajcie, herbata wystarczy. Musicie się dobrze odżywiać, brzuch wam maleje.

— Tak jest! — ucieszył się Heinz, nie zrozumiałszy sarkazmu przełożonego.

— Panowie policjanci! — zagrzmiało od strony drzwi frontowych. — Tu ktoś przyszedł i mówi, że przyniósł dokumenta, co to pan komisarz sobie z fabryki wieszował!

Lambert ożywił się, ale też wyobraził sobie, jak drzwi komisariatu otwiera interesantom rosły budowlaniec w drelichu ochlapanym farbą i z niezapalonym papierosem, wiecznie trzymanym w ustach.

— Proszę wprowadzić! — krzyknął i westchnął ciężko.

Przed komisarzem stanął chudy mężczyzna w zbyt ciasnym paltociku. Lambert popatrzył na niego rozczarowany. Nie wiedzieć czemu, wyobrażał

sobie, że listę oficjalistów zatrudnionych w biurze fabryki Pawła Pokory przyniesie panna Rozalia.

Mężczyzna, poza cichym „Dzień dobry” i „Pan Pokora prosił, żeby tę teczkę przekazać panu komisarzowi do rąk własnych”, nie miał nic więcej do powiedzenia. Lambert ucieszył się jednak, że przybyły nie pomylił go z dwoma posterunkowymi. „Jestem tu rozpoznawalny”, pomyślał, zaraz jednak uświadomił sobie, że tamci mieli na sobie skromne mundury, on zaś ubrany był w nienagannie skrojony wełniany garnitur.

Po wyjściu gościa komisarz, z pewną nadzieją w sercu, postanowił niezwłocznie zabrać się do studiowania listy oficjalistów. Zadowolony był, że na komisariacie nie ma Brauna, który poszedł do domu na Kalwaryjskiej zmienić odzież i zjeść coś gorącego. Bractwo stanowiło idée fixe berlińczyka, a tak przynajmniej sam, w spokoju, bez natrętnej obecności tamtego, będzie mógł dokonać analizy żądanej dzień wcześniej listy osób mających bezpośrednią styczność z Ruszkowskim.

Zasiadł wygodnie za swoim biurkiem, biurkiem komisarza Renscha. Zapalił papierosa. Zza ściany doszedł go łomot, jakby na głowę miało zaraz zwalić się wszystko, co zostało z gmachu starego ratusza.

Spojrzał na listę osób poprzedzającą notki personalne. Widziane przelotnie twarze zlewały się w jedno bezbarwne oblicze. Chociaż nie, spośród trzech kobiet i trzech mężczyzn potrafiłby wyróżnić korpulentną kobietę w okularach, piszącą na maszynie w zawrotnym tempie, i szczupłego młodzika o rudym wąsiku. Widział ich niecałe dwadzieścia godzin wcześniej, a tyle wydarzyło się od wizyty w fabryce!

— Bochentin! — zawołał Lambert, gdy zapoznał się już z zawartością teczeki.

— Słucham, panie komisarzu — posterunkowy w biegu zapiął pod szyją guzik. Lambert nie znosił widoku funkcjonariuszy traktujących

mundur w sposób nonszalancki.

— Podobno macie ambicję stania się dobrym policjantem?

— Tak jest.

— W naszym przypadku oznacza to również wytrwałość i zdolność do przełamywania zmęczenia. Oczywiście, moglibyście teraz pójść do domu, zdrzemnąć się, odpocząć, jak... — Lambert uśmiechnął się znacząco — jak inni, ale wy przecież...

— Zostaję na służbie — powiedział posterunkowy i pomyślał, że gdyby nawet wrócił do domu już teraz, Małgorzata i tak zapytałaby refleksyjnie, czy nie mógł znaleźć sobie jakiejś spokojniejszej pracy. Więc co mu zależy?

— I bardzo dobrze. Widzicie, Bochentin, musimy od razu iść do fabryki. Mam tę listę kancelistów. Przesłuchamy ich, zanim... zanim nastanie popołudnie. Mam nadzieję.

Balia parowała. Gorąca woda, donoszona w dzbanie przez Bernadetę, spływała po ciele Ignaza niczym pałący deszcz. Wewnątrz nadal drżał z zimna. Nie lubił marznąć, a chłód minionej nocy, spotęgowany zmęczeniem, przeniknął go do najmniejszego włókna mięśni, do najniepozorniejszej kostki szkieletu.

Była przyzwyczajona, że nie wracał niekiedy na noc. Nauczyła się żyć z powracającym lękiem o jego zdrowie i życie. A jednak zawsze gdy wracał, oddychała głęboko. Zawsze wtedy wychodziła raniutko do sklepu po świeże rogaliki. Kiedy już kończył gorącą kąpiel i choć na godzinę zakładał sztywną, mocno wykrochmaloną koszulę nocną, aby odzyskać kosztem dnia ukradzione mu przez noc chwile wytchnienia, na stole czekało na niego śniadanie.

Przekrojone na pół rogaliki posmarowane świeżym masłem, jajko na miękko, kilka plasterków szynki z tłuszczkiem, mocno wędzony ser o ostrym zapachu i wiśniowa marmolada. Nic wymyślnego, ale właśnie tego potrzebował, najzwyczajszego śniadania.

Do pleców szorstko przyłgnęła nocna koszula.



PODEJRZANI

Naczelnik Reinhold Montag właśnie podpisał rozkaz pozbawienia za karę gorącego jedzenia na okres tygodnia — Wenera Frischkego, u którego znaleziono, podczas rewizji w celi, pilnik, mały składany nożyk, niezbyt ostrą brzytwę i dwa wytrychy. Osadzony tłumaczył wprawdzie, że przedmioty te przechowuje wyłącznie po to, aby czuć się „prawie jak na wolności”, naczelnik jednak wiedział swoje. Kiedy jest się odpowiedzialnym przez ładnych kilka lat za stu pięćdziesięciu osadzonych, nabiera się doświadczenia i czujności. Rozmowy z lekarzem i kapelanem utwierdzały Montaga w przekonaniu, że dobry areszt to taki, gdzie więźniów otacza się odpowiednim zainteresowaniem, a sztuką jest zareagować na czas, gdy pojawia się jakakolwiek pokusa.

Spojrzał przez okno. Pomyślał z satysfakcją, że jednak wiele różni go od konia, który obsługiwał przywięzienną pompę do wody, człapiąc na okrągło w kieracie. Koń też mozolnie, systematycznie pracuje, ale nie ma dalszej perspektywy, jego horyzonty zakreśla i ogranicza przekłety krąg. Dobry oficer służby więziennej myśli z wyprzedzeniem i ostrożnie, ale

również zdecydowanie, gdy trzeba, stąpa po ziemi, której specyficznego obszaru jest niejako gubernatorem czy namiestnikiem.

Rok wcześniej wprowadził przepis, aby taborety z dzienną odzieżą układano na noc poza celami, dzięki czemu więźniów, w razie ucieczki, odziany byłby wyłącznie w nocną bieliznę. Zadowolony był, gdy dowiedział się przed objęciem stanowiska, że podczas budowy gmachu zadbano o zamontowanie krat w taki sposób, że biegły one pionowo na całej wysokości budynku, od podpiwniczenia po dach (poza otworami okiennymi były wbudowane w mur z pełnych cegieł), co sprawiało, że jakkolwiek „robotę” przy kratkach okiennych sygnalizowałyby wibracje i odgłosy pręta także na innych kondygnacjach.

Ale naczelnik Montag wiedział, że nie tylko zakazami i dbałością o bezpieczeństwo może zapewnić właściwe funkcjonowanie aresztu. Już w tydzień po objęciu stanowiska zdecydował, że w dni świąteczne pobudka ogłaszana będzie o siódmej, czyli godzinę później niż w dzień powszedni. Postanowił również, że temperatura w celach nie może wynosić poniżej piętnastu stopni. Wiedział bowiem, że więźniowie zasługują na szacunek należny każdemu człowiekowi, a widział już w życiu tyle, że doskonale zdawał sobie sprawę, jak łatwo znaleźć się po drugiej stronie. Czyli w celi.

Gdy urządził się już w domku przysługującym naczelnikowi, a znajdującym się na terenie aresztu, coraz częściej zdarzało mu się myśleć o osadzonych jak o sąsiadach. I czytywał z zajęciem ich akta personalne.

Telefon od komisarza Lamberta zdziwił go, choć często powtarzał sobie, że niewiele jest go w stanie zaskoczyć, zważywszy że profesja, jaką sobie obrał, pochłonęła go bez reszty już ładnych kilkanaście lat wcześniej i przez ten czas widział niejedno.

Otóż szef wejherowskiej policji zapytał, czy w areszcie znajdzie się jeszcze kilka wolnych miejsc. Śledztwo, zaznaczył komisarz, w każdej chwili może wkroczyć w decydującą fazę; szeroko zakrojone poszukiwania i czynności operacyjne miały lada moment przynieść rozwiązanie przykrej i wzburzającej umysły sprawy porwania dziewczynek.

Oczywiście, miejsca w celach były i w każdej chwili policja mogła zażyczyć sobie ich udostępnienia dla podejrzanych. Niemniej, Reinhold Montag nie mógł oprzeć się intuicyjnemu wrażeniu, iż Lambert szuka nieco po omacku i że zżera go pragnienie jak najszybszego osiągnięcia sukcesu, czemu skądinąd trudno się było dziwić. A miał go dotąd za zimnego profesjonalistę przypominającego szermierza, który zadaje oszczędne sztychy, i to jedynie wtedy, gdy wie, że przyniosą opłakany dla przeciwnika skutek. Montag, będąc w swojej karierze funkcjonariuszem w rozmaitego rodzaju więzieniach, nie wyłączając berlińskiego więzienia dla kobiet, widywał już takich policjantów dążących do sukcesu.

— Wy, Bochentin, pewnie myślicie sobie — mruknął Lambert, gdy policjanci znaleźli się na wysokości hotelu Königlicher Hof — że zmarnowaliśmy cały dzień?

— Pan komisarz jest od myślenia — odparł posterunkowy. — Ja się dopiero uczę.

— To oczywiste. Ale każdy coś tam myśli, nawet jeśli brak mu jeszcze praktyki i umiejętności. Więc myślicie sobie pewnie, że osiem godzin przepytывania sześciu osób bardziej zaszkodziło nam niż im i że zmarnowanych zostało tych osiem godzin, a dziewczynek nadal nie mamy.

W innych okolicznościach wskazane było zwyczajowo zgadzać się z przełożonym, tu jednak zasada owa nie miała zastosowania. Gdyby z kolei nie zgodził się i powiedział, że przesłuchania miały sens, zapewne

usłyszałyby pytanie: „A dlaczego?”. I co miałyby wtedy odpowiedzieć? Przecież jemu również figury, z którymi rozmawiali, wydały się rozpaczliwie płaskimi urzędnikami pozbawionymi mrocznych instynktów, niewychylającymi nosa poza własne biurko i, z dwoma wyjątkami, po pracy podążającymi jak najszybciej w domowe pielesze.

Musiał oddać sprawiedliwość przełożonemu; Lambert naprawdę znał się na przesłuchiwanie i potrafił wprawić delikwenta w zakłopotanie. Ale ci ludzie zazwyczaj nie mieli alibi i po kilku minutach zdawali się przytłoczeni tym, że traktuje się ich, jak potencjalnych sprawców porwania. Cóż, brak alibi jest najlepszym alibi. Czerwienili się, odpowiadali nieskładnie, przy okazji w jednym przypadku doszło do ujawnienia słabości kancelisty w dziedzinie gier karcianych, w drugim — kobieta przyznała się, że utrzymuje potępienia godne stosunki intymne z pewnym pomocnikiem mistrza masarskiego z Luzina.

Wszyscy płatali się w zeznaniach, każdy stanowił modelowy przykład niewinności narażonej na niespodziewany i zawsze obarczony pewnym ryzykiem kontakt ze służbami śledczymi.

— Tak nie zachowują się porywacze — westchnął komisarz do posterunkowego, gdy drzwi zamknęły się za piątym z przesłuchiwanym, postawnym jegomościem, który sam posiadał dwie córki i przygniotło go samo podejrzenie, że mógłby brać udział w czymś tak obrzydliwym, jak porwanie dzieci.

Przed koniecznością udzielenia Lambertowi odpowiedzi na pytanie zadane na wysokości Königlicher Hof uchroniło posterunkowego niespodziewane spotkanie. Niespodziewane z uwagi na prosty fakt, że było właśnie niespodziewane, a nie ze względu na jego nieprawdopodobieństwo. Albowiem w mieście liczącym kilkanaście tysięcy mieszkańców nieustannie spotykało się kogoś znajomego.

Oto od strony Rynku niespiesznie podążał w kierunku policjantów wracających do remontowanego ratusza komisarz Rensch w towarzystwie pani Katarzyny.

Lambert zwolnił kroku. W tej chwili nie miał ochoty na spotkanie z poprzednikiem. Nie wypadało jednak zawrócić ani też przejść na drugą stronę ulicy. Poza tym Lambert pomyślał zaraz, że z pewnością jest nieskończenie bardziej profesjonalnym policjantem niż pochodzący z innej epoki Rüdiger Rensch.

— Dzień dobry państwu — powiedział głosem suchym, metalicznym, wyzbytym wszelkich emocji.

— Dzień dobry — odezwała się pani Katarzyna, a jej mąż burknął coś pod nosem. Komisarz Rensch miał niezwykle szczerą naturę i nie umiał zdobyć się na udaną obojętność.

— Jak zdrowie pana komisarza? — zainteresował się Lambert.

— Coraz lepiej, znakomicie!

Bochentin, który dobrze znał starego oficera, wychwycił cały żal i całą ironię zawarte w odpowiedzi, ale Lambert odetchnął i już miał zamiar ruszyć w dalszą drogę, ledwie dostrzegalnym gestem pociągając za rękaw posterunkowego.

Jednak nie znał pani Katarzyny, osoby, której dobro posterunku bardzo leżało na sercu, a wrodzona ciekawość nie pozwoliłaby ot, tak po prostu przejść obojętnie wobec okoliczności wyjaśniania sprawy zajmującej umysły i serca wejherowian.

— Panie komisarzu, jakże tam śledztwo? — zapytała, świdrując wzrokiem Lamberta.

— Daruje pani, pani komisarzowo, ale...

— Rozumiem — pani Katarzyna nie należała do osób, które można zbyć byle czym — ale przez lata byłam żoną oficera policji i — dodała

z naciskiem — jestem nią nadal. Pan, zdaje się, jest osobą wolnego stanu, ale mogę panu zaręczyć, że żona policjanta stanowi wielkie oparcie w jego pracy. I mąż często zasięgał mojej opinii w sprawach należących do jego obowiązków. Nigdy tego nie żałował. Dlatego niech pan zrozumie, że pytam nie z prostej ciekawości.

— Daruje pani — Lambert wyprostował się nieco, ale uciekł wzrokiem ponad głowę kobiety — proszę jednak zauważyć, że jest pani małżonką komisarza Renscha.

— Który szybko wraca do zdrowia.

— I bardzo dobrze, życzę szczerze, aby okres rekonwalescencji nie był długi. Tymczasem jednak ja prowadzę śledztwo.

— Przy udziale inspektora Brauna, jak słyszałam.

— Tymczasem jednak ja prowadzę śledztwo — z naciskiem powtórzył Lambert — i wszystko, co dotyczy por... zaginięcia dziewczynek, stanowi tajemnicę służbową.

— Sądzi pan, że mogłabym rozgłaszać po Wejherowie policyjne tajemnice? — zdziwiła się pani Katarzyna i mało brakowało, a wzięłaby się pod boki jak rasowa przekupka sprzedająca na wejherowskim Rynku gęsi pod koniec października.

— Katarzyno, daj spokój — szepnął Rüdiger Rensch.

— Sama pani powtórzyła za mną: „tajemnice” — kostycznie uśmiechnął się Lambert. — Mogę jedynie zapewnić, że śledztwo posuwa się we właściwym kierunku.

Przejeżdżający na bicyklu młodzieniec w mundurze wejherowskiego gimnazjum obejrzał się za policjantami i zażywną, korpulentną niewiastą, jakby znał kogoś z czworga stojących na ulicy. O mało nie wjechał na młodą kobietę prowadząca dziecięcy wózek. Opiekunka dziecka krzyknęła

coś do niego w gniewie, a pani Katarzyna po chwili przerwy odezwała się znowu.

— Daruje pan, młody człowieku — tu Lambert zbladł — ale tak mówi się zawsze, jak coś nie idzie po naszej myśli. Czyli nadal żadnych postępów?

— Katarzyno... — jeszcze ciszej niż poprzednio szepnął Rüdiger Rensch.

— Jeżeliby podobne słowa wyszły z ust pani męża, mógłbym się do nich ustosunkować, ale komunikowanie się w kwestii śledztwa z osobą niezwiązaną z dochodzeniem uważam za pozbawione sensu i niewłaściwe.

— No więc mój mąż pyta pana.

— Panie komisarzu? — Lambert z odrobiną pobłażliwości spojrzął na swego poprzednika.

— Tak. Jak śledztwo? — Rensch mocniej zacisnął dłoń na laseczce.

— Postępuje — Lamberta zaczynała bawić cała sytuacja. Natomiast Bochentin wzniosł oczy ku górze. Był zirytowany, ale też najchętniej poszedłby zdrzemnąć się choć na godzinkę.

— W takim razie życzymy powodzenia — pani Katarzyna niespodziewanie uśmiechnęła się do komisarza. — I proszę pamiętać, mąż zawsze unikał przesłuchiwania iluś tam ludzi jednego po drugim. Do widzenia panom.

Oślupiały Lambert obejrzał się. Komisarz Rensch w towarzystwie żony, wyprostowanej dumnie, oddalał się w dół ulicy Gdańskiej.

Nie mógł pojąć, skąd kobieta wiedziała o właśnie zakończonym przesłuchaniu w fabryce „Maschallah”.

Pani Katarzyna natomiast była podwójnie zadowolona. Po pierwsze, zorientowała się, że policja nadal szuka (czyli przesłuchania urzędników nic nie dały, inaczej Lambert zachowywałby się butnie), choć akurat tutaj

przepęłniała ją obawa o los dziewczynek, dominująca nad poczuciem uzyskania pewnej wiedzy. Po drugie, jej serce radowało się na myśl, że ten młokos będzie się teraz zastanawiał, skąd ona wie o przesłuchaniu w kantorze Pawła Pokory.

Przez lata zamieszkiwania w Wejherowie, i przy odpowiednich cechach charakteru, poznało się wiele, bardzo wiele osób.

Wreszcie zrobiło się cicho. Komisarz Lambert kilka minut wcześniej pożegnał wzrokiem i ledwie słyszalnym burknięciem ostatnich robotników. Za oknem było już całkiem ciemno. Wrażenie czerni panującej na zewnątrz spotęgowane było jasnym światłem lampy palącej się w gabinecie.

Pozwolił sobie na ziewnięcie. Oczywiście, w żadnym razie nie uczyniłby tego w obecności posterunkowych ani robotników.

Pomyślał o Braunie.

„Gdzież on się, u licha, podziewa cały dzień?”. Lambertowi nie przeszkadzał, rzecz jasna, brak towarzystwa tego berlińczyka, niemniej pomyślał, że inspektor szykuje coś nowego, co może wpędzić jego, Ottona Lamberta, w kolejne tarapaty.

W areszcie nadal osadzeni byli wicedyrektor zakładu dla obłąkanych, radny miejski i ten zabawny, choć irytujący emerytowany nauczyciel. Komisarz nie myślał o nich w ciągu wyczerpującego dnia (właśnie uświadomił sobie, że poprzedniej nocy nie zmrużył oka, i pocieszył się perspektywą bliskiego udania się do swojej garsoniery, na zasłużony kilkugodzinny wypoczynek).

Tak, nie sądził, żeby Braun beztróska spał i jadł w ciągu całego dnia. Nie wiedział o inspektorze zbyt wiele, ale tego jednego był właściwie pewien.

Myśl o bliskim odpoczynku zamącił obraz dwóch dziewczynek, Ludwisi i Janeczki. Co będzie działo się z nimi w czasie, gdy on zatopi się w miękkiej pościeli? Co teraz się z nimi dzieje? Jak przystało na rasowego policjanta, uczuł gniew. Gdyby jego umysł oświeciło jakieś nagłe skojarzenie, jakiś przeblysłk, albo gdyby los podsunął mu ślad, nieskomplikowany, a jednoznaczny...

Zapalił papierosa. Gdy wydychał pierwszy kłęb dymu, usłyszał głos Myszka, który od kilku minut znajdował się w toalecie. Widocznie opuszczając przybytek, spotkał kogoś, kto wszedł do komisariatu.

Nie musiał zgadywać ani czekać, aż ten ktoś wejdzie do jego gabinetu. Do jego uszu po sekundzie dobiegły strzępy słów wypowiedzianych przez przybyłego.

Wreszcie w drzwiach stanął Braun.

— Dobry wieczór, panie komisarzu.

— Dobry wieczór, inspektorze — odparł Lambert i nieznacznie podniósł wzrok znad rozłożonych dokumentów. — Zrobił pan sobie mały urlop? Wyczerpanie organizmu po tak forsownych zajęciach, nieprawdaż?

— Otóż nie! — z entuzjazmem, który nie spodobał się Lambertowi, wykrzyknął Braun. — Wie pan, rzeczywiście przespałem się ze dwie godzinki i zjadłem późne śniadanie na ciepło, ale potem analizowałem listę członków bractwa.

— Analizował pan listę członków bractwa — pokiwał głową komisarz i pomyślał: „Jesteśmy w domu!”.

— Właśnie.

— Więc chyba jakoś tak dokładnie pan analizował, sądząc po liczbie godzin, jaka upłynęła od naszego rozstania.

— Ma pan rację — ochoczo przytaknął Braun. — Ale, ale, pan chyba nie wie, że byłem na komisariacie od jakiejś jedenastej do siedemnastej?

— Tutaj?!

— No tak. W Wejherowie nie ma innego komisariatu. Chyba że czegoś nie wiem. Musiałem mieć dostęp do akt i aparatu telefonicznego, a także brulionu von Schaua. Posterunkowy Krampa nie wspominał?

— Posterunkowy Krampa — wycedził Lambert — zszedł ze służby przed moim powrotem i nie zdążyłem przeczytać raportu z dzisiejszego dnia.

Braun nachylił się do rozmówcy i bezwiednie ściszył głos.

— A jak przesłuchania w fabryce?

— Obaj z Bochentinem doszliśmy do wniosku — komisarz nie widział powodu, dla którego nie miałyby od razu uciąć niewygodny temat; im wcześniej, tym lepiej — że to szkolne, kliniczne przypadki niewinności. Proszę jutro zapoznać się z wynikami przesłuchań, najdalej w południe powinna być dokumentacja. Nie sądzę, żeby znalazł pan tam coś interesującego.

— Wierzę panu — szczerze powiedział Braun. — Tymczasem ja pozwoliłem sobie wykonać kilka telefonów do rejencji i w parę innych miejsc. Przejrzałem całkiem sporo akt znajdujących się w tutejszym komisariacie. Bardzo pouczające zbiory. Mam nadzieję, że nie uczyniłem niczego niestosownego?

— Proszę dalej.

— Nadal uważam, że bractwo jest środowiskiem, w którym mogła powstać myśl o porwaniu. Ileż tu typów ludzkich! Nie bagatelizowałbym zdania osadzonej Koschke. Ona nadal tu jest, mam nadzieję.

— Owszem.

— Znakomicie. Niech pan posłucha.

„Kogóż my tu mamy” — zdawały się mówić oczy Brauna, gdy brał głębszy oddech. Lambert nigdy nie lubił takich spojrzeń, miał wrażenie, że

rozmówca pragnie udowodnić mu, że wie więcej. Tak samo było teraz. Braun musiał być dumny ze swojej analizy i wyników konsultacji telefonicznych. A on sam, on zmarnował cały dzień!

Skład personalny członków bractwa jawił się pozbawiony jakiegokolwiek reguły. Błędem jednak byłoby przyjęcie na wstępie, że nie zostały tu zastosowane żadne preferencje.

Co do płci, niemal po równo, siedem kobiet i pięciu mężczyzn. Zważywszy, że w każdej narodowej populacji cywilizowanego świata liczba kobiet stanowiła nieznaczną większość w stosunku do liczby mężczyzn, można założyć, że w tej dziedzinie zachowana została zasada absolutnej reprezentatywności.

Co do poszczególnych osób...

Edwin von Schau niewątpliwie, tak wynika z jego notatek, był inicjatorem i założycielem bractwa. Od początku w pełni panował nad kierunkiem, w jakim szło bractwo, i nie wypuszczał z rąk lejców. Czuł się tak pewnie, że wyniki swoich badań psychologicznych przechowywał w siedzibie bractwa.

— Skądinąd, panie inspektorze — głos Brauna stał się metaliczny — należałoby przeszukać mieszkania i stanowiska pracy kilku osób.

— Już biegnę — odparł Lambert.

— Jeszcze chwilę — uśmiechnął się Ignaz.

Bractwo właściwie powstało w celu prowadzenia badań przez profesora von Schaua, ale niewątpliwie trafiało w zapotrzebowanie osób o pewnego rodzaju psychice. Czy von Schau byłby zdolny porwać dziewczynki, aby obserwować je same lub „siostry" i „braci" zamieszanych w porwanie? Może. Jest inteligentny i nie waha się przed stosowaniem podstępów w imię dobrej nauki.

Pomocnikiem psychiatry, choć nieświadomym cynizmu uczonego, był Wilhelm März, osoba o chwiejnej umysłowości, podatna na różnego rodzaju wpływy o charakterze metafizycznym. Słaba natura. Miał kiedyś problemy z alkoholem, którym usiłował leczyć rozmaite nerwice. Miał też skłonności do oddawania się rozważaniom mistycznym, wrażliwy religijnie, nieustannie poszukiwał najdoskonalszej formy kontaktu z Absolutem i zawsze, niestety, trafiał nieszczęśliwie. Starokatolicy, jakieś sekty, wreszcie teozofia w najczystszej postaci, choć niejako wyhodowana syntetycznie przez pozbawionego skrupułów wicedyrektora. Czy März mógł brać udział w porwaniu? Ignaz szczerze wątpił, znał lękliwość starego profesora.

— Georg Much jest praworządnym staruszkiem i ma za dużo do stracenia — powiedział komisarz, chcąc jak najszybciej doprowadzić do finału analizę kolegi.

— I ja tak sądzę — przytaknął Braun. — Poza tym odnoszę wrażenie, że ma potrzebę błyszczenia i bycia kimś ważnym, stąd doprowadził do mianowania siebie ceremoniarzem.

— Ładnie brzmi — zauważył Lambert. — I zaspokaja ambicję. Niech pan mówi dalej.

— Siostry Prutenius, Erna i Meta. Dwie nieszkodliwe staruszki. Przebywają w Essen, tak jak zeznała Koschke. Mają tam krewnych. Tamtejszy posterunkowy zdążył, na moją prośbę, porozmawiać z tymi krewnymi. Siostrzyczki są maniakalnymi wyznawczyniami teorii o obcowaniu ze światem umarłych i potrafią mówić o tym godzinami, w dodatku sugestywnie, ale nie wyobrażam sobie, tak jak i ich krewni, żeby kobiety o słabych, wyschniętych na wiór ciałach i zesklerociałych umysłach mogły porwać i przetrzymać dwójkę już wcale nie najmniejszych dzieci. Zresztą, ich naprawdę nie było w tym czasie na miejscu.

— A czy mogły wiedzieć o ewentualnych planach porwania? — komisarz ani się spostrzegł, a wciągnął się w rozważania na temat członków bractwa.

Braun nie wyobrażał sobie, choć mógł się mylić, żeby kobiety wyraziły choćby milczącą zgodę na porwanie.

Mieli do omówienia o wiele ciekawsze osoby.

Co do Emmy Schratz, guwernantki z Rekowa, tak naprawdę nie można było powiedzieć o niej niczego konkretnego. Jako jedyna z członków bractwa nie mieszkała w Wejherowie. Majątek w Rekowie, jak sprawdził Ignaz, nie posiadał aparatu telefonicznego, więc byłoby konieczne osobiste udanie się na miejsce w celu konfrontacji. Według zapisów wicedyrektora, panna (lub pani) Schratz jest osobą ambitną, zdecydowaną, która od początku zaistnienia w grupie pragnęła zostać Starszą Terminującą, co niosło za sobą pewnego rodzaju przywileje i jednocześnie obowiązki, w postaci choćby prowadzenia seansów. Von Schau zastanawiał się nawet, jak wynika z jego notatek, czy kobieta nie przystąpiła do bractwa z powodu badań analogicznych do tych, jakie sam prowadził.

— Sam był cyniczny i podejrzewał o to samo innych, zrozumiałe. Należy przyjrzeć się tej Schratz — dokończył Ignaz i przewrócił kartkę z notatkami.

— A na jakiej zasadzie przyjmowano do bractwa? — zainteresował się Lambert. — Czy von Schau wybierał kandydatów?

Zanim Braun zdążył odpowiedzieć, zauważył, że twarz Lamberta zrobiła się kredowobiała. Komisarz ciężko zaczerpnął powietrza, by coś powiedzieć, jednak nie był w stanie. Jego błędny wzrok ślizgał się chwilę po obliczu Ignaza, wreszcie oczy zamknęły się.

Inspektor kilka razy w życiu był świadkiem omdlenia spowodowanego chwilowym przemęceniem.

Pochylił się nad Lambertem.



TRZY KOBIETY

— Chyba mogę już myśleć tak, jak należy — westchnął komisarz, na którego twarz powrócił lekki rumieniec. — Niech pan jednak naleje mi jeszcze z pół kieliszka porto.

— Oczywiście — uśmiechnął się Braun, którego odrobinę zaczynało bawić, że mógł okazać pomoc człowiekowi, który dotąd na każdym kroku dawał do zrozumienia, że ta pomoc go nie interesuje.

Wstał, aby napełnić ciężki kryształowy kieliszek gęstym winem ciemnośliwkowej barwy. Kiedy już podał go Lambertowi, uświadomił sobie, że wszystko w tym pokoju jest ciężkie i gęste.

Pięć minut wcześniej wprowadził tu osłabionego gospodarza. Szedł z nim pod rękę jakieś siedem, osiem metrów, potem podtrzymał ramię Lamberta przy wspinaniu się po stromych schodach. Garsoniera, którą ten użytkował, mieściła się na drugim piętrze w kamienicy sąsiadującej z remontowanym ratuszem.

Ciężkie były zasłony, starannie oddzielające garsonierę od widoku na północną pierzeję Rynku i pomnik cesarza Wilhelma. Ciężkie meble, niemal czarne i toczone w ciągu dziesiątków lat przez pracowite i wciąż

niesyte strawy korniki. Ciężki musiał być dywan, wychodzony, tu i ówdzie rażący łysiną, lecz niegdyś solidny w swej mieszczańskości, zachowujący ślady dawnej świetności, świadczący o pozycji pierwszych właścicieli i ich bezpiecznym dostatku.

Ciężki wreszcie był oddech komisarza.

— Zupełnie nie wiem, jak mogło do tego dojść — powiedział, wzięwszy solidny łyk porto. — Nigdy dotąd...

— Każdemu może się zdarzyć — pokiwał głową Ignaz. — Przemęczenie, wielkie napięcie, w jakim teraz żyjemy, człowiek nie jest automatem.

— A panu zdarzały się omdlenia? — ostatnie słowo wypowiedziane zostało niemal bezgłośnie.

— Kiedyś, ze dwa razy.

— Podczas śledztwa?

— Jedno tak, drugie kiedy indziej.

— Może napiłby się pan?

— Owszem. Obsłużę się, skoro pan zaproponował.

— Mam tylko prośbę, wielką prośbę — Lambert spojrzał na Brauna odrobinę wyzywająco, ale na dnie oka czaiła się raczej niepewność.

— Może pan być pewnym, komisarzu, że zdarzenie zostanie między nami. A właściwie, nie zostanie. Nie ma co zostawać. Nie było żadnego omdlenia.

Lambert na moment odwrócił wzrok w stronę portretu przedstawiającego siwą kobietę w staromodnym czepku.

— Zdaje się, że przed... przedtem zapytałem pana, inspektorze, na jakiej zasadzie odbywało się przyjmowanie do bractwa. Pan przeczytał zawartość brulionu.

— Zgadza się — Ignaz właśnie napełnił kieliszek winem. —
Przeczytałem, a pan zadał takie pytanie.

Nie było jednej reguły. Nie tak, jak w lożach masonskich, gdzie kandydata wyławiają z grona „nieoświeconych” sami wolnomularze, a potem musi on mieć dwóch lub więcej wprowadzających.

Von Schau dobierał sobie niektóre osoby pod kątem ich przekonań i zachowań mogących uchodzić za niekonwencjonalne, a więc przydatne przy powstawaniu jego naukowego opracowania. Tak było w przypadku profesora Märza i sióstr Prutenius, Erny i Mety, o których pasji i obsesjach wiedziało pół miasta. Wystarczyło umiejętnie podejść do kobiet, schlebiać im, a one cieszyły się, że mogą przystąpić do związku osób poszukujących kontaktu z duszami zmarłych.

Co do Mucha, psychiatra pragnął zbadać, jak człowiek, który całe życie starał się trzeźwo patrzeć na świat i prawdopodobnie był dość zdolnym taktykiem, bo sprawowanie jakiegokolwiek funkcji samorządowej i politycznej wymaga takich cech, pod wpływem próżności, trochę wskutek zmian spowodowanych wiekiem, zaczyna zmieniać się w narcystycznego egotyka, któremu schlebia działalność w tajnym bractwie i sprawowana tam funkcja. Czuć się wybranym i dopuszczonym do tajemnic! I zawiadować rytuałem!

— A ta Emma Schratz?

— Widzi pan, właściwie von Schau nie pisze, jak znalazła się w bractwie. Jego uwagi na marginesie pracy dotyczą raczej, jak już wspomniałem, przypuszczenia, że ona, tak jak i sam wicedyrektor, zbiera materiały do jakiejś pracy. Raz nawet pisze, że być może jest agentką policyjną. Wiedział, że ona sporządzała jakieś notatki, nic nie mówiła o sobie, reszta zaś epatowała bractwo swoimi odczuciami i problemami.

— Czyli tę Schratz rzeczywiście przesłuchamy. Dobrze. Dalej?

— Urszula Koschke. Znaleziona przez doktora tak samo jak siostry Prutenius. Pasja, obsesje. Tu jeszcze strata męża, z którym bardzo chciała się zobaczyć i tak dalej. Ale, ale, ważna uwaga! Von Schau pisze, iż badał na przykładzie Koschke, osoby dość ograniczonej, w każdym razie w porównaniu z nauczycielem czy radnym miejskim, jak zachowują się osoby, które może spotkać niespodziewany zaszczyt i pewnego rodzaju awans przekraczający ich możliwości intelektualne. Niech pan wyobrazi sobie, komisarzy — Braun dotknął ustami kieliszka — że to von Schau osobiście zaproponował Koschke funkcję Starszej Terminującej! W miejsce skompromitowanego Märza.

— Spryciarz! A ona? Przecież to prosta kobieta.

— Eee — Ignaz machnął ręką. — Im kto bardziej ograniczony, tym bardziej jest przekonany, że wiele mu się należy. Z początku lękała się odpowiedzialności, ale szybko wyraziła zgodę. I to miało miejsce dosłownie kilka dni temu. Stąd skreślenie na liście członków słowa „siostra” i dopisanie nowej funkcji. Niemniej coś się tu nie zgadza. Otóż nasz psychiatra przedstawia całą tę kwestię jako element własnych badań, o czym wspomniałem. Ale może jest to trochę na wyrost i świadczy o zarozumiałstwie naukowca, który wszystko, co się dzieje, pragnie przypisać swojej mocy sprawczej.

Lambert wyprostował się. Zapomniał już o omdleniu. Za jakiś czas miał całkowicie wymazać je z pamięci.

— Mógłby pan nieco jaśniej?

— Właśnie zamierzałem dojść do ostatniego spostrzeżenia, gdy chodzi o Urszulę Koschke. Między wierszami psychiatra sygnalizuje, że pomysł awansu Koschke zbieżny był jak gdyby z pragnieniami Emmy Schratz.

— Ciekawe — Lambert spojrzął na inspektora. — O to również ją zapytamy.

Komisarz nie spuszczał wzroku z Ignaza. Nadal był ożywiony i domagał się kolejnych informacji. Róża Resnick, Hannah Schechter, Winifreda Eschenbeck, Wilibald Wild, Arnold Srockowski.

Dobrze po północy Ignaz wyjął z kieszeni klucz do drzwi frontowych domu przy ulicy Kalwaryjskiej. W oknie na piętrze paliło się nikłe światło. Bernadeta czekała na niego.

Róża Resnick, wdowa po mistrzu kowalskim, mieszkała w małym domku nieopodal młyna Jana Biangi. Kuźnia wraz z domem i całym obejściem przypadła synowi, który, ku radości kobiety, kontynuował tradycje rodzinne. Pani Resnick nie chciała jednak mieszkać pod wspólnym dachem z synową, osobą, jak twierdziła, pozbawioną wszelkich ludzkich uczuć. Syn wyremontował dla matki domek, w którym kobieta przyszła na świat, i tam wdowa Resnick zamieszkała z kilkunastoletnią posługaczką, na głowie której było praktycznie wszystko.

Dziewczyna — jak relacjonował posterunkowy Myszk, który znał panią Resnick — musiała opiekować się kurami, sprzątać dom, gotować posiłki i pracować rzeczy swojej chlebodawczyni. Tamta zaś całymi dniami przesiadywała w starym zapadniętym fotelu i rozmyślała.

Drzwi uchyliły się. Oczom Brauna i Lamberta ukazała się okrągła głowa z pyzatymi policzkami.

Dziewczyna badawczo spoglądała na policjantów.

— Panowie do kogo? — zapytała.

— A jak ci się zdaje? — burknął Lambert. — Do twojej pani. Do pani Róży Resnick.

— A kim panowie są? — dziewczę ani o centymetr szerzej nie uchyliło drzwi.

— Policja.

— Policja? A co się stało?

— Wpuść nas, pókim cierpliwy! — Lambert podniósł głos. Właśnie stracił cierpliwość.

Posługaczka ciemną sienią poprowadziła oficerów do pokoju, w którym niemal panował półmrok.

Róża Resnick siedziała nieruchomo. Kiedy w drzwiach stanęli Braun i Lambert, nie spojrzała w ich kierunku.

— Proszę pani, ci panowie mówią, że są z policji i chcieli z panią rozmawiać — pulchna dziewczyna nie miała zamiaru opuszczać pokoju. Stała przy drzwiach, nie wiedząc, jak jej chlebodawczyni zareaguje i jakie polecenie przekaże. A nuż zechce wyprosić tych mężczyzn? Z nią nigdy nic nie wiadomo.

— Z policji? A czego panowie chcą?

Pytanie zadane zostało w taki sposób, że Lambert zagryzł zęby. Uśmiechnął się kwaśno i wycedził:

— Porozmawiamy sobie z panią o pewnym bractwie. I raczej sami. Niech panna opuści pomieszczenie.

Dziewczyna spojrzała na Różę Resnick, na której twarzy pojawił się grymas zdziwienia, i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

— A z jakiej okazji?

— Z okazji zaginięcia dwóch dziewczynek, Ludwiki i Janiny Ruszkowskich.

Kobieta westchnęła chrapliwie i bezgłośnie poruszyła ustami. Nie spojrzała jednak w stronę Lamberta.

Była niewidoma.

I Braun, i Lambert wiedzieli, że Róża Resnick nie mogła osobiście porwać dziewczynek. A jednak zrobiła na nich niezbyt dobre wrażenie.

Odpowiadała opryskliwie, z początku często pojedynczymi wyrazami, nie przejmowała się, że ma przed sobą oficerów śledczych. Na temat bractwa nie miała nic do powiedzenia, poza tym, że jego działalność, jak podkreśliła, miała na celu jedynie wywoływanie duchów.

W brulionie należącym do wicedyrektora von Schaua Ignaz przeczytał, że psychiatra nieprzypadkowo upatrzył sobie na jedną z „sióstr” osobę niewidomą. Od niepamiętnych czasów ludzkość uważała, że osoby pozbawione możliwości widzenia, potrafią dostrzegać rzeczy niedostępne tym o zdrowych oczach. I psychiatra postanowił zbadać, jak członkowie bractwa odnoszą się do takiego archetypu. Czy nadal on funkcjonuje?

— Może w pani obecności toczyły się jakieś rozmowy, które mogłyby wydać się podejrzane w świetle późniejszego zaginięcia dziewczynek? — zapytał Ignaz.

— Gdybym usłyszała coś takiego, od razu chciałabym wyjaśnić. Czy pan podejrzewa mnie, że — pani Resnick uśmiechnęła się cierpko — „przymykałabym oczy” na coś takiego?

— Nie wiem — wtrącił Lambert — nie znam pani.

— Ale w Wejherowie mnie znają. Każdy potwierdzi, że zawsze mówię, co myślę. Jeszcze jakieś pytania?

— Tylko jedno — Braun stanął naprzeciw kobiety.

— Słucham — Róża Resnick poczuła obecność policjanta niemal fizycznie.

— Chcielibyśmy rozejrzeć się po pani domu i całym obejściu. Możemy?

Lambert spojrział na Brauna z irytacją. Przecież to on miał decydować o takich sprawach.

— Młody człowieku, ja wiele w życiu przeszłam. Jeżeli nie masz szacunku dla moich siwych włosów i dla kalectwa, rób, jak chcesz. Ale nie

myśl, że będę cię potem dobrze wspominać.

I spojrzała niewidzącymi oczami prosto w twarz Ignaza. Jej źrenice, zamglone i nieruchome, nie wyrażały niczego, a jednak Brauna przeszedł dreszcz. Nie wierzył w uroki, wiedźmy i moc ślepców. Teraz jednak, na wyciągnięcie ręki, stał przed niewidomą kobietą zainteresowaną życiem pozagrobowym, która uważała, że on ją krzywdzi.

Racjonalizm. Analizowanie okoliczności. Trzeźwość sądów i odruchowa, a także wyćwiczona spostrzegawczość. Nieuleganie emocjom. Panowanie nad przesłuchiwanym.

I nagle spojrzenie ślepej Róży Resnick.

Nie mógł się wycofać.

— Poprosimy pani służącą o pomoc. Nie chcemy niczego robić sami — powiedział łagodnie.

Kobieta nie odpowiedziała.

Policjanci wyszli na zewnątrz. Owionął ich ostry listopadowy wiatr.

Przywołany posterunkowy Klopp, który stał nieopodal domu, spojrzał z zainteresowaniem na dziewczynę. Lambert w krótkich słowach polecił mu przeszukanie domu, chlewu, kurnika i magazynu na sprzęty, a także niewielkiej piwnicy służącej do przechowywania lodu.

Kiedy Heinz, wyższy o niemal dwie głowy od pyzatej Trudchen, zniknął z nią w drzwiach domu, Braun zapalił papierosa.

— Widzę — zauważył komisarz — że nie ma pan ochoty bawić się w przeszukanie, którego sam pan zażądał. Strach pana obleciał? Widziałem, jak ta wiedźma... spojrzała.

— Proszę nie żartować — odparł Ignaz niezupełnie szczerze. — Po prostu nie wierzę, że ona ma coś wspólnego z porwaniem.

— Ja również — zgodził się Lambert. — I znów nie tak wiele tu miejsc, w których niewidoma staruszka mogłaby ukrywać dziewczynki przy

współudziale kilkunastoletniej pokojówki. Ale niech Klopp zajmie się obejściem. Najbardziej lubi siedzieć za biurkiem i zajadać parówki z musztardą. Trochę ruchu mu nie zaszkodzi.

Tymczasem posterunkowemu Kloppowi niezwykle przypadło do gustu zajęcie zlecone przez komisarza. I zabrał się do niego z pasją niespotykaną w jego dotychczasowej karierze w cesarskiej policji. Panna Trudchen od razu mu się spodobała. Lubił niskie i tłuściutkie dziewczęta, zwłaszcza takie, które nie wyglądają, jak to nazywał, „dziobato”. A Trudchen z całą pewnością nie była dziobata. Złożona z samych krągłości, rumiana, z bystrymi, sprytnymi oczkami, pokazywała posterunkowemu obejście, zakątek po zakątku.

Kuchnia z osmalonym starym piecem, spiżarnia zaopatrzona nadspodziewanie dobrze (dzięki troskliwości synowej, której prób przełamania lodów we wzajemnych relacjach pani Resnick nie potrafiła docenić), mała sypialenka ze zniszczonym oleodrukiem przedstawiającym Kazanie na Górze.

Heinz zajrzał pod łóżko, wszedł do chlewika i zapytał o kilka rzeczy, miał jednak przy tym na uwadze, aby nie wydać się panie Trudchen zbyt wścibskim. Bo policjant też musi być człowiekiem, a ktoś, kto zrazi się do policji, nie będzie później współpracował dostatecznie chętnie.

Współpraca zaś z panną Trudchen zdawała się posterunkowemu Kloppowi szczególnie ważna z punktu widzenia prowadzonego śledztwa.

Miało się już w końcu trochę praktyki policyjnej.

Hannah Schechter odetchnęła głębiej, a jej imponujący biust, który z pewnością mógłby zadowolić wymagania estetyczne takiego konesera, jak Rüdiger Rensch, zafalował niczym morska fala pchnięta porywistym wiatrem.

— A co ja niby mogę mieć wspólnego z jakimś bractwem?

— Ciszej, proszę pani — syknął Lambert i nachylił się nad ladą, o mało nie strącając dwóch pustych kufli. — A w ogóle, proszę o udanie się z nami na zaplecze. Ma pani tutaj jakieś zaplecze, prawda?

— Każdy lokal je ma — pieprzyk pod nosem kobiety, wskutek pobłażliwego uśmiechu, przesunął się odrobinę w lewo. — Powiem Wolfowi, żeby mnie zastąpił. Wolf!

Chudy, niski mężczyzna o oliwkowej cerze wyrósł jak spod ziemi i bez słowa spojrzął na panią Schechter.

— Staniesz za ladą. Muszę pójść do kantoru z panami.

— Jak pani sobie życzy — człowieczek szybko rozejrzał się po sali, gdzie krzątał się kelner. Jeden ze stolików był zajęty. Siedziało przy nim dwóch zażywnych jegomościów w średnim wieku popijających piwo.

Braun nie bardzo wiedział, czy pomieszczenie, do którego wprowadziła ich wdowa po restauratorze, Leonie Schechterze, bardziej przypominało kantor czy magazyn. Biurko wypełnione rachunkami i skoroszytami wyglądało solidnie, a stojąca na nim, obok telefonu, mosiężna lampa z zielonym kloszem przywoływała w pamięci Ignaza wystrój gabinetu znajomego prokuratora z Berlina, ale już dookoła biurka walały się skrzynki po warzywach, a w kącie, przede wszystkim zapachem, oznajmiała swoją obecność miska z wędzonymi wieprzowymi ogonami. Stół w przeciwległym kącie ugiął się pod ciężarem warzyw i paczek z czymś nieokreślonym, owiniętych szarym potłuszczonym papierem.

— No to słucham — pani Schechter rozparła się wygodnie na krześle, kładąc na biurku dłonie o krótkich palcach.

— Mówiłem już, chodzi nam o bractwo wywołujące duchy.

— A ja mówiłam już, że nie mam nic wspólnego z jakimś bractwem. Co to za jedni?

— Pani Schechter — Lambert znów pochylił się nad kobietą, tym razem przez biurko. — Pani mąż prowadził restaurację „Pod Jeleniem” przez dobre dwadzieścia lat, prawda?

— Dwadzieścia dwa — kobieta ze zdziwieniem spojrzała na komisarza.

— I przez te dwadzieścia lat, przepraszam, dwadzieścia dwa lata nigdy nie wszedł w kolizję z prawem.

— Jasne, że nie! — impulsywnie odparła kobieta.

— I pewnie chciałaby pani, żeby najstarszy syn przejął restaurację?

— Nie rozumiem?

— Leo, syn Leona, będzie spadkobiercą rodzinnej tradycji, czyż nie?

— Tak. On ma smykałkę do tego interesu. Młodszy studiuje prawo w Berlinie i ma inne plany. Chce zostać adwokatem — wdowa nie mogła się powstrzymać przed pochwaleniem się drugim z synów.

— To się pięknie składa — ucieszył się Lambert. — Będzie kto miał panią bronić. Szkoda tylko, że kiedy Leo obejmie restaurację, będzie się za nią ciągnął odorek oszustw tu popełnianych. Podatkowych głównie, ale i towar tu czasem z nielegalnego źródła, i kobiety kupujące swoim ciałem można po cichu sobie zorganizować, jak już ktoś zamierza się w taki sposób plugawić. Oj, pani Schechter, pani Schechter...

Co za wścibski typ! Ale w końcu jej obawy się potwierdziły. Przez kilka lat żyła w niepewności, czy policja wie o... o wszystkim. Ciężar wisiał nad nią nieustannie i każdego dnia opadał na kark. Nie miażdżył, ale paraliżował. Dziwiła się, że nie ściga jej żaden urząd, że nie ma w restauracji żadnych kontroli, oprócz tych sanitarnych. Że posterunkowi przychodzą co najwyżej na piwo. Piony skarbowe wymagały tylko zwykłych deklaracji i dokumentów, tych co zawsze.

Perfidne dranie! Odczekają tacy, zaczają się i jak czegoś chcą, wyciągną na wierzch wszystko! A ona chciała jedynie, żeby jej Manfred został

dobrym prawnikiem i żeby Leo miał coś po rodzicach. A jak tu żyć przy takim systemie opodatkowania gastronomii?!

Westchnęła ciężko. Biust zafalował jeszcze potężniej niż niedawno za ladą.

— Czego pan chce? — wyrzuciła z irytacją.

— Mówiłem już. Bractwo. I wreszcie: dziewczynki, te zaginione. Udział członków bractwa w całej sprawie.

Hannah Schechter zdecydowanym gestem wysunęła na kilkanaście centymetrów szufladę wbudowaną w biurko. Wyjęła ze środka kartonowe opakowanie z papierosami. Zapaliła i zaciągnęła się płytko, nerwowo, potem drugi raz i trzeci.

— Pan chyba żartuje z tymi dzieciakami — spojrzała na komisarza. — Ale ja rzeczywiście byłam kilka razy na seansach. I tylko tyle.

— Ja nigdy nie żartuję — zgodnie z prawdą powiedział Lambert.

— Skąd pan wie o istnieniu bractwa? — zapytała kobieta, by zyskać na czasie.

— Tu komisarz Lambert zadaje pytania — Braun wyszedł z cienia.

— Przepraszam. Ale ja dziwię się, że panowie podejrzewają bractwo. Dobrze było spotkać się z kimś, kto nie ma nic wspólnego z kuchnią i wyszynkiem. Bo ja tu od rana do wieczora, rozumiem panowie. I nie mam nic na sumieniu względem tych jakichś oszustw. Naprawdę!

— O tym jeszcze pomówimy, dlatego radzę pani powiedzieć wszystko, co ma jakiś związek z porwanymi.

Wdowa nie widziała takiego związku. Nigdy, podczas żadnego z seansów, nie było mowy o niczym podejrzanym, nie wspominając już o planowaniu grubszych przestępstw.

Pojednawczo spojrzała na policjantów i z pewną nonszalancją (choć samego słowa raczej nie znała) zaczęła wypowiadać się o członkach

bractwa. Zważywszy na groźbę ze strony oficera, dotyczącą jej interesów, postanowiła nie zawracać sobie głowy lojalnością i przysięgą zachowania milczenia. Ostatecznie, składała ją tylko przed ludźmi. A w Boga, odziedziczonego po nabożnych przodkach, nie bardzo wierzyła.

Zarozumiały Starszy Zgromadzenia.

Śmieszny w swej napuszonej powadze, zramolały ceremoniarz.

Terminujący o wyglądzie jak z jakiegoś wodewilu.

Wilibald Wild, miejski urzędnik, jego widywała również przy okazji różnych świąt państwowych. Sztwywny, jakby kij połknął, na seansach był taki sam. Po co w ogóle uczestniczył w spotkaniach, nie wiadomo.

Siostry Prutenius — stare wariatki, w kółko gadające o ukazujących się im zmarłych krewnych.

Ta terminująca, zazwyczaj milcząca i zabierająca głos tylko wtedy, gdy miała coś do powiedzenia. Nic o niej nie wiedziała.

Koschke, z nią nie dało się porozmawiać. Była ciekawa tylko tego, co teraz dzieje się z jej zmarłym mężem. Zygfyrd miał na imię. Hannah Schechter zupełnie nie wiedziała, dlaczego pojawił się pomysł, aby zrobić ją nową terminującą, w miejsce śmiesznego nauczyciela. Chyba dla zabawy, bo przecież całe to bractwo i tak było jedną wielką zabawą. No, sama przecież nie wierzyła w te wszystkie historie.

Rentier, nie znała jego nazwiska, ale kiedyś usłyszała, jak ceremoniarz zwracał się do niego „Arnoldzie”. Baryłkowaty, taki gruby, pękaty, łysiejący, czasem widywała go na ulicy, ale udawali wtedy, że się nie znają. Chyba bogaty, bo elegancko ubrany. I uśmiechnięty od ucha do ucha, aż mu się policzki świeciły. On miałby porwać te dzieci?

Do Róży Resnick lepiej nie podchodzić, tak przynajmniej wydawało się jej kiedyś, gdy poznała niewidomą kobietę. Potem jednak, gdy trochę sobie porozmawiały, Hannah Schechter uznała, że kobieta, z którą, zdawałoby

się, nie ma nic wspólnego, jest całkiem do rzeczy. Łączyło je coś ważnego — obie nie przepadały za swoimi synowymi.

A Winifreda Eschenbeck? O, znało ją całe miasto. Stara szlachcianka z pretensjami. Zawsze miała na sobie jakieś rodowe klejnoty i z nikim nie zamieniła cieplejszego słowa. Ot, zdawkowe uprzejmości. Czy taka chciałaby brudzić sobie ręczki porywaniem dzieci? I po co?! Ona ma wszystko, jest bardzo bogata.

— Czy to wszystko, co ma nam pani do powiedzenia? — zapytał Lambert i pomyślał równocześnie, że jeśli Hannah Schechter porwałaby dziewczynki, to dla okupu.

— Wszystko — odparła kobieta.

Komisarz odwrócił się do Brauna i szepnął mu coś do ucha. Kobiecie nie udało się niczego usłyszeć.

— Skorzystam z telefonu — oznajmił Lambert i podniósł słuchawkę. — Klopp! Dobrze, że już jesteście. Przyjdźcie na ulicę Szemudzką, do restauracji „Pod Jeleniem”. Natychmiast!

Po zakończeniu połączenia, komisarz spojrzął na wdowę.

— Zaraz tu będzie posterunkowy. Przeszuka lokal i pani mieszkanie. A potem niech pani zleci pracownikom zadania.

— Dlaczego? — wyszeptała restauratorka.

— Ponieważ zostanie pani zakwaterowana w areszcie.

Pieprzyk nad ustami pani Schechter zadrżał.



FOTOGRAFIE

Dzwon na wieży kościoła farnego zabrzmiał dwanaście razy. Ignaz otworzył zegarek, aby sprawdzić, czy działa, przypomniało mu się bowiem, że poprzedniego dnia nie nakręcił mechanizmu. Zegarek jednak chodził jeszcze. Braun nadrobił zaległości względem chronometru i w tym momencie ujrzał komisarza Lamberta oraz posterunkowego Bochentina, wychodzących z podziemi powolnie rosnącego nowego ratusza.

Lambert zadarł głowę, jakby obawiał się, że jakaś zabłąkana grudka cementu lub kropla farby spadnie z rusztowania na jego wełniany płaszcz lub kapelusz z włosia króliczego o zamszowym wykończeniu.

Braun podszedł do policjantów znajdujących się już przy opłu. Przez głowę przeszła mu myśl, że automobil ładnie wyglądałby ze złożonym dachem. Pędzić takim kabrioletem choćby nawet te czterdzieści pięć kilometrów na godzinę, z Bernadetą na siedzeniu obok, mając na oczach gogle...

Szybko odrzucił kuszącą myśl, która w danej chwili była jedynie nierealną fantazją. Przed nimi droga zupełnie pozbawiona romantyzmu, choć nie dreszczu emocji.

Korba w dłoniach Bochentina zagrała nieokreślonym dźwiękiem, nieco przypominającym charczenie torturowanego puszczyka. Czterocyldrowy silnik zagrał melodię, którą posterunkowy uwielbiał. Ilekroć zdarzyło się, że mógł znaleźć się we wnętrzu opla, odczuwał niemal dziką przyjemność. Gdyby kiedyś zdarzyło się, że mógłby poprowadzić! Kiedyś, gdy zostałby komisarzem...

Na razie jednak to Otto Lambert położył dłonie w zamszowych rękawiczkach na drewnianej kierownicy i automobil ruszył z Rynku. Ulicą Gdańską wyjechał na drogę prowadzącą w kierunku Redy.

Mijali gospodarstwa usytuowane przy głównym trakcie, domy i pozostałe zabudowania, szare o tej porze roku pola, z których wystawały rachityczne rdzawe, drżące resztki letniej i wczesnojesiennej roślinności oraz nagie drzewa o gałęziach tańczących pod wpływem wiatru. Świat w pierwszej połowie listopada, ponury, dżdżysty i prawie pozbawiony słońca, zdawał się jednym wielkim obrazem umierania.

A jednak w sercach policjantów nie było miejsca na egzystencjalne refleksje o odrobinę funeralnym zabarwieniu. Byli zmęczeni, zziębnięci, tak, ale też od dłuższego czasu żyli w nieustannym napięciu, krew w ich żyłach krążyła uparcie, a śledzenie wszystkiego, co w zawrotnym tempie przemykało za szybami automobilu, zdawało się, poprzez inną perspektywę odbioru, interesujące.

Przed Redą opel skręcił w lewo, na drogę wiodącą w kierunku Pucka. Krajobraz zmienił się, jadących otaczała z obu stron puszcza, gęsta pomimo braku listowia, tworzącego barwny dywan ścielący się wokół drzew. Lambert pomyślał, że takie lasy z pewnością miał na myśli Wagner, pisząc uwertury do *Pierścienia Nibelunga*. Nie podzielił się jednak swoimi przemyśleniami z Braunem i Bochentinem, był bowiem przekonany, że

rasowy policjant w drodze na przesłuchanie powinien myśleć wyłącznie o przesłuchaniu.

Zresztą, czy ci dwaj potrafiliby zapamiętać się w wagnerowskim świecie?

Wreszcie las przerzedził się. Lambert skręcił w lewo i oto po kilku minutach oczom funkcjonariuszy ukazał się kremowoszary czworobok wieży pałacyku w Rekowie.

Wieża znacznie wystawała ponad budynek, którego część centralną stanowiła zwarta piętrowa bryła ukoronowana proporcjonalnym frontonem, do której niejako przyklejone były niższe części z bardziej spadzistymi elementami dachu, pokrytego nowymi jaskrawymi dachówkami, osobliwie kontrastującymi z szarymi polami i gęstym powietrzem przesyconym mgielną wilgocią.

Opel zatrzymał się na podjeździe, przed schodami prowadzącymi do drzwi frontowych.

Warkot silnika sprawił, że z za węgła wyszedł przygarbiony mężczyzna w staromodnej czapce i za dużym brunatnym płaszczu. Stanął oparty o grabie z długim trzonkiem i z pewnej odległości przypatrywał się obcym ludziom wychodzącym z samochodu.

Otworzyły się drzwi frontowe. Stała w nich przysadzista siwa kobieta w czarnej sukni i białym fartuchu. Przez moment pytającym wzrokiem spoglądała na przybyłych. Widząc jednak, że zajechali pod dom samochodem i wnioskując z munduru Bochentina, iż jest świadkiem czegoś poważnego, ukloniła się jak należało.

— Dzień dobry panom. Panowie do pana von Lietz?

— Owszem — odparł Lambert i zaczął energicznie pokonywać pierwsze stopnie.

— Pan w domu, proszę bardzo, kogo mam zaanonsować?

— Komisarz Lambert z wejherowskiej policji. I inspektor Braun — dodał ciszej.

Kobieta nie odważyła się zapytać, co też mogło skłonić jakichś znaczących policjantów do odwiedzin w siedzibie państwa.

Hol znamionował dostatek rodziny von Lietz. Ciężkie krzesła obite bordową materia, okrągły stolik na masywnej nodze, ściany przystrojone obrazami przedstawiającymi nad wyraz realistyczne sceny polowań, wielki żyrandol na żarówki elektryczne, wszystko to zrobiło na komisarzu pozytywne wrażenie. Pomyślał jednak zaraz, że jego samego nigdy nie będzie stać na taką siedzibę.

Nie minęło kilka minut, gdy oczom policjantów ukazał się mężczyzna o pękatym brzuchu, rumiany, ze świecą łąsiną, spod krzaczastych brwi spoglądający na gości ze źle ukrywaną niepewnością. Miał na sobie, modą angielskiego dżentelmena korzystającego z uroków wsi, tweedową marynarkę i bryczesy wpuszczone w wyglansowane buty do konnej jazdy. W dłoni dzierżył szpicrutę, którą zaraz jednak odłożył na komodę, świadom niestosowności dalszego z nią kontaktu.

— Panowie... — zaczął.

Szef wejherowskiej policji zaczął od przedstawienia siebie i swoich towarzyszy.

— Miło nam znaleźć się pod pańskim dachem, panie von Lietz — kontynuował — jednak sprawa, przy okazji której jesteśmy tutaj, jawi się nad wyraz przykrą.

— Nie rozumiem — przez głowę pana domu przemknęło, że wszystkie sprawy dotyczące gospodarowania majątkiem miał w należyтым porządku.

— Czy w pańskim domu przebywa pani Schratz, Emma Schratz?

— Tak. Jest guwernantką mojej, to znaczy naszej, córki.

— Czy jest teraz obecna?

— Tak, ale o co chodzi?

— Pan wybaczy, chcielibyśmy z nią jak najszybciej porozmawiać — rzekł Lambert.

Von Lietz, zdziwiony nieco obcesowością policjanta, zawahał się i skłonił zimno.

— Pozwolą panowie... — już zamierzał zakomunikować Giselle, o której wiedział, że podsłuchuje za niedomkniętymi drzwiami, aby poprosiła o przybycie żonę, gdy nagle drzwi do bawialni uchyliły się i stanęła w nich Elisabeth von Lietz.

Jej postać w innych okolicznościach zrobiłaby na przybyłych wrażenie, ale nim zdążyła zapytać wyniośle, czemu zawdzięcza tak nieoczekiwaną wizytę, Otto Lambert podszedł do niej szybkim krokiem i bez namysłu powiedział ostrym głosem:

— Emma Schratz? Jesteśmy zmuszeni zadać pani kilka pytań. Poproszę pana von Lietza — odwrócił się do pękatego obywatela ziemskiego — aby udostępnił nam pokój, w którym moglibyśmy swobodnie porozmawiać.

Elisabeth von Lietz znana była pośród członków rodziny i znajomych jako osoba potrafiąca w każdej sytuacji zachować zimną krew, jednak słowa komisarza sprawiły, że jej policzki spurpurowiały. Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem.

Jej wąskie usta rozwarły się nieco i głos, który się spomiędzy nich wydobył, był tak metaliczny, jak to tylko możliwe.

— Pan, jak pana nazwisko? Zresztą, nieważne, pana maniery właściwie nie pozwalałyby na nawiązanie rozmowy. Nawet pan nie wie, do kogo się zwraca. Stoi pan przed Elisabeth von Lietz.

Oblicze posterunkowego Bochentina pozostało nieodgadnione, ale Bóg jeden wie, ile musiało kosztować go, żeby nie parsknąć śmiechem.

Ignaz Braun pomyślał natomiast, że i on sam sądził, iż chwilę wcześniej stanęła przed nimi Emma Schratz.

— Przepraszam stukrotnie łaskawą panią — skłonił się Lambert. Nie przejął się jednak aż tak bardzo, że dotknął żonę gospodarza. O wiele bardziej martwiło go, że nazajutrz cały posterunek, był tego pewien, ubawi się nieporozumieniem, którego był przyczyną. — Nie miałem wcześniej zaszczytu poznania pani. Nazywam się... — i na zakończenie jednym tchem powtórzył słowa dotyczące Emmy Schratz, wypowiedziane już do męża dumnej szlachcianki.

Pani von Lietz, kiedy usłyszała o potrzebie rozmowy policjantów z guwernantką jej Marie, patrzyła na nich z coraz większym zgorzeniem.

— Skąd taki pomysł?

— Pani wybaczy — odparł Lambert — ale to jest sprawa wymagająca z naszej strony dużej dyskrecji, z uwagi na dobro śledztwa. Nie mogę przy państwu...

— Ale pani Schratz jest pod naszą opieką i nic, co się z nią wiąże, nie może dziać się poza moją... naszą wiedzą.

— Jednak potrzeby cesarskiej policji są tu na pierwszym miejscu — komisarz odważnie spojrział w zimne oczy kobiety. — I zapewniam panią... państwa — dodał nieco złośliwie — że prawa tego domu nie zostaną w niczym uszczuplone, jeśli porozmawiamy z panią Schratz na osobności. Nalegam.

— A ja oświadczam — z naciskiem powiedziała Elisabeth von Lietz — że nie dojdzie do rozmowy z naszą guwernantką na osobności. I mówię to dla pańskiego dobra, panie... jakże się tam pan nazywa?

Komisarz zaczerpnął powietrza i powtórzył swoje nazwisko. Czy ta kobieta chciała go straszyć? Może powie, że ma znajomości w rejencji?!

Może ma.

Zawahał się. Nie wiedział, co odpowiedzieć, gdy wtem tuż za sobą usłyszał szept Brauna.

— Panie komisarzu, na słówko.

Nachylił się w kierunku inspektora.

— Czy nie sądzi pan, że ona ma cechy dobrego żandarma? Może w trakcie rozmowy sama sobie coś przypomni. Proszę się zgodzić.

W umyśle komisarza rozegrała się szybka walka połączona z błyskawiczną analizą. Duma własna i poczucie siły płynące z przynależności do niemieckiej maszyny sprawiedliwości grały o lepsze z przyznaniem Braunowi racji w kwestii skuteczności rozmowy, tyle że to ostatnie oznaczało schowanie do kieszeni owej dumy własnej. Ustąpić berlińczykowi i wyniosłej przedstawicielce klasy, której w głębi duszy nie lubił, ponieważ miał żal do losu, że nie był jej członkiem...

Ale iść na wojnę z tą kobietą oznaczało — właśnie wojnę.

Nie minęły dwie minuty, a w drzwiach stanęła Emma Schratz. Jej zachowanie do złudzenia przypominało to, jakiego policjanci doświadczyli już ze strony chlebobawczynie guwernantki. Elisabeth von Lietz poinformowała przybyłą, że policjanci z Wejherowa chcieliby z nią rozmawiać.

Szczupła, wyniosła, o wysokim czole i bujnych włosach upiętych na czubku głowy, pozbawiona wszelkich ozdób, bo takich nie potrzebowała, stała przed Lambertem, Braunem i Bochentinem w oczekiwaniu na pytania.

Paul von Lietz zaproponował, aby wszyscy udali się do bawialni. Tam pan domu usadowił się w wygodnym głębokim fotelu, rozkraczając krótkie, masywne nogi.

Bochentin stanął za sofą, na której usiedli Lambert i Braun.

Emma spoczęła na brzegu krzesła, a pani von Lietz przystanąła niemal pomiędzy przesłuchiwaną a policjantami, nie korzystając z fotela bliźniaczo

podobnego do tego, który zajął jej mąż.

Policjanci grzecznie odmówili poczęstunku cygarem ze strony gospodarza. Bochentin chętnie by zapalił, ale skoro oficerowie odmówili...

Krótki syk zapalki i z cygara von Lietza wydobył się gęsty obłok szarobłękitnego dymu.

— Pani Schratz. Pani Emma Schratz. Zgadza się?

— Tak.

— Inspektor Braun z Berlina i moja skromna osoba, komisarz Otto Lambert, szef wejherowskiej policji — mówił oficer z taką intonacją, aby słuchacze nie mieli wątpliwości, co do wyłącznie grzecznościowego użycia pewnych słów — chcielibyśmy zadać pani kilka pytań w związku z bractwem zajmującym się w Wejherowie seansami spirytystycznymi.

Ignaz nie dostrzegł na twarzy kobiety najmniejszej oznaki zdziwienia, gdy padły ostatnie słowa. Zauważył je jednak na początku, gdy Lambert powiedział o nim: „z Berlina”.

— Słucham — nonszalancko odparła Emma Schratz.

— Jakie bractwo? — zapytała pani von Lietz. — O co panom chodzi?

— Łaskawa pani — Braun niemal prosząco spojrział na panią domu. Ta skinęła głową, ale zbliżyła się o krok do guwernantki.

— Chcemy porozmawiać o działalności bractwa ezoterycznego, mającego siedzibę w willi przy ulicy Gdańskiej w Wejherowie, prowadzonego przez doktora von Schaua, gdzie pełni pani funkcję tak zwanej Starszej Terminującej.

Spojrzenie rzucone w kierunku Elisabeth von Lietz. I cicha odpowiedź:

— Nie rozumiem, dlaczego interesuje pana bractwo.

— Doprawdy — Lambert pochylił się w stronę kobiety. Chciał powiedzieć coś kąśliwego, ale pani domu była szybsza.

— Pani Schratz, o czym mówi ten policjant?! Pani należy do jakiegoś ezoterycznego bractwa? Może duchy się tam wywołuje?

— Można tak powiedzieć — bezbarwnym głosem odpowiedziała Emma.

— I pani zajmuje się edukacją mojego dziecka!

Zniknął gdzieś chłód, zniknęło opanowanie i zimna krew, które pani von Lietz zachowywała w rozmaitych kłopotliwych okolicznościach.

Seanse spirytystyczne i w ogóle jakaś zgraja osób spotykających się nie wiadomo gdzie. Stanowczo, ten człowiek musi jej opowiedzieć więcej o udziale Emmy w seansach.

Gdy w grę wchodziło dobro jej Marie, przestawała, albo raczej zaczynała, być sobą.

Paul von Lietz podparł się na łokciach, jakby zamierzał wstać.

Bohentin czuł, że zaczyna się dziać coś ważnego. Lambert, któremu przerwano ledwie rozpoczęte przesłuchanie, zamierzał zaznaczyć swoją obecność donośnym głosem, natomiast Braun odruchowo przygryzł dolną wargę.

— Poleciała mi panią hrabina von Hass. Zaufałam jej. Ale właściwie niczego o pani nie wiem. Sądziłam, że prowadzi pani uporządkowane życie, a wszystkie wyjazdy do Wejherowa czy Pucka traktowałam jako oczywiste. Sądziłam, że przeznacza je pani na spacer i zakupy.

Twarze kobiet niemal dotykały się. Emma czuła na policzkach ciepło oddechu chlebobawczyń.

— Tak, nic o pani nie wiem. Czego jeszcze nie wiem?!

Nagle przez twarz Elisabeth von Lietz przeszedł cień. Oczy rozbliły i wpiły się w guwernantkę.

— Czego jeszcze o pani nie wiem...? — powiedziała wolno, z namysłem. — Może i te fotografie, które znalazła Giselle u Marie, do

pani należały?

Zwyciężała. Patrzyła, jak Emma opuszcza wzrok, jak czerpie rozdygotaną pierś mocny haust powietrza, jak wreszcie podnosi oczy i patrzy na komisarza.

— Jakie fotografie? Proszę o okazanie, nalegam! — Lambert stał już obok Emmy i tak samo jak Elisabeth von Lietz pochylał się nad nią.

— Ja mam te fotografie — pani domu wyprostowała się triumfalnie, obróciła na pięcie i wyszła z bawialni. W drzwiach omal nie zderzyła się z Giselle, podsłuchującą pod drzwiami.

Smagła Cyganka z mocnym, właściwie ordynarnym makijażem, o ustach niedomkniętych i lubieżnych.

Zaraz potem zapatrzona gdzieś w dal twarz młodziutkiej dziewczyny w słomkowym kapeluszu canotier na kształtnej główce, ubrana w skromną bluzkę, jakby była pensjonarką albo pracownicą fabryki tekstylnej, która idzie na samotny spacer po miejskim parku.

Na kolejnej fotografii ta sama postać, ale kilka lat później. Wypiękniała i jest świadoma swej kuszącej kobiecości. Włosy ma rozjaśnione. Nieco przekrzywiony kapelusz ozdobiony kwiatami i elegancka suknia świadczą o zamożności, ale i dobrym guście. Jak tamta młoda dziewczyna, spogląda w zamyśleniu, ale jest to spojrzenie wystudiowane, mające przyciągnąć męskie serca.

Półożąca odaliska nie jest przesadnie obciążona obowiązkami. Ma się podobać i robi to doskonale. Wprawdzie luźny kaftan i szarawary nie pozwalają docenić pełni jej wdzięków, ale jeden z pantofli bez pięt, z długimi zakrzywionymi noskami, nieco zsunął się przypadkiem i ukazuje kształtną alabastrową stopę.

A jak naprawdę wygląda Japonka odziana w kimono, zakryta maską z pudru i przytłoczona peruką, stojąca w sandałach na wysokich koturnach? Wieloznaczny uśmiech w każdej chwili może przykryć wachlarzem.

Faustowska Gretchen stojąca przy studni patrzy na dzban, ale co dzieje się w jej niewinnej główce? Może nic, może tylko cieszy się, że ma ładne warkocze, że dostała od matki nową bluzkę z krótkimi bufiastymi rękawami.

— Czy to nie jest przypadkiem Lily Elsie, ta aktorka? — zapytał zdezorientowany Lambert.

— Rzeczywiście, uderzająco podobna — Braun spojrzął na Emmę, której niewidzący wzrok utkwiony był w oknie. Potem odwrócił jedną z kart. — Niech pan przyjrzy się nadrukowi na rewersie.

Komisarz poprawił zsuwające się na nos okulary i przeczytał na głos: „Theater Operette, 89 445 KH Berlin, Amalien Gasse 6”.

— Nie śledziłem zbyt uważnie kariery panny Elsie — Braun uśmiechnął się kwaśno. — Pewnie mogła występować gościnnie w tym teatrze, byłem tam nawet kiedyś z żoną, ale chyba nie musimy szukać odpowiedzi pośród angielskich aktorek. Proszę spojrzeć na panią Schratz, komisarzu — ostatnie słowa wypowiedziane były szeptem, a jednak Emma usłyszała je.

Utkwiła wzrok w Ignazu, ale w jej spojrzeniu nie było napięcia. Niczego w nim nie było.

Lambert jak urzeczony wpatrywał się w guwernantkę. Zerknął raz jeszcze na trzymane w dłoni pocztówki.

I znów obdarzył spojrzeniem Emmę.

Teraz już była obiektem uwagi wszystkich.

Pani von Lietz zachodziła w głowę, jak możliwe było, że osoba występująca w teatrze wystawiającym operetki i, zapewne, nawet farsy, mogła zostać nauczycielką Marie. I jak to możliwe, że mając w swoim posiadaniu taki dowód, od razu nie rozpoznała w guwernantce aktorki z fotografii.

Przez głowę Paula von Lietza natomiast przemknęła myśl, że gdyby od początku wiedział, iż pod jego dachem mieszka aktorka, mógłby w swoim czasie spróbować zbliżyć się do Emmy. Każdy wie przecież, że osoby o takiej profesji nie przywiązują przesadnej wagi do nienaganego prowadzenia się. Zaraz jednak przed oczami jego wyobraźni stanęła Marie i zawstydził się pierwszej myśli.

Na prośbę komisarza Elisabeth von Lietz wyjawiała okoliczności znalezienia pocztówek. Spoglądała przy tym co raz na guwernantkę.

— Dlaczego pani dała te fotografie córce państwa von Lietz? — zapytał Braun.

Emma wzruszyła ramionami. Przytknęła dłoń do ust, jakby chciała ukryć ziewnięcie.

— Marie sama je znalazła.

— Insynuuje pani, że moja córka przeszukiwała pani rzeczy?!

— Nie, po prostu przeglądałam pocztówki i były na wierzchu w moim pokoju. Poprosiłam ją, żeby przyniosła pewną książkę, pocztówki musiały być obok. Marie przyniosła je i w dobrej wierze zapytała, kto na nich jest. Nie powiedziałam Marie prawdy, a ona wyraziła życzenie, że chciałyby obejrzeć je spokojnie w swoim pokoju przed snem. Obiecała oddać następnego dnia. Pomyślałam, że lepiej, gdy potraktuję te pocztówki jako coś oczywistego. Czy nie pamięta pani, pani von Lietz — głos Emmy stał się odrobinę zuchwały — że w wieku, w jakim jest Marie, panienki lubią się przebierać i oglądać podobizny aktorek, i w ogóle znanych ludzi?

— Dlaczego nie powiedziała nam pani, kim była w Berlinie? — matka dorastającej panny zignorowała retoryczne pytanie guwernantki.

— A jak się pani wydaje? — smutno uśmiechnęła się Emma.

— Dobrze — wtrącił Lambert. — Panie wyjaśnią sobie te sprawy innym razem. My, cesarska policja — odruchowo bardziej uniósł głowę — nie widzimy nic sprzecznego z prawem w istnieniu teatrów operetkowych i ich obsadzie personalnej. Nas interesuje kwestia, o której już wspomniałem. Bractwo. Pani Schratz!

Guwernantka chciała odpowiedzieć, ale jej ciało przeszył dreszcz. Żrenice powędrowały wysoko, jakby chciała bez podnoszenia głowy wypatrzeć coś na suficie dosłownie nad sobą.

Padła na ziemię. Konwulsje sprawiały, że uderzała głową w dywan. Policjanci starali się unieruchomić jej ręce i nogi. Wreszcie udało im się.

Emma nie otwierała oczu. Wszyscy zadawali sobie pytanie, czy gra tak znakomicie, czy też rzeczywiście jest chora.

Ignaz, trzymający w dłoni nadgarstek kobiety, wyczuł słaby puls.



BERLIN

Opel miejscami mknął po bitej drodze nawet ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Otto Lambert znajdował straceńczą przyjemność w szalonym pędzie. Silnik wył. Resory ledwie wytrzymały, stękając co chwila, jakby ostrzegały kierowcę i pasażera, że ich wytrzymałość ma swoje granice.

Komisarz jednak nic sobie nie robił z narzekań maszyny, pędzącej już stromo w dół, ku Redzie. Ignaz prawą dłonią trzymał się kurczowo wewnętrznej klamki. Czuł, jak wszystkie kości i narządy wewnętrzne skaczą niczym w tańcu św. Wita.

Wreszcie ostry skręt w prawo. Droga z Redy do Wejherowa zdawała się, z uwagi na jakość nawierzchni, już tylko spokojną przejażdżką.

Automobil z piskiem opon zahamował przed ratuszem. Policjanci wysiedli równocześnie. Lambert pierwszy wbiegł przez drzwi dolnej kondygnacji do środka i nie zwracając uwagi na pytające spojrzenie Antona Myszka, dopadł do telefonu.

Pokręcił korbką aparatu i dopiero wtedy odezwał się do posterunkowego.

— Myszk, szybko, nazwisko jakiegoś dobrego lekarza. No!

— Doktor Paschinski! I żywemu pomoże, i nieboszczyka przebada! — bez namysłu odparł posterunkowy.

— No przecież, Maximilian Paschinski! Numer telefonu, szybko, sprawdźcie w księdze adresowej!

— 76 14!

Komisarz wykręcił numer. Słyszając przerywany sygnał, podniósł oczy w górę. Oczekiwanie trwające kilka sekund urosło w jego odczuciu do długich minut.

Wreszcie usłyszał w słuchawce znajdującej się na drugim krańcu kabla niski głos.

— Halo, pan doktor Paschinski?! Komisarz Lambert z wejherowskiego komisariatu. Mam sprawę. Potrzebna pomoc, natychmiastowa pomoc, pałac w Rekowie, kobieta z oznakami... nie wiem czego. W każdym razie jakiś rodzaj epilepsji. Rzuciła się, miała wywrócone oczy, teraz się uspokoiła, ma bardzo niski puls, śpi, jest nieprzytomna, nie wiem, nie znam się na tym, pan jest lekarzem, więc pan sobie poradzi. I jeszcze jedno, ma pan jakieś doświadczenie z toksynami? Dobrze, nie jestem pewny, co mogło spowodować atak. Może jest epilepticzką, a może coś zażyła. Niech pan posłucha, doktorze, za chwilę przyjadę po pana samochodem policyjnym. I ruszamy do Rekowa, tamta kobieta jest pod opieką jednego z naszych posterunkowych. Pacjentka?! Ma pan pacjentkę?! Jaka pacjentka, tu chodzi o życie tej kobiety! I może nie tylko jej! Pańska pacjentka zaczeka, przyjdzie do pana jutro. Rozkaz cesarskiej policji!

Słuchawka uderzyła o widełki. Lambert uczuł potrzebę zapalenia papierosa, ale pomyślał, że zrobi to już w trakcie jazdy.

— Myszk, teraz adres tego lekarza. A pan, inspektorze, tak jak ustaliliśmy, zostanie na komisariacie i zajmie się tymi zdjęciami. Mam nadzieję, że Schratz poczuje się na tyle dobrze, że będę mógł ją przywieźć.

— Powodzenia, komisarzu — Braun przyjacielsko skinął głową Lambertowi.

Po chwili w komisariacie znajdowali się tylko Anton Myszka i on. Ignaz rozpiął płaszcz i z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę zawierającą pocztówki z nadrukiem.

— Dzień dobry, moje nazwisko Ignaz Rappe, jestem agentem artystycznym teatru „Süsse Sachsen” z Drezna. Czy mógłbym rozmawiać z dyrektorem? Czy pilne? Tak, przecież w naszej branży wszystko jest pilne, pojmuje pan wybornie. Owszem, dziękuję.

Spojrząwszy na twarz Myszkę, uśmiechnął się lekko. Posterunkowy utkwiał wzrok w aparacie telefonicznym i musiał analizować usłyszane przed momentem słowa.

Nigdy dotąd nie był świadkiem, aby jego przełożeni lub inni oficerowie podawali się za kogoś innego.

Tymczasem Braun, jako pan Rappe, usłyszał w słuchawce głos wicedyrektora berlińskiego teatru. Zamienił z nim kilka spostrzeżeń dotyczących życia codziennego w Berlinie, który drezdeński agent artystyczny, jak się okazało, odwiedzał stosunkowo często, klimat podobny jak w Dreźnie, ale już komunikacja na lepszym poziomie, choć tłok w centrum dla przybysza z mniejszego miasta jawił się męczącym.

Berliński człowiek teatru musiał z kolei powiedzieć coś pochlebnego na temat stolicy Saksonii, ponieważ oblicze Ignaza „Rappego” rozjaśniło się, jakby całe dotychczasowe życie z pasją właściwą osobom hołdującym lokalnemu patriotyzmowi poświęcił upamiętnianiu wielkości Augusta Mocnego i jego dziedzictwa.

— Miło się z panem rozmawia, panie dyrektorze, tak, chciałoby się częściej... I rzeczywiście muszę do pana zajrzeć, kiedy znów będę

w Berlinie, choć nie wiem, czy uda mi się przed końcem roku. Tak, sezon, sezon! Ale, ale, kochany panie, mam taką prośbę, czy u pana gra pani Schratz? Emma Schratz. Bo widzi pan, drogi dyrektorze, obejrzałem niedawno jej fotografie, a i ktoś szepnął mi, że utalentowana jak mało kto.

W palcach Ignaza zatańczył ołówek.

Myszk na dobre zapomniał o raporcie, który miał sporządzić i nadal przypatrywał się scenie.

— Ach, jaka szkoda! — zawód w głosie „Rappego” zdawał się nie mieć granic. — Ale wie pan przypadkiem, gdzie teraz można ją znaleźć? Tak bardzo pasowałyby do kompletowanej przeze mnie obsady. Nie? No tak, rozumiem.

Nagle w rozmowę wkradł się dysonans. Ołówek zamarł w dłoni inspektora. Myszk starał się usłyszeć głos po drugiej stronie łączy, ale głos wicedyrektora z Berlina widać nie imponował mocą.

— Coś podobnego! No patrzcież państwo, jak to nigdy nic nie wiadomo! I powiada pan... A, w tej sytuacji... Mimo wszystko, dziękuję. Tak, ja również polecam się pamięci kochanego pana kolegi i stukrotnie dziękuję za zaproszenie. Nie omieszkam, nie omieszkam!

Słuchawka opadła na widełki. Ignaz w mgnieniu oka pozbył się teatralnej afektacji.

— Anton!

— Słucham, panie inspektorze.

— Czy miałeś kiedyś przecucie, że wprowadzie właściwie niczego jeszcze nie wiesz, ale jesteś już blisko odkrycia prawdy?

— Ja nigdy nie prowadziłem śledztw, panie inspektorze — zauważył Myszk.

— Nie przesadzaj.

— No, niby prowadziłem, ale to tam takie, o kradzież kur, rozboje, sam pan wie, czym zajmują się posterunkowi w małych miastach. Bochentin, o, ten kiedyś pewnie będzie miał do czynienia z prawdziwą sprawą. Jak już skończy tę szkołę w Szczecinie. Zresztą, już teraz asystuje panom.

— Później jeszcze porozmawiamy — łagodnie odrzekł Ignaz — a teraz muszę wykonać bardzo ważny telefon. Jeszcze ważniejszy niż ten do teatru.

— Pewnie do centrali, panie inspektorze?

Odpowiedzią było krótkie przytaknięcie.

Numer telefoniczny znał na pamięć. Wiedział, z kim rozmawiać. Połączono go od razu. Komisarz Arndt był na miejscu.

Rok wcześniej Gottlieb Arndt odniósł ciężki uszczerbek na zdrowiu, wykluczający go z dalszej służby „na linii ognia”, jak mówiono w Wydziale IV na Alexanderplatz. Jednak z uwagi na młody wiek i pasję zawodową uniknął pójścia na rentę. Został przydzielony do archiwum i w krótkim czasie uporządkował je z szacunku godną energią.

Znał Brauna i często udzielał mu informacji osobiście, mimo że takimi sprawami zwyczajowo zajmowali się jego podwładni. Niegdyś uczył uczestnictwo w trzech wspólnych śledztwach zrobiło swoje. Lubili czasem porozmawiać o starych czasach. „O starych Niemcach”, jak mawiała babka Ignaza.

Odnalezienie w archiwum akt Emmy Schratz nie stanowiło problemu.

Arndt oddzwonił po kwadransie.

Kiedy beznamiętnie czytał do słuchawki informacje zawarte w teczce, siłą rzeczy nie miał świadomości, jak zmienia się wyraz twarzy kolegi przebywającego w Wejherowie.

Natomiast Anton Myszk widział, jak czoło Brauna zmarszczyło się.

Braun wstał.

— Gottlieb, jesteś pewny? Może zaszła jakaś pomyłka w dokumentacji. Wiesz, te polskie nazwiska są czasem kłopotliwe dla tych, którzy nie mieli do czynienia z językiem.

Minęło kilka sekund. Ignaz już wiedział, że nie zaszła żadna pomyłka. Właśnie się dowiedział, kto sporządzał dokumentację kobiety. Stary fachowiec ze znajomością polskiego. Notował szybko, zapisał kilka linijek niestarannym pismem.

Podziękował komisarzowi Arndowi i słuchawka opadła na widełki znacznie silniej niż poprzednio.

— Anton — Braun już sięgał po płaszcz i kapelusz — gdyby coś się wydarzyło... Gdyby pojawił się komisarz Lambert, gdyby jakiś sygnał w sprawie dziewczynek, jestem w fabryce Pokory.

— A jakby wrócił komisarz i chciał tylko wiedzieć, kiedy pan wróci na komisariat?

— Powiedz mu, że raczej szybko. Może nawet bardzo szybko!

Wacław Ruszkowski był w swoim gabinecie. Rozmawiał właśnie z kancelistą, pochylonym nad otwartą teczką, opróżnioną z papierów leżących na biurku, gdy nagle drzwi otworzyły się bez pukania i stanął w nich Ignaz Braun.

— Panie Ruszkowski, pan poprosi pracownika o opuszczenie gabinetu.

Księgowy, pełen najgorszych przeczuć, spojrział na podwładnego. Tamten skłonił się i wyszedł.

— Panie inspektorze, czy stało się coś złego?!

— Do kroćset, miał pan współpracować! Pan nie ma rozumu!

— Dziewczynki? Coś się stało?

Tymczasem Braun uderzył otwartą dłonią w biurko, aż podskoczył kałamarz.

— Tego jeszcze nie wiemy! A nie wiemy przez pana. Dlaczego pan nam nie powiedział?

Ruszkowski spojrzał na Brauna nieprzytomnym wzrokiem.

— O czym?

— Raczej o kim! O Elizie z domu Schramm. O Elizie Ruszkowskiej, do diabła! O pańskiej żonie!

— O mojej żonie?!

— Przecież nie o mojej. — Braun sięgnął do kieszeni palta i wyjął pudełko papierosów. Zapalił szybko, nie poczęstowawszy nieszczęsnego ojca dziewczynek.

— Co z dziewczynkami? Dlaczego pan pyta o żonę?!

— W zeznaniu sporządzonym po zaginięciu dzieci nie ma informacji świadczącej o tym, że pańska żona żyje.

— Ale ja nie powiedziałem, że umarła.

— Jaka szkoda, byłoby jeszcze ciekawiej — Ignaz nerwowo strzepnął popiół na teczkę. — Pan dezinformował policję. Pan zaszkodził śledztwu.

Ruszkowski słuchał wściekłego Ignaza. Głowę miał spuszczonej jak uczeń przyłapany na dyscyplinarnym wykroczeniu.

Oto do komisariatu wpada zdesperowany człowiek. Mówi, że zaginęły jego córki, że nigdzie ich nie ma. Towarzyszy mu kobieta, z którą wyraźnie łączą go więzy uczuciowe. Wiera Adierichina. Nie jest matką dzieci. Matką jest, jak powiedział Ruszkowski, Eliza z domu Schramm. Eliza Ruszkowska.

— Przecież nikt nie zapytał, czy moja żona żyje.

— Pan jest całkiem odrealniony albo tak przywykł pan do mówienia półprawd, że zaczął uważać je za obraz rzeczywistości. Przecież pan wie, że całe miasto sądziło, iż jest pan wdowcem. Ja sam święcie w to

wierzyłem. A pan po prostu kocha pannę Adierichinę i nie chciał pan, aby wytykano was palcami! Czy tak?

— Sam pan rozumie...

— To jeszcze rozumiem, ale w obliczu zaginięcia dzieci wszystko jest ważne. Czy Paweł Pokora, czy w ogóle ktokolwiek tutaj wiedział, jak wygląda pańska sytuacja?

— Pan Pokora wiedział, ale nie pytał o nic, a ja cieszyłem się, że był dyskretny. W moich dokumentach, w teczce personalnej, jest informacja, ale taką teczkę otwiera się, żeby dodawać bieżące informacje, a nie śledzić te najstarsze, z czasu, gdy teczkę zakładano. Zawartość teczek jest raczej poufna. Łatwo panu mówić, inspektorze, ale proszę mi wierzyć, że okoliczności związane z zachowaniem żony nie pozwalały, aby wszystko wyjaśniać dziewczynkom. Były za małe, nie zrozumiałyby. A potem to już tak trwało. Chciałem im kiedyś opowiedzieć o wszystkim. Niech mi wreszcie pan powie, dlaczego pan pyta o to wszystko, o moją żonę? To musi mieć związek z Ludwisią i Janeczką, niech pan nie zaprzecza!

Ignaz nie odpowiedział. Sięgnął do kieszeni palta i wyjął z niej paczkę. Zamaszystym gestem wysypał na biurko fotografie wydane przez berliński teatr.

Księgowy wziął w drżące palce pierwszą z fotografii przedstawiających Emmę i zaraz zaczął gorączkowo oglądać kolejne. W oczach pojawiły się łzy.

— Czy na fotografiach jest pańska żona, Eliza Ruszkowska z domu Schramm?

— Boże, tak.

— Emma „Schratz” pracuje jako guwernantka w pałacu w Rekowie.

— Sądzi pan...

— Nieważne, co ja sędę. Musimy pojechać do Rekowa. Natychmiast. I niech pan się modli, żeby one gdzieś tam były.

Powóz nie był w najlepszym stanie, a koń należał do narowistych. Ignaz skonstatował, że wolał podróż samochodem, zwłaszcza po takiej drodze, jak ta prowadząca do Rekowa.

W dodatku Anton Myszk mógłby się jeszcze wiele nauczyć od zawodowych woźniców.

Wiera Adierichina siedziała obok Wacława Ruszkowskiego. Dłonie miała splecione i mocno zaciśnięte. Księgowy spoglądał to na nią, to na Brauna usadowionego naprzeciwko.

— Myśmy się naprawdę kochali. Choć teraz trudno w to uwierzyć. Byłem zdolny w rachunkowości, od razu po studiach dostałem oferty od dwóch dobrych firm, wybrałem tę u siebie, w Bydgoszczy. Poznałem Elizę. Właściwie wcale się nie namyślała, gdy poprosiłem ją o rękę. Wyglądała jak z obrazka. Rozpieszczałem ją, kupowałem stroje i biżuterię. A ona uwielbiała to pokazywać i była dumna, że ma dobrze zarabiającego męża. Od dziecka śpiewała w kościelnym chórze, potem w towarzystwie śpiewaczym, grała w amatorskim teatrze. Chodziliśmy na przedstawienia, teatr to było to. Gdy rodziły się dziewczynki, poświęcała im czas, ale zaczynała więdnąć. Ona potrzebowała zachwyków i uwielbienia, i pokazywania się w świecie, choćby tylko na jakiejś promenadzie. I śpiewała sobie cicho, coraz częściej. Widziałem, jak powtarza monologi teatralne, kiedy już dziewczynki zasypiały.

— I wreszcie... — szepnął Braun zadowolony, że Adierichina nie będzie musiała dłużej słuchać o sielankowym okresie pożycia Ruszkowskich.

Tak samo chyba pomyślał księgowy. Spojrzał na kobietę z czułością.

— I wreszcie stało się. Teraz wiem, jaka była jej prawdziwa natura, ale wtedy sądziłem, że oszaleję. Zupełnie nie wiedziałem, co stało się z tą dobrą, pogodną kobietą.

— Ale zapewne w okresie, kiedy zaczęła tęsknić do innego życia, nie była już taka miła? — szepnął Ignaz.

— Nie, to nie tak. Patrzyła tylko często przez okno, zamyślona. I śpiewała, i deklamowała. Boże, niech ten policjant jedzie szybciej!

Braun odparł, że posterunkowy powozi tak prędko, jak się da. Dodał jeszcze, że gdyby nie sam Ruszkowski, dziewczynki, być może, dawno już byłyby wolne.

Zdesperowany ojciec znów spojrzął na Wierę, a ona odpowiedziała milczącym pocieszeniem.

— Niech pan kontynuuje — rzekł inspektor. — Jeszcze mamy trochę czasu.

— Nikt mi niczego nie powiedział. Bo też nikt z rodziny i znajomych nie wiedział o niczym. Eliza potrafiła grać... Ja pracowałem wtedy dużo i niczego nie zauważałem. Myślałem, że jak będę jej dawał prezenty i zadbam o utrzymanie domu, będzie szczęśliwa. Nie skarżyła się wcale. Aż zobaczyłem na stole list. Wróciłem z pracy. Nie było jej w domu, ale pora była zwykła, popołudnie, mogła wyjść po sprawunki. Dziewczynki musiały być u sąsiadki, takiej starszej pani, która czasami im matkowała, gdy urządzaliśmy sobie wychodne. I rzeczywiście tam były.

Napisała, że odchodzi. Że się dusi, że nie może dłużej żyć w ten sposób. Pieluchy, gotowanie mleka, przesiadywanie w domu całymi godzinami.

Szukał jej wszędzie. Nikt nic nie wiedział. Wreszcie od dalekiego znajomego, który przypadkiem był gościem berlińskiego teatru operetkowego, dowiedział się, że Eliza tam występuje. Pojechał natychmiast.

Była wtedy u szczytu krótkotrwałej sławy. Szybko nadrobiła braki warsztatowe, posiadała zresztą osobowość, którą mogła przykryć wszelkie niedoskonałości.

Bogaci mężczyźni posyłali jej kosze róż i błagali o możliwość odwiedzenia garderoby po spektaklu.

W trakcie dramatycznej rozmowy między małżonkami, do jakiej doszło właśnie w teatralnej garderobie, pojawił się Igo Anz. Impresario, niegdyś śpiewak. Uśmiechnięty mężczyzna o twarzy dziecka. Potrafił zadać jeden precyzyjny cios, po którym ofiara miała już tylko ochotę uciec. Ale Wacław nie zamierzał uciekać. Przyjechał po żonę. Jednak kiedy padł następny cios, stracił przytomność.

Gdy się ocknął, stróż pilnujący tylnego wyjścia z teatru przykładał mu do czoła kataplazm.

Wiadomo, że taki stróż wie wiele, a przynajmniej prawie wszystko.

Była zapatrzona w Anza. To stało się jeszcze w Bydgoszczy. Podobno poszła na jakieś przesłuchanie organizowane przez teatr i był tam akurat obecny Igo Anz.

Ruszkowski znienawidził żonę. I dla niego rzeczywiście umarła. Był jeszcze przez kilka dni w Berlinie, zbierał informacje. I właśnie wtedy zaczął jej nienawidzić.

Dla Ludwisi i Janeczki matka umarła. Tylko że one sądziły, iż umarła dosłownie.

— A czy pan wiedział, jak później potoczyły się jej losy?

— Nie. Niech pan mówi!

— Rozstała się z Anzem. Ściślej mówiąc, on rozstał się z nią. W tym środowisku zjawisko normalne. Znudziła mu się, choć publiczność nadal bardzo ją lubiła. Z policyjnych akt wynika, że zatrzymywano ją pod domem Igo Anza, kiedy nad ranem krzyczała, że go kocha. I... — Ignaz zawahał

się na moment — i bywała pod wpływem alkoholu. Oraz opium. Niestety. Przeszła załamanie nerwowe. Potrafiła zawalić kilka spektakli z rzędu. W końcu ją wyrzucili. Skończyły się dochody. Parę razy złapano ją na drobnych kradzieżach, siedziała w berlińskim więzieniu dla kobiet.

— Mimo wszystko, to straszne — szepnął Ruskowski.

— Ma pan rację — zgodził się Braun. — A potem słuch o niej zaginął.

— Ale jak panowie odkryli?

— Będzie jeszcze sposobność, żeby o tym powiedzieć.



GDZIE ONE SĄ?

Zmierzchało. Pałacyk oświetlały dwie latarnie gazowe rozmieszczone symetrycznie nieopodal głównego wejścia.

Nikt z przybyłych nie zwrócił uwagi na malowniczość rozświetlonych ścian i okien, na rdzawe w sztucznym świetle skosy dachu.

Osie powozu skrzypiały, gdy z niego wysiadali.

Wacław Ruszkowski chciał podać dłoń Wierze, ale ta nie zauważyła jego gestu. Oddychała szybko, krótko, nerwowo. Niemal wyskoczyła z powozu. W jej ślady pospieszył ojciec dziewczynek.

Ignaz pomyślał, że wskutek napięcia nerwowego i wydarzeń ostatnich godzin nawiedziły go omamy. Kilka metrów od powozu, którym przyjechali, stał opel Lamberta. Miał tam być. Tyle że komisarz z Paschinskim powinni przybyć do Rekowa znacznie wcześniej i być już przy Emmie. Tymczasem przed automobilem stał doktor ze swoją skórzaną torbą, a Lambert pochylony był nad otwartą maską, z której unosił się gęsty, cuchnący dym.

— Panie komisarzu! — zawołał Braun.

— A, Braun! — zawołał komisarz.

— Co się stało? — ozwał się inspektor, dostrzegając jednocześnie, że zdezorientowani Adierichina i Ruszkowski przyglądają się scenie z nieukrywaną niecierpliwością.

— Układ chłodzący! — Lambert podniósł głowę znad wnętrza opła. — Zaczęło dymić w połowie drogi. Zatrzymałem się co chwila, myślałem, że oszaleję! Przed chwilą tu dojechałem, ale dym buchał coraz mocniej, teraz już jest mniejszy. Otworzyłem tego potwora i patrzę. Pewnie powietrze nie chłodzi silnika tak jak należy!

— Kiedyś może ktoś wymyśli płyn do chłodzenia, byłoby to pewniejsze — odparł Braun. — Ale, panie komisarzu, zmarnowane tyle czasu, musimy do Emmy!

— Sam wiem, proszę mnie nie pouczać.

Wymawiając ostatnie słowa, Lambert był już na schodach prowadzących do wejścia.

Nacisnął solidną klamkę.

Drzwi stały otworem.

Policjanci weszli pierwsi, za nimi Wiera z Wacławem, na końcu Paschinski.

W sieni idący przodem Lambert omal nie zderzył się z zaafelowanym Paulem von Lietzem.

— Katastrofa! — wykrzyknął pękaty obywatel ziemski.

— Jaka katastrofa?! — komisarz, nie zważając na formy grzecznościowe, chwycił go za poły marynarki.

— Ona uciekła!

— Emma? — ozwał się Braun.

— Tak, proszę za mną, proszę!

— Bochentin! — wrzasnął Lambert, wbiegając do salonu.

Na wprost niego stał przygarbiony posterunkowy. Tuż za jego plecami tkwiły Elisabeth von Lietz i pokojówka.

— To moja wina — zaczęła pani von Lietz. — Emma wymiotowała, Giselle rozpięła jej bluzkę i gorset, kazałam pańskiemu człowiekowi wyjść.

— Nie powinienes wychodzić, Bochentin, dałem ci jasne rozkazy!

— Posterunkowy okazał mi posłuszeństwo — kontynuowała kobieta. — I tylko na tym polega jego zaniedbanie. Niech pan uwierzy, widok był obrzydliwy i nieobyczajny.

— Ale to policjant, a nie jakaś primadonna — wycedził Lambert. — I co dalej?

— Ona wtedy nagle, z jakąś nadludzką siłą, odepchnęła mnie i Giselle. Upadłam, Giselle też. Jaka była szybka! Otworzyła okno i tyle ją widziałam. Giselle ma rozbitą głowę, mnie jeszcze bolą plecy po tym upadku. Podskoczyłam jakoś do otwartego okna, ale było za późno.

— Co teraz będzie...? — wyszeptał Ruszkowski, ale nikt go nie usłyszał. — Gdzie one są?

Wszyscy natomiast usłyszeli słowa doktora Paschinskiego, chociaż wypowiedziane głosem równie cichym, jak głos ojca dziewczynek.

— Z tego, co teraz usłyszałem, i ze słów komisarza wnioskuję, że ta kobieta zagrała wszystkim na nosie. Musiała być przygotowana na taką ewentualność. Wiele toksyn może powodować zewnętrznie groźne objawy. Groźne w rozumieniu laika. Konwulsje, wymioty, bladość, takie rzeczy występują po dosłownie minimalnej dawce, ot, choćby zwykłej trutki na szczury.

— Poza tym ona jest aktorką. Była naprawdę przekonująca — westchnął Braun, a Wiera ścisnęła dłoń Ruszkowskiego.

— I jeszcze jedno. Pewne środki, zmieszane z innymi, mogą działać pobudzająco. Ona w jednej chwili poradziła sobie z dwoma osobami

będącymi w pokoju. Objawy choroby, a zaraz potem ponadnaturalna siła i determinacja.

— Ale Bochentín! — warknął komisarz i ponownie obdarzył posterunkowego groźnym spojrzeniem.

— Gdzie ona jest? I gdzie są moje córki? — tym razem głośno zapytał Ruszkowski.

Nikt dotąd nie dostrzegł Marie, przysłuchującej się rozmowie z niejakiemu oddalenia. Kiedy dziewczynka po raz kolejny usłyszała pytanie nieszczęsnego ojca, postąpiła kilka kroków naprzód.

— Dzień dobry — dygnęła, jak przystało dobrze wychowanej panience. — A ja chyba wiem, gdzie są te dziewczynki. Bo to córki tego pana, co się musiał ukrywać, bo coś mu groziło?

— Co ty opowiadasz? — Elisabeth von Lietz gwałtownie pochyliła się nad córką.

— Bo kilka dni wcześniej Rufi, mój piesek — dodała, widząc zdziwienie na twarzach policjantów — zaprowadził mnie do takiego starego, opuszczonego budynku gospodarczego i tam były dwie dziewczynki, Janeczka i Ludwisia. Mówiły, że mama się nimi opiekuje, a ja dopiero trochę potem zgadłam, że to musi być pani Schratz. I bawiłam się z nimi i z Rufim, bo ja tu nie mam towarzystwa żadnych panienek w moim wieku i cieszyłam się, że tu są. A one powtarzały, że muszą się ukrywać, bo cudownie odnalazła się ich mama, a one wcześniej myślały, że ona nie żyje. I muszą tu być, bo tatuś o tym wie, a sam też się ukrywa, bo grozi mu jakieś straszne niebezpieczeństwo, i w końcu jak się wszystko wyjaśni, sam tu po nie przyjedzie. I tylko nie wiedziały, co będzie teraz z taką panią, ciocią, nie wiem, ale mówiły o niej często i ona ma jakieś dziwne imię, całkiem nie nasze.

— Dziecko, gdzie jest ten budynek?! — Lambert nie odrywał oczu od przejętej, zarumienionej Marie.

— Ja chyba wiem, o który chodzi — wtrącił Paul von Lietz. — Marie, idziemy przodem!

Marie i jej ojciec biegli z taką samą prędkością. Policjantom, jak również Paschinskiemu i nade wszystko Adierichinie z Ruszkowskim zdawało się, że przewodnicy ledwie posuwają się naprzód, ale Paulowi von Lietzowi każdy wysiłek, z uwagi na krótkie nogi i pękaty brzuch, sprawiał kłopot. Dziewczynka natomiast ograniczona była wąską sukienką, minął już bowiem czas, gdy ubierano ją w typowo dziecinne stroje.

Droga była rozmoknięta, po bokach kamienista. Wpadali w kałuże, nogi grzęzły w błocie.

Nikt nie zwracał na to uwagi.

Wreszcie ich oczom ukazał się budynek z pruskiego muru. Z początku majaczył tylko w mglistym powietrzu, jednak w miarę, jak zbliżali się do niego, mogli rozpoznać pożółkłe ściany niegdyś bielone wapnem i szerniałe deski.

— Proszę otworzyć! Policja! — krzyknął Lambert, gdy jako pierwszy dobiegł do zamkniętych drzwi.

Odpowiedziała mu cisza, choć ze środka dał się słyszeć szmer.

W oszklonym oknie pojawiła się kobieca głowa.

— Niech pani otworzy! — powtórzył komisarz. — Wiemy, że pani tam jest z dziewczynkami, i wiemy, kim pani jest!

Znów cisza.

A jednak po chwili drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów.

Zgromadzeni przed budynkiem wstrzymali oddech.

— Zostawcie nas w spokoju — usłyszano zimny kobiecy głos.

— Proszę nie żartować — odparł Lambert.

— Ja nie żartuję. Chcemy stąd odejść. Zostawcie nas.

W tym momencie w uchylonych drzwiach pojawiła się Emma Schratz. Miała brudną, rozpiętą suknię.

Jej oczy świeciły żółtym, zwierzęcym blaskiem.

Była jak wilczyca, którą naganiacze zapędzili w matnię, z której nie było wyjścia. Ale jasne było, że to dopiero początek walki.

I nagle stało się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć. Drzwi otwarły się szerzej i wyszła z nich Emma.

Miała w dłoni niewielki pistolet.

„Derringer, czterolufowy”, pomyślał Braun.

Tuż za Emmą stanęły Ludwisia i Janeczka.

Dźwigały torby podróżne.

Chwila wystarczyła, żeby zaczęły sobie uświadamiać, że w opowieściach matki było coś fałszywego.

Ich ojciec stał obok jakichś panów, chyba policjantów.

I obok niego Wiera.

Nie wyglądali, jakby przed kimś uciekali.

Już wiedziały, że to oni ścigali.

Ścigali ich matkę.

I szukali ich. Ludwisi i Janeczki.

— Tatusiu — pisnęła Janeczka.

Ruszkowski zaszlochał i już chciał biec do dziewczynek, ale żelazny uścisk dłoni Brauna powstrzymał go.

Wiera stała w miejscu, z dzieci przenosząc wzrok na ich matkę.

W oczach Adierichiny Emma Schratz dostrzegła nienawiść.

Nagle w stronę matki dziewczynek ruszył Bochentin.

Posterunkowy nie myślał wiele. Jego umysłem zawładnął gniew i rozpaczliwa potrzeba naprawienia błędu.

Wiedział, że gdyby został w pokoju przy Emmie, dziewczynkom i pozostałym nie groziłoby żadne niebezpieczeństwo.

Honor policjanta.

Honor zwykłego posterunkowego.

Honor posterunkowego, który chciał zostać oficerem.

Emma bez namysłu wyciągnęła dłoń z pistoletem i wystrzeliła.

Obłoczek dymu z lufy poleciał w górę.

Jednak Bochentin już go nie ujrzał.

Padł na błotnistą ziemię. Z lewego barku zaczęła sączyć się krew. Przytknął do rany dłoń i patrzył przed siebie zamglonym wzrokiem.

Odnosił wrażenie, że cały świat skurczył się do dolnych partii rozmazujących się kobiecych sukien.

Braun i Lambert jednocześnie ruszyli ku Emmie. Tak jak Bochentin przed sekundą, nie myśleli wiele. Instykt, żądza odwetu i zwycięstwa opętała ich, jakby byli jednym ciałem i jedną duszą.

Janeczka, która zaczynała wyrywać się matce, została przez nią pchnięta z wielką siłą w stronę nadbiegającego Lamberta.

Komisarz odruchowo obejmuje dziewczynkę, chcąc ją osłonić.

Pistolet w ręce Emmy znów się podnosi.

Pada strzał. Tym razem celniejszy. Braun jakby odepchnięty, robi krok w tył. Upada. Jego pierś krwawi.

Wiera podbiega do Lamberta, niemal wyrywa z jego objęć dziewczynkę.

Lambert w pierwszej chwili nie wie, co się dzieje. Zwalnia jednak uścisk i Janeczka wędruje w ramiona Wiery, która odbiega z nią na

bezpieczniejszą odległość.

Kiedy komisarz otrzeźwiał, dostrzegł, że Emma, pociągając za sobą Ludwisię, zaczyna z nią uciekać.

Popędził za nimi.

— Zatrzymać się! Zatrzymaj się! — ryknął nie swoim głosem.

Rozpina palto i wyciąga z kabury pistolet.

Oddaje strzał ostrzegawczy.

Powietrze przeszył huk.

Emma staje jak wryta.

Błyskawicznie analizuje sytuację.

Odwraca się w stronę komisarza, lewa ręka mocniej chwytą dłoń Ludwisi. Dziewczynka syknęła z bólu.

Prawa ręka kobiety przytyka do skroni dziecka jeszcze rozgrzaną lufę pistoletu.

Oczy wrogów spotkały się.

I wtedy nadbiegł Paweł Pokora. Jego mocna sylwetka płynęła na tle ogołoconych z liści drzew i krzewów stojących przy błotnistej drodze.

Za nim, podciągając poły sukni, biegła drobnymi kroczkami Giselle, zadyszana i krzycząca do fabrykanta.

To, co w oczach Emmy dostrzegł komisarz, utwierdziło go w przekonaniu.

— Odejdź — mówi Emma. — Bo zabiję ją i siebie. A ty umrzesz przede mną.

Strzela. Machinalnie, bez przyłożenia. Tysiące takich strzałów oddawał na strzelnicy i był pewien swej ręki.

Prawa dłoń kobiety odskakuje, roztrzaskana w jednej chwili. Jednak gdy kula Lamberta dosięgała celu, palec Emmy bezwiednie zacisnął się na

spuście.

Upadła razem z Ludwisią.

Skroń dziewczynki krwawi.

Krew leje się coraz obficie, dziecko nie porusza się. Ale i Emma się nie podnosi. Porażona bólem i widokiem krwi córki oraz własnej, patrzy jak ścigane zwierzę na stojącego przed nią Lamberta.

On zaś nie może ruszyć się z miejsca. Wpatruje się wytrzeszczonymi oczami w dziewczynkę niedającą oznak życia i głowę rozsadza mu jedna myśl.

„Po co strzelałem? Byłem pewien! Może inaczej... Mogłem inaczej! Dziecko!”

Do Ludwisi podbiega ojciec. Klęka nad nią w błocie, przyciska do piersi. Głowa przy głowie. Policzki Ruszkowskiego oblewa krew córki. Bierze ją na ręce i słaniając się, odchodzi, byle jak najdalej od Emmy.

Paul von Lietz, zdeterminowany jak nigdy dotąd, pochyla się nad Emmą i przygniata ją ciężkim kolanem do ziemi.

Tymczasem Paweł Pokora bada puls Brauna.

W fabryce dowiedział się, dokąd pojechali wzburzeni Ruszkowski i inspektor. Nie wahał się ani chwili. Musiał tu być.

Podnosi głowę. Z jego ust wydobywa się szept, którego nikt nie słyszy. Wszyscy, włącznie z doktorem, zajęci są dziewczynkami.

— Żyje jeszcze...

OD AUTORA

PIOTR PAWEŁ POKORA — urodził się 25 stycznia 1856 roku w miejscowości Bądecz, niedaleko Piły, w ówczesnym powiecie wyrzyskim, w wielodzietnej rodzinie Tomasza Jana, nauczyciela, i Justyny z domu Mrozowskiej.

15 kwietnia 1888 roku założył w Gdańsku fabrykę cygar i papierosów, przy której funkcjonował również sklep i agencja „Gazety Gdańskiej”. Należał wtedy do aktywnych członków gdańskiej Polonii. W 1891 roku był członkiem komisji teatralnej Towarzystwa Bratniej Pomocy „Jedność” w Gdańsku i przez krótki czas pełnił funkcję prezesa organizacji. W kwietniu 1892 roku ustąpił z piastowanego stanowiska, ponieważ przeniósł fabrykę „Maschallah” do Wejherowa.

W grodzie Wejhera stworzył duży i nowoczesny kompleks fabryczny przy skrzyżowaniu ulic Wniebowstąpienia i Gdańskiej. W 1912 roku fabryka zatrudniała około 300 osób i była największym polskim zakładem w ówczesnych Prusach Zachodnich. W fabryce działały m.in. kasa oszczędnościowa, kasa chorych, biblioteka i Towarzystwo Śpiewacze.

O polskości właściciela i jego firmy świadczą chociażby nazwy wyrobów tytoniowych: Jan Sobieski, Poniatowski, Krakowskie, Zygmuntofskie.

Cygara pochodzące z fabryki Pawła Pokory cieszyły się uznaniem konsumentów. Podobno nazywano je „kaszubskimi hawanami”. Według legendy delectował się nimi wielki miłośnik cygar, sir Winston Churchill.

W fabryce, oprócz cygar, papierosów, „cygarillosów”, tabaki i tytoniu do żucia, wyrabiano również fajki, tabakierki i lufki do papierosów.

Za namową księdza Stanisława Sychowskiego Pokora założył filię fabryki w Śliwicach na terenie Borów Tucholskich, co zapewniło miejsca pracy wielu tamtejszym Polakom.

W 1904 roku fabrykant znalazł się w gronie pierwszych akcjonariuszy towarzystwa wydawniczego „Gazeta Gdańska”.

Był jednym z założycieli powstałej w 1904 roku w Wejherowie polskiej spółki handlowej „Kupiec” (wcześniej „Merkury”), zasłużonej później w kształtowaniu rodzimej przedsiębiorczości na północnych Kaszubach.

W roku 1910 na terenie posesji Pawła Pokory odbyło się zebranie założycielskie wejherowskich filomatów.

Dużą popularnością cieszył się wznawiany kilkakrotnie *Śpiewnik polski, zbiór najużywanych piosenek różnej treści*, którego Pokora był wydawcą.

Paweł Pokora był żonaty z Konstancją z domu Donajską (1863–1938), pochodzącą z Gniewu, z którą miał czworo dzieci: Romana, spadkobiercę fabryki, Alfonsa, właściciela fabryki cygar w Gdańsku, Stefana, artystę malarza, i Annę, późniejszą żonę znanego wejherowskiego lekarza Stanisława Tapera.

Siostra Pawła Pokory, Rozalia, w wejherowskiej fabryce zajmowała się buchalterią. Słynęła z doskonałego węchu, potrafiła bezbłędnie rozpoznawać gatunki tytoni.

W aktach stanu cywilnego i aktach notarialnych używał obu imion, w pozostałych okolicznościach jedynie imienia Paweł.

Zmarł 21 września 1912 roku w Wejherowie, gdzie został pochowany na cmentarzu starym. Na grobowcu rodziny Pokorów widnieje rzeźba przedstawiająca twarz Chrystusa, która jest dziełem Stefana, najmłodszego syna Pawła Pokory.

W roku 1924 syn Roman przeniósł fabrykę do Gdańska.

PODZIĘKOWANIA

Bez mojej żony Olgi ta książka nie miałaby takiego tytułu, takiej aury i tak naprawdę nie wiadomo, czy w ogóle by powstała. Jej pomocy zawdzięczam kształt fabuły i wiele postaci, jak również sposób ich konstruowania. Miłość wzajemna oraz ta do Wejherowa i jego historii pozwoliła nam na codzienne, mozolne trwanie przy Ignazu Braunie i osobach mu towarzyszących. Ola wierzyła, że napiszę tę książkę, i swoją wiarą mnie mobilizowała.

Pani Krystianie Kosińskiej, prawnuczce Piotra Pawła Pokory, i Pani Annie Kosińskiej, praprawnuczce, dziękuję za miłe przyjęcie w domu rodzinnym — domu doktora Wanglera, gdzie można odczuć duchową obecność znakomitych przodków. Pani Krystiana poczęstowała moją żonę i mnie znakomitymi babeczkami z chili, co pozwoliłem sobie przenieść w czasie o ponad sto lat, do rozdziału zatytułowanego, jakżeby inaczej, „Babeczki z chili”.

Wdzięczny jestem nieocenionemu Panu Władysławowi Kepce, znawcy i miłośnikowi Grodu Wejhera, za bezinteresowną życzliwość i merytoryczną pomoc. To rzadkie i piękne cechy. O przeszłości swojego miasta wie On chyba wszystko i lubi dzielić się swą wiedzą.

Składam podziękowania Panu Pułkownikowi Maciejowi Uchmanowi, Dyrektorowi Aresztu Śledczego w Wejherowie, za entuzjizm i pasję. Dzięki Jego erudycji miałem okazję zagłębić się w zakamarki placówki, obecnej w mieście od ponad stu dwudziestu lat. Zobowiązany też jestem Zastępcy Dyrektora, Panu Porucznikowi Radosławowi Mrozewskiemu,

i Starszemu Inspektorowi Działu Ochrony, Podporucznikowi Karolowi Czai, za żmudne poszukiwania faktograficzne dotyczące historii więziennictwa, nie tylko wejherowskiego.

Kevinowi Pattersonowi dziękuję za inspirację zgoła nieliteracką, a dwóm dziewczynkom z innego wymiaru za plastyczność wizji Kevina.